SALAMANDRA

Harper Lee

# ZABIĆ DROZDA

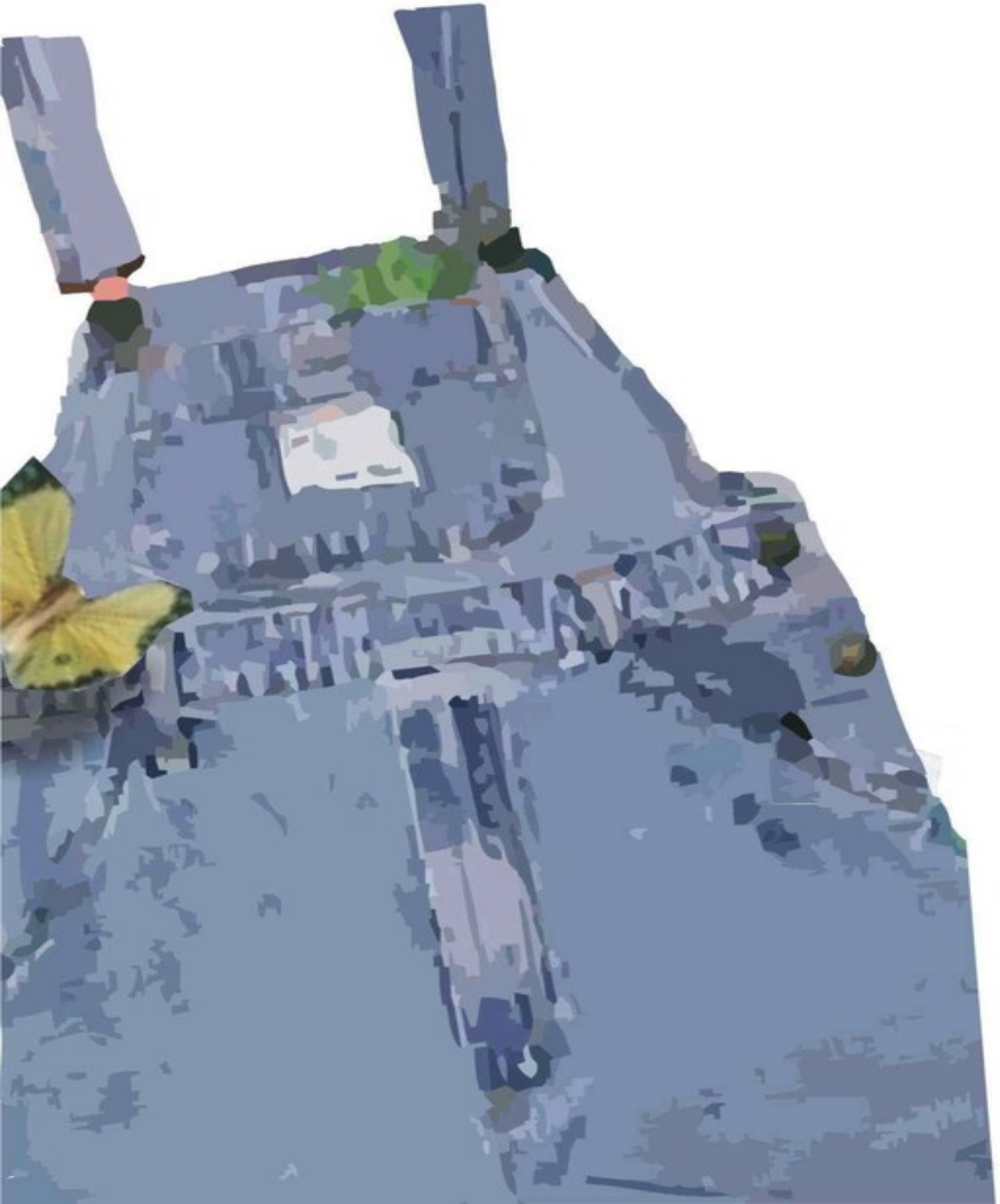

REBIS

Harper Lee

# ZABIĆ DROZDA

Przełożył Maciej Szymański

DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

*Dla pana Lee i Alice*
*przez wzgląd na Miłość i Sympatię*

Prawnicy, jak sądzę, też byli kiedyś dziećmi.

*Charles Lamb*

# Część pierwsza

# Rozdział 1

Mój brat Jem, gdy miał prawie trzynaście lat, paskudnie złamał sobie rękę w łokciu. Gdy wyzdrowiał i przestał się lękać, że już nigdy nie będzie mógł grać w futbol, rzadko wracał myślą do tej kontuzji. Jego lewe ramię było nieznacznie krótsze od prawego; gdy stał albo chodził, jego dłoń wisiała prostopadle do ciała, z kciukiem równoległym do uda. Nie przejmował się tym jednak, skoro mógł podawać i wykopywać piłkę.

Gdy minęło wystarczająco wiele lat, abyśmy się nauczyli spoglądać wstecz, rozmawialiśmy czasem o wydarzeniach, które doprowadziły do jego wypadku. Ja twierdzę, że zaczęli Ewellowie, ale Jem, cztery lata starszy ode mnie, powiedział, że zaczęło się znacznie wcześniej – podobno tego lata, gdy przyjechał do nas Dill i podsunął nam pomysł na to, jak wywabić Boo Radleya.

Odrzekłam mu, że jeśli koniecznie chce spojrzeć na sprawę szerzej, to powinien zacząć od Andrew Jacksona. Bo gdyby generał Jackson nie pognał Krików wzdłuż rzeki, Simon Finch nigdy nie powiosłowałby tak daleko wodami Alabamy, a gdyby tego nie zrobił – co by było z nami? Byliśmy za duzi na to, by rozstrzygać spory za pomocą pięści, więc zapytaliśmy Atticusa. Ojciec powiedział, że oboje mamy rację.

Niektórzy członkowie naszej rodziny Południowców wstydzili się tego, że brak w naszym drzewie genealogicznym uczestników bitwy pod Hastings – po którejkolwiek ze stron. Mieliśmy tylko Simona Fincha, aptekarza-myśliwego z Kornwalii, którego pobożność ustępowała jedynie skąpstwu. W Anglii zirytowały go prześladowania ludzi, którzy sami siebie nazywali metodystami, ze strony ich bardziej liberalnych braci – zirytowały

tak bardzo, że Simon, który także nazywał siebie metodystą, wybrał się za Atlantyk, do Filadelfii, a potem na Jamajkę, następnie do Mobile i jeszcze do Saint Stephens. Pamiętając o napomnieniach Johna Wesleya na temat używania nazbyt licznych słów w transakcjach kupna i sprzedaży, Simon wzbogacił się, handlując lekami, lecz nie zaznał szczęścia, gdyż kusiło go to, co – jak wiedział – nie służy chwale Pana: na przykład złota biżuteria i kosztowne stroje. Dlatego też Simon, zapomniawszy przestróg swego nauczyciela na temat posiadania ludzkiego inwentarza, zakupił trzech niewolników i z ich pomocą założył farmę nad brzegiem Alabama River, mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów powyżej Saint Stephens. Powrócił do miasta tylko raz, by znaleźć sobie żonę, która urodziła mu wiele córek. Dożył sędziwego wieku i umarł bogaty.

Zwyczaj w rodzinie był taki, że mężczyźni pozostawali na farmie Simona, Finch’s Landing, i żyli z uprawy bawełny. Gospodarstwo było samowystarczalne; skromne w porównaniu z okolicznymi imperiami Landing produkowało wszystko, co potrzebne do życia, prócz lodu, mąki pszennej oraz odzieży, którą dostarczano statkami z Mobile.

Simon zapewne z bezsilną wściekłością potraktowałby niepokoje między Północą a Południem, gdyż za ich sprawą jego przodkowie stracili wszystko prócz ziemi. Tradycja utrzymywania się z jej płodów przetrwała jednak bez szwanku aż do dwudziestego stulecia, kiedy to mój ojciec, Atticus Finch, pojechał do Montgomery zgłębiać prawo, jego brat zaś – do Bostonu na studia medyczne. Ich siostra, Alexandra, pozostała w Landing: wyszła za mąż za małomównego osobnika, który większość czasu spędzał w hamaku nad rzeką, rozmyślając głównie o tym, jak wiele ryb złapało się już na haczyki.

Gdy mój ojciec został przyjęty do palestry, powrócił do Maycomb i otworzył praktykę. Miejscowość ta, położona może trzydzieści

kilometrów na wschód od Finch’s Landing, jest stolicą hrabstwa Maycomb. W jego pokoju w gmachu sądu nie było wielu sprzętów poza wieszakiem na kapelusze, spluwaczką, szachownicą i nieskazitelnie czystym egzemplarzem Kodeksu Alabamy. Jego dwaj pierwsi klienci byli ostatnimi osobami, które powieszono w więzieniu hrabstwa Maycomb. Atticus namawiał, by skorzystali z łaskawości stanowego prawa i przyznali się do morderstwa drugiego stopnia, co pozwoliłoby im ocalić życie, ale miał do czynienia z Haverfordami, a to nazwisko było w hrabstwie Maycomb synonimem osła. Tak się złożyło, że Haverfordowie uśmiercili najlepszego kowala w mieście podczas sprzeczki, której przyczyną było rzekome zawłaszczenie klaczy. Byli na tyle nierozsądni, że uczynili to w obecności trzech świadków, a następnie utrzymywali, iż najlepszą linią obrony na taką okazję jest twierdzenie: „Należało mu się, sukinsynowi”. Trwali też uparcie przy tym, że nie są winni morderstwa pierwszego stopnia, i dlatego Atticus niewiele mógł zrobić dla swych klientów poza tym, że towarzyszył im w zejściu z tego świata – i chyba właśnie to zdarzenie zapoczątkowało głęboką niechęć mego ojca do praktykowania prawa karnego.

W ciągu pierwszych pięciu lat życia w Maycomb Atticus praktykował w zasadzie głównie ekonomię, a następnie przez kilka lat inwestował swe zarobki w edukację brata. John Hale Finch był dziesięć lat młodszy od mojego ojca; studia medyczne wybrał w czasach, gdy nie opłacała się uprawa bawełny. Lecz kiedy już wujek Jack stanął na nogi, Atticus zaczął osiągać przyzwoity dochód ze swej praktyki. Lubił Maycomb – urodził się i wychował w tym hrabstwie – znał tutejszych ludzi, oni znali jego, a dzięki przedsiębiorczości Simona Fincha był też spokrewniony z niemal każdą rodziną w mieście.

Maycomb było stare, ale gdy ja je poznawałam – było już nie tylko stare, ale i zmęczone. W deszczowe dni ulice zmieniały się w rdzawe strugi

błota, chodniki porastały trawą, a budynek sądu przy głównym placu zapadał się w sobie. Mam wrażenie, że było wtedy goręcej: czarny kundel cierpiał w letnie dni, kościste muły zaprzężone do dwukółek oganiały się od much w nie przynoszącym chłodu cieniu dębów rosnących na placu. Sztywne kołnierzyki panów miękły już o dziewiątej rano. Panie, które brały kąpiel przed południem i po popołudniowej drzemce, o zmroku przypominały już rozmiękłe ciastka z lukrem z potu i wonnego talku.

Ludzie poruszali się wolno. Niespiesznie przemierzali plac, powłócząc nogami, zaglądali do otaczających go sklepów i wcale nie liczyli się z czasem. Doba miała dwadzieścia cztery godziny, ale wydawała się dłuższa. Pośpiech nie istniał, bo nie było dokąd się spieszyć, nie było nic do kupienia i brakowało pieniędzy, by cokolwiek kupić; nie było też niczego ciekawego do oglądania poza granicami hrabstwa Maycomb. A jednak dla niektórych był to czas nieokreślonego optymizmu: hrabstwo Maycomb dowiedziało się niedawno, że nie musi się bać niczego prócz samego strachu.

Mieszkaliśmy przy głównej ulicy dzielnicy willowej – Atticus, Jem, ja, no i nasza kucharka Calpurnia. Z ojca byliśmy zadowoleni: bawił się z nami, czytał nam i traktował nas z uprzejmą bezstronnością.

Z Calpurnią było zgoła inaczej. Chuda i koścista, miała krótki wzrok i wiecznie mrużyła oczy; jej dłoń była szeroka jak listwa od łóżka i dwa razy twardsza. Wiecznie wyganiała mnie z kuchni, za każdym razem pytając, dlaczego nie jestem taka grzeczna jak Jem, choć dobrze wiedziała, że on jest starszy; zawsze też wołała mnie do domu, kiedy wcale nie byłam na to gotowa. Toczyłyśmy epickie, ale i jednostronne bitwy. Calpurnia nieodmiennie wygrywała, głównie dlatego, że Atticus brał jej stronę. Była z nami, odkąd urodził się Jem i odkąd sięgałam pamięcią, wyczuwałam jej przytłaczającą obecność.

Nasza matka umarła, gdy miałam dwa lata, nie odczułam więc jej odejścia. Była z Grahamów z Montgomery; Atticus poznał ją, gdy po raz pierwszy wybrano go do stanowego zgromadzenia. Był już mężczyzną w średnim wieku, piętnaście lat starszym od niej. Jem był owocem pierwszego roku ich małżeństwa; cztery lata później ja przyszłam na świat, a dwa lata po tym nasza matka umarła nagle na zawał. Podobno to rodzinna przypadłość Grahamów. Nie tęskniłam za nią, ale mam wrażenie, że Jem tak. Pamiętał ją wyraźnie i czasem w samym środku gry wzdychał przeciągle i odchodził, by bawić się samotnie za garażem. Wiedziałam, że gdy jest w takim nastroju, lepiej go nie nagabywać.

Gdy miałam prawie sześć lat, a Jem prawie dziesięć, granice naszego letniego terytorium (w zasięgu głosu Calpurnii) wyznaczały dom pani Henry Lafayette Dubose, stojący dwie posesje na północ od naszego, oraz dom Radleyów, o trzy posesje na południe. Nigdy nas nie kusiło, by je przekraczać. Mieszkańcem domu Radleyów była nieznana istota, a sam jej opis wystarczał, byśmy całymi dniami byli anielsko grzeczni; pani Dubose była zaś istną diablicą.

Właśnie tamtego lata przyjechał do nas Dill.

Raz wczesnym rankiem, gdy zaczynaliśmy zabawę na podwórzu, usłyszeliśmy z Jemem jakiś dźwięk dobiegający z okolic grządki jarmużu w ogrodzie naszej sąsiadki, panny Rachel Haverford. Podeszliśmy do drucianej siatki, żeby sprawdzić, czy to nie szczeniak – rat terrierka panny Rachel spodziewała się młodych – a tymczasem zobaczyliśmy, że ktoś tam siedzi i patrzy w naszą stronę. W tej pozycji nie był wiele wyższy od kapuścianych liści. Spoglądaliśmy na niego, aż powiedział:

– Hej.

– Hej – odparł przyjaźnie Jem.

– Nazywam się Charles Baker Harris – rzekł nieznajomy. – Umiem czytać.

– Co z tego? – spytałam.

– Pomyślałem, że to was zainteresuje. Bo jeśli macie coś, co trzeba by przeczytać, mogę to zrobić...

– Ile masz lat? – spytał Jem. – Cztery i pół?

– Prawie siedem.

– No to nic dziwnego – odparł Jem, kciukiem wskazując na mnie. – Ta mała, Skaut, czyta od urodzenia, a jeszcze nie chodzi do szkoły. A ty nie za duży jesteś, jak na prawie siedem.

– Jestem mały, ale stary.

Jem odgarnął włosy, by przyjrzeć mu się lepiej.

– Może byś tu przelazł, Charlesie Bakerze Harrisie? – zagadnął po chwili. – Boże, ale cię nazwali.

– Nie śmieszniej niż ciebie. Ciocia Rachel mówi, że nazywasz się Jeremy Atticus Finch.

Jem spojrzał na niego spode łba.

– Do mnie to pasuje, bo jestem duży – skwitował. – A ty jesteś krótszy od własnego nazwiska.

– Mówią na mnie Dill – odrzekł mu Dill, z trudem przeciskając się pod siatką.

– Lepiej górą niż dołem – doradziłam. – Skąd jesteś?

Dill pochodził z Meridian w Missisipi, spędzał lato u cioci Rachel i od tej pory miał się pojawiać w Maycomb co roku o tej porze. Jego rodzina pochodziła z naszego hrabstwa. Matka Dilla, która pracowała u fotografa w Meridian, wystawiła jego zdjęcie w konkursie „Piękne dziecko”

i wygrała pięć dolarów. Oddała nagrodę Dillowi, a on wydał wszystko, by dwadzieścia razy pójść do kina.

– Tu nie puszczają porządnych filmów, tylko czasem o Jezusie, w gmachu sądu – powiedział Jem. – Widziałeś coś ciekawego?

Dill widział *Draculę*. To wystarczyło, by Jem zaczął spoglądać na niego z namiastką szacunku.

– Opowiedz nam – rozkazał.

Dill był osobliwy. Nosił niebieskie lniane szorty przypięte do koszulki; jego białe jak śnieg włosy przylegały do głowy jak kaczy puch; choć rok młodsza, byłam odeń wyższa. Gdy snuł swą opowieść, jego błękitne oczy na przemian zapalały się i ciemniały, a jego śmiech był nagły i pełen radości. Odruchowo pociągał wciąż za kosmyk włosów, sterczący mu nad czołem.

Gdy Dill starł już *Draculę* na proch, a Jem orzekł, że film musi być lepszy od książki, spytałam Dilla, gdzie jest jego ojciec.

– Nawet o nim nie wspomniałeś.

– Nie mam ojca.

– Umarł?

– Nie...

– Skoro nie umarł, to musisz go mieć, tak czy nie?

Dill się zarumienił, a Jem kazał mi milczeć, co niechybnie oznaczało, że Dill został przezeń dostatecznie sprawdzony i zaakceptowany. Resztę lata spędziliśmy na uprawianiu typowych przyjemności, to jest: przebudowując domek usytuowany w konarach wielkich miodli, które rosły na naszym podwórzu, awanturując się i przerabiając listę dramatów podwórkowych opartych na dziełach Olivera Optica, Victora Appletona i Edgara Rice’a Burroughsa. Dobrze, że był z nami Dill – odgrywał w tych inscenizacjach role, które dawniej należały do mnie: był małpą w *Tarzanie*, panem

Crabtree w *The Rover Boys* czy panem Damonem w *Tomie Swifcie*. Stał się naszym kieszonkowym Merlinem z głową pełną ekscentrycznych pomysłów, dziwacznych tęsknot i osobliwych upodobań.

Jednakże pod koniec sierpnia nasz repertuar stracił na atrakcyjności od nadmiaru przedstawień i właśnie wtedy Dill podsunął nam pomysł wywabienia Boo Radleya.

Domostwo Radleyów fascynowało Dilla. Mimo naszych wyjaśnień i ostrzeżeń przyciągało go jak Księżyc wodę, choć jedynie do narożnej latarni, w bezpiecznej odległości od bramy posesji. Stawał przy niej, obejmował ramionami gruby słup i patrzył w zamyśleniu.

Posesja Radleyów wcinała się ostrym zakrętem za nasz dom. Idąc na południe, dochodziło się do ganku; chodnik skręcał tam i biegł dalej wzdłuż podwórka. Dom był niewysoki i niegdyś biały; miał rozległy ganek i zielone okiennice, ale całość dawno już pociemniała, dostosowując się do szarości otoczenia. Zbutwiały od deszczu gont zwieszał się nisko nad werandą; rozłożyste dęby nie dopuszczały do niej słońca. Chwiejne resztki ogrodzenia strzegły nigdy nie zamiatanego podwórka przed domem, bujnie porośniętego dzikimi trawami i tytoniem.

W domu rezydował zaś złowrogi duch. Ludzie mówili, że naprawdę istnieje, ale my z Jemem nigdy go nie widzieliśmy. Mówili też, że wychodzi nocą, gdy księżyc stoi nisko, żeby zaglądać ludziom w okna. Gdy komuś podmarzły azalie, mówili, że to jego oddech je zmroził. Wszystkie drobne przestępstwa w Maycomb były jego sprawką. Pewnego razu seria ponurych nocnych wydarzeń rzuciła na miasto cień strachu: ktoś okaleczał kurczaki i zwierzęta domowe mieszkańców Maycomb. I choć sprawcą był Szalony Addie, który potem utopił się w Wirze Barkera, ludzie wciąż spoglądali podejrzliwie na dom Radleyów, nie chcąc wyzbyć się pierwotnych podejrzeń. Żaden Murzyn nie przeszedłby nocą obok tej

posesji, chyba że drugą stroną ulicy, pogwizdując dla kurażu. Teren szkoły sąsiadował z zapleczem posesji Radleyów. Orzeszniki rosnące na podwórzu gubiły owoce nad naszym boiskiem, ale dzieci nawet ich nie dotykały: orzechy Radleyów zabijają. Piłka baseballowa, która wpadła na ich podwórze, była stracona i nikt tego nie kwestionował.

Ponura historia tego domu zaczęła się wiele lat przed tym, nim Jem i ja przyszliśmy na świat. Radleyowie, choć mile widziani w całym mieście, woleli trzymać się na uboczu, co było wykroczeniem w Maycomb niewybaczalnym. Nie chodzili do kościoła – a była to podstawowa rozrywka mieszkańców naszego miasta – tylko oddawali cześć Bogu we własnym domu. Pani Radley rzadko – jeśli w ogóle – wybierała się na drugą stronę ulicy, by wypić przedpołudniową kawę z sąsiadkami; nigdy natomiast nie wstąpiła do kółka misyjnego. Każdego dnia o jedenastej trzydzieści maszerowała do centrum i wracała do domu już o dwunastej, niosąc czasem papierową torbę, w której zdaniem obserwatorów z sąsiedztwa, znajdowały się codzienne zakupy. Do dziś nie wiem, z czego żył stary pan Radley – Jem mówił, że „kupował bawełnę”; to takie eufemistyczne określenie próżniactwa – tak czy owak, państwo Radley i ich dwaj synowie mieszkali w Maycomb od niepamiętnych czasów.

Okiennice i drzwi ich domu były w niedziele zamknięte – to kolejne odstępstwo od obyczajów panujących w naszym mieście, bo zamknięte drzwi oznaczać mogły jedynie chorobę lub fatalną pogodę. Niedziela była dniem oficjalnych wizyt popołudniowych: panie wkładały gorsety, panowie płaszcze, a dzieci – buty. Lecz sąsiedzi nie wspinali się nigdy w niedzielne popołudnie po schodkach do domu Radleyów, by zawołać „Hej!” Nie było w nim drzwi z moskitierą – pytałam nawet Atticusa, czy dawniej były, i dowiedziałam się, że tak, ale zanim się urodziłam.

Wedle miejscowej legendy, gdy młodszy z Radleyów był nastolatkiem, poznał paru Cunninghamów z Old Sarum, potomków licznego i dziwacznego plemienia z północnej części hrabstwa. Wraz z nimi stworzył coś, co najbardziej przypominało gang ze wszystkich grup, jakie kiedykolwiek widziano w Maycomb. Niewiele zdziałali, ale wystarczyło, by dyskutowano o nich w mieście i publicznie wygłaszano ostrzeżenia z trzech mównic. Kręcili się w okolicy zakładu fryzjerskiego, w niedziele jeździli autobusem do kina w Abbottsville, bywali na tańcach w znanej w całym hrabstwie nadrzecznej szulerni Dew-Drop Inn & Fishing Camp i wreszcie eksperymentowali z nielegalną whiskey. Nikt w całym Maycomb nie miał dość tupetu, by powiedzieć panu Radleyowi, że jego syn wpadł w złe towarzystwo.

Pewnego wieczoru w przypływie młodzieńczej fantazji chłopcy postanowili zabawić się jazdą pożyczonym gruchotem – tyłem, wokół placu. Nie dali się przy tym aresztować sędziwemu woźnemu, panu Connerowi, a na dodatek zamknęli go w wychodku przy budynku sądu. W mieście postanowiono więc, że trzeba działać. Pan Conner powiedział, że rozpoznał wszystkich sprawców; uparł się, że nie popuści żadnemu z nich, i tak oto chłopcy stanęli przed sądem opiekuńczym, oskarżeni o zakłócenie porządku, napaść i uszkodzenie ciała oraz używanie obraźliwego i wulgarnego języka w obecności kobiety. Sędzia zapytał, dlaczego pan Conner dołączył ten ostatni zarzut. Pan Conner odpowiedział mu na to, że sprawcy przeklinali tak głośno, iż bez wątpienia słyszała ich każda dama w Maycomb. Sędzia zadecydował, że chłopcy trafią do szkoły technicznej, do której niekiedy wysyłano młodzież tylko po to, by zapewnić jej wyżywienie i przyzwoity dach nad głową – nie było to żadne więzienie i żadna ujma na honorze. Pan Radley był jednak innego zdania. Przekonał sędziego, że dopilnuje, by Arthur nie sprawiał więcej kłopotów, jeśli tylko

zostanie uwolniony. Sędzia z zadowoleniem przystał na tę propozycję, ponieważ wiedział, że może polegać na słowie pana Radleya.

Pozostali chłopcy trafili do szkoły technicznej i uzyskali najlepsze wykształcenie średnie, jakie można było zdobyć w całym stanie; jeden z nich trafił nawet na politechnikę w Auburn. Drzwi domu Radleyów były zaś teraz zamknięte nie tylko w dni powszednie, ale i w niedziele, a przez kolejnych piętnaście lat Arthura nikt już nie zobaczył.

W końcu jednak nadszedł dzień, który Jem ledwie pamiętał: dzień, w którym nie on sam, ale kilka innych osób usłyszało i zobaczyło Boo Radleya. Powiedział mi, że Atticus nigdy nie mówił wiele na temat Radleyów; gdy Jem zadawał pytanie, ojciec zwykle kazał mu zająć się własnymi sprawami i zostawić Radleyów w spokoju, do którego mieli prawo. Kiedy jednak to się stało, według Jema Atticus pokręcił głową, pomrukując: „Mm, mm, mm”.

I dlatego większość informacji Jem zasłyszał od panny Stephanie Crawford, miejscowej plotkarki, która ponoć wiedziała o wszystkim. Według niej, Boo siedział w salonie i wycinał artykuł z „The Maycomb Tribune”, by wkleić go do albumu. Jego ojciec wszedł do pokoju, a gdy przechodził obok, Boo wbił nożyczki w jego nogę, wyciągnął, wytarł o spodnie i powrócił do przerwanego zajęcia.

Pani Radley wybiegła na ulicę, wrzeszcząc, że Arthur ich wszystkich pozabija, ale gdy na miejscu pojawił się szeryf, Boo wciąż siedział grzecznie w salonie, tnąc „Tribune”. Miał wtedy trzydzieści trzy lata.

Według panny Stephanie, pan Radley powiedział, że żaden Radley nie trafi nigdy do zakładu opiekuńczego, gdy zasugerowano mu, że sezon spędzony w Tuscaloosie dobrze by zrobił biednemu Boo. Boo jednak nie był szalony, tylko od czasu do czasu bardzo nerwowy. Pan Radley zgodził się, że należy na jakiś czas zamknąć syna, lecz nalegał, by nie

przedstawiano mu żadnych zarzutów – Boo przecież nie był przestępcą. Szeryf nie miał sumienia umieścić go w więzieniu razem z Murzynami, ostatecznie więc zamknięto Boo w piwnicy gmachu sądu.

W umyśle Jema powrót Boo do domu był wspomnieniem dość mglistym. Według panny Stephanie Crawford, niektórzy członkowie rady poinformowali pana Radleya, że jeśli Boo posiedzi jeszcze trochę w zapleśniałej piwnicy, może umrzeć. Poza tym, nie mógł przecież żyć w nieskończoność na koszt hrabstwa.

Nikt nie wiedział, jaką formę zastraszania wybrał pan Radley, żeby utrzymać Boo z dala od ludzkich spojrzeń, ale Jem przypuszczał, że większość czasu Boo spędzał przykuty łańcuchem do łóżka. Jego ojciec jednak był innego zdania; twierdził, że istnieją inne sposoby na zamienienie człowieka w ducha.

Mam w pamięci obraz pani Radley, raz na jakiś czas otwierającej frontowe drzwi, by wyjść na skraj ganka i podlać kanny. Pamiętam też, że oboje z Jemem widywaliśmy każdego dnia pana Radleya, gdy wychodził do miasta i wracał. Był chudym, kanciastym mężczyzną o oczach tak bezbarwnych, że nawet nie odbijały światła. Miał wydatne kości policzkowe i szerokie usta, przy czym górna warga była wąska, a dolna znacznie pełniejsza. Panna Stephanie Crawford mówiła, że sztywno trzymał się Słowa Bożego, które było dlań jedynym prawem, a my jej wierzyliśmy, bo istotnie pan Radley kroczył sztywno, jakby połknął tyczkę.

Nigdy się do nas nie odzywał. Gdy nas mijał, patrząc w ziemię, mówiliśmy „Dzień dobry panu”, a on tylko kaszlał w odpowiedzi. Jego starszy syn mieszkał w Pensacoli; przyjeżdżał do Maycomb na Boże Narodzenie i był jedną z bardzo niewielu osób, które kiedykolwiek przychodziły i wychodziły z tego domu. Ludzie mawiali, że odkąd pan Radley zabrał Arthura z piwnicznego aresztu, dom umarł.

A przecież nadszedł dzień, gdy Atticus powiedział, że nas utłucze, jeżeli będziemy hałasować na podwórku, i przykazał Calpurnii, by pod jego nieobecność zastąpiła go w tym dziele, jeśli tylko wydamy z siebie jakiś dźwięk. Pan Radley umierał.

Nie spieszył się zbytnio. Drewniane kozły zagrodziły drogę po obu stronach posesji Radleyów, na chodnik rzucono słomę, a ruch skierowano w boczną alejkę. Doktor Reynolds parkował przed naszym domem i szedł do Radleyów za każdym razem, gdy został wezwany. Jem i ja całymi dniami chodziliśmy na palcach. Wreszcie kozły zabrano i stojąc na ganku, zobaczyliśmy, jak pan Radley rusza w swą ostatnią podróż.

– Tak odchodzi najpodlejszy człowiek, w jakiego Bóg kiedykolwiek tchnął życie – wymruczała Calpurnia, po czym w zadumie splunęła na podwórze.

Spojrzeliśmy na nią ze zdziwieniem, rzadko bowiem komentowała sprawy białych.

Sąsiedzi przypuszczali, że po zejściu pana Radleya Boo wyjrzy na świat, ale stało się inaczej: z Pensacoli powrócił starszy brat Arthura, by zająć miejsce zmarłego. Różnił się od ojca wyłącznie wiekiem. Jem powiedział, że pan Nathan Radley też zajmuje się „kupowaniem bawełny”. Pan Nathan jednak odzywał się do nas, gdy mówiliśmy „Dzień dobry”, a czasem nawet widywaliśmy go, jak wracał z miasta z czasopismem w ręku.

Im więcej opowiadaliśmy Dillowi o Radleyach, tym więcej chciał wiedzieć, dłużej sterczał przytulony do narożnej latarni i intensywniej się zastanawiał.

– Zastanawiam się, co on tam porabia – mruczał. – Zdaje się, że właśnie wyjrzał zza drzwi.

– Wychodzi tylko, kiedy jest całkiem ciemno – wyjaśnił mu Jem. – Panna Stephanie Crawford mówiła, że pewnego razu obudziła się w środku nocy i zobaczyła go za oknem. Patrzył prosto na nią... Jego głowa wyglądała jak czaszka. Nie słyszałeś go nigdy w nocy, Dill? Chodzi mniej więcej tak... – Jem zaszurał nogami na żużlu. – Jak myślisz, dlaczego panna Rachel tak starannie zamyka na noc drzwi? Wiele razy widziałem rano w ogrodzie jego ślady. Jednej nocy słyszałem nawet, jak skrobał w moskitierę na tyłach domu, ale ulotnił się, zanim przyszedł Atticus.

– Ciekawe, jak on wygląda – zastanawiał się Dill.

Jem podał mu rozsądny opis: sądząc po śladach, Boo miał mniej więcej dwa metry wzrostu; jadał surowe wiewiórki i koty, jeśli udało mu się je złapać, i dlatego miał plamy krwi na dłoniach, bo ktokolwiek pożarłby surowe mięso, nigdy nie zmyłby z rąk śladów posoki. Na twarzy miał długą bliznę o poszarpanych brzegach; nieliczne zęby Boo miały być żółte i popsute; oczy miał wyłupiaste i ślinił się nieustannie.

– Spróbujmy go wywabić – zaproponował Dill. – Chciałbym zobaczyć, jak naprawdę wygląda.

Jem powiedział, że jeśli Dill tak bardzo chce zginąć, to wystarczy, że podejdzie do tego domu i zapuka do frontowych drzwi.

Nasza pierwsza wyprawa doszła do skutku tylko dlatego, że Dill postawił *Szarego Ducha* przeciwko dwóm *Tomom Swiftom* na to, że Jem nie zbliży się do domu Radleyów bardziej niż do furtki w ogrodzeniu. A Jem w całym swoim życiu nie odrzucił ani jednego wyzwania.

Zastanawiał się nad tym zakładem przez trzy dni. Przypuszczam, że honor kochał bardziej niż własną głowę, bo Dill przekonał go dość łatwo:

– Masz stracha – powiedział pierwszego dnia.

– To nie strach, to respekt – odparł Jem.

Następnego dnia Dill rzekł:

– Tak się boisz, że nawet palucha nie postawisz na ich podwórku.

Jem odpowiedział, że wcale nie i że odkąd chodzi do szkoły, codziennie mija posesję Radleyów.

– Zawsze biegiem – wtrąciłam.

Dill załatwił Jema w końcu trzeciego dnia, powiedziawszy mu, że chłopaki z Meridian na pewno nie są tak lękliwe jak ci z Maycomb, bo takich strachajłów to on jeszcze nigdy nie spotkał.

Usłyszawszy to, Jem pomaszerował na róg ulicy, stanął przy słupie latarni i oparł się o niego, wpatrzony w furtkę wiszącą koślawo na zawiasach domowej roboty.

– Mam nadzieję, Dillu Harrisie, żeś już sobie wbił do głowy, że on nas wszystkich pozabija – rzekł Jem, gdy do niego dołączyliśmy. – Nie miej do mnie pretensji, kiedy ci wydłubie oczy. Pamiętaj, że sam zacząłeś.

– Wciąż się boisz – wymamrotał cierpliwie Dill.

Jem zapragnął przekonać go raz na zawsze, że nie boi się absolutnie niczego.

– Chodzi o to, że nie wymyśliłem jeszcze sposobu, jak go wywabić, żeby nas nie dopadł. – W dodatku musiał myśleć o swojej małej siostrzyczce.

Gdy to powiedział, zrozumiałam, że się boi. Mała siostrzyczka pomyślała zaraz o tym, jak kiedyś rzuciła wyzwanie, by skoczył z dachu domu. „A jeśli się zabiję, co będzie z tobą?” – spytał ją wtedy. A potem skoczył i wylądował cało. Poczucie odpowiedzialności za siostrę opuściło go i nie wracało aż do chwili, gdy przyszło mu się zmierzyć z wyzwaniem posesji Radleyów.

– Chcesz zerwać zakład? – zapytał Dill. – W takim razie...

– Dill, takie sprawy trzeba dobrze przemyśleć – przerwał mu Jem. – Niech no się zastanowię... To tak, jakbyś chciał wywabić żółwia ze skorupy.

– A jak to się robi? – spytał Dill.

– Zapalasz pod nim zapałkę.

Powiedziałam Jemowi, że jeśli podpali dom Radleyów, poskarżę na niego Atticusowi.

Dill orzekł, że zapalanie zapałki pod żółwiem to okrucieństwo.

– Nie okrucieństwo, tylko perswazja. Przecież nie chodzi o to, żeby go rzucić w ogień – warknął Jem.

– A skąd wiesz, że to go nie boli?

– Żółwie nic nie czują, głąbie – odparł Jem.

– A byłeś kiedy żółwiem?

– Rany, Dill! Daj mi chwilę pomyśleć... Zdaje się, że można nim też pobujać...

Jem zastanawiał się tak długo, że Dill wreszcie zdobył się na małe ustępstwo.

– Nie powiem, że zerwałeś zakład, i dam ci *Szarego Ducha*, jeśli tylko pójdziesz tam i dotkniesz domu.

Jem się rozpromienił.

– Dotknę domu i to wszystko?

Dill skinął głową.

– Na pewno wszystko? Bo nie chcę, żebyś mi wymyślał nie wiadomo co, gdy tylko tu wrócę.

– Tak, to wszystko – odparł Dill. – On pewnie wyskoczy za tobą, gdy tylko zobaczy cię na podwórzu, a wtedy Skaut i ja rzucimy się na niego, przydusimy do ziemi i wytłumaczymy, że nie chcemy mu zrobić krzywdy.

Oddaliliśmy się od narożnej latarni, przeszliśmy na drugą stronę uliczki, przy której znajdował się dom Radleyów, i zatrzymaliśmy się u bramy.

– No, dalej – ponaglił Dill. – Będziemy tuż za tobą.

– Idę już – odparł Jem. – Nie poganiaj mnie.

Podszedł do narożnika posesji, a potem się cofnął, zmarszczył brwi i podrapał po głowie, z uwagą studiując całkiem zwyczajny teren, jakby szukał najlepszej drogi.

I wtedy uśmiechnęłam się do niego drwiąco.

Mocno pchnął furtkę i popędził do bocznej ściany domu. Klepnął ją otwartą dłonią i zaraz minął nas w dzikim pędzie, nie zastanawiając się nawet, czy rajd zakończył się sukcesem. Dill i ja rzuciliśmy się za nim i dopiero, gdy dysząc ciężko, zatrzymaliśmy się na naszej bezpiecznej werandzie, obejrzeliśmy się za siebie.

Stary dom wyglądał tak samo jak zawsze, zwiędły i z obwisłym dachem, ale po chwili na naszych oczach w jednym z okien poruszyły się żaluzje. Mignięcie. Drobny, ledwie zauważalny ruch, a potem wszystko znieruchomiało.

# Rozdział 2

Dill opuścił nas na początku września, by powrócić do Meridian. Odprowadziliśmy go do autobusu na piątą, a potem było mi źle bez niego, póki nie przypomniałam sobie, że za tydzień zaczyna się szkoła. W życiu nie czekałam na nic z większą niecierpliwością. Zimą długie godziny spędzałam w domku na drzewie z widokiem na szkolny dziedziniec, szpiegując gromady dzieci przez teleskop o dwukrotnym powiększeniu, który dostałam od Jema. Śledziłam ich zabawy i starałam się nie tracić z oczu czerwonej kurtki brata, gdy bawił się w ciuciubabkę z rówieśnikami, których małe zwycięstwa i porażki przeżywałam w sekrecie. Pragnęłam do nich dołączyć.

Jem zgodził się zaprowadzić mnie do szkoły pierwszego dnia, choć zwykle czynili to rodzice. Zrobił to, ponieważ Atticus zapewnił mnie, że Jem z rozkoszą pokaże mi, gdzie jest moja klasa. Mam wrażenie, że doszło przy tej okazji do pewnej transakcji, bo gdy truchtem mijaliśmy narożnik posesji Radleyów, z kieszeni Jema dobiegł rzadko słyszany brzęk monet. Gdy zwolniliśmy, by normalnym krokiem wejść na teren szkoły, Jem pouczył mnie, że podczas lekcji nie powinnam go niepokoić, proponować odegrania sceny z *Tarzana i Ludzi-Mrówek*, wprawiać w zakłopotanie wzmiankami o prywatnym życiu ani tym bardziej włóczyć się za nim podczas przerw. Ja miałam trzymać z pierwszakami, a on z piątoklasistami. Krótko mówiąc, miałam dać mu święty spokój.

– To znaczy, że już nie możemy bawić się razem? – spytałam.

– W domu będzie tak jak zawsze – odrzekł – ale sama się przekonasz, że w szkole jest inaczej.

I rzeczywiście miał rację. Zanim skończył się pierwszy poranek, panna Caroline Fisher, nasza nauczycielka, zdążyła zaciągnąć mnie na środek klasy i zdzielić po ręce linijką, po czym wysłała mnie do kąta, gdzie miałam stać aż do południa.

Miała nie więcej niż dwadzieścia jeden lat, piękne kasztanowe włosy, różowe policzki i paznokcie pokryte szkarłatnym lakierem. Nosiła czółenka na wysokim obcasie oraz sukienkę w białe i czerwone pasy. Wyglądała i pachniała jak miętowa drażetka. Zamieszkała po drugiej stronie ulicy, o jeden dom od naszego, u panny Maudie Atkinson, w pokoju na piętrze, od frontu. Gdy panna Maudie przedstawiła nas jej, Jem przez parę dni chodził otumaniony.

Panna Caroline napisała na tablicy swoje nazwisko i powiedziała:

– Napisałam tu, że nazywam się Caroline Fisher. Pochodzę z północnej Alabamy, z hrabstwa Winston.

W klasie rozległ się pomruk niepewności, czy aby naszej nauczycielce nie udzieliły się dziwactwa typowe dla tych stron. (Gdy 11 stycznia 1861 roku Alabama odłączyła się od Unii, hrabstwo Winston odłączyło się od Alabamy – wiedziało o tym każde dziecko w Maycomb). Północna część Alabamy pełna była zakładów spirytusowych, hut, przemysłowców, republikanów, profesorów i innych typów bez szczególnego rodowodu.

Panna Caroline rozpoczęła dzień od przeczytania nam historyjki o kotach. Prowadziły one długie rozmowy między sobą, nosiły przemyślne ubranka i mieszkały w ciepłym domku pod kuchenką. Gdy pani Kotka kupowała w sklepie porcję myszy w polewie czekoladowej, cała klasa wierciła się już jak wiadro gąsienic. Wydawało się, że panna Caroline ani trochę nie pojmuje, że obszarpane pierwszaki w drelichowych koszulach i spódnicach z worków po mące, z których większość zajmowała się tłuczeniem bawełny i karmieniem świń, odkąd tylko nauczyły się chodzić,

są absolutnie odporne na uroki literackiej fikcji. Doczytawszy opowieść do końca, powiedziała:

– Czy to nie śliczna historia?

Potem zaś podeszła do tablicy, wypisała na niej cały alfabet wielkimi, kanciastymi literami, odwróciła się w stronę klasy i spytała:

– Czy ktoś wie, co to jest?

Wszyscy wiedzieli, ponieważ pierwsza klasa składała się w większości z tych, co w zeszłym roku nie zdali do drugiej.

Przypuszczam, że wybrała mnie, bo pamiętała moje imię. Gdy czytałam alfabet, pomiędzy jej brwiami pojawiła się cieniutka linia, a gdy skończyłam większość pierwszej czytanki oraz artykuł o notowaniach giełdowych z „The Mobile Register”, panna Caroline odkryła, że naprawdę umiem czytać, i w jej spojrzeniu pojawił się niesmak. Kazała mi poprosić ojca, żeby więcej mnie nie uczył, gdyż może mi to przeszkodzić w doskonaleniu sztuki czytania.

– Nie uczył? – powtórzyłam zdziwiona. – On mnie niczego nie uczył, panno Caroline. Atticus nie ma czasu, żeby mnie czegokolwiek uczyć – dodałam, gdy nauczycielka z uśmiechem potrząsnęła głową. – Wieczorami jest tak zmęczony, że tylko siedzi w salonie i czyta.

– Skoro nie on cię nauczył, to kto? – spytała pogodnie panna Caroline. – Ktoś przecież musiał. Nie przyszłaś chyba na świat z umiejętnością czytania „The Mobile Register”?

– Jem twierdzi, że tak. Przeczytał o tym w książce, w której występowałam jako Bullfinch, nie Finch. Mówi też, że naprawdę nazywam się Jean Louise Bullfinch, że podmieniono mnie, gdy się urodziłam, i że naprawdę jestem...

Panna Caroline najwyraźniej uważała, że kłamię.

– Nie dajmy się ponieść fantazji, moja droga – przerwała mi. – I naprawdę powiedz ojcu, żeby już cię nie uczył. Najlepiej zaczynać czytanie z całkiem świeżym umysłem. Powiedz, że odtąd przejmę jego dzieło i spróbuję naprawić szkody...

– Proszę pani...

– Twój ojciec nie zna się na nauczaniu. A teraz możesz usiąść.

Wymamrotałam przeprosiny i usiadłam, rozmyślając nad moją zbrodnią. Nigdy z rozmysłem nie uczyłam się czytać, a jednak potajemnie zgłębiałam świat codziennych gazet. Długie godziny w kościele – może wtedy się nauczyłam? Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek nie umiała przeczytać hymnu. Teraz, gdy zaczęłam się nad tym zastanawiać, uświadomiłam sobie, że umiejętność czytania pojawiła się we mnie sama, tak samo jak umiejętność zapinania pasa w mundurku na plecach, bez oglądania się, albo wiązania sznurowadeł na dwie pętelki. Nie pamiętałam chwili, w której linie znaków pod poruszającym się palcem Atticusa zaczęły dzielić się na słowa; wiem tylko, że wpatrywałam się w nie całymi wieczorami, słuchając najnowszych wiadomości o nowych ustawach albo pamiętników Lorenza Dowa – wszystkiego, co Atticus akurat czytał, gdy właziłam mu na kolana. Aż do chwili, gdy się przestraszyłam, że stracę tę umiejętność, nie kochałam czytania. Bo czy można kochać oddychanie?

Wiedziałam, że zdenerwowałam pannę Caroline, dałam więc już spokój i patrzyłam w okno aż do przerwy, podczas której Jem znalazł mnie w gromadzie pierwszoklasistów na szkolnym boisku. Zapytał, jak sobie radzę. Opowiedziałam mu.

– Gdyby nie to, że musiałam zostać, wyszłabym. Jem, ta przeklęta pani twierdzi, że Atticus uczył mnie czytania i że powinien przestać...

– Nie martw się, Skaucie – przerwał mi Jem. – Nasza nauczycielka mówi, że panna Caroline poznała w college’u nową metodę uczenia

i właśnie ją wprowadza. Niedługo we wszystkich klasach będzie tak samo. Chodzi o to, że nie trzeba będzie dużo się uczyć z książek. Wiesz, to jest tak, że jak chcesz się czegoś dowiedzieć o krowach, to idziesz taką wydoić, rozumiesz?

– Tak, Jem, ale ja nie chcę się uczyć o krowach, ja...

– Ależ chcesz. Musisz wiedzieć wszystko o krowach, bo są ważną częścią życia w hrabstwie Maycomb.

Zadowoliłam się zadaniem Jemowi pytania, czy aby nie oszalał.

– Próbuję ci tylko wyjaśnić nową metodę nauczania w pierwszej klasie, uparta kozo. To się nazywa System Dziesiętny Deweya.

Jako że nigdy nie kwestionowałam twierdzeń Jema, nie widziałam powodu, by tym razem miało być inaczej. System Dziesiętny Deweya w wykonaniu panny Caroline polegał między innymi na tym, że machała ku nam kartami, na których widniały słowa „tak”, „kot”, „lot”, „pan” oraz „ona”. Zdaje się, że nie oczekiwała od nas żadnego komentarza, toteż podziwialiśmy to impresjonistyczne objawienie w milczeniu. Nudziłam się, więc zaczęłam pisać list do Dilla. Panna Caroline przyłapała mnie na tym i powiedziała, że ojciec koniecznie ma przestać mnie uczyć.

– Poza tym – dodała – w pierwszej klasie uczymy się liter drukowanych. Pisane poznasz dopiero w trzeciej klasie.

Winowajczynią była Calpurnia. Robiła to chyba po to, żebym nie doprowadzała jej do szału w deszczowe dni. Szykowała dla mnie zadanie, najpierw zdecydowanymi ruchami kreśląc alfabet u szczytu strony w bloku, a następnie przepisując poniżej rozdział z Biblii. Gdy zadowalająco odtworzyłam jej kaligrafię, dostawałam kromkę chleba z masłem i cukrem. W swej nauczycielskiej pasji nie była specjalnie sentymentalna: rzadko satysfakcjonowało ją moje pisanie i rzadko mnie nagradzała.

– Ręka do góry wszyscy, którzy idą na lunch do domu – powiedziała panna Caroline, przerywając mi niemiłe rozważania o Calpurnii. Potoczyła wzrokiem po dzieciach z miasta, które uniosły dłonie. – Kto przyniósł lunch ze sobą, niech położy go teraz na ławce.

Znikąd pojawiły się wiaderka z melasą i na suficie zatańczyły metaliczne odblaski. Panna Caroline przeszła między ławkami, przyglądając się zawartości pudełek; przy jednych kiwała głową z aprobatą, a przy innych lekko marszczyła brwi. Zatrzymała się przy stoliku Waltera Cunninghama.

– Gdzie twój lunch? – spytała.

Po twarzy Waltera Cunninghama wiedzieliśmy wszyscy, że ma robaki. Takie, które można złapać, latając boso po stodole czy chlewie. Gdyby Walter miał buty, na pewno włożyłby je w pierwszym dniu roku szkolnego, a potem nie używał aż do połowy zimy. Miał jednak tylko czystą koszulę i schludnie pocerowane ogrodniczki.

– Zapomniałeś dziś wziąć go z domu? – indagowała panna Caroline.

Walter patrzył prosto przed siebie. Zauważyłam, że w jego chudej szczęce drgnął mięsień.

– Zapomniałeś? – powtórzyła panna Caroline.

Szczęka Waltera drgnęła ponownie.

– Taa, psze pani – wymamrotał wreszcie.

Panna Caroline wróciła do swego biurka i otworzyła torebkę.

– Masz tu ćwierćdolarówkę – zwróciła się do Waltera. – Idź, zjedz sobie coś w mieście. Jutro oddasz mi pieniądze.

Walter potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję, psze pani – odparł cicho.

W głosie panny Caroline pojawił się ton zniecierpliwienia.

– Podejdź tu i weź pieniądze.

Walter raz jeszcze potrząsnął głową.

Gdy uczynił to po raz trzeci, ktoś szepnął:

– No powiedz jej, Skaut.

Rozejrzałam się i zobaczyłam, że większość dzieciaków z miasta oraz cała grupa dojeżdżających spoglądają na mnie. Rozmawiałam z panną Caroline już dwa razy, a to utwierdziło ich w niewinnym przekonaniu, że znajomość rodzi zrozumienie.

Ulitowałam się i przemówiłam w imieniu Waltera.

– Eee... panno Caroline?

– Słucham, Jean Louise.

– Panno Caroline, to Cunningham.

I usiadłam.

– Co takiego, Jean Louise?

Zdawało mi się, że wyraziłam się wystarczająco jasno. Dla nas przynajmniej było to oczywiste: Walter siedzi i nie wie, co powiedzieć, ponieważ nie zapomniał lunchu, ale zwyczajnie go nie miał. Nie miał go tego dnia i nie miał mieć nazajutrz ani też następnego dnia. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie widział trzech ćwierćdolarówek jednocześnie.

Spróbowałam jeszcze raz:

– Walter jest z Cunninghamów, panno Caroline.

– Przepraszam, Jean Luise, ale nie zrozumiałam.

– Nic nie szkodzi, proszę pani, niedługo będzie pani znała wszystkie rodziny z okolicy. Cunninghamowie nigdy nie biorą czegoś, za co nie mogą zapłacić... ani darów z kościoła, ani bonów zapomogowych. Nigdy niczego od nikogo nie wzięli. Żyją z tego, co mają. Nie mają wiele, ale jednak żyją.

Moja szczegółowa znajomość Cunninghamowego plemienia – a przynajmniej jednego jego odłamu – była owocem zdarzeń poprzedniej zimy. Ojciec Waltera był klientem Atticusa. Po nudnej wieczornej rozmowie w naszym salonie, dotyczącej majoratu, pan Cunningham powiedział, stając u drzwi:

– Panie Finch, nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam to panu wynagrodzić.

– Niech to będzie ostatnie z twoich zmartwień, Walterze – odparł Atticus.

Gdy spytałam Jema, co to jest majorat, dowiedziałam się, że to taka piekielnie dotkliwa majowa rata. Zaraz potem zapytałam Atticusa, czy pan Cunningham kiedyś nam zapłaci.

– Nie pieniędzmi – odpowiedział. – Ale zanim skończy się rok, dostanę zapłatę. Obserwujcie.

Obserwowaliśmy. Pewnego ranka znaleźliśmy z Jemem na podwórzu stertę drewna na opał. Później na schodkach przed tylnymi drzwiami pojawił się worek orzechów hikorowych. Na Boże Narodzenie dostaliśmy skrzynkę sadzonek kolcowoju i ostrokrzewu. Wiosną, gdy znaleźliśmy stary worek pełen młodej rzepy, Atticus oznajmił, że pan Cunningham spłacił dług z nawiązką.

– Dlaczego płaci ci w taki sposób? – spytałam.

– Bo tylko tak może. Nie ma pieniędzy.

– Atticusie, czy my jesteśmy biedni?

Atticus skinął głową.

– W rzeczy samej.

Jem zmarszczył nos.

– Tak biedni jak Cunninghamowie?

– Niezupełnie. Cunninghamowie mieszkają na wsi, są farmerami. To w nich kryzys uderzył najmocniej.

Atticus powiedział nam też, że ludzie wolnych zawodów zbiednieli właśnie dlatego, że farmerzy nie mają pieniędzy. Hrabstwo Maycomb to kraina rolnicza; w tamtym czasie trudno było lekarzom, dentystom czy prawnikom choćby o najdrobniejszy zarobek. Sprawa majoratu była tylko jednym z wielu utrapień pana Cunninghama; reszta ziemi była zastawiona i marne dochody przeznaczał na spłatę odsetek. Gdyby się postarał, mógł dostać pracę z urzędu zatrudnienia, lecz wtedy straciłby ziemię. Pan Cunningham wolał głodować, byle zatrzymać ją w swoich rękach i móc głosować wedle uznania. Cunninghamowie bowiem, jak wyjaśnił nam Atticus, byli twardymi ludźmi.

A jako że nie mieli pieniędzy, by zapłacić za usługi prawnika, płacili nam tym, czym mogli.

– Wiecie – mówił Atticus – że doktor Reynolds pracuje podobnie? Bierze na przykład buszel ziemniaków za przyjęcie porodu. A teraz, panno Skaut, jeśli posłuchasz mnie uważnie, opowiem ci, czym naprawdę jest majorat. Definicje Jema niekiedy niemal trafiają w sedno.

Gdybym mogła wyjaśnić to wszystko pannie Caroline, oszczędziłabym sobie pewnych kłopotów, a jej zażenowania, lecz w wyjaśnianiu spraw nie byłam tak świetna, jak Atticus. Powiedziałam więc:

– Zawstydza go pani, panno Caroline. Walter nie ma w domu dwudziestu pięciu centów, które mógłby oddać, a pani nie potrzebuje drewna na opał.

Panna Caroline stała chwilę całkiem nieruchomo, a potem capnęła mnie za kołnierz i zaciągnęła do swego biurka.

– Jean Louise, wystarczy mi twoich wybryków na ten poranek – powiedziała. – To pod każdym względem fatalny początek roku szkolnego,

moja droga. Wyciągnij rękę.

Pomyślałam, że napluje mi na dłoń, bo tylko po to wyciągało się w Maycomb rękę – był to z dawien dawna przyjęty sposób zatwierdzania ustnych umów. Zastanawiając się, jakiego to targu dobiłam, spojrzałam pytająco na klasę, ale odpowiedziały mi wyłącznie zdziwione spojrzenia. Panna Caroline zaś sięgnęła po linijkę, wymierzyła sześć szybkich uderzeń i kazała mi stanąć w kącie. Kiedy moi koledzy wreszcie pojęli, że panna Caroline mnie zbiła, przez klasę przetoczyła się fala śmiechu.

Kolejną falę wywołało oświadczenie nauczycielki, że podobny los czeka pozostałych. Śmiech ustał dopiero, gdy na pierwszaków padł cień panny Blount. Rodowita mieszkanka Maycomb, jak dotąd nie wprowadzona w wiedzę tajemną Systemu Dziesiętnego, stanęła w drzwiach, oparła dłonie na biodrach i obwieściła:

– Jeśli usłyszę jeszcze jeden dźwięk dochodzący z tej sali, spalę was wszystkich żywcem. Panno Caroline, przez te hałasy szósta klasa nie może się skupić na piramidach!

Mój pobyt w kącie nie trwał długo. Uratowana przez dzwonek panna Caroline w milczeniu obserwowała, jak uczniowie gęsiego udają się na lunch. Jako że wychodziłam ostatnia, zobaczyłam jeszcze, jak nasza pani opada ciężko na krzesło i ukrywa twarz w dłoniach. Gdyby spróbowała być dla mnie bardziej przyjacielska, może byłoby mi jej żal. Była całkiem ładna.

# Rozdział 3

Dorwanie Waltera Cunninghama dostarczyło mi miłych wrażeń, ale gdy wciskałam jego nos w piach szkolnego boiska, podszedł do mnie Jem i kazał przestać.

– Jesteś większa – zauważył.

– A on ma prawie tyle lat co ty – odparłam. – Przez niego miałam fatalny początek roku.

– Puść go, Skaucie. Dlaczego?

– Nie miał ze sobą lunchu – odpowiedziałam i wyjaśniłam mu swój udział w żywieniowych kłopotach Waltera.

Walter tymczasem podniósł się i stanął obok bez słowa, słuchając naszej rozmowy. Jego pięści były wciąż na wpół zaciśnięte, jakby spodziewał się zmasowanego ataku z naszej strony. Tupnęłam, żeby go odstraszyć, lecz Jem uniósł rękę, powstrzymując mnie, i spojrzał pytająco na Waltera.

– Twoim tatą jest pan Walter Cunningham z Old Sarum? – spytał.

Walter kiwnął głową.

Wyglądał, jakby karmiono go pokarmem dla rybek. Jego oczy, równie błękitne jak oczy Dilla Harrisa, były wodniste i zaczerwienione, a twarz bezbarwna, jeśli nie liczyć różowego i wilgotnego czubeczka nosa. Zacisnął palce na szelkach ogrodniczek, nerwowo trącając metalowe zaczepy.

Całkiem niespodziewanie Jem uśmiechnął się do niego.

– Chodź do nas na obiad, Walterze – powiedział. – Będzie nam miło.

Walter się rozpromienił i zaraz spochmurniał.

– Nasz tata jest przyjacielem twojego taty – dodał Jem. – Skaut jest wariatką, ale już nie będzie cię bić.

– Nie byłabym taka pewna – wtrąciłam. Denerwowało mnie, że Jem tak się rządzi, ale cenne minuty południowej przerwy mijały nieubłaganie.

– Zgadza się, Walterze, już się na ciebie nie rzucę. Lubisz fasolkę? Nasza Cal naprawdę świetnie gotuje.

Walter stał nieruchomo, przygryzając wargę. Poddaliśmy się z Jemem i byliśmy już prawie przy posesji Radleyów, gdy Walter zawołał:

– Hej, idę z wami!

Kiedy nas dogonił, Jem rozpoczął miłą pogawędkę:

– Tu mieszka ten, którego nie ma – rzekł serdecznym tonem, wskazując na dom Radleyów. – Słyszałeś o nim kiedyś, Walterze?

– No chyba – odparł. – Omal nie umarłem, kiedy pierwszy raz poszedłem do szkoły i między te hikory... Podobno on sam je pozatruwał i przechylił nad ogrodzeniem szkoły.

Miałam wrażenie, że Jem jakby mniej się boi Boo Radleya, kiedy tak Walter i ja idziemy obok niego. Wzięło go nawet na przechwałki:

– Kiedyś podszedłem aż do samego domu – powiedział.

– Ktoś, kto raz podszedł do samego domu, chyba nie powinien więcej mijać go biegiem – powiedziałam do chmurek płynących nad nami.

– A kto tu biega, panno Dokuczalska?

– Ty, kiedy jesteś sam.

Zanim dotarliśmy do schodów naszego ganku, Walter zdążył już zapomnieć, że jest Cunninghamem. Jem pobiegł do kuchni i poprosił Calpurnię, żeby ustawiła dodatkowy talerz, bo mamy gościa. Atticus powitał Waltera i zaczął z nim dyskusję o zbiorach, z której my z Jemem nic nie rozumieliśmy.

– Nie mogłem nigdy skończyć pierwszej klasy, panie Finch, bo każdej wiosny musiałem pomagać tacie w obtłukiwaniu bawełny, ale tym razem mój młodszy brat jest już na tyle duży, żeby pracować w polu.

– Zapłaciliście za niego buszel ziemniaków? – spytałam, ale Atticus spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

Ładując stertę jedzenia na swój talerz, Walter dyskutował z Atticusem jak dorosły z dorosłym, czym wprawiał mnie i Jema w zdumienie. Atticus rozprawiał właśnie o problemach rolnictwa, gdy Walter przerwał mu, by spytać, czy nie mamy melasy. Atticus zawołał Calpurnię, a ona wróciła po chwili, niosąc dzbanek syropu. Zaczekała, aż Walter sam się obsłuży. Nie żałując sobie, polał i warzywa, i mięso. I pewnie dolałby sobie melasy do szklanki z mlekiem, gdybym w porę nie spytała, co też on, u licha, wyczynia.

Srebrny spodek zabrzęczał, gdy Walter odstawił nań dzbanek, by szybko położyć dłonie na kolanach i spuścić głowę.

Atticus znowu spojrzał na mnie i pokręcił głową.

– Przecież on chciał utopić wszystko w syropie – oburzyłam się. – Polał sobie wszędzie...

W tym momencie Calpurnia rozkazała mi, bym natychmiast stawiła się w kuchni.

Była wściekła, a wtedy zaczynała popełniać błędy gramatyczne. Gdy była spokojna, wyrażała się równie prawidłowo jak inni mieszkańcy Maycomb. Atticus mówił, że jest lepiej wykształcona niż większość kolorowych.

Gdy spojrzała na mnie z ukosa, drobniutkie zmarszczki wokół jej oczu pogłębiły się trochę.

– Są tacy ludzie, co nie jedzą jak my – szepnęła z pasją. – Ale nie twoja sprawa zabraniać im, kiedy zachowują się przy stole po swojemu. Ten

chłopak jest wasz gość i jeśli zechce zjeść obrus, pozwolisz mu na to, słyszałaś?

– To żaden gość, Cal, to tylko Cunningham...

– Milcz już! Nieważne kto. Kto tylko wejdzie do tego domu, jest gość i nie daj Bóg, żebym cię znowu przyłapała na wymądrzaniu się, jakbyś była nie wiadomo kim! Może i jesteśta lepsze niż Cunninghamowie, ale to się nie liczy, kiedy tak lekceważysz gościa. A skoro nie umiesz zachować się przy stole, zjesz tu, w kuchni!

I solidnym klapsem Calpurnia posłała mnie przez wahadłowe drzwi z powrotem do jadalni. Zabrałam talerz i dokończyłam posiłek w kuchni, wdzięczna, że oszczędzono mi upokorzenia, jakim byłoby patrzenie im wszystkim w oczy. Powiedziałam Calpurnii, żeby tylko poczekała, bo jeszcze ją urządzę: pewnego dnia, gdy nie będzie uważała, pójdę i utopię się w Wirze Barkera, aż jej będzie żal. Poza tym, dodałam, raz już tego dnia wpakowała mnie w kłopoty: nauczyła mnie pisać i to wszystko jej wina.

– Przestań już się dąsać – odpowiedziała.

Jem i Walter wrócili do szkoły pierwsi; pozostanie w domu, by naskarżyć Atticusowi na niesprawiedliwość Calpurnii, warte było samotnego sprintu obok posesji Radleyów.

– A poza tym bardziej lubi Jema niż mnie – zakończyłam i zasugerowałam, żeby Atticus nie tracił więcej czasu, tylko natychmiast ją zwolnił.

– A przyszło ci kiedyś do głowy, że Jem przysparza jej dwa razy mniej zmartwień niż ty? – Głos Atticusa był twardy jak kamień. – Nie zamierzam pozbywać się Calpurnii ani teraz, ani nigdy. Bez niej nie przeżylibyśmy ani jednego dnia, nie pomyślałaś o tym? Pomyśl lepiej, jak wiele Cal dla was robi, i licz się z jej słowem, słyszałaś?

Wróciłam do szkoły i sumiennie nienawidziłam Calpurnii aż do chwili, gdy nagły wrzask przerwał moje ponure rozmyślania. Uniosłam głowę i zobaczyłam pannę Caroline, która stała pośrodku sali. Na jej twarzy malowało się wielkie przerażenie. Najwyraźniej odżyła już na tyle, że mogła kontynuować swą edukacyjną misję.

– Toto żyje! – krzyknęła.

Męska część klasy jak na komendę pospieszyła jej z pomocą. Boże, pomyślałam, ona się boi myszy. Mały Chuck Little, obdarzony fenomenalną cierpliwością do wszelkich żywych stworzeń, powiedział:

– Dokąd uciekła, panno Caroline? Proszę nam prędko powiedzieć! D.C. – dodał, zwracając się do chłopca, który przystanął za nim. – D. C., zamknij drzwi, to ją złapiemy. Prędko, proszę pani, w którą stronę pobiegła?

Lecz panna Caroline drżącym palcem wskazała nie na podłogę i nie na biurko, lecz na przerośniętego osobnika, którego nie znałam. Mały Chuck skrzywił się i powiedział łagodnie:

– Chodzi o niego, proszę pani? On rzeczywiście żyje. Wystraszył panią?

Panna Caroline wydukała z rozpaczą:

– Właśnie przechodziłam obok, kiedy to wylazło z jego włosów... tak po prostu wylazło...

Mały Chuck wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie ma się co bać wszy, proszę pani. Nigdy pani takiej nie widziała? Proszę się nie bać, niech pani usiądzie sobie za biurkiem i trochę jeszcze nas pouczy.

Mały Chuck również był jednym z tych członków populacji, którzy nie mieli pojęcia, skąd wezmą najbliższy posiłek, ale jednocześnie urodził się dżentelmenem. Chwycił pannę Caroline pod łokieć i odprowadził w stronę tablicy.

– Proszę się nie denerwować – mówił. – Nie trzeba bać się wszy. Pobiegnę tylko po zimną wodę.

Posiadacz wszy nie wykazywał najmniejszego zainteresowania furorą, którą zrobił w klasie. Przesunął palcami po czole i odnalazłszy intruza, zgniótł go między kciukiem a palcem wskazującym.

Panna Caroline przyglądała się temu z przerażeniem, ale i fascynacją. Mały Chuck przyniósł jej wodę w tekturowym kubku; wypiła z wdzięcznością i w końcu odzyskała głos:

– Jak się nazywasz, synu?

Chłopak zatrzepotał powiekami.

– Kto, ja?

Panna Caroline skinęła głową.

– Burris Ewell.

Panna Caroline zajrzała do dziennika.

– Mam tu Ewella, ale bez imienia... Mógłbyś mi je przeliterować?

– Nie wiem jak. W domu wołają na mnie po prostu Burris.

– Wobec tego, Burris – odrzekła panna Caroline – chyba będzie lepiej, jeśli zwolnię cię z popołudniowych lekcji. Pójdziesz do domu i umyjesz głowę.

Wyjęła z biurka grubą księgę, przewertowała ją i odnalazłszy stronę, czytała przez chwilę.

– Dobry domowy sposób na... Burris, wrócisz do domu i umyjesz włosy mydłem ługowym. Kiedy skończysz, natrzesz skórę głowy naftą.

– Po co, psze pani?

– Żeby się pozbyć tych no... weszek. Widzisz, Burris, inne dzieci mogą je złapać od ciebie, a tego byś nie chciał, prawda?

Chłopak wstał. Był najbrudniejszą istotą ludzką, jaką w życiu widziałam. Miał ciemnoszarą szyję, rdzawe grzbiety dłoni i dorodną żałobę za paznokciami. Spoglądał na pannę Caroline czystą plamą na twarzy, nie większą niż pięść. Nikt nie zwrócił dotąd na niego uwagi chyba tylko dlatego, że przez większość ranka panna Caroline i ja zabawiałyśmy całą klasę.

– I jeszcze jedno, Burris – dodała panna Caroline. – Proszę, wykąp się, zanim wrócisz tu jutro.

Chłopak zaśmiał się niegrzecznie.

– Pani mnie do domu nie odeśle. Sam właśnie se miałem pójść. Odrobiłem już szkołę na ten rok.

Panna Caroline była zdziwiona.

– Co to miało znaczyć?

Chłopak nie odpowiedział, tylko parsknął pogardliwie.

Jeden ze starszych uczniów wyjaśnił:

– To jeden z Ewellów, psze pani. – Byłam ciekawa, czy jego wysiłki będą równie daremne jak moje. Panna Caroline przynajmniej próbowała wysłuchać jego wyjaśnień. – Pełno ich w szkole. Przychodzą zawsze pierwszego dnia i już nie wracają. Pani, która zajmuje się wagarowiczami, ściąga ich tu, grożąc, że zawiadomi szeryfa, ale już nie próbuje zatrzymać ich na dłużej. Uważa, że postąpiła zgodnie z prawem, wpisując nazwisko do dzienników i pilnując Ewellów pierwszego dnia. Od jutra do końca roku trzeba im zaznaczać nieobecność....

– A co na to ich rodzice? – spytała panna Caroline z autentyczną troską.

– Matki nie mają – padła odpowiedź – a ojciec nawet się cieszy.

Całe to przedstawienie najwyraźniej schlebiało Burrisowi Ewellowi.

– Już trzeci rok przychodzę na pierwszy dzień do pierwszej klasy – oznajmił z uśmiechem. – Pewnie jeśli będę dość mądry, w tym roku przejdę

do drugiej...

– Siadaj, proszę, Burris – przerwała mu panna Caroline. Ledwie to powiedziała, zrozumiała, że popełniła poważny błąd. Jego protekcjonalna maniera nagle zmieniła się w gniew.

– A spróbuj mnie zmusić, paniusiu.

Mały Chuck zerwał się na równe nogi.

– Niech pani go puści – poradził. – To wredny typ, strasznie wredny. Jeszcze zrobi awanturę, a przecież są tu małe dzieci.

Mały Chuck sam należał do najdrobniejszych, ale gdy tylko Burris Ewell zwrócił się ku niemu, zaraz wsunął prawą dłoń do kieszeni.

– Uważaj sobie, Burris – powiedział. – Wolałbym już cię zabić, niż na ciebie patrzeć. Idź lepiej do domu.

Burris wyraźnie przestraszył się dzieciaka o połowę młodszego, a panna Caroline wykorzystała jego niezdecydowanie.

– Burris, idź do domu. Jeśli tego nie zrobisz, wezwę dyrektora – powiedziała. – Zresztą i tak będę musiała zgłosić tę sprawę.

Chłopak parsknął jeszcze raz i niespiesznie ruszył w stronę drzwi.

W bezpiecznej odległości odwrócił się jeszcze i krzyknął:

– Donoś sobie i niech cię diabli! Jeszcze się taka zasmarkana belferska łajza nie urodziła, która by mnie do czego zmusiła! Niczego mi nie każesz, paniusiu. Zapamiętaj sobie, nie ty każesz mi wyjść!

Zaczekał cierpliwie, aż się rozpłakała, i wtedy dopiero wyszedł ze szkoły.

Zaraz potem stłoczyliśmy się wokół jej biurka, próbując pocieszyć ją na różne nasze sposoby. On był naprawdę podły... poniżej pasa... zasługuje pani na lepszych uczniów... to nie jest zachowanie godne mieszkańca

Maycomb... niech pani się nie trapi... panno Caroline, może przeczyta nam pani opowiadanie? Ta poranna historia o kotach była naprawdę śliczna...

Panna Caroline uśmiechnęła się, wytarła nos i powiedziała:

– Dziękuję, moi drodzy.

Kazała nam wrócić na miejsca, otworzyła książkę i ponownie zadziwiła pierwszą klasę długim opowiadaniem o ropusze, która mieszkała w holu.

Gdy po raz czwarty tego dnia mijałam posesję Radleyów – w tym dwa razy w pełnym galopie – mój smutek dorównywał już nastrojowi ich domu. Jeżeli reszta roku szkolnego miała być równie dramatyczna jak pierwszy dzień, być może zapowiadała się w miarę ciekawie, ale perspektywa spędzenia dziewięciu miesięcy bez czytania i pisania sprawiała, że miałam ochotę zwiać.

Późnym popołudniem plany mojej podróży były prawie gotowe. Nie bardzo chciało mi się ścigać, gdy pędziliśmy z Jemem chodnikiem na spotkanie Atticusowi powracającemu z pracy. Zawsze tak robiliśmy: biegliśmy do niego, gdy tylko wyłaniał się zza rogu ulicy na wysokości poczty. Miałam wrażenie, że zapomniał już o mojej wpadce podczas lunchu; bez przerwy wypytywał mnie o szkołę. Odpowiadałam monosylabami, a on nie naciskał.

Zdaje się, że Calpurnia wyczuła, jak paskudny dzień miałam za sobą: pozwoliła mi patrzeć, jak szykuje kolację.

– Zamknij oczy, otwórz buzię, a czeka cię niespodzianka – powiedziała.

Nieczęsto piekła chrupki chleb, zawsze tłumacząc się brakiem czasu, ale skoro oboje byliśmy tego dnia w szkole, problem przestał istnieć. Wiedziała, jak uwielbiam ten chleb.

– Tęskniłam dziś za wami – powiedziała. – Koło drugiej zrobiło się w domu tak pusto, że musiałam włączyć radio.

– Dlaczego? Przecież i tak nigdy nie siedzimy z Jemem w domu, chyba że akurat pada.

– Wiem – odparła – ale zawsze przynajmniej jedno z was jest w zasięgu głosu. Ciekawe, ile czasu spędzam codziennie na wołaniu was... Cóż – dodała, wstając z kuchennego krzesła – zapewne tyle, ile potrzeba na wypieczenie chrupkiego pieczywa. Biegnij już, ja nakryję do kolacji.

Calpurnia schyliła się i pocałowała mnie. Pobiegłam, zastanawiając się, co też w nią wstąpiło. Chciała się ze mną pogodzić, na pewno o to chodziło. Zawsze była dla mnie zbyt surowa, aż wreszcie pojęła swój błąd i pożałowała, ale była nazbyt uparta, by powiedzieć mi o tym wprost. Tego dnia miałam już dość niespodziewanych wypadków.

Po kolacji Atticus usiadł w fotelu z gazetą i zawołał:

– Skaut, gotowa do czytania?

Pan Bóg zrzucił na moje barki ciężar ponad siły. Wyszłam na ganek frontowy; Atticus podążył za mną.

– Coś się stało, Skaucie?

Powiedziałam mu, że nie czuję się najlepiej i że jeśli nie ma nic przeciwko temu, nie pójdę więcej do szkoły.

Atticus usiadł na huśtawce i skrzyżował nogi. Jego palce powędrowały w stronę zegarka kieszonkowego; mawiał, że tylko tak potrafi myśleć. Czekał w zachęcającym milczeniu na moje argumenty.

– Ty sam nie chodziłeś do szkoły, a jakoś sobie radzisz, więc i ja zostanę w domu. Możesz mnie uczyć, tak jak dziadziuś uczył ciebie i wujka Jacka.

– Nie, nie mogę – odparł Atticus. – Muszę zarabiać na życie. Poza tym, gdybym zatrzymał cię w domu, wsadziliby mnie do więzienia. Przed snem dostaniesz dawkę magnezji, a jutro pójdziesz do szkoły.

– Tak naprawdę to nieźle się czuję.

– Tak przypuszczałem. Zatem w czym problem?

Pomału nakreśliłam mu pejzaż nieszczęść tego dnia.

– ...i powiedziała, że źle mnie uczyłeś i że już nigdy nie możemy razem czytać. Ojcze, proszę cię, nie posyłaj mnie tam więcej.

Atticus wstał i poszedł na koniec ganku. Gdy już dokonał starannej inspekcji rosnących tam wisterii, wrócił do mnie.

– Przede wszystkim – zaczął – jeśli nauczysz się prostej sztuczki, Skaucie, będziesz się znacznie lepiej dogadywała z różnymi ludźmi. Nigdy do końca nie zrozumiesz drugiego człowieka, póki nie rozważysz spraw z jego punktu widzenia...

– Ojcze?

– ...dopóki nie wejdziesz w jego skórę i nie pożyjesz w niej trochę.

Atticus powiedział, że nauczyłam się tego dnia wielu rzeczy, a i panna Caroline przyswoiła sobie kilka prawd. Zrozumiała na przykład, że nie wolno niczego ofiarować Cunninghamom. Gdybyśmy jednak z Walterem chociaż na chwilę postawili się na jej miejscu, wiedzielibyśmy, że popełniła zwyczajną pomyłkę. Nie mogliśmy przecież oczekiwać, że nauczy się w jeden dzień wszystkich zasad obowiązujących w Maycomb; nie powinniśmy obciążać jej odpowiedzialnością za to, czego mogła nie wiedzieć.

– A niech mnie – wtrąciłam. – Nie wiedziałam, że nie powinnam jej czytać, no i masz, obciążyła mnie odpowiedzialnością! Ale posłuchaj, Atticusie, ja wcale nie muszę wracać do szkoły! – Nie mogłam usiedzieć, tak bardzo chciałam podzielić się z nim tą myślą. – Pamiętasz Burrisa Ewella? On przychodzi do szkoły tylko pierwszego dnia. Pani, która pilnuje wagarowiczów, uważa wtedy, że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami, bo przecież zapisała jego nazwisko...

– Tak nie wolno, Skaucie – rzekł Atticus. – Niekiedy, w szczególnych przypadkach, warto lekko nagiąć prawo, jednak w twoim musi ono być sztywne. I dlatego pójdziesz do szkoły.

– Nie rozumiem, dlaczego ja muszę, a on nie.

– To posłuchaj.

Atticus powiedział mi, że Ewellowie są hańbą Maycomb już od trzech pokoleń. Żaden z nich w swoim życiu nie przepracował uczciwie ani jednego dnia. Tata obiecał mi, że gdy kiedyś po świętach będzie wywoził choinkę, zabierze mnie ze sobą i pokaże, gdzie i jak mieszkają Ewellowie. Byli ludźmi, ale żyli jak zwierzęta.

– Mogą pójść do szkoły, kiedykolwiek zechcą, gdy tylko wykażą choćby cień pragnienia edukowania się – mówił Atticus. – Są sposoby na to, żeby zatrzymać ich w szkole siłą, ale głupotą jest zmuszanie ludzi takich jak Ewellowie do zmiany środowiska...

– Gdybym ja nie poszła jutro do szkoły, pewnie byś mnie zmusił.

– Dość tego przekomarzania – stwierdził oschle Atticus. – Ty, moja panno Skaucie Finch, należysz do zwykłych ludzi i musisz przestrzegać prawa.

Powiedział mi jeszcze, że Ewellowie są członkami wyjątkowego społeczeństwa Ewellów. W pewnych okolicznościach zwykli ludzie w świetle prawa pozwalają im korzystać z pewnych przywilejów, po prostu przymykając oczy na działania Ewellów. Na przykład nie musieli oni nigdy chodzić do szkoły. Pan Bob Ewell, ojciec Burrisa, może zastawiać sidła poza sezonem łowieckim.

– To źle, Atticusie – zauważyłam.

W hrabstwie Maycomb polowanie poza sezonem było wykroczeniem, ale w oczach społeczności – poważnym przestępstwem.

– Zgadza się, to wbrew prawu – przyznał mój ojciec – i na pewno jest to złe, ale kiedy człowiek wydaje pieniądze z opieki społecznej na marną whiskey, jego dzieci zwykle płaczą z głodu. Nie znam w okolicy żadnego właściciela gruntów, który żałowałby tym dzieciom wszelkiej zdobyczy, jaką zdoła upolować ich ojciec.

– Pan Ewell nie powinien tego robić...

– Pewnie, że nie powinien, ale on się nigdy nie zmieni. Czy w związku z tym przeniesiesz swoje niezadowolenie na jego dzieci?

– Nie, ojcze – mruknęłam, ale jeszcze nie skapitulowałam. – Jeśli będę dalej chodzić do szkoły, nie wolno nam będzie już nigdy czytać...

– To cię naprawdę martwi, co?

– Tak jest.

Atticus spojrzał na mnie tak, że wiedziałam, iż mogę czegoś oczekiwać.

– Wiesz, co to jest kompromis? – spytał.

– Naginanie prawa?

– Nie. To ugoda osiągnięta dzięki wzajemnym ustępstwom – wyjaśnił. – Działa to tak: jeśli uznasz konieczność chodzenia do szkoły, będziemy czytali co wieczór, tak jak zawsze to robiliśmy. Umowa stoi?

– Tak jest!

– Uznajmy ją za potwierdzoną bez zwyczajowych formalności – dodał szybko Atticus, widząc, że szykuję się, by napluć mu w dłoń.

Gdy otwierałam siateczkowe drzwi frontowe, odezwał się ponownie.

– A przy okazji, Skaucie... Lepiej będzie, jeśli w szkole nie będziesz wspominać o naszej umowie.

– Dlaczego nie?

– Obawiam się, że nasze praktyki wywołałyby dezaprobatę bardziej uczonych kręgów.

Przywykliśmy już z Jemem do wypowiedzi ojca, pełnych słów wziętych wprost z prawniczych dokumentów, i zawsze mieliśmy prawo przerwać Atticusowi, domagając się tłumaczenia spraw, które przekraczały nasze pojęcie.

– Hę, ojcze?

– Nigdy nie chodziłem do szkoły – rzekł – ale mam wrażenie, że jeśli powiesz pannie Caroline, że czytamy co wieczór, uweźmie się i na mnie, a tego bardzo bym nie chciał.

Tego wieczoru Atticus rozśmieszał nas do łez, czytając o człowieku, który bez konkretnego powodu siedział sobie na maszcie od flagi. Z tej to przyczyny Jem spędził całą następną sobotę wysoko w domku na drzewie. Wdrapał się tam zaraz po śniadaniu i siedział do zachodu słońca; spędziłby tam noc, gdyby nie to, że Atticus przerwał mu linię zaopatrzeniową. Przez większość dnia właziłam i złaziłam z drzewa, załatwiałam Jemowi różne sprawy, donosiłam lekturę, posiłki i wodę, a także koce na nocny chłód. Wreszcie Atticus poradził mi, żebym przestała zwracać na Jema uwagę, to sam zejdzie. Miał rację.

# Rozdział 4

Pozostałe dni w szkole nie były bardziej obiecujące niż pierwszy. Były w istocie nie kończącym się nigdy Projektem, który niespiesznie ewoluował w Blok, a wszystko to polegało na tym, że stan Alabama wydawał majątek na papier i kredki woskowe w pełnej dobrych intencji, ale daremnej próbie nauczenia mnie życia w grupie. To, co Jem nazywał Systemem Dziesiętnym Deweya, pod koniec pierwszego roku mojej edukacji przyjęło się już w całej szkole, tak więc nie miałam okazji porównać go z innymi technikami pedagogicznymi. Mogłam jedynie rozglądać się uważnie: Atticus i mój wuj, którzy mieli szkołę w domu, wiedzieli wszystko, a przynajmniej jeden wiedział to, czego nie wiedział drugi. Co więcej, nie mogło ujść mojej uwagi, że ojciec co roku był wybierany do stanowego ciała ustawodawczego, za każdym razem bez sprzeciwu, całkiem nieświadom praktyk, które moi nauczyciele uważali za niezbędny warunek kształtowania Dobrego Obywatelstwa. Wydawało się, że Jem, wychowany po trosze w systemie dziesiętnym, a po trosze w starym systemie oślej ławki, funkcjonuje poprawnie i w grupie, i jako jednostka, ale akurat on był doprawdy fatalnym przykładem, żaden bowiem stworzony ludzką ręką system edukacyjny nie mógłby go powstrzymać od buszowania w książkach. Jeśli zaś chodzi o mnie, to nie wiedziałam nic poza tym, co wyczytałam w czasopiśmie „Time” oraz wszelkich innych źródłach słowa pisanego, jakie tylko znalazłam w domu. Teraz jednak, gdy w okropnie leniwym tempie niosły mnie tryby systemu edukacyjnego hrabstwa Maycomb, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że czegoś się mnie podstępnie

pozbawia. Nie wiedziałam jeszcze czego, ale jakoś nie mogłam uwierzyć, że władze stanowe chciały mi zafundować dwanaście lat nieustannej nudy.

W pierwszym roku nauki kończyłam zajęcia trzydzieści minut wcześniej niż Jem, który zostawał w szkole do piętnastej. W drodze do domu przebiegałam obok posesji Radleyów jak najszybciej i zatrzymywałam się bezpiecznie dopiero przy naszym ganku. Pewnego popołudnia, gdy tak pędziłam, coś przykuło mój wzrok, i to na tyle skutecznie, że wzięłam głęboki wdech, rozejrzałam się uważnie i zawróciłam.

Na skraju podwórza Radleyów rosły dwa dęby; ich korzenie sięgały pod nawierzchnię wyboistej bocznej drogi. I właśnie pewien szczegół w jednym z drzew przykuł moją uwagę.

Z dziury po sęku, tuż nad poziomem moich oczu, wystawał kawałek sreberka i mrugał do mnie w popołudniowym słońcu. Stojąc na palcach, rozejrzałam się w pośpiechu raz jeszcze, sięgnęłam do dziury i wyjęłam dwa kawałki gumy do żucia bez opakowania.

W pierwszej chwili chciałam wziąć tę gumę do ust jak najszybciej, ale zaraz przypomniałam sobie, gdzie jestem. Pobiegłam do domu i na ganku dobrze się przyjrzałam mojemu łupowi. Guma wyglądała na świeżą. Pachniała i smakowała jak należy. Polizałam ją i poczekałam trochę. Nie umarłam, postanowiłam więc wpakować wszystko do ust. Podwójnie miętowa marki Wrigley’s.

Gdy Jem wrócił do domu, spytał, skąd mam taki kawał gumy. Odpowiedziałam, że znalazłam.

– Skaucie, nie wolno jeść znalezionych rzeczy.

– Nie leżała na ziemi, tylko w drzewie.

Jem warknął cicho.

– Naprawdę. O, w tamtym, przy drodze ze szkoły.

– Wypluj natychmiast!

Wyplułam. Smak i tak był już słaby.

– Żułam ją całe popołudnie i ani nie umarłam, ani nawet się nie rozchorowałam.

Jem tupnął nogą.

– Nie wiesz, że tych drzew nie wolno nawet dotykać? Zginiesz, jeśli to zrobisz!

– A ty raz dotknąłeś domu!

– To było coś innego! Idź i dokładnie wypłucz usta, i to już, słyszysz?

– Nie wypłuczę, bo mi smak ucieknie.

– Jak nie wypłuczesz, naskarżę Calpurnii!

Wolałam nie ryzykować zatargu z Calpurnią i zrobiłam, jak kazał. Mój pierwszy rok w szkole głęboko odmienił nasze stosunki. Tyrania Cal, jej niesprawiedliwość i wieczne wtrącanie się w moje sprawy – wszystko to minęło; zostały jedynie łagodne pomruki niesprecyzowanego niezadowolenia. Ja zaś zadawałam sobie czasem wiele trudu, żeby jej nie prowokować.

Zbliżało się lato, na które czekaliśmy niecierpliwie z Jemem. To najlepsza ze wszystkich pór: mogliśmy spać na osłoniętym moskitierą tylnym ganku, na składanych łóżkach; mogliśmy nawet spróbować spać w domku na drzewie. Latem mieliśmy wszystkie pyszności, tysiąc barw na łaciatym widnokręgu pól, a nade wszystko mieliśmy Dilla.

Ostatniego dnia dyrekcja wypuściła nas z zajęć wcześniej niż zwykle i wracaliśmy do domu razem.

– Zdaje się, że jutro przyjedzie stary Dill.

– Raczej pojutrze – odparł Jem. – W Missisipi kończą rok szkolny dzień później.

Gdy zbliżaliśmy się do dębów rosnących na posesji Radleyów, po raz setny uniosłam palec, by wskazać na dziurę po sęku, w której znalazłam gumę do żucia, i raz jeszcze spróbować przekonać Jema, że naprawdę tak było. Nagle zdałam sobie sprawę, że wskazuję na nowy kawałek sreberka.

– Widzę, Skaucie! Widzę...

Jem rozejrzał się, wyciągnął rękę i niepewnym ruchem wsunął do kieszeni lśniący pakuneczek. Pobiegliśmy do domu i dopiero na ganku przyjrzeliśmy się bliżej opakowaniu pokrytemu skrawkami sreberek od gum do żucia. Było to w istocie takie pudełko, w jakim zwykle kupuje się obrączki ślubne, aksamitne i purpurowe, z malutkim zapięciem, które Jem otworzył. W środku leżały jedna na drugiej dwie wypolerowane drobne monety. Jem przyjrzał im się z bliska.

– Indiańskie głowy – powiedział. – Tysiąc dziewięćset sześć. Skaut, ta druga jest z tysiąc dziewięćsetnego. Naprawdę stare.

– Z tysiąc dziewięćsetnego... – powtórzyłam. – Słuchaj...

– Bądź cicho przez chwilę, zastanawiam się.

– Jem, myślisz, że to czyjaś skrytka?

– Nie, tędy prawie nikt nie chodzi... no, chyba że to skrytka dorosłego.

– Dorośli nie mają skrytek. Myślisz, że powinniśmy zatrzymać te monety?

– Nie wiem, Skaucie. Ale komu mielibyśmy je zwrócić? W zasadzie to jestem pewny, że nikt tędy nie chodzi. Cecil woli iść do domu alejką i nadrabiać drogi przez miasto.

Cecil Jacobs, który mieszkał przy końcu naszej ulicy, tuż obok urzędu pocztowego, maszerował do szkoły dobre półtora kilometra każdego dnia, by ominąć z daleka posesję Radleyów oraz starą panią Henry Lafayette Dubose. Pani Dubose mieszkała dwa domy od nas; w sąsiedztwie panowała zgodna opinia, iż jest to najbardziej wredna kobieta, jaka kiedykolwiek żyła

na świecie. Jem nie odważył się przejść obok jej domu inaczej niż u boku Atticusa.

– Jak myślisz, Jem, co powinniśmy zrobić?

Wedle zasad, znalazca był właścicielem, jeśli nie udowodniono istnienia innego tytułu własności. Zerwanie czyjejś kamelii, łyk mleka prosto od krowy panny Maudie Atkinson w letni dzień, pożyczenie z czyjegoś krzewu kiści muszkatelu – to były sprawy normalne w naszej kulturze etnicznej, ale z pieniędzmi sprawa wyglądała zgoła inaczej.

– Powiem ci co – odparł Jem. – Zatrzymamy je do początku roku szkolnego, a wtedy popytamy dzieciaki, czy to ich własność. Może któregoś z tych autobusowych? Może tak się któryś spieszył w ostatnim dniu szkoły, że zapomniał? Czyjeś muszą być te monety, to pewne. Widzisz jakie zadbane? Ktoś je oszczędzał.

– Tak, ale po co chował w taki sposób gumę do żucia? Przecież guma długo nie poleży.

– Nie wiem, Skaucie. Ale te pieniądze są dla kogoś ważne...

– Jak to, Jem?

– Indiańskie głowy... Muszą pochodzić od Indian. Jest w nich naprawdę silna magia, mogą zapewnić człowiekowi szczęście. Nie smażonego kurczaka, gdy nie masz na niego ochoty, ale ważniejsze sprawy, jak długie życie, dobre zdrowie albo zdanie testów w szkole. Te monety są dla kogoś cenne. Przechowam je w mojej skrzyni.

Dwa dni później w blasku chwały zjawił się Dill; sam przejechał pociągiem z Meridian do Węzła Kolejowego Maycomb (była to nazwa grzecznościowa, stacja ta bowiem znajdowała się w hrabstwie Abbott), gdzie czekała nań panna Rachel. Przyjechali do miasta jedyną taksówką w Maycomb. Dill opowiadał nam, że jadł obiad w wagonie restauracyjnym i że w Bay St. Louis widział, jak z pociągu wysiadają zrośnięte ze sobą

bliźnięta; mimo gróźb upierał się, że to prawda. Nareszcie pozbył się okropnych niebieskich szortów przypiętych do koszuli i nosił prawdziwe krótkie spodenki z paskiem; przybrał nieco na wadze, ale nie urósł. Mówił, że widział się z ojcem, który był ponoć wyższy od naszego, nosił czarną bródkę (spiczastą) i był prezesem L & N Railroad.

– Przez jakiś czas pomagałem maszyniście – dodał Dill, ziewając.

– Prędzej mi kaktus wyrośnie. Cicho bądź już – prychnął Jem. – Kogo dziś zagramy?

– Toma, Sama i Dicka – odparł Dill. – Chodźmy przed dom.

Chciał grać sceny z *The Rover Boys*, bo pojawiały się w nich trzy porządne postacie; miał dość bycia aktorem charakterystycznym.

– Ja mam tego dość – oznajmiłam. Miałam dość grania Toma Rovera, który nagle traci pamięć w samym środku filmu i ponownie pojawia się w scenariuszu przy samym końcu, gdy zostaje znaleziony na Alasce. – Wymyśl coś nowego, Jem – zaproponowałam.

– Mam dość wymyślania.

Pierwszy dzień wolności i już mieliśmy wszystkiego dość. Zastanawiałam się, co nam przyniesie to lato.

Poszliśmy na podwórze przed domem. Dill przystanął zapatrzony w posępną fasadę domu Radleyów.

– Czuję... śmierć – powiedział. – Naprawdę czuję – dodał, gdy kazałam mu się zamknąć.

– Chcesz powiedzieć, że czuć jakiś zapach, kiedy człowiek umiera?

– Nie, to znaczy, że mogę kogoś powąchać i stwierdzić, czy ten ktoś umrze. Nauczyła mnie tego jedna starsza pani. – Dill pochylił się i powąchał mnie. – Jean Louise Finch, umrzesz za trzy dni.

– Dill, jeśli się nie przymkniesz, to tak cię trzasnę, że ci się kulasy wygną jak pałąki. Ja nie żartuję...

– Spokój! – warknął Jem. – Zachowujecie się, jakbyście wierzyli w Gorące Opary.

– A ty, jakbyś nie wierzył – odparowałam.

– A co to są Gorące Opary? – spytał Dill.

– Nie szedłeś nigdy nocą po pustej drodze i nie przechodziłeś obok gorącego miejsca? – odpowiedział mu pytaniem Jem. – Gorący Opar to ktoś, kto nie może się dostać do nieba, tylko włóczy się w pobliżu dróg gdzieś na odludziu. Jeśli przejdziesz przez takiego, sam umrzesz i będziesz się wałęsał nocami, wysysając ludziom oddech z płuc...

– Jak można się uchronić przed przejściem przez taki Opar?

– Nie można – odparł Jem. – Czasem rozciągają się na całą szerokość drogi. Ale jeśli już musisz przez taki przejść, mówisz: „Jasny aniele, z drogi zejdź, zostaw oddech w piersi mej”. Wtedy cię nie otoczy.

– Nie wierz w ani jedno jego słowo, Dill – wtrąciłam. – Calpurnia mówi, że to tylko murzyńskie gadki.

Jem spojrzał na mnie spode łba, ale rzekł:

– To co, gramy coś czy nie?

– Może pokulamy się w oponie? – zaproponowałam.

Jem westchnął.

– Wiesz przecież, że jestem za duży.

– Ale możesz pchać.

Pobiegłam za dom i wyciągnęłam spod ganku starą oponę samochodową. Potoczyłam ją na podwórko.

– Ja pierwsza – zastrzegłam.

Dill powiedział, że to on powinien być pierwszy, bo dopiero przyjechał.

Jem nas rozsądził: dostała mi się pierwsza jazda, Dill miał za to jechać potem nieco dłużej. Wcisnęłam się do wnętrza opony.

Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że Jem się obraził, kiedy wyśmiałam jego teorie na temat Gorących Oparów, i że cierpliwie czekał na sposobność rewanżu. Odpłacił mi się, pchając oponę po chodniku ze wszystkich sił. Ziemia, niebo i domy zlały się przed moimi oczami w szaloną paletę barw; dusiłam się i czułam pulsowanie w uszach. Nie mogłam wystawić rąk, by zahamować, bo upchnęłam je ciasno między kolanami a klatką piersiową. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że Jem dogoni oponę, w której tkwiłam, albo że opona zatrzyma się na jakiejś nierówności chodnika. Słyszałam jego głos; gonił mnie z krzykiem.

Opona podskoczyła na żwirze i przetoczyła się na drugą stronę ulicy, a zderzenie z jakąś przeszkodą sprawiło, że wystrzeliłam jak korek i wylądowałam na alejce. Kręciło mi się w głowie i miałam mdłości; leżałam na betonie, potrząsając głową, by uciszyć wreszcie pulsowanie w uszach. Usłyszałam głos Jema:

– Skaut, zabieraj się stamtąd, jazda!

Uniosłam głowę i zobaczyłam przed sobą schody do domu Radleyów.

– Dalej, Skaut, nie leż tak! – darł się Jem. – Nie możesz wstać?

Stanęłam na drżących nogach.

– Bierz oponę! – pieklił się Jem. – Nie zostawiaj jej tam! Czyś ty zwariowała?

Gdy odzyskałam orientację w terenie, pobiegłam w stronę chłopaków tak szybko, jak pozwalały na to moje roztrzęsione kolana.

– Dlaczego jej nie wzięłaś? – krzyknął Jem.

– A dlaczego sam jej nie weźmiesz? – odkrzyknęłam.

Umilkł.

– No, idź po nią, to przecież niedaleko, za furtką. O co chodzi, przecież ty nawet dotykałeś tego domu, nie pamiętasz?

Jem spojrzał na mnie z furią, ale nie mógł mi odmówić racji. Pobiegł chodnikiem, przebrnął przez wodę przy furtce, wpadł na podwórze i zabrał oponę.

– A widzisz? – dogadywał mi triumfująco. – Nic wielkiego. Przysięgam, Skaut, czasem mnie przeraża to, jak bardzo przypominasz zachowaniem dziewczynę.

Było w tym więcej sensu, niż mu się wydawało, ale postanowiłam, że mu o tym nie powiem.

W drzwiach frontowych naszego domu pojawiła się Calpurnia.

– Czas na lemoniadę! – zawołała. – Nie siedźcie już na tym słońcu, bo się żywcem usmażycie!

Picie lemoniady w samym środku poranka było naszym letnim rytuałem. Calpurnia postawiła na ganku dzbanek i trzy szklanki, po czym oddaliła się, zajęta swoimi sprawami. Nie martwiło mnie zbytnio, że popadłam w niełaskę u Jema. Lemoniada zawsze poprawiała mu humor.

Jem wychylił dwie szklanki i poklepał się po piersi.

– Wiem, co zagramy – oznajmił. – Coś nowego, zupełnie innego.

– Co? – spytał Dill.

– Boo Radleya.

Czasem miałam wrażenie, że głowa Jema jest całkowicie przejrzysta: oczywiście wymyślił tę zabawę tylko po to, żeby mi uświadomić, że nie boi się Radleyów w żadnej postaci; żeby przeciwstawić swój bezprzykładny heroizm mojemu tchórzostwu.

– Boo Radleya? Niby jak? – zainteresował się Dill.

– Skaut – odparł Jem – ty możesz być panią Radley.

– Sama o tym zadecyduję. Nie wydaje mi się...

– O co chodzi? – przerwał mi Dill. – Jeszcze masz stracha?

– On może wyjść z domu, kiedy wszyscy będziemy spali... – odrzekłam.

Jem syknął z cicha.

– Ale skąd ma wiedzieć, w co się bawimy? Poza tym wątpię, żeby on tam jeszcze był. Pewnie umarł dawno temu i wepchnęli go do komina.

– Jem – odezwał się Dill – ja i ty możemy grać, a Skaut niech popatrzy, skoro się boi.

Byłam prawie pewna, że Boo Radley jest w domu, ale nie umiałam tego udowodnić i dlatego czułam, że najlepiej będzie trzymać buzię na kłódkę, żeby nie oskarżyli mnie o wiarę w Gorące Opary, na które to zjawiska byłam przecież za dnia całkowicie odporna.

Jem przydzielił nam role: ja zostałam panią Radley i miałam jedynie wyjść i zamieść ganek. Dill był starym panem Radleyem: spacerował po chodniku i kaszlał, gdy Jem się do niego odzywał. Jem, rzecz jasna, grał rolę Boo: chował się pod schodkami, by od czasu do czasu kwiczeć i wyć.

Mijały letnie dni i nasza zabawa nabierała rozmachu. Dopracowywaliśmy ją, dodawaliśmy dialogi i akcję, aż wreszcie stworzyliśmy mały spektakl, do którego każdego dnia wprowadzaliśmy poprawki.

Dill był urodzonym łajdakiem: potrafił odtworzyć każdą rolę charakterystyczną, jaką mu powierzyliśmy; umiał nawet wydawać się wysoki, jeśli wymagała tego diabelskość granej postaci. Dolną granicę jego możliwości wyznaczała najsłabsza rola, a była nią rola Gota. Dość niechętnie grywałam wówczas rozmaite towarzyszące wojownikowi panie, które pojawiały się w scenariuszu. Nie była to zabawa nawet w przybliżeniu tak świetna jak odtwarzanie Tarzana. Poza tym tego lata podczas grania nie odstępował mnie nieokreślony niepokój. Nie mijał,

mimo zapewnień Jema, że Boo Radley już dawno nie żyje i nic mnie nie dopadnie, bo on i Calpurnia są przy mnie za dnia, a Atticus nocą.

Jem był z kolei urodzonym bohaterem.

Graliśmy cichy, melancholijny dramacik utkany ze strzępów plotek i sąsiedzkich legend: pani Radley była piękna, póki nie poślubiła pana Radleya i nie straciła całego majątku. Straciła też większość zębów, włosy oraz prawy palec wskazujący (pomysł Dilla – Boo odgryzł jej palec pewnej nocy, gdy nie mógł nałapać sobie kotów i wiewiórek do zjedzenia). Siedziała w salonie i głównie płakała, podczas gdy Boo pomalutku demolował meble w całym domu.

Razem graliśmy chłopców, którzy popadli w konflikt z prawem; zaraz potem wcielałam się w postać sędziego sądu opiekuńczego. Dill prowadził Jema do ciemnicy, czyli pod schody, popychając go miotłą. Jem pojawiał się zaraz jako szeryf, przypadkowy przechodzień albo panna Stephanie Crawford, która miała więcej do powiedzenia o Radleyach niż ktokolwiek inny w Maycomb.

Gdy nadchodził czas odegrania wielkiej sceny Boo, Jem wchodził po kryjomu do domu, wykradał nożyczki z szuflady pod maszyną do szycia, gdy Calpurnia patrzyła w inną stronę, a potem siadał na huśtawce i wycinał coś z gazet. Dill przechodził opodal, kaszlał w stronę Jema, a Jem udawał, że zadaje mu cios nożyczkami w udo. Z mojego punktu obserwacyjnego wyglądało to bardzo realistycznie.

Gdy pan Nathan Radley mijał nas jak co dnia w drodze do miasta, stawaliśmy nieruchomo, w milczeniu czekając, aż zniknie nam z oczu, a potem zastanawialiśmy się, co by nam zrobił, gdyby się domyślił. Zaprzestawaliśmy zabawy i wtedy, gdy pojawiał się w pobliżu ktokolwiek z sąsiadów. Widziałam raz, jak naszej działalności przyglądała się z drugiej

strony ulicy panna Maudie Atkinson; znieruchomiała, a jej sekator do żywopłotu zawisł w powietrzu.

Pewnego dnia tak bardzo byliśmy zaaferowani graniem rozdziału XXV z Księgi II *Rodziny pewnego człowieka*, że nie zauważyliśmy Atticusa, który stanął na chodniku i przyglądał się nam, uderzając zwiniętym czasopismem o kolano. Wedle położenia słońca, była dwunasta.

– Co tam odgrywacie? – spytał.

– Nic – odparł Jem.

Unik Jema przekonał mnie, że nasza zabawa jest tajemnicą, siedziałam więc cicho.

– W takim razie co robisz z tymi nożyczkami? Dlaczego niszczysz gazetę? Jeśli to dzisiejsza, dostaniesz lanie.

– Nic.

– Co „nic”? – nie poddawał się Atticus.

– Nic, ojcze.

– Daj mi te nożyczki – zadecydował Atticus. – Nie służą do zabawy. A czy ona ma może coś wspólnego z Radleyami?

– Nie, ojcze – odparł Jem, czerwieniąc się.

– Mam nadzieję – zakończył krótko Atticus i wszedł do domu.

– Jem...

– Cicho! Poszedł do salonu, może nas usłyszeć.

Gdy byliśmy bezpieczni, na podwórzu, Dill spytał Jema, czy możemy dalej grać.

– Nie wiem. Atticus nie mówił, że nie możemy.

– Jem – odezwałam się – coś mi się zdaje, że on i tak wie.

– Nie wie. Gdyby wiedział, toby nam powiedział.

Ja nie byłam taka pewna, ale Jem odparł, że zachowuję się jak dziewczyna, bo to dziewczyny zawsze coś sobie wyobrażają i dlatego inni ludzie tak bardzo ich nienawidzą. I że jeśli i ja zacznę się tak zachowywać, to on po prostu sobie pójdzie i znajdzie kogoś innego do zabawy.

– W porządku, kontynuujemy – powiedział. – Przekonacie się, że mam rację.

Przybycie Atticusa było drugim powodem, dla którego nie chciałam się już bawić w ten sposób. Pierwszy powód pojawił się owego dnia, kiedy wtoczyłam się na podwórko Radleyów. Przez całe to trzęsienie głową, napady nudności i wrzaski Jema przebił się pewien dźwięk, tak cichy, że ledwie go posłyszałam. Ktoś w domu się śmiał.

# Rozdział 5

Moje marudzenie wreszcie pokonało Jema – wiedziałam, że tak będzie – i ku mojej uldze na jakiś czas zwolniliśmy tempo naszej zabawy. Jem wciąż jednak utrzymywał, że Atticus nie zabronił nam jej kontynuować, a to oznaczało, że możemy. Na wypadek, gdyby Atticus kiedyś jednak zabronił, Jem miał plan ratunkowy: zmienilibyśmy imiona postaci i już nikt nie mógłby nam zarzucić, że powtarzamy rzeczywiste sytuacje.

Dill z całego serca popierał ten plan działania. Coraz bliższy Jemowi, dla mnie pomału stawał się utrapieniem. Poprosił mnie na początku lata, żebym za niego wyszła, i zaraz o tym zapomniał. Wyróżnił mnie, oznaczył jako swoją własność, powiedział, że jestem jedyną dziewczyną, jaką kiedykolwiek pokocha, a potem mnie zaniedbał. Zbiłam go za to dwa razy, ale nie pomogło – jeszcze bardziej zbliżył się do Jema. Spędzali razem całe dnie, siedząc w domku na drzewie, knując i kombinując. Wołali mnie tylko wtedy, gdy potrzebowali dodatkowej pary rąk. Ja jednak na jakiś czas oderwałam się od ich coraz śmielszych planów i ryzykując, że będę nazywana dziewczyyyną, spędzałam większość ostatnich wieczorów tego lata z panną Maudie Atkinson, na werandzie jej domu.

Zawsze wolno nam było hasać po jej ogrodzie, jeśli tylko trzymaliśmy się z dala od azalii, lecz tak naprawdę nasze stosunki z nią nie były jasno określone. Zanim Jem i Dill całkiem wykluczyli mnie ze swoich planów, była tylko jedną z pań sąsiadek, choć trzeba powiedzieć, że przyjaźnie nastawioną.

Cichy układ z panną Maudie pozwalał nam bawić się na jej trawniku, częstować się muszkatelami, ale bez wskakiwania na altanę, oraz buszować

po podwórzu na tyłach domu. Była to umowa tak dobra, że rzadko rozmawialiśmy z naszą sąsiadką, chcąc zachować delikatną równowagę tej koegzystencji; teraz jednak zachowanie Jema i Dilla kazało mi zbliżyć się do panny Maudie.

Nienawidziła swojego domu: czas spędzony we wnętrzu był czasem straconym. Była wdową, kobietą kameleonem, uwijającą się między grządkami w starym słomkowym kapeluszu i męskim drelichu; po kąpieli o siedemnastej, gdy pojawiała się na werandzie, obejmowała łaskawe panowanie nad całą ulicą.

Uwielbiała wszystko, co wyrastało z ziemi naszego Pana, nawet chwasty. Z jednym wyjątkiem: gdy zobaczyła w ogrodzie choćby źdźbło cibory, urządzała zaraz drugą bitwę nad Marną. Pędziła z cynowym wiaderkiem i pryskała od dołu substancją tak trującą, że wedle jej słów mogłaby ona zabić nas wszystkich bez trudu, gdybyśmy tylko znaleźli się w polu rażenia.

– Dlaczego po prostu nie spróbuje pani tego wyrwać? – spytałam pewnego razu, gdy na moich oczach rozegrała się kampania przeciwko listkowi nie mierzącemu więcej niż osiem centymetrów.

– Wyrwać? Wyrwać, moje dziecko? – Podniosła zwiędły pęd i kciukiem przeciągnęła wzdłuż wątłej łodyżki, wyciskając drobniutkie ziarenka. – Wystarczy jedno takie, żeby cibora zrujnowała cały ogród. Spójrz tutaj. Jesienią te drobiny wysychają i wiatr rozdmuchuje je na całe hrabstwo Maycomb! – W ustach panny Maudie brzmiało to jak opis biblijnej plagi.

Mówiła szorstko, jak na mieszkankę hrabstwa Maycomb. Wołała na nas po imieniu i nazwisku, a gdy się uśmiechała, odsłaniała dwa złote czubeczki nasadzone na kły. Gdy w podziwie wyraziłam raz nadzieję, że kiedyś też będę takie miała, odrzekła:

– No to patrz.

Jednym ruchem języka wypchnęła mostek, a ów gest zaufania tylko scementował naszą przyjaźń.

Łaskawość panny Maudie rozciągała się też na Jema i Dilla, kiedy już zdarzyło im się przerwać na chwilę dzikie gonitwy; konsumowaliśmy wtedy owoce dotąd ukrytego talentu panny Maudie. Piekła najlepsze ciasta w całej okolicy. Gdy już pozyskała nasze zaufanie, za każdym razem gdy upiekła jedno duże i trzy małe ciasta, wołała ku przeciwległej stronie ulicy:

– Jemie Finchu, Skaucie Finchu, Charlesie Bakerze Harrisie, przybywajcie!

Zawsze nagradzała szybkość, z jaką zjawialiśmy się w jej domu.

Latem wieczory są długie i spokojne. Najczęściej siadałyśmy z panną Maudie w milczeniu na jej werandzie, patrząc, jak w miarę opadania słonecznej tarczy niebo z żółtego staje się różowe i jak jaskółki krążą coraz niżej nad domami, po czym wreszcie znikają za dachami szkoły.

– Panno Maudie – spytałam pewnego wieczoru – czy sądzi pani, że Boo Radley jeszcze żyje?

– Na imię mu Arthur i żyje – odrzekła. Bujała się niespiesznie w wielkim dębowym fotelu na biegunach. – Czujesz, jak pachną moje mimozy? W taki wieczór to jak anielski oddech.

– Tak, psze pani. A skąd pani wie?

– Co takiego, moje dziecko?

– Że B... pan Arthur jeszcze żyje.

– Cóż za makabryczne pytanie. No, ale i temat cokolwiek makabryczny. Wiem, że on żyje, Jean Louise, ponieważ jeszcze nie widziałam, żeby go wynosili.

– Może umarł i wepchnęli go do komina?

– A skąd ci to przyszło do głowy?

– Jem uważa, że tak zrobili.

– S-ss-ss. Z każdym dniem coraz bardziej przypomina mi Jacka Fincha.

Panna Maudie od dzieciństwa znała się z wujkiem Jackiem Finchem, bratem Atticusa. Niemal rówieśnicy, dorastali razem w Finch’s Landing. Panna Maudie była córką gospodarza z sąsiedztwa, doktora Franka Buforda. Jego profesją była medycyna, a obsesją wszystko, co rosło w ziemi, pozostał więc biedny. Wujek Jack Finch ograniczył swą pasję grzebania w glebie do skrzynek za oknem domu w Nashville i pozostał bogaty. Widywaliśmy go co roku na święta Bożego Narodzenia i wtedy wołał na drugą stronę ulicy, do panny Maudie, żeby za niego wyszła. Ona zaś odkrzykiwała mu:

– Głośniej, Jacku Finchu, to usłyszą cię i na poczcie, ale ja jakoś jeszcze nie dosłyszałam!

Uważaliśmy z Jemem, że to dość oryginalny sposób proponowania damie małżeństwa, ale w końcu sam wujek Jack był dziwny. Twierdził, że od czterdziestu lat bezskutecznie usiłuje wkurzyć pannę Maudie, że jest bez wątpienia ostatnią osobą na świecie, którą ona chciałaby poślubić, za to na pewno pierwszą, z którą chciałaby się drażnić, i że najlepszą obroną przed nią jest zaciekły atak, co oczywiście doskonale rozumieliśmy.

– Arthur Radley po prostu siedzi w domu – powiedziała panna Maudie. – Nie siedziałabyś w domu, gdybyś nie chciała wychodzić?

– Tak, proszę pani, ale ja chciałabym wychodzić. Dlaczego on nie chce?

Panna Maudie zmrużyła oczy.

– Znasz tę historię równie dobrze jak ja.

– Ale nigdy nie słyszałam dlaczego. Nikt mi nigdy nie powiedział.

Panna Maudie poprawiła mostek w ustach.

– Jak wiesz, stary pan Radley był baptystą obmywającym stopy...

– Pani też jest, prawda?

– Nie jestem aż tak surowych obyczajów, moje dziecko. Jestem zwykłą baptystką.

– To wy nie wszyscy wierzycie w to obmywanie stóp?

– Wierzymy. W domowym zaciszu, w wannie.

– Ale my nie możemy się z wami łączyć w wierze i w ogóle...

Uznawszy widać, że łatwiej będzie zdefiniować prymitywną postać wiary baptystów niż brak wspólnoty duchowej wyznań, panna Maudie odpowiedziała:

– Obmywający stopy wierzą, że wszystko, co jest przyjemnością, jest też grzechem. Wiesz, że niektórzy z nich pewnej soboty wyleźli z lasu i przechodząc obok mojego domu powiedzieli, że pójdę do piekła razem z moimi kwiatkami?

– Z kwiatkami?

– Tak jest, panienko. Że będą się smażyć razem ze mną. Uznali, że spędzam za wiele czasu na bożym świecie, a za mało w domu, nad Biblią.

Moja ufność w ewangelię skarlała cokolwiek na myśl o pannie Maudie gotującej się na żywym ogniu w rozmaitych protestanckich piekłach. To prawda, że miała cięty język i że nie pielgrzymowała po okolicy, czyniąc dobro, jak czyniła to panna Stephanie Crawford. Lecz gdy nikt, kto miał choć odrobinę rozsądku, nie ufał pannie Stephanie, Jem i ja pokładaliśmy niemało wiary w pannie Maudie. Nigdy na nas nie naskarżyła, nigdy nie bawiła się z nami w kotka i myszkę, ani trochę nie interesowało jej nasze prywatne życie. Była naszą przyjaciółką. Trudno było mi pojąć, jakim cudem tak rozsądna osoba mogła żyć spokojnie w obliczu zagrożenia wieczystymi mękami.

– To niesprawiedliwe, panno Maudie. Jest pani najlepszą damą, jaką znam.

Panna Maudie uśmiechnęła się szeroko.

– Dziękuję panience. Rzecz w tym, że zdaniem obmywaczy stóp kobieta z definicji równa się grzechowi. Bo widzisz, oni rozumieją Biblię bardzo dosłownie.

– I dlatego pan Arthur wciąż siedzi w domu? Żeby trzymać się z dala od kobiet?

– Nie mam pojęcia.

– Według mnie to bez sensu. Gdyby pan Arthur chciał trafić do nieba, w końcu wyszedłby chociaż na ganek. Atticus mówi, że ludzie, co kochają Boga jak siebie...

Panna Maudie przestała się kołysać, a jej głos był twardszy, gdy mówiła:

– Za młoda jesteś, żeby to zrozumieć. Czasem Biblia w ręku człowieka jest bardziej niebezpieczna niż butelka whiskey w ręku... w ręku twojego ojca.

Byłam wstrząśnięta.

– Atticus nie pije whiskey – powiedziałam. – Nigdy w życiu nie wypił ani kropli... No nie, raz wypił. Mówił mi, że spróbował i mu nie smakowała.

Panna Maudie roześmiała się.

– Nie mówiłam o twoim ojcu – odezwała się po chwili. – Chodziło mi o to, że choćby Atticus Finch się upił, nie byłby tak groźnym mężczyzną jak niektórzy w najlepszych chwilach swego życia. Po prostu niektórzy już tacy są... tak bardzo martwią się tym, co ich czeka w zaświatach, że nie mają czasu nauczyć się żyć na tym świecie. Wystarczy spojrzeć na ulicę, żeby zobaczyć skutki.

– A myśli pani, że to wszystko prawda, co mówią o B... o Arthurze?

– Co takiego?

Opowiedziałam.

– Trzy czwarte gadaniny kolorowych i jedna czwarta plotek Stephanie Crawford – orzekła ponuro panna Maudie. –Stephanie Crawford powiedziała mi kiedyś, że obudziła się w środku nocy i zobaczyła, że on patrzy na nią zza okna. Spytałam: i co zrobiłaś, Stephanie, posunęłaś się w łóżku, żeby zrobić mu miejsce? Wtedy przymknęła się na jakiś czas.

W to nie wątpiłam. Sam głos panny Maudie wystarczał, żeby każdy się przymknął.

– Nie, moja mała – kontynuowała. – To tylko smutny dom. Pamiętam Arthura Radleya jako dziecko. Zawsze był dla mnie miłym chłopcem, cokolwiek mówili o nim ludzie. Moim zdaniem, był dobrze wychowany.

– Myśli pani, że jest szalony?

Panna Maudie pokręciła głową.

– Jeśli wtedy nie był, to teraz powinien. Nigdy nie wiadomo, co się ludziom przytrafia... Co się dzieje w domach za zamkniętymi drzwiami, jakie sekrety...

– Atticus nigdy nie robi Jemowi i mnie w domu niczego takiego, czego nie zrobiłby na podwórku – wtrąciłam, czując się w obowiązku bronić rodzica.

– Drogie dziecko, ja tylko rozwijałam opowieść, wcale nie mówiąc o waszym ojcu, ale skoro już mam to zrobić, powiem tak: Atticus Finch jest taki sam w domu i na ulicy. Chciałabyś zabrać do domu trochę świeżego ciasta biszkoptowego?

Bardzo chciałam.

Następnego ranka, gdy się obudziłam, wyszłam na podwórko i zastałam tam Jema i Dilla pogrążonych w rozmowie. Kiedy się przysiadłam, jak zwykle kazali mi odejść.

– Nie odejdę. To tak samo moje podwórko, jak i twoje, Jemie Finchu. I mam takie samo prawo się tu bawić jak ty.

Dill i Jem naradzali się przez chwilę.

– Jeśli tu zostaniesz, będziesz musiała zrobić, co ci każemy – ostrzegł Dill.

– No proszę – odrzekłam. – Patrzcie tylko, kto się nagle zrobił taki ważny.

– Jeśli nie dasz słowa, że zrobisz to, co ci każemy, niczego się nie dowiesz – ciągnął Dill.

– Zachowujesz się tak, jakbyś przez noc urósł dwadzieścia centymetrów! Dobra, o co chodzi?

– Zamierzamy przekazać wiadomość Boo Radleyowi – odparł spokojnie Jem.

– Niby jak? – Bardzo się starałam zapanować nad przerażeniem, które narastało we mnie automatycznie. Starej pannie Maudie łatwo było mądrzyć się na ganku. Dla nas sprawa wyglądała zgoła inaczej.

Jem zamierzał umieścić liścik na końcu wędki i wepchnąć między okiennice. Gdyby ktoś się zbliżał, Dill miał użyć dzwonka.

Dill uniósł prawą rękę. Trzymał w niej srebrny dzwonek obiadowy mojej matki.

– Pójdę do bocznej ściany – kontynuował Jem. – Patrzyliśmy wczoraj z drugiej strony ulicy; jest tam obluzowana okiennica. Myślę, że uda się przynajmniej położyć wiadomość na podokienniku.

– Jem...

– Teraz jesteś już z nami i nie możesz się wycofać. Zostajesz, panno Dokuczalska!

– Dobrze już, dobrze, ale nie chcę stać na warcie. Jem, ktoś...

– A właśnie, że będziesz stać. Za domem. Dill zostanie od frontu i jeśli kogoś zobaczy, zadzwoni. Jasne?

– Zgoda. Co mu napiszecie?

– Prosimy go bardzo grzecznie, żeby od czasu do czasu wyszedł i opowiedział nam, co tam porabia – wyjaśnił Dill. – Obiecujemy, że go nie skrzywdzimy i że kupimy mu lody.

– Zwariowaliście; on nas pozabija!

– To mój pomysł – odparł Dill. – Przypuszczam, że jeśli wyjdzie z domu i trochę z nami zostanie, dobrze mu to zrobi.

– Skąd wiesz, że i tak nie jest mu dobrze?

– A jak ty byś się czuła, gdybyś siedziała w zamknięciu sto lat, jadając wyłącznie koty? Założę się, że brodę ma aż dotąd...

– Jak twój tata?

– Mój tata nie ma brody, tylko... – Dill urwał, jakby próbował sobie przypomnieć.

– Ha, przyłapałam cię – stwierdziłam. – Jeszcze dobrze z pociągu nie wysiadłeś, a już nam opowiadałeś, że nosi czarną brodę...

– Jeśli ci nie wszystko jedno... zgolił ją zeszłego lata! A na dowód mam jeszcze list od niego. I przysłał mi dwa dolary!

– Gadaj zdrów. Zdaje mi się, że dostałeś też mundur konnego policjanta? Jakoś nigdy go nie zobaczyliśmy. Więc gadaj ile wlezie, synku...

Dill Harris umiał wciskać najdorodniejsze kity, jakie kiedykolwiek słyszałam. Leciał między innymi siedemnaście razy samolotem pocztowym, był w Nowej Szkocji, widział słonia, a od dziadka – generała brygady Joe Wheelera – dostał w spadku szablę.

– Zamilczcie wreszcie – odezwał się Jem. Wcisnął się pod dom i wrócił zaraz z żółtą, bambusową wędką. – Sądzisz, że jest dość długa, żeby

sięgnąć z chodnika?

– Ten, kto miał odwagę podejść i dotknąć domu, w ogóle nie powinien używać wędki – oznajmiłam. – Może po prostu zapukasz do drzwi frontowych?

– To... to inna sprawa – odparł Jem. – Ile razy mam ci to powtarzać?

Dill wyjął z kieszeni skrawek papieru i podał Jemowi. Ostrożnie ruszyliśmy w stronę starego domu. Dill zatrzymał się przy latarni przed posesją Radleyów, a Jem i ja poszliśmy dalej, chodnikiem równoległym do bocznej ściany budynku. Szłam krok za Jemem, aż znalazłam miejsce, z którego miałam widok na to, co się dzieje za zakrętem alejki.

– Droga wolna – powiedziałam. – Żywego ducha.

Jem spojrzał przez ramię na Dilla, który skinął głową.

Umocowawszy kartkę do czubka wędki, Jem skierował ją nad podwórko Radleyów, w stronę wybranego okna. Brakowało jeszcze kilku centymetrów, by sięgnęła do celu. Jem wychylił się najdalej, jak mógł. Długo obserwowałam, jak wykonuje mocne pchnięcia wędką, aż wreszcie opuściłam posterunek i podeszłam do niego.

– Nie mogę zrzucić kartki – mruknął. – A jeśli już zrzucam, to nie chce zostać tam, gdzie powinna. Wracaj na ulicę, Skaucie.

Wróciłam i znowu wbiłam wzrok w przestrzeń za zakrętem alejki. Od czasu do czasu spoglądałam też na Jema, który cierpliwie starał się umieścić wiadomość na podokienniku. Kartka spadała wciąż na ziemię, a Jem dźgał ją wędką już tyle razy, że w mojej wyobraźni Boo Radley – gdyby tylko dostał ją w swoje ręce – miałby poważne kłopoty z odczytaniem tekstu. Wpatrywałam się w ulicę, gdy rozległ się dźwięk dzwonka.

Uniosłam ramię i obróciłam się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z Boo Radleyem i jego zakrwawionymi kłami, ale zobaczyłam tylko Dilla

dzwoniącego ile sił, tuż pod nosem Atticusa.

Jem wyglądał tak fatalnie, że nie miałam serca powiedzieć mu: „A nie mówiłam?” Wlókł się noga za nogą, ciągnąc za sobą wędkę.

– Przestań już dzwonić – polecił Atticus.

Dill zamknął dzwonek w dłoni i zapadła taka cisza, że zaraz zamarzyło mi się, żeby znowu zaczął dzwonić. Atticus odsunął kapelusz na tył głowy i wsparł dłonie na biodrach.

– Jem – odezwał się – co ty tam robiłeś?

– Nic, ojcze.

– Nie wmawiaj mi takich rzeczy. Odpowiedz.

– Ja... Ja tylko próbowałem dać coś panu Radleyowi.

– Co takiego chciałeś mu dać?

– Tylko list.

– Pokaż.

Jem podał mu usmarowany kawałek papieru. Atticus spojrzał i spróbował odczytać słowa.

– Dlaczego chcecie, żeby pan Radley wyszedł?

– Pomyśleliśmy, że może by nas polubił... – zaczął Dill, ale umilkł zaraz, napotkawszy spojrzenie Atticusa.

– Synu – rzekł nasz ojciec. – Powiem ci coś, a powiem to tylko raz: przestańcie dręczyć tego człowieka. Do was też się to odnosi.

To, co robił pan Radley, było jego własną sprawą. Gdyby chciał wyjść, uczyniłby to. Jeżeli miał ochotę zostać w domu, miał do tego pełne prawo i nie musiał znosić podchodów wścibskich dzieci – a trzeba powiedzieć, że było to dość łagodne określenie na nas. Czy chcielibyśmy, żeby on, Atticus, wpadał nocą bez pukania do naszych pokojów? A przecież właśnie to robiliśmy panu Radleyowi. Może i jego postępowanie wydawało nam się

dziwaczne, ale z pewnością nie było takie dla niego. Poza tym, czy nawet nie przyszło nam do głowy, że cywilizowana komunikacja międzyludzka odbywa się raczej przy użyciu drzwi frontowych, a nie bocznego okna? I wreszcie, mieliśmy trzymać się z dala od tego domu, dopóki nie zostaniemy do niego zaproszeni; mieliśmy porzucić tę głupią zabawę, na której nakrył nas Atticus, i przestać się naigrawać z jakiegokolwiek mieszkańca tej ulicy czy tego miasta...

– Nie naigrawaliśmy się, nie śmialiśmy się z niego – zaoponował Jem. – My tylko...

– Ach, więc właśnie to robiliście?

– Naigrawaliśmy się?

– Nie – odparł Atticus. – Odgrywaliście historię jego życia, ku pokrzepieniu serc sąsiadów.

Jem jakby się odrobinę nadął.

– Nie mówię, że tego nie robiliśmy, wcale tego nie mówię!

Atticus uśmiechnął się cierpko.

– Właśnie się wygadałeś – powiedział. – A teraz przestańcie wszyscy zajmować się tymi bzdurami.

Jem patrzył na niego z otwartymi ustami.

– Chcesz być prawnikiem, prawda?

Usta naszego ojca były podejrzanie ściśnięte, jakby z trudem powstrzymywał uśmiech.

Jem uznał, że dyskusja nie ma sensu. Milczał.

Gdy Atticus wszedł do domu po teczkę, której zapomniał, gdy spieszył się rano do pracy, Jem wreszcie pojął, że dał się nabrać na bodaj najstarszą prawniczą sztuczkę. Z respektem zachował dystans od schodków, gdy

ojciec wychodził z domu. Lecz kiedy Atticus znalazł się poza zasięgiem głosu, Jem wrzasnął za nim:

– Zdawało mi się, że chcę być prawnikiem, ale już nie jestem taki pewny!

# Rozdział 6

Tak – odrzekł nasz ojciec, gdy Jem spytał go, czy możemy posiedzieć nad oczkiem wodnym w ogrodzie panny Rachel z Dillem, dla którego była to ostatnia noc w Maycomb. – Pożegnajcie go ode mnie i powiedzcie, że zobaczymy się następnego lata.

Przeskoczyliśmy nad niskim murkiem, który oddzielał ogród panny Rachel od naszego podjazdu. Jem zaświstał jak przepiór, a Dill odpowiedział mu zaraz z ciemności.

– Powietrze stoi – powiedział Jem. – Spójrzcie tam.

Wskazał na wschód, gdzie ponad wierzchołkami hikor rosnących w ogrodzie panny Maudie wisiał olbrzymi księżyc.

– To przez niego wydaje się jeszcze goręcej – wyjaśnił.

– Widać na nim krzyż? – spytał Dill, nie podnosząc głowy, zajęty szykowaniem papierosa z kawałka sznurka i bibuły.

– Nie, dziś tylko panią. Nie pal tego, Dill, bo zasmrodzisz całą okolicę.

Na księżycu nad Maycomb widać było damę, która siedziała przy toaletce i czesała włosy.

– Będzie nam ciebie brakować – powiedziałam. – Myślisz, że powinniśmy mieć oko na pana Avery’ego?

Pan Avery mieszkał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domu pani Henry Lafayette Dubose. Poza tym, że co niedzielę brał sobie z tacy kościelnej resztę, pan Avery znany był z tego, że każdego wieczoru aż do dwudziestej pierwszej siedział na werandzie i kichał. Pewnego razu mieliśmy wyjątkową okazję być świadkami pokazu, który musiał być ostatni w jego wykonaniu, gdyż mimo pilnych obserwacji nigdy już go nie

zobaczyliśmy. Otóż gdy schodziliśmy z Jemem po schodkach przy domu panny Rachel, powstrzymał nas Dill:

– Rany, patrzcie tam!

Wskazał na drugą stronę ulicy. W pierwszej chwili nic nie zauważyliśmy, jeśli nie liczyć domu porośniętego bluszczem kudzu, ale gdy przypatrzyliśmy się lepiej, dostrzegliśmy łuk wody wypływającej spomiędzy listowia i spadającej w żółty krąg światła latarni; byliśmy zgodni, że od źródła do miejsca lądowania musiało być co najmniej trzy metry. Jem twierdził, że pan Avery się przeliczył, a Dill, że musiał pić cztery litry wody dziennie. Wynikły stąd dyskurs na temat odległości względnej oraz odpowiedniej biegłości w sztuce sprawił, że znów poczułam się odtrącona, jako że w tej kwestii zupełnie nie byłam utalentowana.

Dill przeciągnął się, ziewnął i odezwał nad wyraz swobodnie:

– Wiecie co? Przejdziemy się.

Brzmiało mi to podejrzanie. Nikt w Maycomb nie miał zwyczaju spacerować.

– Dokąd, Dill?

Skinął głową w kierunku południowym.

– Dobra – zgodził się Jem. Gdy zaprotestowałam, dodał słodziutko: – Nie musisz iść z nami, Majowy Aniołku.

– Wy też nie musicie iść. Pamiętasz...

Jem nie należał do tych, co długo rozpamiętują porażki; wydawało się, że z wypowiedzi Atticusa nauczył się jedynie co nieco na temat krzyżowego ognia pytań.

– Nie zamierzamy nic robić, Skaucie. Po prostu przejdziemy się do latarni i z powrotem.

Poszliśmy chodnikiem w całkowitym milczeniu, słuchając, jak huśtawki na werandach skrzypią pod ciężarem gęstego powietrza i jak szemrzą głosy

dorosłych, którzy mieszkali przy naszej ulicy. Od czasu do czasu słyszeliśmy śmiech panny Stephanie Crawford.

– No i? – spytał Dill.

– W porządku – odparł Jem. – Może już pójdziesz do domu, Skaucie?

– Co zamierzacie?

Proste: zamierzali zajrzeć przez obluzowaną okiennicę w nadziei, że zobaczą Boo Radleya. Jeśli nie chciałam iść z nimi, mogłam wrócić prosto do domu i trzymać moją pulchną gębusię na kłódkę, to wszystko.

– Ale po co, u licha, zwlekaliście z tym aż do tej nocy?

Bo w nocy nikt by ich nie zobaczył. Bo Atticus był o tej porze tak zaczytany, że nie zauważyłby nawet powrotu Pana. Bo gdyby Boo Radley ich zabił, straciliby najwyżej rok szkolny, a nie wakacje. Bo w końcu łatwiej było zajrzeć do ciemnego domu w nocy niż za dnia. Czy zrozumiałam?

– Jem, proszę cię...

– Skaut. Powtarzam ostatni raz: zamknij dziób albo wracaj do domu, bo Bóg mi świadkiem, że z każdym dniem bardziej przypominasz dziewczynę.

Po tych słowach nie miałam już wyboru, musiałam do nich dołączyć. Uznaliśmy, że najlepiej będzie przejść pod wysoką siatką drucianą na tyłach posesji Radleyów, gdzie mniejsze było ryzyko, że ktoś nas zauważy. Płot otaczał rozległy ogród i wąską drewnianą wygódkę.

Jem uniósł dolny drut i gestem wskazał Dillowi miejsce. Przeszłam zaraz po nim i podtrzymałam siatkę dla Jema. Ledwie się przecisnął.

– Absolutna cisza – szepnął. – Uważajcie na grządki kapusty; chrzęst liści umarłego by obudził.

Pamiętając o tym, robiłam może jeden krok na minutę. Przyspieszyłam nieco, gdy zobaczyłam Jema daleko w przedzie, jak machał do mnie

w świetle księżyca. Dotarliśmy do furtki oddzielającej ogród od podwórka za domem. Jem poruszył nią lekko. Zaskrzypiała.

– Spluń na nią – szepnął Dill.

– Załatwiłeś nas, Jem – wymamrotałam. – Łatwo się stąd nie wyrwiemy.

– Ciii... Spluń, Skaucie.

Pluliśmy na zawiasy, aż nam zaschło w gardłach. Wreszcie Jem powoli otworzył furtkę na oścież, aż oparła się o siatkę. Byliśmy na podwórku.

Tyły domostwa Radleyów prezentowały się jeszcze mniej zachęcająco niż część frontowa. Byle jaki ganek ciągnął się przez całą długość domu. W ścianie zobaczyłam dwoje drzwi i dwoje ciemnych okien pomiędzy nimi. Nie było ładnej kolumny; zwykła surowa kantówka podpierała skraj dachu. Stary piecyk stał w kącie ganku, a nad nim wieszak na kapelusze z kawałkiem lustra lśnił osobliwie w świetle księżyca.

– Aaaa... – odezwał się cicho Jem, unosząc stopę.

– Co jest?

– Kurczaki – sapnął.

O tym, że powinniśmy unikać niewidzialnego zagrożenia ze wszystkich kierunków, upewnił nas Dill, który skradając się przed nami, szepnął nagle:

– B...o...ż...e...

Podpełzliśmy do bocznej ściany domu, pod okno z obwisłą okiennicą. Parapet znajdował się kilkanaście centymetrów nad głową Jema.

– Pomogę ci wejść – szepnął do Dilla. – Albo czekaj.

Jem złapał swój lewy nadgarstek i mój prawy, a ja złapałam mój lewy i jego prawy. Przykucnęliśmy i Dill stanął na koszyku z naszych rąk. Unieśliśmy go i chwycił się parapetu.

– Prędko – syknął Jem. – Długo nie wytrzymamy.

Dill stuknął mnie w ramię i opuściliśmy go na ziemię.

– Co widziałeś?

– Nic. Zasłonki. Ale gdzieś tam pali się małe światło.

– Zabierajmy się stąd – wysapał Jem. – Chodźmy z powrotem na tyły. Ciii... – dorzucił ostrzegawczo, widząc, że chcę zaprotestować.

– Sprawdzimy jeszcze okno z tyłu.

– Nie, Dill – odpowiedziałam.

Dill przystanął, przepuszczając Jema. Gdy Jem oparł stopę na pierwszym stopniu, deska zaskrzypiała. Znieruchomiał, a potem stopniowo przerzucił ciężar na drugą nogę. Tym razem stopień wytrzymał. Jem pominął dwa kolejne i postawił nogę wprost na ganku. Podciągnął się i długą chwilę balansował na skraju. Wreszcie uchwycił równowagę i opadł na kolana. Ruszył w kierunku okna, uniósł głowę i zajrzał do środka.

W tym momencie zobaczyłam cień. Był to cień człowieka w kapeluszu. W pierwszej chwili zdawało mi się, że to drzewo, ale przecież nie było wiatru, a pnie zazwyczaj nie spacerują. Tylny ganek tonął w księżycowej poświacie, a cień, widoczny jak na dłoni, przesuwał się po deskach wprost ku Jemowi.

Dill też już go zobaczył. Przyłożył dłonie do twarzy.

Jem zobaczył cień dopiero wtedy, gdy znalazł się w jego plamie. Zakrył głowę ramionami i zamarł.

Cień zatrzymał się może o pół metra za jego plecami. Luźno zwisające ramię oddaliło się od boku, znowu opadło i znieruchomiało. A potem cień zawrócił, przesunął się znów po ciele Jema, przemaszerował po ganku i zniknął za domem, czyli tam, skąd przyszedł.

Jem poderwał się i ruszył galopem w naszą stronę. W pędzie otworzył furtkę, wypuścił nas i zagonił na ścieżkę między grządkami kapusty.

W połowie drogi potknęłam się i w tym samym momencie okolicą wstrząsnął huk wystrzału.

Dill i Jem zanurkowali tuż obok mnie. Jem wydukał przez łzy:

– Płot przy szkole! Sprintem, Skaucie!

Jem przytrzymał drut na dole, przepełzliśmy z Dillem na drugą stronę i już byliśmy w połowie drogi do bezpiecznej kryjówki pod dębem na szkolnym boisku, gdy wyczuliśmy, że nie ma z nami Jema. Pobiegliśmy z powrotem i zobaczyliśmy, że wciąż siłuje się z siatką, stopniowo wyślizgując się ze spodni. Do dębu dobiegł w samych szortach.

Bezpieczni pod drzewem, pozwoliliśmy sobie na chwilę odrętwienia, ale umysł Jema pracował na wysokich obrotach.

– Musimy wracać do domu. Będą się zastanawiać, gdzie jesteśmy.

Pobiegliśmy przez boisko, przeleźliśmy pod płotem na Jelenie Pastwisko za naszym domem, przeskoczyliśmy nad siatką i zanim Jem pozwolił nam się zatrzymać na odpoczynek, byliśmy już na schodkach wiodących na werandę.

Uspokoiwszy oddechy, możliwie swobodnym krokiem wyszliśmy na podwórko przed domem. Wyjrzeliśmy na ulicę i zobaczyliśmy krąg sąsiadów przed furtką Radleyów.

– Lepiej tam pójdźmy – odezwał się Jem. – Zdziwią się, jeśli nas tam nie zobaczą.

Pan Nathan Radley stał przy furtce, ze strzelbą na ramieniu. Atticus towarzyszył pannie Maudie i pannie Stephanie Crawford. Panna Rachel i pan Avery stali opodal. Nikt nie zauważył, że się zbliżamy.

Stanęliśmy obok panny Maudie, która teraz dopiero się rozejrzała.

– Gdzieście się podziewali, że nie widzieliście takiego poruszenia?

– A co się stało? – spytał Jem.

– Pan Radley strzelił do Murzyna, który mu buszował w kapuście.

– Ach tak. Trafił go?

– Nie – odparła panna Stephanie. – Celował w powietrze. Ale nastraszył go tak, że Murzyn zbladł. Mówi, że jeśli kto zobaczy w sąsiedztwie białego czarnucha, to na pewno będzie ten. I że w drugiej lufie ma kulę na wypadek, gdyby znowu go usłyszał w ogrodzie, i tym razem na pewno nie będzie mierzył w niebo, czy to będzie pies czy Murzyn, czy... Jemie Finchu!

– Tak, proszę pani?

– Synu, gdzie twoje spodnie? – wtrącił się Atticus.

– Spodnie, ojcze?

– Spodnie.

Przegrana sprawa. W samych szortach przed Bogiem i wszystkimi... Westchnęłam.

– Eee... panie Finch?

W blasku latarni ulicznej widziałam, że coś się lęgnie w głowie Dilla. Oczy mu się rozszerzyły, a pulchna twarz cherubina stała się jeszcze krąglejsza.

– O co chodzi, Dill? – spytał Atticus.

– Ja... ja je od niego wygrałem – odparł wykrętnie Dill.

– Wygrałeś? Jak to?

Dill podrapał się za uchem, a potem przesunął dłoń na czoło.

– Graliśmy w rozbieranego pokera nad oczkiem wodnym – wyjaśnił.

Odetchnęliśmy z Jemem. Sąsiedzi jakby zesztywnieli, ale wyglądali na usatysfakcjonowanych. Tylko co to był ten rozbierany poker?

Nie mieliśmy okazji dowiedzieć się tego. Panna Rachel włączyła się nagle z mocą syreny alarmowej:

– Na rany Chrystusa, Dillu Harrisie! Hazard nad moją sadzawką?! Już ja ci dam rozbieranego pokera, mój panie!

Atticus ocalił Dilla przed natychmiastowym poćwiartowaniem.

– Chwileczkę, panno Rachel – powiedział. – Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby robili coś takiego. Naprawdę graliście w karty?

Jem odbił piłkę z zamkniętymi oczami:

– Nie, ojcze, tylko zapałkami.

Podziwiałam mojego brata. Zapałki były niebezpieczne, ale karty oznaczałyby śmierć.

– Jem, Skaut – powiedział Atticus. – Nie chcę więcej słyszeć o pokerze w żadnej postaci. Jem, idź do Dilla po spodnie. Dogadajcie się jakoś.

– Nie martw się, Dill – odezwał się Jem, gdy wracaliśmy truchtem. – Ona ci nic nie zrobi, Atticus ją przekona. Szybko ruszyłeś głową, chłopie. Posłuchaj... słyszysz?

Zatrzymaliśmy się i usłyszeliśmy głos Atticusa:

– ... nic poważnego... wszyscy przez to przechodzą, panno Rachel...

Dill się uspokoił, ale Jem i ja – nie. Pozostał przecież problem: rano Jem musiał pokazać ojcu spodnie.

– Dałbym ci moje – zaproponował Dill, gdy stanęliśmy przy schodkach do domu panny Rachel.

Jem odparł, że i tak się w nie nie zmieści, ale dziękuje. Pożegnaliśmy się i Dill wszedł do domu. Najwyraźniej przypomniał sobie, że jesteśmy zaręczeni, bo zaraz wybiegł z powrotem i pocałował mnie przelotnie na oczach Jema.

– Macie pisać, jasne? – zawołał jeszcze, gdy odchodziliśmy.

Nawet gdyby Jem bezpiecznie wrócił do domu w spodniach, tej nocy i tak nie spalibyśmy zbyt dobrze. Każdy dźwięk, który dobiegał w okolice

mojego składanego łóżka na werandzie od ogrodu, wydawał się trzy razy głośniejszy niż zwykle. Każde skrzypnięcie stopy na żwirze oznaczało, że nadchodzi żądny zemsty Boo Radley. Każdy przechodzący opodal, roześmiany Murzyn też mógł być Boo Radleyem, który wyrwał się na wolność i poszukuje nas. Owady uderzające o moskitierę były szalonymi palcami Boo Radleya, rozrywającymi drut na strzępy. Miodle w naszym ogrodzie wydawały się chore, pochylały się nad nami jak żywe istoty. Lewitowałam więc między snem a jawą, póki nie usłyszałam mruczenia Jema.

– Śpisz, Trzyoka?

– Zwariowałeś?

– Ciii... Atticus zgasił światło.

W blaknącym już świetle księżyca zobaczyłam, że Jem stawia nogi na deskach.

– Idę po nie – powiedział.

Usiadłam sztywno.

– Nie możesz. Nie pozwolę ci.

Jem siłował się już z koszulą.

– Muszę.

– Spróbuj tylko, a obudzę Atticusa.

– Spróbuj tylko, a cię zabiję.

Pociągnęłam go w dół, żeby usiadł na moim łóżku. Próbowałam przemówić mu do rozumu.

– Pan Nathan znajdzie je rano, Jem. Wie, że je zgubiłeś. Gdy je pokaże Atticusowi, będzie dość kiepsko, ale nic poza tym. Kładź się do łóżka.

– Wiem, co będzie – odparł Jem. – I właśnie dlatego idę po nie.

Poczułam mdłości. Chciał tam wrócić całkiem sam, a ja pamiętałam słowa panny Stephanie, że w drugiej lufie strzelby pana Nathana czeka kula dla psa czy Murzyna... Jem wiedział o tym jeszcze lepiej niż ja.

Byłam zdesperowana.

– Posłuchaj mnie, Jem, nie warto. Lanie może i boli, ale nie trwa długo. A on ci łeb odstrzeli, Jem. Proszę cię...

Westchnął cierpliwie.

– To jest tak, Skaucie – odpowiedział cicho. – Atticus nie sprał mnie jeszcze nigdy, odkąd pamiętam. I chcę, żeby tak pozostało.

To była myśl. Miałam wrażenie, że Atticus groził nam tylko raz na jakiś czas.

– Chcesz powiedzieć, że nigdy jeszcze cię nie przyłapał?

– Może i tak. Ale chcę, Skaucie, żeby tak pozostało. Nie powinniśmy byli tam iść.

Myślę, że właśnie wtedy po raz pierwszy zaczęliśmy oddalać się od siebie. Wcześniej zdarzało mi się nie rozumieć Jema, ale były to tylko chwile zdumienia. Tym razem nie pojmowałam go ani trochę.

– Proszę – szepnęłam błagalnie – zastanów się nad tym chociaż przez chwilę. Ty sam, w takim miejscu...

– Zamknij się!

– Przecież nie będzie tak, że Atticus nigdy więcej się do ciebie nie odezwie czy coś w tym guście... Obudzę go, Jem, przysięgam, że go obudzę...

Jem chwycił mnie za kołnierz pidżamy i ścisnął mocno.

– No to idę z tobą – wycharczałam.

– Nie idziesz, za bardzo hałasujesz.

Byłam bezużyteczna. Otworzyłam tylne drzwi i przytrzymałam, póki nie zszedł na dół. Musiała być już druga w nocy. Księżyc zachodził i cienie krat z wolna topniały w rozmytą nicość. Poły białej koszuli Jema unosiły się i opadały jak mały duszek, który w tańcu usiłuje uciec przed porankiem. Lekki wiatr, który właśnie się zerwał, chłodził strużki potu spływające mi po bokach.

Poszedł od tyłu, przez Jelenie Pastwisko, przez boisko szkolne i dookoła ogrodzenia, pomyślałam – a przynajmniej w tamtym kierunku się oddalił. Była to dłuższa droga, więc nie nadszedł jeszcze czas, żeby zacząć się martwić. Czekałam, wciąż nasłuchując, czy nie odezwie się dwururka pana Radleya. Wydawało mi się, że słyszę skrzypienie naszego ogrodzenia, ale był to tylko kaprys wyobraźni.

A potem rozległ się kaszel Atticusa. Wstrzymałam oddech. Czasem, gdy udawaliśmy się o północy na pielgrzymki do toalety, widzieliśmy, że wciąż czyta. Mówił, że często budzi się w środku nocy, sprawdza, co u nas, i czyta, żeby znowu zasnąć. Czekałam, czy nie zapali się światło, wbijając wzrok w ciemność holu. Nie włączyło się jednak i mogłam odetchnąć z ulgą.

Nocne owady udały się na spoczynek, za to owoce miodli raz po raz bębniły o dach, gdy dmuchnął wiatr. W pustce i ciemności rozbrzmiewało z daleka szczekanie psów.

Wreszcie się pojawił; wracał do mnie. Plama jego białej koszuli błysnęła ponad płotem i stopniowo zaczęła rosnąć. Wspiął się po stopniach, zamknął drzwi na zasuwkę i usiadł na swoim łóżku polowym. Bez słowa uniósł w ręku spodnie. Położył się i przez czas jakiś wyczuwałam, że jego posłanie drży. W końcu jednak znieruchomiał. Nie słyszałam już, żeby się poruszył.

# Rozdział 7

Jem pozostał humorzasty i milczący przez cały tydzień. Idąc za radą, którą dostałam kiedyś od Atticusa, spróbowałam wejść w jego skórę i pochodzić w niej troszkę. Gdybym to ja znalazła się samotnie opodal posesji Radleyów, następnego popołudnia odbyłby się mój pogrzeb. I dlatego zostawiłam Jema w spokoju, starając się nie dokuczać mu ani trochę.

Zaczął się rok szkolny. Druga klasa była równie marna jak pierwsza, albo i gorsza – wciąż machali do nas kartkami i nie pozwalali czytać oraz pisać. Postępy panny Caroline w nauczaniu nowej pierwszej klasy można było szacować po częstotliwości wybuchów śmiechu w sąsiedniej sali; na szczęście wsparcia w utrzymywaniu porządku udzielali jej ci, którzy jak zwykle powtarzali klasę. Jedyną korzyścią z promocji do drugiej klasy było to, że zostawałam w szkole tak długo jak Jem i zazwyczaj o trzeciej wracaliśmy razem do domu.

Pewnego popołudnia, gdy szliśmy przez boisko, Jem wyznał niespodziewanie:

– O czymś ci nie powiedziałem.

Jako że było to pierwsze pełne zdanie, jakie wygłosił od paru dni, odrzekłam zachęcająco:

– Na temat?

– Na temat tamtej nocy.

– W ogóle nic mi o niej nie powiedziałeś – uściśliłam.

Jem zbył moje słowa machnięciem ręką, jakby oganiał się od komarów.

– Kiedy wróciłem po moje bryczesy... – zaczął po chwili – wiesz, były zwinięte w kłąb, gdy się z nich wydostałem, nie mogłem ich rozplątać.

A kiedy po nie wróciłem... – Jem odetchnął głęboko. – Kiedy wróciłem, wisiały złożone na płocie... jakby na mnie czekały.

– Na pło...

– I jeszcze coś – przerwał mi bezbarwnym głosem. – Pokażę ci to w domu. Ktoś je zszył. Nie tak, jak by zrobiła to kobieta, raczej tak, jak ja bym to zrobił. Krzywo. Prawie jakby...

– ...ktoś wiedział, że po nie przyjdziesz.

Jem się wzdrygnął.

– Jakby ktoś czytał w moich myślach... Jakby umiał przewidzieć, co zrobię. A przecież nikt nie wie, co zrobię, Skaucie, chyba że mnie dobrze zna, prawda?

Pytanie Jema zabrzmiało raczej jak błaganie. Postanowiłam go pokrzepić:

– Nikt nie może wiedzieć, chyba że mieszkałby z tobą pod jednym dachem, a przecież nawet ja nie wiem, co wymyślisz.

Mijaliśmy właśnie nasze drzewo. W dziurze po sęku leżał kłębek szarego szpagatu.

– Nie bierz go, Jem – powiedziałam. – To czyjaś skrytka.

– Nie wydaje mi się, Skaucie.

– A właśnie, że tak. Ktoś w rodzaju Waltera Cunninghama przychodzi tu pewnie na każdej przerwie i ukrywa swoje rzeczy, a my przychodzimy i zabieramy je. Słuchaj, zostawmy ten kłębek i zaczekajmy parę dni. Jeśli nie zniknie, wtedy go weźmiemy, zgoda?

– Zgoda. Może masz rację. Pewnie jakiś maluch znalazł to miejsce. Ukrywa swoje skarby przed starszymi. Zauważ, że znajdujemy tu różne rzeczy tylko w czasie roku szkolnego.

– Właśnie – odrzekłam. – Ale też nigdy tu nie bywamy podczas wakacji.

Poszliśmy do domu. Następnego ranka szpagat leżał tam, gdzie go zostawiliśmy. Gdy trzeciego dnia nic się nie zmieniło, Jem zabrał kłębek i schował do kieszeni. Od tamtej pory wszystko, co znaleźliśmy w tej dziurze, uważaliśmy za naszą własność.

Druga klasa była fatalna, lecz Jem zapewniał mnie, że im będę starsza, tym ciekawiej będzie w szkole. Mówił, że dopiero w szóstej klasie zaczął się uczyć wartościowych rzeczy. Szósta klasa podobała mu się od samego początku: przechodził – krótką i niezrozumiałą dla mnie – Fazę Egipską, kiedy to próbował chodzić bokiem, ustawiając jedno ramię przed sobą, a drugie za sobą, stopy zaś jedna za drugą. Twierdził, że Egipcjanie właśnie tak się poruszali. Odpowiadałam niezmiennie, że skoro tak chodzili, to prawdziwym cudem jest to, że w ogóle coś osiągnęli. Jem mówił, że osiągnęli więcej niż choćby Amerykanie, bo na przykład wynaleźli papier toaletowy oraz wieczyste balsamowanie. Gdzie bylibyśmy dzisiaj, pytał, gdyby nie ich sukcesy? Atticus poradził mi, żebym pomijała przymiotniki w wypowiedziach Jema, jeśli chcę poznać fakty.

Na południu Alabamy nie ma wyraźnie wyodrębnionych pór roku. Lato dryfuje w stronę jesieni, a po jesieni czasem wcale nie przychodzi zima, tylko wiosna, a ona znów stapia się z latem. Tego roku jesień była długa i na tyle ciepła, że wystarczała lekka kurtka. Pewnego pogodnego październikowego popołudnia truchtaliśmy jak zawsze naszą stałą trasą, gdy dziura po sęku znowu przykuła naszą uwagę. Tym razem wystawało z niej coś białego.

Jem pozwolił mi czynić honory: wyjęłam z drzewa dwa małe ludziki wyrzeźbione w mydle. Jedna z postaci nosiła chłopięce ubranie, druga

miała na sobie prostą sukienkę.

Zanim przypomniałam sobie, że nie ma żadnych czarów, z piskiem rzuciłam mydlane rzeźby na ziemię.

Jem podniósł je zaraz.

– Co się z tobą dzieje? – wrzasnął na mnie, otrzepując z nich czerwonawy pył. – Są świetne – dodał. – W życiu nie widziałem tak dobrej roboty.

Podał mi obie figurki. Były niemal idealnymi miniaturami dwojga dzieci. Chłopiec miał na sobie krótkie spodenki i szopę włosów opadającą aż na brwi. Spojrzałam na Jema. Na jego głowie zobaczyłam ząbek brązowych włosów zbiegających się na czole. Wcześniej zupełnie nie zwracałam uwagi na jego fryzury.

Jem tymczasem spoglądał to na mnie, to na laleczkę. Miała grzywkę, podobnie jak ja.

– To my – stwierdził Jem.

– Jak myślisz, kto je zrobił?

– A znamy w okolicy kogoś, kto potrafi strugać? – spytał.

– Pana Avery’ego.

– Pan Avery struga całkiem zwyczajnie, nie tak.

Średnia wydajność pana Avery’ego nie przekraczała jednego ostruganego polana do kominka tygodniowo; zwykle robił z niego wykałaczkę, którą następnie żuł.

– Jest jeszcze kochaś panny Stephanie Crawford – dodałam.

– Zgoda, ten potrafi rzeźbić, ale mieszka na wsi. Czy miałby czas, żeby się nami interesować?

– Może przesiaduje na werandzie i zamiast patrzeć na pannę Stephanie, gapi się na nas? Ja na jego miejscu właśnie tak bym robiła.

Jem spoglądał na mnie tak długo, że zapytałam, o co mu chodzi, ale za całą odpowiedź musiało mi starczyć krótkie „O nic, Skaucie”. Gdy wróciliśmy do domu, Jem ukrył ludziki w swojej skrzyni.

Niespełna dwa tygodnie później znaleźliśmy całe opakowanie gumy do żucia, która bardzo nam smakowała. To, że wszystko, co pochodziło z posesji Radleyów, było zatrute, jakoś umknęło Jemowi z pamięci.

W kolejnym tygodniu dziura w drzewie ofiarowała nam zaśniedziały medal. Jem pokazał go Atticusowi i dowiedzieliśmy się, że to medal za dobre literowanie, bo zanim przyszliśmy na świat, w szkołach hrabstwa Maycomb odbywały się turnieje ortograficzne i ten, kto najlepiej literował słowa, dostawał medal. Atticus stwierdził, że ktoś musiał go zgubić, i chciał wiedzieć, czy już pytaliśmy sąsiadów. Jem kopnął mnie w kostkę, gdy chciałam odpowiedzieć, gdzie znaleźliśmy medal. Zaraz potem spytał Atticusa, czy nie pamięta, kto zdobył kiedyś takie trofeum, ale ojciec odrzekł, że nie.

Cztery dni później znaleźliśmy najcenniejszy drobiazg: niesprawny zegarek kieszonkowy, z łańcuszkiem i aluminiowym nożykiem.

– Jem, sądzisz, że to białe złoto?

– Nie wiem. Pokażę Atticusowi.

Ojciec orzekł, że gdyby wszystko to było nowe, pewnie byłoby warte z dziesięć dolarów.

– Zamieniłeś się z kimś w szkole? – zapytał.

– Ależ nie!

Jem wyjął z kieszeni zegarek dziadka, który Atticus pozwalał mu nosić raz w tygodniu, jeśli będzie bardzo uważał. Kiedy Jem rzeczywiście nosił przy sobie tę pamiątkę, zachowywał się tak, jakby miał w kieszeni jajko.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Atticusie, wolę nosić ten. Może uda mi się go naprawić?

Gdy urok nowości przygasł i noszenie dziadkowego zegarka stało się już tylko nieprzyjemnym obowiązkiem, Jem nie czuł już potrzeby sprawdzania czasu co pięć minut.

Z nowym wykonał świetną robotę; zostało luzem ledwie kilka drobnych elementów oraz sprężynka, ale zegarek wciąż nie chodził.

– Ech – westchnął. – On nigdy nie ruszy. Skaut?

– Hę?

– Myślisz, że powinniśmy napisać list do tego, kto zostawia dla nas te wszystkie rzeczy?

– Byłoby to bardzo uprzejme, Jem, wypada przecież podziękować... Co się dzieje?

Jem trzymał się za uszy, miarowo kręcąc głową na boki.

– Nie rozumiem... Po prostu tego nie rozumiem... Nie wiem dlaczego, Skaucie... – Spojrzał w stronę salonu. – Chyba powiem Atticusowi... Nie, lepiej nie.

– To ja mu powiem za ciebie.

– Nie rób tego, Skaucie. Skaucie?

– Czego?

Przez cały wieczór wahał się, czy ma mi to powiedzieć. Jego twarz rozjaśniała się, gdy pochylał się ku mnie, ale zaraz zmieniał zdanie. Tym razem też zmienił.

– Eee, nic.

– Masz, napiszemy list – powiedziałam, podsuwając mu pod nos blok i ołówek.

– Zgoda. „Drogi panie...”

– Skąd wiesz, że to pan? Ja idę o zakład, że to panna Maudie. Od dawna ją podejrzewam.

– Eee tam, panna Maudie nie umie żuć gumy – odparł Jem z szerokim uśmiechem. – Za to potrafi czasem ładnie mówić. Kiedyś proponowałem jej, żeby sobie pożuła, ale odpowiedziała mi, że dziękuje, bo guma „przywiera jej do podniebienia i pozbawia daru mowy” – powtórzył jej słowa. – Ładnie powiedziała, nie?

– No. Faktycznie, czasem potrafi ładnie powiedzieć. Ale na pewno nie miałaby zegarka z łańcuszkiem.

– Drogi panie – powtórzył Jem. – Doceniamy to... Nie. Jesteśmy wdzięczni za wszystko, co wkłada pan dla nas do dziury w drzewie. Szczerze oddany Jeremy Atticus Finch.

– Nie będzie wiedział, kim jesteś, jeśli podpiszesz się w taki sposób, Jem.

Jem wymazał więc imiona i napisał: „Jem Finch”. Ja dopisałam niżej „Jean Louise Finch (Skaut)”, a mój brat umieścił liścik w kopercie.

Następnego ranka w drodze do szkoły Jem wyprzedził mnie biegiem i zatrzymał się przy drzewie. Odwrócił się i spojrzał na mnie; jego twarz była trupio blada.

– Skaut!

Popędziłam do niego.

Ktoś zacementował dziurę po sęku.

– Nie płacz, Skaucie... Nie płacz już, nie przejmuj się tak... – mruczał mi do ucha przez całą drogę do szkoły.

Gdy wróciliśmy do domu na obiad, Jem zjadł błyskawicznie, pobiegł na werandę i stanął na schodach. Podążyłam za nim.

– Jeszcze nie szedł – zameldował.

Następnego dnia Jem powtórzył manewr i tym razem jego czujność została wynagrodzona.

– Dzień dobry, panie Nathanie – powiedział.

– Dzień dobry Jem, Skaut – odrzekł pan Radley, nie zatrzymując się.

– Panie Radley! – zawołał Jem.

Pan Radley odwrócił się.

– Panie Radley... czy to pan zacementował dziurę w drzewie przy waszym domu?

– Tak – odparł. – Od góry do dołu.

– Ale dlaczego, proszę pana?

– To drzewo umiera. Gdy choruje, trzeba cementować takie otwory. Powinieneś już o tym wiedzieć, Jem.

Jem nie odezwał się na ten temat aż do późnego popołudnia. Gdy mijaliśmy nasze drzewo, w głębokim zamyśleniu poklepał cementową plombę. Miałam wrażenie, że celowo wprawia się w jeszcze gorszy humor, więc wolałam trzymać się z daleka.

Jak zawsze wyszliśmy na spotkanie Atticusowi, gdy tego wieczoru powracał z pracy. Na stopniach przed domem Jem powiedział:

– Atticusie, spójrz, proszę, na tamto drzewo.

– Które drzewo, synu?

– To w samym rogu posesji Radleyów, przechodzimy obok niego w drodze do szkoły.

– Tak?

– Czy ono umiera?

– Ależ nie, synu. Nie wydaje mi się. Spójrz na liście, wszystkie są zielone i zdrowe, ani śladu brązowego nalotu...

– I nawet nie jest chore?

– Jest zdrowe jak ty, Jem. Dlaczego pytasz?

– Bo pan Nathan Radley powiedział, że ono umiera.

– Może tak jest? Pan Radley z pewnością wie więcej o swoich drzewach niż my.

Atticus zostawił nas na werandzie. Jem oparł się o kolumnę, rytmicznie ocierając się o nią barkami.

– Swędzi cię, Jem? – spytałam najgrzeczniej jak umiałam. Nie odpowiedział. – Chodź do domu – dodałam.

– Za chwilę.

Stał tam aż do nocy, a ja czekałam na niego. Gdy weszliśmy do domu, zauważyłam, że płakał; na twarzy widać było ślady łez, jednak zdziwiło mnie, że nie słyszałam szlochu.

# Rozdział 8

Z przyczyn niepojętych nawet dla najbardziej doświadczonych proroków hrabstwa Maycomb tego roku jesień zmieniła się w zimę. Zdaniem Atticusa, przeżyliśmy dwa najzimniejsze tygodnie od 1885 roku. Pan Avery twierdził, że już na kamieniu z Rosetty wyryto starożytną prawdę, iż to dzieci, gdy są nieposłuszne, gdy palą papierosy i gdy toczą ze sobą wojny – powodują zmiany w układzie pór roku. Wina za ów wybryk natury, który przysporzył sąsiadom tylu trosk, a nas wprawił w zakłopotanie, spadła więc na Jema i na mnie.

Tamtej zimy zmarła stara pani Radley, lecz jej śmierć mało kogo poruszyła. W sąsiedztwie rzadko ją widywano; chyba tylko wtedy, gdy podlewała swoje kanny. Jem i ja uznaliśmy, że to Boo wreszcie ją dopadł, ale gdy Atticus wrócił z domu Radleyów, oznajmił, ku naszemu głębokiemu rozczarowaniu, że zmarła z przyczyn naturalnych.

– Spytaj go – szepnął Jem.

– Sam spytaj, jesteś starszy.

– I dlatego ty powinnaś.

– Atticusie – zaczęłam – widziałeś może pana Arthura?

Ojciec spojrzał na mnie surowo znad gazety.

– Nie widziałem.

Jem powstrzymał mnie przed dalszym indagowaniem. Stwierdził, że Atticus wciąż jeszcze jest zbyt drażliwy na punkcie naszych sprawek z Radleyami i że nie ma sensu posuwać się za daleko. Miał też wrażenie, że Atticus nie łączy naszego zachowania owej pamiętnej letniej nocy

wyłącznie z grą w rozbieranego pokera. Nie wiedział, skąd w nim to przekonanie; mówił, że to tylko przeczucie.

Gdy obudziłam się następnego ranka, wyjrzałam przez okno i omal nie umarłam z przerażenia. Moje wrzaski wywabiły z łazienki na wpół ogolonego ojca.

– Koniec świata, Atticusie! Proszę cię, zrób coś...! – wołałam, ciągnąc go w stronę okna.

– Nie, to nie koniec świata – odparł. – To śnieg.

Jem zapytał, czy śnieg się utrzyma. On także widział to zjawisko po raz pierwszy, ale przynajmniej wiedział, z czym ma do czynienia. Atticus odparł, że nie wie o śniegu wiele więcej niż Jem.

– Myślę jednak, że jeśli nadal będzie tak mokry, lada chwila zmieni się w deszcz.

Zadzwonił telefon i Atticus oddalił się od stołu, żeby odebrać.

– Dzwoniła Eula May – powiedział, wróciwszy do jadalni. – Cytuję: „Jako że śnieg nie padał w hrabstwie Maycomb od tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego roku, lekcji w szkole nie będzie”.

Eula May była główną operatorką telefoniczną w Maycomb. Powierzano jej odczytywanie obwieszczeń rady, zaproszeń na śluby, zawiadomień o pożarach oraz zaleceń w sprawie pierwszej pomocy, gdy nie było w mieście doktora Reynoldsa.

Gdy Atticus wreszcie przywołał nas do porządku i skłonił do zajęcia się własnymi talerzami, a nie tym, co za oknem, Jem spytał:

– Jak się lepi bałwana?

– Nie mam bladego pojęcia – odparł Atticus. – Nie chcę sprawić wam zawodu, ale wątpię, czy starczy tego śniegu na choćby jednego bałwana.

Calpurnia weszła do jadalni i oznajmiła, że jej zdaniem, śnieg się utrzyma. Pobiegliśmy na podwórze, pokryte warstewką topniejącego

śniegu.

– Nie powinniśmy po nim chodzić – zauważył Jem. – Z każdym krokiem marnujemy śnieg.

Obróciłam się i spojrzałam na moje podchodzące wodą ślady. Jem powiedział, że jeśli zaczekamy, aż napada trochę więcej, pewnie uda się naskrobać tyle śniegu, żeby wyszedł nam bałwan. Wysunęłam język i złapałam nań wielki płatek. Parzył.

– Jem, ten śnieg jest gorący!

– Nieprawda. Jest tak zimny, że aż parzy. A teraz już nie marnuj śniegu, zjadając płatki, Skaucie. Niech sobie pada.

– Ale ja chcę po nim pochodzić.

– Wiesz co? Pochodzić możemy u panny Maudie.

Jem pokonał podwórko skokami, a ja podążyłam po jego śladach. Gdy byliśmy na chodniku przed domem panny Maudie, zagadnął nas pan Avery. Był różowy na twarzy, a wielki brzuch wylewał mu się zza paska.

– Widzicie, co narobiliście? – spytał. – W Maycomb nie było śniegu od czasu bitwy pod Appomattox. To przez niegrzeczne dzieci, takie jak wy, zmieniają się pory roku.

Zastanawiałam się, czy pan Avery wie, z jaką nadzieją wyglądaliśmy go w letnie wieczory, czekając na powtórkę pokazu. Pomyślałam też, że jeśli to ma być nasza kara, to grzeszenie ma jednak swoje dobre strony. Nie musiałam zachodzić w głowę, skąd pan Avery bierze swoje statystyki meteorologiczne: bez wątpienia były spisane na kamieniu z Rosetty.

– Jemie Finchu!

– Jem, panna Maudie cię woła.

– Trzymajcie się środka ogrodu. Obok werandy mam pod śniegiem zawciągi, nie stratujcie mi ich!

– Tak jest, proszę pani! – odkrzyknął Jem. – Ależ tu pięknie, prawda, panno Maudie?

– Pięknie? Akurat! Jeśli w nocy będzie przymrozek, stracę wszystkie azalie!

Stary kapelusz panny Maudie lśnił kryształkami śniegu. Pochylała się nad małymi krzaczkami, opatulając je płóciennymi torbami. Jem zapytał ją, po co to robi.

– Żeby im było cieplej – odrzekła.

– Jak może im być cieplej? Przecież krew w nich nie krąży.

– Nie umiem ci odpowiedzieć, Jemie Finchu. Wiem tylko ponad wszelką wątpliwość, że jeśli wieczorem będzie mróz, te rośliny zmarzną. Dlatego lepiej będzie je zawinąć. Jasne?

– Tak jest. Panno Maudie?

– Słucham pana.

– Czy możemy ze Skautem pożyczyć od pani trochę śniegu?

– Wielkie nieba, bierzcie choćby i wszystko! Pod domem znajdziecie stary kosz od brzoskwiń, możecie w nim nosić. – Panna Maudie zmrużyła oczy. – Jemie Finch, ale co zamierzasz zrobić z moim śniegiem?

– Zobaczy pani – odparł tajemniczo Jem.

Przenieśliśmy do nas tyle śniegu od panny Maudie, ile się dało, choć była to dość mokra operacja.

– Co dalej, Jem? – spytałam.

– Zobaczysz – odrzekł. – A teraz bierz kosz i przyciągnij na frontowe podwórze tyle śniegu zza domu, ile zdołasz. Tylko staraj się chodzić po własnych śladach – zastrzegł.

– Będziemy mieli bałwanka, Jem?

– Nie, najprawdziwszego bałwana. Ale teraz musimy ostro popracować.

Jem pobiegł za dom, złapał motykę i zaczął kopać z zapałem obok sterty drewna na opał, odkładając na bok znalezione przy tym robaki. Po chwili skoczył do domu i wrócił z koszem na bieliznę. Napełnił go ziemią i zaniósł przed dom.

Gdy mieliśmy pięć koszy ziemi i dwa kosze śniegu, Jem oznajmił, że możemy zaczynać.

– Nie sądzisz, że zrobił się z tego bałagan? – spytałam.

– Na razie bałagan, ale to się zmieni – odpowiedział.

Jem nabrał w ręce ziemi i uklepał z niej mały pagórek. Dodając kolejne porcje, z wolna uformował tułów.

– Jem, w życiu nie słyszałam o bałwanie czarnuchu – powiedziałam.

– Niedługo przestanie być czarny – wystękał Jem.

Przyniósł z podwórza witki z brzoskwiniowego drzewa, zaplótł je i powyginał tak, by tworzyły szkielet, który następnie pokrył ziemią.

– Wygląda jak panna Stephanie Crawford z rękami na biodrach – zauważyłam. – Gruby pośrodku i z chudziutkimi łapkami.

– Zaraz będą grubsze.

Jem chlusnął wodą na błotnego luda i dodał więcej ziemi. Przez chwilę przyglądał się w zadumie swemu dziełu, a potem poniżej talii bałwana uformował wielkie brzuszysko. Spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

– Pan Avery trochę przypomina sylwetką bałwana, nie?

Jem nabrał teraz śniegu w dłonie i zaczął oblepiać postać. Pozwolił mi popracować jedynie nad plecami, części widoczne z ulicy zostawiając dla siebie. Pan Avery bielał stopniowo.

Używając kawałków drewna jako oczu, nosa, ust i guzików, Jem wiernie odtworzył lekko zdenerwowanego pana Avery’ego. Ostatnim

szczegółem była laseczka z drewna na opał. Jem cofnął się i spojrzał na swe dzieło.

– Jest piękny, Jem – orzekłam. – Jakby zaraz miał zagadać.

– To fakt, co? – przyznał nieśmiało.

Nie mogliśmy się doczekać powrotu Atticusa na obiad – zadzwoniliśmy, żeby uprzedzić, że mamy dla niego wielką niespodziankę. Rzeczywiście był zaskoczony, gdy zobaczył przed domem większość tego, co zwykle znajdowało się za domem, ale przyznał też, że wykonaliśmy wyborną robotę.

– Nie wiedziałem, że wyszykujecie coś takiego – powiedział do Jema. – Od tej pory nie będę się już martwił, co z ciebie wyrośnie. Wiem, że zawsze coś wymyślisz.

Jem zaczerwienił się aż po końce uszu, słysząc ten komplement, ale zaraz spojrzał podejrzliwie, gdy Atticus cofnął się o parę kroków, by mrużąc oczy, popatrzeć raz jeszcze na dzieło. Lecz Atticus najpierw uśmiechnął się szeroko, a potem wybuchnął śmiechem.

– Synu, nie wiem, kim zostaniesz w przyszłości... inżynierem, prawnikiem czy portrecistą... ale stworzyłeś na naszym podwórku jawny paszkwil, który trzeba jakoś zamaskować.

Atticus zasugerował, by zmienić nieco fasadę postaci, na przykład używając miotły zamiast laseczki i wkładając bałwanowi fartuch.

Jem wyjaśnił, że jeśli to zrobi, bałwan ubłoci się tylko i tak naprawdę przestanie być bałwanem.

– Nieważne co zrobisz, bylebyś coś zmienił – odparł Atticus. – Nie możesz tak sobie karykaturować sąsiadów.

– To nie karykatura – nie ustępował Jem. – To wierna kopia.

– Pan Avery może być odmiennego zdania.

– Wiem, co zrobię! – zawołał Jem.

Pobiegł na drugą stronę ulicy, zniknął na moment na podwórku panny Maudie i zaraz powrócił triumfujący. Wcisnął na głowę bałwana słomkowy kapelusz sąsiadki, a pod jego zgięte ramię wsunął nożyce do żywopłotu. Atticus uznał, że to wystarczy.

Panna Maudie otworzyła drzwi frontowe i wyszła na werandę. Spojrzała na nas i nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Jemie Finchu! – zawołała. – Ty diable, w tej chwili oddawaj mój kapelusz!

Jem spojrzał na Atticusa, który pokręcił głową.

– Tylko tak mówi – wyjaśnił. – Tak naprawdę jest pod wrażeniem twojego... osiągnięcia.

Atticus podszedł do panny Maudie i wdali się w ożywioną konwersację, z której posłyszałam jedynie „...spreparował skończonego hermafrodytę w ogródku! Atticusie, ty ich nigdy nie wychowasz!”

Po południu przestał padać śnieg, a temperatura opadła. Przed wieczorem spełniła się większość ponurych przepowiedni pana Avery’ego: Calpurnia paliła we wszystkich piecach, ale i tak było nam zimno. Gdy Atticus wrócił z pracy, powiedział, że wieczór mamy spędzić w domu, i zaproponował Calpurnii, żeby została z nami na noc, jeśli ma ochotę. Rozejrzała się tylko po wysokich stropach i dużych oknach, a potem stwierdziła, że u siebie będzie miała cieplej. Atticus odwiózł ją samochodem.

Zanim położyłam się do łóżka, ojciec dosypał węgla do pieca w moim pokoju. Powiedział, że termometr wskazuje minus dziewięć stopni, że nie pamięta tak zimnej nocy i że nasz bałwan na podwórku zamarzł na kamień.

Wydawało mi się, że ledwie parę minut później ktoś obudził mnie energicznym potrząsaniem. Byłam przykryta płaszczem Atticusa.

– Już rano?

– Wstawaj, kochanie.

Atticus trzymał w wyciągniętych rękach mój szlafrok i płaszczyk.

– Włóż najpierw szlafrok – powiedział.

Jem stał obok niego zaspany, ze zmierzwioną czupryną. Jedną ręką zaciskał kołnierz płaszcza pod szyją, a drugą trzymał głęboko w kieszeni. Wyglądał dziwnie masywnie.

– Prędzej, skarbie – ponaglił mnie Atticus. – Masz tu skarpetki i buty.

Włożyłam je całkiem ogłupiała.

– Już rano?

– Nie, dopiero po pierwszej. Szybciej.

Wreszcie dotarło do mnie, że dzieje się coś złego.

– O co chodzi?

Właściwie nie musiał odpowiadać. Podobnie jak ptaki wiedzą, dokąd uciec, gdy pada deszcz, tak i ja wiedziałam, że ktoś na naszej ulicy ma kłopoty. Stłumione szelesty i odgłosy krzątaniny przepełniły mnie strachem i poczuciem bezradności.

– Czyj?

– Panny Maudie, skarbie – odparł łagodnie Atticus.

Stojąc w drzwiach frontowych, zobaczyliśmy płomienie buchające z okien jadalni panny Maudie. Jakby na potwierdzenie tego, co widzieliśmy, rozległo się wycie syreny strażackiej – dźwięk wznosił się wolno i pozostał w wysokiej, przeraźliwie przenikliwej tonacji.

– Już po nim, prawda? – jęknął Jem.

– Tak przypuszczam – odparł Atticus. – A teraz posłuchajcie mnie. Staniecie przy domu Radleyów. Nie wchodźcie nikomu w drogę, jasne? Widzicie, w którą stronę wieje wiatr?

– Och – jęknął Jem. – Atticusie, sądzisz, że powinniśmy już wynosić meble?

– Jeszcze nie, synu. Róbcie, co każę. Biegiem. Pilnuj Skauta, słyszałeś? Nie spuszczaj jej z oka.

Atticus popchnął nas lekko w stronę furtki do posesji Radleyów. Stanęliśmy tam, przyglądając się, jak na ulicy przybywa samochodów i ludzi, podczas gdy ogień bezgłośnie trawi dom panny Maudie.

– Dlaczego się nie pospieszą?... Dlaczego się nie pospieszą?... – mamrotał Jem.

W końcu zobaczyliśmy dlaczego: tłum ludzi pchał od strony miasta wóz strażacki, który na mrozie nie chciał zapalić. Gdy wreszcie podłączono węże do hydrantu, woda wystrzeliła w górę, zalewając chodnik gradem kropel.

– O Boże, Jem...

Jem otoczył mnie ramieniem.

– Cicho, Skaucie – powiedział. – Jeszcze nie czas, żeby się martwić. Powiem ci kiedy.

Mężczyźni z Maycomb, niektórzy niekompletnie ubrani, wynosili meble z domu panny Maudie i ustawiali je na podwórku po drugiej stronie ulicy. Zauważyłam Atticusa, który dźwigał ciężki dębowy fotel na biegunach, i pomyślałam, jakie to miłe z jego strony, że pomyślał o ratowaniu tego, co panna Maudie ceniła najwyżej.

Od czasu do czasu słyszeliśmy krzyki. Wreszcie w oknie pokoju na piętrze ukazała się twarz pana Avery’ego. Wypchnął przez okno materac, a w ślad za nim wyrzucał drobniejsze meble, póki stojący na dole nie zaczęli wołać:

– Złaź już, Dick! Schody się zajęły! Niech pan ucieka, panie Avery!

Pan Avery zaczął się gramolić przez okno.

– Skaut, on utknął! – zawołał z przejęciem Jem. – O Boże...

Pan Avery rzeczywiście zaklinował się w oknie. Wtuliłam twarz w ramię Jema i nie patrzyłam więcej, póki nie krzyknął:

– Uwolnił się! Skaucie, nic mu nie jest.

Uniosłam głowę i dojrzałam pana Avery’ego na balkonie. Przerzucił nogi nad barierką i zaczął się zsuwać po kolumnie. W pewnej chwili ześliznął się w niekontrolowany sposób i z krzykiem wylądował w krzakach pod domem panny Maudie.

Zauważyłam nagle, że ludzie oddalają się od płonącego domu panny Maudie i idą w naszą stronę. Już nie nieśli mebli. Ogień szalał już na piętrze i pochłonął większość dachu. Ramy okienne odznaczały się czernią na tle szalejących pomarańczowych płomieni.

– Jem, dom wygląda jak dynia...

– Patrz!

Dym unosił się teraz nad naszym domem i nad domem panny Rachel jak mgła nad brzegiem rzeki. Strażacy zaczęli przekładać węże w ich stronę. Za naszymi plecami wóz z Abbottsville wypadł zza zakrętu i zatrzymał się gwałtownie przed naszym domem.

– Ta książka... – odezwałam się.

– Jaka? – spytał Jem.

– *Tom Swift*... Nie jest moja, tylko Dilla...

– Nie przejmuj się, Skaucie. Nie czas jeszcze na takie zmartwienia – pocieszył mnie Jem. – Spójrz tam – dodał, wskazując palcem.

W grupie sąsiadów dostrzegłam Atticusa, który stał z rękami wbitymi w kieszenie płaszcza. Równie dobrze mógłby oglądać mecz futbolowy. Panna Maudie stała obok niego.

– Widzisz? On się jeszcze nie martwi – zauważył Jem.

– Ale dlaczego nie siedzi teraz na dachu któregoś z domów?

– Jest na to za stary, skręciłby sobie kark.

– Myślisz, że powinniśmy poprosić, żeby zabrał już nasze rzeczy?

– Nie będziemy mu zawracać głowy, sam wie, kiedy nadejdzie czas – odparł Jem.

Wóz strażacki z Abbottsville zaczął pompować wodę na nasz dom; strażak siedzący na dachu wskazywał miejsca, które wymagały najpilniejszego chłodzenia. Patrzyłam, jak nasz Skończony Hermafrodyta czernieje i rozpada się. Na szczycie kupki błota spoczął kapelusz panny Maudie. Nie widziałam tylko jej nożyc do żywopłotu. W gorączce panującej między trzema domami mężczyźni już dawno zrzucili płaszcze i szlafroki. Pracowali w piżamach i koszulach nocnych wciśniętych w spodnie, a tymczasem ja zaczynałam czuć, że zamarzam na stojąco. Jem próbował mnie rozgrzać, lecz jego ramię nie wystarczało. Uwolniłam się z uścisku i otoczyłam własnymi ramionami. Potańczyłam chwilę i odzyskałam czucie w stopach.

Kolejny wóz strażacki zatrzymał się przed domem panny Stephanie Crawford. Brakowało hydrantu dla kolejnego węża; strażacy próbowali polewać budynek ręcznymi gaśnicami.

Blaszany dach domu panny Maudie tonął w płomieniach. Wreszcie konstrukcja zawaliła się z rykiem i płomienie buchnęły we wszystkie strony. W tej samej chwili zatrzepotały koce w rękach ludzi siedzących na dachach sąsiednich budynków i tłumiących deszcz iskier oraz płonących odłamków.

Świtało już, gdy ludzie zaczęli się rozchodzić, najpierw pojedynczo, a potem grupami. Popchnęli wóz z Maycomb z powrotem w stronę centrum. Wóz z Abbottsville odjechał o własnych siłach; trzeci pozostał na

miejscu. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że przyjechał aż z Clark’s Ferry, miasteczka odległego o sto kilometrów.

Przemknęliśmy z Jemem na drugą stronę ulicy. Panna Maudie wpatrywała się w dymiącą czarną dziurę, która była jej domem. Atticus pokręcił głową, dając nam znak, że nie powinniśmy z nią teraz rozmawiać. Zaprowadził nas do domu, opierając dłonie na naszych ramionach, gdy szliśmy po oblodzonej jezdni. Powiedział, że na razie panna Maudie zamieszka u panny Stephanie.

– Chce ktoś gorącej czekolady? – zapytał.

Poczułam dreszcz, gdy rozpalił w kuchence.

Gdy piliśmy kakao, zauważyłam, że Atticus przygląda mi się najpierw z zaciekawieniem, a potem jakby srogo.

– Zdawało mi się, że kazałem wam zostać w jednym miejscu – powiedział.

– Przecież zostaliśmy.

– Zatem czyj to koc?

– Koc?

– Tak, panienko, koc. Przecież nie nasz.

Spojrzałam po sobie i zobaczyłam, że ściskam w dłoni brzegi brązowego wełnianego koca, narzuconego na moje ramiona na sposób indiański.

– Atticusie... ojcze, ja naprawdę nie wiem... ja...

Spojrzałam na Jema, szukając podpowiedzi, ale on był jeszcze bardziej zdumiony. Powiedział, że nie ma pojęcia, skąd się wziął ten koc, bo przecież postąpiliśmy dokładnie tak, jak kazał nam Atticus: staliśmy przy furtce Radleyów, z dala od tłumu, nie oddalając się ani na krok... Jem urwał.

– Pan Nathan pomagał przy pożarze – podjął po chwili. – Widziałem go. Widziałem na pewno, jak ciągnął materac. Przysięgam, Atticusie...

– W porządku, synu. – Na twarzy Atticusa z wolna pojawił się uśmiech. – Wygląda na to, że wszyscy mieszkańcy Maycomb w ten czy inny sposób wyszli dziś na ulice. Jem, zdaje mi się, że mamy w spiżarce trochę papieru pakowego. Przynieś, zapakujemy ten...

– Ojcze, nie!

Jem sprawiał wrażenie obłąkanego. Znienacka zaczął wyrzucać z siebie wszystkie tajemnice, ani trochę nie przejmując się swoim czy moim bezpieczeństwem, niczego nie pomijając, ani dziury po sęku, ani spodni, ani niczego.

– ...Pan Nathan wlał cement do tego drzewa, Atticusie, a zrobił to, żebyśmy przestali znajdować tam różne rzeczy. To wariat, jak to mówią, ale przysięgam na Boga, Atticusie, że nigdy nas nie skrzywdził, przenigdy. Mógł poderżnąć mi gardło od ucha do ucha tamtej nocy, ale on zamiast tego spróbował naprawić moje spodnie... Nigdy nas nie skrzywdził, Atticusie...

– Spokojnie, synu – przerwał mu Atticus tak łagodnie, że i mnie podniósł tym na duchu. Stało się jasne, że nie nadążał za gadaniną Jema. Powiedział tylko: – Masz rację. Lepiej zatrzymamy ten koc. Może pewnego dnia Skaut będzie miała okazję, żeby podziękować.

– Komu? – spytałam.

– Boo Radleyowi. Byłaś tak zaintrygowana pożarem, że nawet nie zauważyłaś, kiedy okrył cię kocem.

Żołądek zmienił mi się w wodę i omal nie zwymiotowałam, gdy Jem, trzymając koc w rozpostartych ramionach, zaczął iść w moją stronę.

– Wyśliznął się z domu... odwróć się... podkradł się blisko... i zrobił tak!

– Niech cię to nie zachęca do dalszego bohaterstwa, Jeremy – upomniał go kwaśno Atticus.

Jem skrzywił się.

– Przecież nic mu nie zrobię – powiedział, ale iskra nowej przygody nie zgasła w jego oku. – Pomyśl tylko, Skaucie – dodał po chwili. – Gdybyś się tylko obróciła, zobaczyłabyś go.

Calpurnia obudziła nas w południe. Atticus powiedział, że nie ma sensu iść tego dnia do szkoły, bo po bezsennej nocy i tak niczego się nie nauczymy. Calpurnia zarządziła, że mamy doprowadzić podwórko do porządku.

Kapelusz panny Maudie zastygł zawieszony w cienkiej warstewce lodu, niczym mucha w bryłce bursztynu; sekator znaleźliśmy dopiero po przekopaniu górki błota. Samą pannę Maudie zastaliśmy w jej ogrodzie, zapatrzoną w zmarznięte i osmalone azalie.

– Odnosimy pani rzeczy, panno Maudie – powiedział Jem. – Strasznie nam przykro.

Panna Maudie rozejrzała się dokoła i na jej ustach pojawił się cień dawnego uśmiechu.

– Zawsze chciałam mieć mniejszy dom, Jemie Finchu. Więcej miejsca zostaje na ogród. Pomyślcie tylko... więcej miejsca na moje azalie!

– To pani nie rozpacza, panno Maudie? – spytałam zdumiona. Atticus mówił, że dom był praktycznie całym jej majątkiem.

– Rozpaczać, moje dziecko? Przecież ja nienawidziłam tej starej stodoły! Mnie samą ze sto razy kusiło, żeby podłożyć tu ogień... tylko że by mnie za to zamknęli.

– Ależ...

– Nie martw się o mnie, Jean Louise Finch. Istnieją sposoby załatwiania spraw, o których nie masz jeszcze pojęcia. Wybuduję sobie mały domek, przyjmę paru sublokatorów i, na miłość boską, będę miała najpiękniejszy

ogródek w całej Alabamie. Bellingrathowie wypadną blado, kiedy zabiorę się do dzieła!

Spojrzeliśmy z Jemem po sobie.

– A skąd ten pożar, panno Maudie?

– Sama nie wiem, Jem. Pewnie z przewodu kominowego w kuchni. Napaliłam tam na noc, żeby mi rośliny doniczkowe nie pomarzły. Słyszałam, panno Jean Louise, że miałaś tej nocy niespodziewane towarzystwo?

– A skąd?

– Atticus mi powiedział, idąc rano do miasta. Szczerze mówiąc, żałuję, że nie byłam przy tobie. Pewnie intuicja kazałaby mi się odwrócić.

Panna Maudie nie przestawała mnie zdumiewać. Straciła większość swego dobytku i swój ukochany ogród, a mimo to tak szczerze interesowała się moimi i Jema sprawami.

Zdaje się, że zauważyła moje zmieszanie, bo dodała:

– Martwiłam się wczoraj tylko o to, jak niebezpieczna dla innych jest sytuacja i jakie powstało zamieszanie. Cała dzielnica mogła pójść z dymem. Pan Avery spędzi w łóżku dobry tydzień, nieźle się poobijał. Za stary jest na takie ewolucje i oczywiście już mu to powiedziałam. Gdy tylko domyję ręce i Stephanie Crawford nie będzie patrzeć, upiekę mu ciasto. Stephanie od trzydziestu lat próbuje wykraść mi przepis, ale jeśli myśli, że dostanie go tylko dlatego, że u niej pomieszkuję, to lepiej niech pomyśli o czymś innym.

Przemknęło mi przez głowę, że nawet gdyby panna Maudie pękła i zdradziła przepis, panna Stephanie i tak nie mogłaby z niego skorzystać. Kiedyś dane mi było zobaczyć, że wśród innych ingrediencji potrzebna była duża szklanka cukru.

Dzień jeszcze się nie skończył. Powietrze było tak zimne i czyste, że słyszeliśmy rzężenie i klekot zegara na wieży sądu, gdy szykował się do wybicia godziny. Nos panny Maudie miał niecodzienną barwę. Nie omieszkałam o to zapytać.

– Jestem tu od szóstej rano – powiedziała. – Dziwne, że jeszcze nie zamarzłam – wyjaśniła, unosząc ręce. Jej dłonie pocięte były siatką drobniutkich linii wypełnionych brudem i zaschniętą krwią.

– Zniszczyła pani sobie ręce – zauważył Jem. – Dlaczego nie wzięła pani kolorowego do pomocy? – Po chwili, bez krzty wymuszonego poświęcenia w głosie dodał: – Albo Skauta i mnie. Przecież możemy pomóc.

– Dziękuję, mój panie – odparła panna Maudie. – Ale wy macie własną robotę do wykonania – dodała, wskazując na nasze podwórko.

– Ma pani na myśli Hermafrodytę? – spytałam. – Kurczę, możemy go zgrabić raz-dwa.

Panna Maudie popatrzyła na mnie z góry, bezgłośnie poruszając ustami, a potem nagle przycisnęła dłonie do twarzy i zakaszlała. Gdy odchodziliśmy, wciąż jeszcze chichotała.

Jem powiedział, że nie wie, co jej się stało – taka już była nasza panna Maudie.

# Rozdział 9

Lepiej to cofnij, chłopcze!

Rozkaz ten, który wydałam Cecilowi Jacobsowi, był początkiem marnych czasów dla mnie i dla Jema. Czekałam z zaciśniętymi pięściami, gotowa do walki. Atticus dał mi słowo, że osobiście mnie zamęczy, jeśli kiedykolwiek usłyszy, że znowu się biłam; byłam za duża na tak dziecinne zachowania. Im szybciej nauczę się panować nad sobą, mówił, tym lepiej dla wszystkich. Szybko o tym zapomniałam.

Cecil Jacobs sprawił, że zapomniałam. Dzień wcześniej ogłosił na szkolnym boisku, że tatuś Skauta Fincha broni czarnuchów. Zaprzeczyłam, ale powiedziałam o wszystkim Jemowi.

– Co on chciał przez to powiedzieć? – spytałam.

– Nic – odparł Jem. – Spytaj Atticusa, to ci powie.

– Bronisz czarnuchów, Atticusie? – spytałam wieczorem.

– Oczywiście, że bronię. Ale nie mów „czarnuch”, Skaucie. To pospolite słowo.

– Tak właśnie mówią w szkole.

– Od tej pory będą tak mówić wszyscy oprócz jednej osoby.

– Skoro nie chcesz, żebym dorastała, używając takich słów, to po co posyłasz mnie do szkoły?

Ojciec spojrzał na mnie łagodnie, z lekkim rozbawieniem.

Mimo naszego kompromisu moja kampania unikania szkoły trwała w różnych formach od pierwszego dnia nauki. Na samym początku września skarżyłam się między innymi na osłabienie, zawroty głowy

i łagodne dolegliwości gastryczne. Posunęłam się nawet do tego, że zapłaciłam pięć centów za przywilej potarcia głową o głowę syna kucharki panny Rachel, szczęśliwego posiadacza dorodnej grzybicy. Nie zaraziłam się.

Teraz jednak mogłam uderzyć z innej strony.

– Czy wszyscy prawnicy bronią cza... Murzynów, Atticusie?

– Oczywiście, że tak.

– To dlaczego Cecil mówi, że ty to robisz? W jego ustach brzmiało to tak, jakbyś pędził bimber.

Atticus westchnął.

– Tak się składa, że bronię pewnego Murzyna, Toma Robinsona. Mieszka w tej małej osadzie za wysypiskiem miejskim. Chodzi do tego samego kościoła co Calpurnia, która zresztą dobrze zna jego rodzinę i twierdzi, że to porządni ludzie. Skaucie, jesteś jeszcze za mała, żeby zrozumieć niektóre rzeczy, ale w mieście mówi się, że nie powinienem bronić tego człowieka zbyt zażarcie. To dość dziwna sprawa. Proces zacznie się dopiero w sesji letniej. John Taylor był tak miły, że zgodził się na odroczenie...

– Skoro nie powinieneś go bronić, to dlaczego to robisz?

– Z kilku powodów – odparł Atticus. – Głównym jest to, że gdybym tego nie zrobił, nie mógłbym chodzić po mieście z podniesionym czołem, nie mógłbym reprezentować tego hrabstwa w legislaturze, nie mógłbym nawet zabraniać tobie i Jemowi pewnych rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że gdybyś go nie bronił, nie musielibyśmy z Jemem ciebie słuchać?

– Mniej więcej.

– Dlaczego?

– Bo nie mógłbym tego wymagać. Skaucie, tak to jest w moim rzemiośle, że każdy prawnik co najmniej raz w życiu dostaje sprawę, która dotyka go osobiście. Zdaje się, że właśnie na taką trafiłem. Możliwe, że usłyszysz o niej coś złego, ale proszę, zrób dla mnie jedno: trzymaj głowę wysoko, a pięści nisko. Bez względu na to, co ci powiedzą, nie daj się sprowokować. Spróbuj dla odmiany powalczyć głową... bo głowę masz nie najgorszą, choć oporną na naukę.

– Atticusie, czy my wygramy tę sprawę?

– Nie, skarbie.

– Więc dlaczego...

– To, że sto lat temu dostaliśmy łupnia, nie oznacza, że nie możemy znowu powalczyć o zwycięstwo – odparł Atticus.

– Mówisz jak kuzyn Ike Finch – zauważyłam.

Kuzyn Ike Finch był ostatnim żywym weteranem konfederatą w całym hrabstwie Maycomb. Nosił brodę w stylu generała Hooda, z której był niezmiernie dumny. Co najmniej raz w roku Atticus zabierał nas w odwiedziny do niego i wtedy wypadało kuzyna pocałować – coś okropnego. Jem i ja słuchaliśmy z szacunkiem, jak Atticus i kuzyn Ike odkurzają wojenne sprawy.

– Mówię ci, Atticusie – argumentował kuzyn Ike – że rozłożyło nas uchwalenie Kompromisu Missouri, ale gdybym miał przejść przez to jeszcze raz, zrobiłbym to krok za krokiem dokładnie tak samo, w tę i z powrotem, tylko że tym razem dokopalibyśmy im... Bo w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym, gdy Stonewall Jackson przybył... O, przepraszam was, młodzieży... Blue Light był już na pewno w niebie, Panie, świeć nad jego duszą...

– Chodź do mnie, Skaucie – powiedział Atticus. Wdrapałam mu się na kolana i ułożyłam głowę pod jego podbródkiem. Otoczył mnie ramionami

i łagodnie zakołysał. – Tym razem jest inaczej. Nie walczymy z Jankesami, tylko z naszymi przyjaciółmi. Pamiętaj jednak: bez względu na to, jak gorzki będzie to bój, oni wciąż będą naszymi przyjaciółmi i wciąż tutaj będzie nasz dom.

Z tą myślą stanęłam następnego dnia naprzeciwko Cecila Jacobsa na szkolnym boisku.

– Odwołasz to, chłopcze?

– Spróbuj mnie zmusić! – wrzasnął. – Moi rodzice powiedzieli, że twój tata przynosi nam hańbę, a tego czarnucha powinni powiesić na wieży ciśnień!

Uniosłam ręce, a potem przypomniałam sobie słowa Atticusa, rozluźniłam pięści i odeszłam.

– Skaut tchóóórz! – dźwięczało mi w uszach. Pierwszy raz w życiu ustąpiłam bez walki.

Jakoś czułam, że zawiodłabym Atticusa, gdybym pobiła się z Cecilem. Ojciec tak rzadko prosił mnie i Jema o cokolwiek, że naprawdę mogłam to dla niego zrobić: znieść to, że ktoś nazywa mnie tchórzem. Czułam się niezmiernie szlachetna, bo pamiętałam, i pozostałam szlachetna przez trzy tygodnie. A potem nadeszły święta Bożego Narodzenia i wydarzyła się katastrofa.

Święta wywoływały w nas mieszane uczucia. Z jednej strony cieszyliśmy się z Jemem z choinki i wizyty wujka Jacka Fincha. Zawsze w Wigilię odbieraliśmy go ze stacji i gościliśmy przez tydzień.

Niestety, drugą stronę medalu zdobiły surowe oblicza cioci Alexandry i Francisa.

Może powinnam też wymienić wujka Jimmy’ego, męża cioci Alexandry, ale w całym moim życiu nie powiedział do mnie ani słowa, jeśli

nie liczyć jednego jedynego zdania „Zejdź z płotu”, więc w zasadzie nie ma sensu zwracać na niego uwagi. Ciocia Alexandra na przykład nie zwraca. Kiedyś w erupcji przyjacielskich uczuć powołali do życia syna Henry’ego, który opuścił dom rodzinny tak szybko, jak było to możliwe, ożenił się i miał syna Francisa. Co roku na Boże Narodzenie Henry i jego żona oddawali Francisa w ręce dziadków, by w spokoju rozkoszować się przyjemnościami życia.

Żadna dawka ciężkiego wzdychania nie przekonała nigdy Atticusa, abyśmy spędzili dzień świąteczny w domu. Jeździliśmy do Finch’s Landing na każde Boże Narodzenie, odkąd tylko sięgam pamięcią. Ciotunia była niezłą kucharką, niewielka to jednak pociecha w obliczu przymusu spędzenia święta religijnego w towarzystwie Francisa Hancocka. Był o rok starszy ode mnie i unikałam go z zasady, ponieważ lubił wszystko, czego ja nie pochwalałam, a nie lubił moich niewinnych psot.

Ciocia Alexandra była siostrą Atticusa, ale odkąd Jem opowiedział mi o podmienianych noworodkach, byłam zdania, że zostali zamienieni zaraz po przyjściu na świat i że tak naprawdę dziadkom przyszło wychowywać Crawforda, nie Fincha. Gdybym podzielała obsesyjną skłonność prawników i sędziów do mistycznego postrzegania gór, ciocia Alexandra byłaby czymś w rodzaju Mount Everestu: przez całe moje dzieciństwo trwała niezmiennie, zimna i nieprzystępna.

Gdy wujek Jack wyskoczył z pociągu w wigilię Bożego Narodzenia, musieliśmy jeszcze zaczekać, aż tragarz przyniesie mu dwa długie pakunki. Zawsze bawiło mnie i Jema to, że wujek Jack cmoka Atticusa w policzek; byli jedynymi całującymi się mężczyznami, jakich kiedykolwiek widzieliśmy. Tym razem uścisnął dłoń Jema, a mnie podniósł wysoko, ale nie za bardzo. Był o głowę niższy od Atticusa i młodszy od cioci Alexandry.

Był zresztą do niej podobny, tyle że robił lepszy użytek ze swej twarzy i nigdy nie baliśmy się jego ostrego nosa i podbródka.

Był jednym z niewielu ludzi nauki, którzy mnie nie przerażali, zapewne dlatego, że nie zachowywał się jak typowy lekarz. Gdy wykonywał drobne zabiegi na mnie czy na Jemie, dokładnie mówił nam, co robi, i oceniał, jakiego bólu możemy się spodziewać. Wyjaśniał też, jak długo może potrwać dana dolegliwość oraz do czego przeznaczone jest każde z używanych narzędzi. Kiedyś na święta, gdy chowałam się po kątach z zakrzywioną drzazgą w stopie, nie dopuszczając nikogo do siebie, złapał mnie wreszcie wujek Jack. Rozśmieszał mnie opowieścią o kaznodziei, który tak bardzo nie cierpiał chodzić do kościoła, że codziennie stawał w koszuli nocnej przy furtce i paląc fajkę, wygłaszał pięciominutowe kazania dla przechodniów, którzy potrzebowali duchowego wsparcia. Przerwałam mu w końcu, żeby powiedzieć, że ma mnie uprzedzić, zanim zacznie zabieg, a wtedy on uniósł pincetę, w której ściskał zakrwawioną drzazgę. Powiedział, że wyrwał ją, kiedy się śmiałam, i że to się nazywa względność.

– Co jest w tych paczkach? – spytałam go, wskazując na długie i wąskie pakunki, które przyniósł mu tragarz.

– Nie twój interes – odparł.

– A jak się miewa Rose Aylmer? – spytał Jem.

Rose Aylmer była piękną, płową kocicą wujka Jacka. Jak mówił, spośród wszystkich istot płci żeńskiej tylko z nią mógł się związać na stałe. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął kilka zdjęć, które obejrzeliśmy z podziwem.

– Tyje – stwierdziłam.

– Wcale mnie to nie dziwi. Zjada wszystkie niepotrzebne palce i uszy ze szpitala.

– O cholera, a to historia – powiedziałam.

– Co takiego?

– Nie zwracaj na nią uwagi, Jack – wtrącił Atticus. – Testuje cię. Cal mówi, że słyszy te przekleństwa od tygodnia, bez przerwy.

Wujek Jack uniósł brwi i nic już nie powiedział. A ja po prostu postępowałam w zgodzie z mętną teorią, że – pomijając oczywistą atrakcyjność tego rodzaju słownictwa – jeśli Atticus odkryje, że zasłyszałam wszystkie te przekleństwa w szkole, nie będzie mnie zmuszał, żebym tam chodziła.

Jednak podczas kolacji, gdy poprosiłam o „tę cholerną szynkę”, wujek Jack wskazał na mnie palcem i powiedział:

– Zobaczymy się po posiłku, młoda damo.

Gdy skończyliśmy, wujek Jack wyszedł do salonu, usiadł i złączył nogi, żebym mogła usiąść mu na kolana. Lubiłam jego zapach; przywodził na myśl butelkę alkoholu z dodatkiem czegoś przyjemnie słodkiego. Wujek odgarnął mi grzywkę i powiedział:

– Bardziej przypominasz Atticusa niż matkę – powiedział. – I trochę już wyrastasz z portek.

– Moim zdaniem, leżą jak ulał.

– Podobają ci się takie słowa jak „cholera” albo „do diabła”, co?

Odrzekłam, że chyba tak.

– A mnie nie. Chyba że są wynikiem bardzo mocnej prowokacji. Spędzę tu tydzień i w tym czasie nie chcę więcej słyszeć takich słów. Skaucie, wpakujesz się w poważne kłopoty, jeśli będziesz wyrażać się w taki sposób. Chyba chcesz wyrosnąć na damę?

Odpowiedziałam, że nieszczególnie.

– Ależ oczywiście, że chcesz. A teraz chodź, zajmiemy się choinką.

Ubieraliśmy ją, aż przyszła pora snu. Śniły mi się tamtej nocy te dwa podłużne pakunki – dla Jema i dla mnie. Rankiem zaraz się do nich dobraliśmy. Tak naprawdę były to prezenty od Atticusa, który napisał do wujka Jacka, żeby kupił dla nas dokładnie to, o co prosiliśmy.

– Tylko nie celujcie do niczego w domu – powiedział Atticus, gdy Jem wziął na muszkę wiszący na ścianie obrazek.

– Będziesz musiał nauczyć ich strzelać – odezwał się wujek Jack.

– To twoje zadanie – odparł Atticus. – Ja tylko pogodziłem się z tym, co i tak było nieuniknione.

Potrzeba było tego głosu, którym Atticus posługuje się w sądzie, by odciągnąć nas spod choinki. Ojciec nie pozwolił nam jednak zabrać wiatrówek do Landing (zastanawiałam się już dość poważnie nad zastrzeleniem Francisa) i powiedział, że wystarczy jeden nasz fałszywy krok i zabierze nam broń na zawsze.

Finch’s Landing to trzysta sześćdziesiąt sześć stopni w dół stromego brzegu, zakończone przystanią. Nieco dalej w dół rzeki zachowały się jeszcze ślady dawnego nabrzeża, gdzie Murzyni Finchów ładowali bawełnę, a wyładowywali bloki lodu, mąkę, cukier, sprzęt rolniczy i kobiece stroje. Koleiny znaczyły ślad drogi, która zaczynała się na brzegu rzeki i nikła w cieniu drzew. Na końcu drogi stał piętrowy biały dom z werandami na obu kondygnacjach i ze wszystkich stron. Wybudował go nasz przodek, sędziwy już wówczas Simon Finch, spełniając kaprys zrzędliwej żony. Na werandach jednak kończyło się podobieństwo tego domu do innych budowli z epoki. Wnętrze domu Finchów było odbiciem prostolinijnego charakteru Simona oraz absolutnego zaufania, jakim darzył potomstwo.

Na piętrze mieściło się sześć sypialń, cztery dla ośmiu córek, jedna dla Welcome’a Fincha, jedynego syna, oraz jedna dla krewnych

przybywających z wizytą. Byłoby to całkiem proste, gdyby nie to, że do pokojów córek można było wejść tylko jedną klatką schodową, a do pokojów Welcome'a i gości – wyłącznie drugą. Drzwi wiodące na Schody Córek znajdowały się na parterze w sypialni rodziców i dlatego Simon zawsze wiedział, o jakiej porze dnia czy nocy jego dziewczęta wychodzą i wracają do domu.

Kuchnię, całkiem oddzieloną od reszty domu, łączył z nim drewniany pomost. Na tyłach budynku stała tyczka z zardzewiałym dzwonem, używanym do przyzywania robotników z pola albo jako sygnał alarmowy. Na dachu domu znajdował się tak zwany wdowi balkon, na którym nikt nigdy żadnych wdów nie widział; to właśnie stamtąd Simon nadzorował nadzorcę, obserwował barki rzeczne i podglądał życie posiadaczy ziemskich z sąsiedztwa.

Z domem wiązała się oczywiście typowa legenda o Jankesach: jedna z kobiet z rodu Finchów, właśnie zaręczona, nosiła na sobie całą swą wyprawę ślubną, by ocalić ją przed grasującymi w okolicy najeźdźcami. Podobno utknęła w drzwiach wiodących na Schody Córek i udało się ją przepchnąć dalej, dopiero gdy została zlana wodą.

Gdy przybyliśmy do Landing, ciocia Alexandra ucałowała wujka Jacka, Francis ucałował wujka Jacka, wujek Jimmy w milczeniu uścisnął rękę wujka Jacka, Jem i ja daliśmy prezenty Francisowi i wreszcie Francis dał nam prezent. Jem czuł się na tyle duży, że wolał towarzystwo dorosłych, a to oznaczało, że ja mam zabawiać kuzyna. Francis miał osiem lat i gładko zaczesane do tyłu, przylizane włosy.

– Co dostałeś pod choinkę? – spytałam uprzejmie.

– To, o co prosiłem – odparł. A prosił o parę krótkich spodni, czerwoną skórzaną torbę na książki, pięć koszul i nie zawiązaną muszkę.

– Jak miło – skłamałam. – My dostaliśmy wiatrówki. Jem dostał też zestaw chemiczny...

– Pewnie zabawkowy.

– Nie, prawdziwy. Zrobi dla mnie atrament sympatyczny. Napiszę nim list do Dilla.

Francis był ciekaw, po co zamierzam to zrobić.

– Nie umiesz wyobrazić sobie jego miny, kiedy dostanie ode mnie list, który będzie wyglądał jak czysta kartka? Dostanie szału.

Rozmawiając z Francisem, czułam się tak, jakbym powolutku opadała na dno oceanu. Był najnudniejszym dzieciakiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jako że mieszkał w Mobile, nie mógł donosić na mnie dyrekcji szkoły, za to bez skrupułów dzielił się wszystkim, co usłyszał, z ciocią Alexandrą, ona zaś wywnętrzała się przed Atticusem, który albo zapominał o wszystkim, albo fundował mi istne piekło, w zależności od humoru. Faktem jest jednak, że tylko raz w życiu słyszałam, jak Atticus zwraca się do kogoś naprawdę ostro, a było to wtedy, gdy powiedział:

– Siostro, staram się ich wychować, jak umiem najlepiej!

Zdaje się, że chodziło wówczas o mój ubiór: wciąż chodziłam w ogrodniczkach.

Ciocia Alexandra miała lekką manię na punkcie mojego stroju. Nie miałam szans stać się damą, skoro nosiłam bryczesy. Gdy powiedziałam, że w sukience nic nie mogłabym robić, dowiedziałam się, że w zasadzie nie powinnam robić tych rzeczy, które zwykle robi się w spodniach. Według cioci Alexandry powinnam była spędzać czas na zabawie miniaturowymi kuchenkami, serwisami do herbaty, nosząc przy tym sznur pereł, który dostałam od niej, gdy się urodziłam. Co więcej, powinnam też być promieniem słońca rozświetlającym samotne życie mojego ojca. Zasugerowałam, że w spodniach też można być promieniem słońca, ale

ciotunia twierdziła, że przede wszystkim należy zachowywać się jak promień słońca, a ja, choć urodziłam się dobra, z roku na rok staję się coraz gorsza. Uraziła mnie wtedy i zraziła do siebie na dobre, ale gdy spytałam Atticusa, o co jej chodzi, odpowiedział, że wystarczy już słonecznych promieni w naszej rodzinie i że powinnam zająć się swoimi sprawami; nie miał żadnych zastrzeżeń do tego, jak wyglądam.

Podczas świątecznego obiadu siedziałam przy małym stoliku w jadalni; Jem i Francis zajęli miejsca wraz z dorosłymi. Ciocia izolowała mnie jeszcze długo po tym, jak Jem i Francis zaczęli jadać przy dużym stole. Często zastanawiałam się, co jej zdaniem, miałabym spsocić – wstać i rzucić czymś? Czasem myślałam, że może powinnam spytać, czy choć raz pozwoliłaby mi zasiąść przy dużym stole wraz z pozostałymi. Udowodniłabym jej, jak cywilizowaną osobą potrafię być; w końcu w domu jadałam przy stole codziennie i nic wielkiego się nie działo. Gdy błagałam Atticusa, żeby użył swoich wpływów, odparł, że ich nie ma – byliśmy tu tylko gośćmi i siadaliśmy tam, gdzie nas posadziła gospodyni. Atticus dodał jeszcze, że ciocia Alexandra nie bardzo rozumie dziewczynki, bo sama nie ma córki.

Wszystko to jednak wynagradzało nam jej gotowanie: trzy rodzaje mięs, letnie warzywa wprost z półek spiżarni, marynowane brzoskwinie, dwa rodzaje ciasta oraz ambrozja składały się na skromny obiad świąteczny. Po posiłku cokolwiek oszołomieni dorośli zasiedli w salonie, Jem położył się na podłodze, a ja poszłam na podwórko.

– Płaszczyk włóż – rzucił Atticus na tyle sennie, że mogłam udać, że nic nie słyszałam.

Francis przysiadł obok mnie na schodkach za domem.

– Takich pyszności jeszcze nie było – stwierdziłam.

– Babcia cudownie gotuje – zgodził się Francis. – Nauczy mnie.

– Chłopaki nie gotują – odpowiedziałam i zachichotałam na myśl o Jemie w kuchennym fartuszku.

– Babcia twierdzi, że wszyscy mężczyźni powinni umieć gotować, a także że powinni dbać o swoje żony i zawsze czekać, gdy one nie czują się najlepiej – dodał mój kuzyn.

– A ja nie chcę, żeby Dill na mnie czekał – powiedziałam. – To ja wolałabym czekać na niego.

– Dill?

– Tak. Nie mów o tym jeszcze nikomu, ale pobieramy się, gdy tylko będziemy wystarczająco duzi. Zeszłego lata poprosił mnie o rękę.

Francis mnie wyśmiał.

– Co masz przeciwko niemu? – spytałam. – On jest całkiem w porządku.

– Mówisz o tym kurduplu, który według babci mieszka w każde wakacje u panny Rachel?

– Właśnie o nim.

– Wiem o nim wszystko – oświadczył Francis.

– Niby co?

– Babcia mówi, że on nie ma domu...

– Właśnie że ma, w Meridian.

– ...i że błąka się od krewnych do krewnych, a każdego lata ląduje u panny Rachel.

– Francis, to nieprawda!

Wyszczerzył się do mnie.

– Jean Louise, czasem jesteś strasznie głupia. No, ale widocznie na więcej cię nie stać.

– Co to miało znaczyć?

– Skoro wujek Atticus pozwala wam włóczyć się z bezpańskimi psami, to jego sprawa i, jak mówi babcia, nie twoja wina. I raczej nie jest twoją winą, że wujek Atticus stał się miłośnikiem czarnuchów, ale mogę ci powiedzieć, że rodzina jest zażenowana....

– Francis, co ty, u diabła, wygadujesz?

– To, co słyszałaś. Babcia mówi, że nie dość, że wam daje za dużo swobody, to jeszcze teraz, gdy tak pokochał tych swoich czarnuchów, w ogóle nie możemy się pokazać na ulicach Maycomb. Niszczy naszą rodzinę, ot co!

Francis wstał i popędził kładką do starej kuchni. Z bezpiecznej odległości zawołał jeszcze:

– Kochaś czarnuchów, nic więcej!

– Nieprawda! – ryknęłam – Nie wiem, o czym mówisz, ale dobrze ci radzę: natychmiast przestań!

Zeskoczyłam ze schodów i puściłam się sprintem po kładce. Łatwo było capnąć Francisa za kołnierz. Kazałam mu cofnąć to, co powiedział.

Wyrwał się i wbiegł do starej kuchni.

– Kochaś czarnuchów! – wrzasnął.

Gdy trzeba podejść zwierzynę, najlepiej czynić to bez pośpiechu. Nie musiałam nawet się odzywać; prędzej czy później Francis musiał wyjrzeć zaciekawiony. Po chwili stanął w kuchennych drzwiach.

– Jeszcze się gniewasz, Jean Louise? – spytał niepewnie.

– Nie ma o czym mówić – odparłam.

Wyszedł na kładkę.

– Cofniesz, co powiedziałeś, Fraaancis?

Za wcześnie zaatakowałam. Francis zwiał do kuchni, a ja wycofałam się na stopnie. Umiałam czekać cierpliwie. Minęło może pięć minut, gdy

usłyszałam głos cioci Alexandry.

– Gdzie Francis?

– Jest tam, w kuchni.

– Wie, że nie wolno mu się tam bawić.

Francis stanął w drzwiach i zawołał:

– Babciu, ona mnie tu zapędziła i nie pozwala wyjść!

– O co tu chodzi, Jean Louise?

Zadarłam głowę i spojrzałam na ciocię Alexandrę.

– Wcale go nie zapędziłam, ciociu, i wcale go tam nie trzymam.

– A właśnie, że trzyma! – krzyknął Francis. – I nie wypuszcza!

– Kłóciliście się?

– Jean Louise się na mnie wściekła, babciu.

– Francis, wyjdź stamtąd w tej chwili! Jean Louise, jeśli usłyszę jeszcze jedno twoje słowo, poskarżę twojemu ojcu. Czy dobrze mi się zdawało, że słyszałam przed chwilą, jak mówisz „u diabła”?

– Nie.

– A ja myślę, że tak. Lepiej, żebym więcej tego nie usłyszała.

Ciocia Alexandra najwyraźniej lubiła podsłuchiwać gankowe rozmowy. Gdy tylko zniknęła mi z oczu, Francis wylazł z kuchni, z wysoko uniesioną głową i uśmiechem od ucha do ucha.

– Lepiej ze mną nie zadzieraj – powiedział.

Zeskoczył na podwórze i wciąż trzymając bezpieczny dystans, zaczął kopać kępy trawy, od czasu do czasu spoglądając na mnie z uśmiechem. Jem pojawił się na ganku, spojrzał na nas i oddalił się. Francis wdrapał się na mimozę, zszedł zaraz na ziemię, wbił ręce w kieszenie i zaczął się przechadzać po podwórzu.

– Ha! – zawołał.

Zapytałam, za kogo się uważa, może za wujka Jacka? Francis najwyraźniej uznał, że dostałam poważną reprymendę, skoro tak siedzę i nie próbuję go ścigać.

– Ja ci nie dokuczam – powiedziałam.

Spojrzał na mnie z uwagą, uznał, że dostatecznie już spokorniałam, i zanucił cichutko:

– Kochaś czarnuuuchów...

Tym razem rozwaliłam sobie pięść aż do kości na jego przednich zębach. Wobec kontuzji lewego, zaczęłam okładać go prawym kułakiem, ale nie trwało to długo. Wujek Jack pochwycił mnie za ramiona i zawołał:

– Stój spokojnie!

Ciocia Alexandra zaraz zajęła się Francisem. Otarła mu łzy własną chusteczką, przygładziła włosy i poklepała po policzku. Jego wrzaski zwabiły na werandę za domem wujka Jimmy’ego, Atticusa i Jema.

– Kto zaczął? – spytał wujek Jack.

Wskazaliśmy z Francisem na siebie nawzajem.

– Babciu – zawył – ona mnie nazwała kurwą i rzuciła się na mnie!

– Skaucie, czy to prawda?

– Chyba.

Kiedy wujek Jack na mnie spojrzał, z twarzy bardzo przypominał ciocię Alexandrę.

– Pamiętasz jeszcze, że wróżyłem ci poważne kłopoty, jeśli nie przestaniesz używać takich słów, prawda?

– Tak, wuju, ale...

– I właśnie to są te kłopoty. Nie ruszaj się stąd.

Rozważanie, czy uciec natychmiast, czy jeszcze zostać, kosztowało mnie odrobinę za wiele czasu. Odwróciłam się, gotowa do ewakuacji, lecz

wujek Jack był szybszy. Chwilę później patrzyłam już z bliska na maleńką mrówkę zmagającą się z okruchem chleba w trawie.

– Nigdy więcej nie odezwę się do ciebie! Nienawidzę cię, gardzę tobą i mam nadzieję, że jutro umrzesz!

Zdaje się, że ta deklaracja bardziej niż inne słowa zachęciła go do działania.

Pobiegłam do Atticusa, szukać u niego pocieszenia, ale usłyszałam tylko, że zbierało mi się od dawna i że najwyższy czas wracać do domu. Nie pożegnawszy się z nikim, ulokowałam się na tylnym siedzeniu samochodu, a gdy dotarliśmy do domu, pobiegłam do swojego pokoju i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Jem usiłował powiedzieć mi coś miłego, ale mu nie pozwoliłam.

Gdy przyjrzałam się uszczerbkom cielesnym, okazało się, że to ledwie siedem czy osiem czerwonawych śladów, i właśnie rozmyślałam nad kwestią względności, gdy ktoś zapukał. Zapytałam, kto to, i odpowiedział mi wujek Jack.

– Precz!

Wujek Jack powiedział, że znowu da mi lanie, jeśli będę tak mówić, więc milczałam. Gdy wszedł do pokoju, wycofałam się do kąta i odwróciłam plecami.

– Skaucie – zagadnął – nadal mnie nienawidzisz?

– Wujku, proszę cię, odejdź.

– Nie sądziłem, że będziesz miała coś przeciwko mnie – odparł. – I trochę się na tobie zawiodłem, bo przecież dobrze wiesz, że należało ci się.

– Nieprawda.

– Skarbie, nie możesz tak sobie przezywać ludzi...

– Nie jesteś fair – przerwałam mu. – Nie jesteś fair.

Brwi wujka Jacka uniosły się.

– Nie fair? Jak to?

– Jesteś bardzo miły, wujku Jacku, i chyba kocham cię nawet po tym, co zrobiłeś, ale nie za bardzo rozumiesz dzieci.

Wujek Jack oparł dłonie na biodrach i spojrzał na mnie z góry.

– Niby dlaczego nie za bardzo rozumiem dzieci, panno Jean Louise? Takie postępowanie jak twoje dziś nie wymaga wielkiego zrozumienia. Kłótliwość, nieposłuszeństwo, przemoc...

– A dasz mi szansę, wujku, żebym mogła ci coś opowiedzieć? Nie chcę robić ci wyrzutów, tylko coś przekazać.

Wujek Jack przysiadł na łóżku i popatrzył na mnie spod ściągniętych brwi.

– Opowiadaj – rzekł.

Wzięłam głęboki wdech.

– Po pierwsze, w ogóle nie dałeś mi szansy przedstawienia wydarzeń od mojej strony, tylko od razu na mnie naskoczyłeś. Kiedy kłócę się z Jemem, nigdy nie jest tak, że Atticus słucha tylko jego relacji. Mojej też słucha. Po drugie, mówiłeś mi, że nie wolno używać brzydkich słów, chyba że wobec bardzo mocnej prowokacji. I właśnie Francis sprowokował mnie tak, że powinnam mu łeb urwać...

Wujek Jack podrapał się po głowie.

– Jak zatem wygląda rzecz od twojej strony, Skaucie?

– Francis tak przezwał Atticusa, że nie mogłam puścić mu tego płazem.

– Jak go przezwał?

– „Kochaś czarnuchów”. Nie wiem za bardzo, co to znaczy, ale z tego, jak Francis to mówił... Powiem ci jedno, wujku Jacku, prędzej mnie diab...

to znaczy: przysięgam na Boga, że nie będę siedzieć i wysłuchiwać takich rzeczy o Atticusie.

– Naprawdę tak go przezwał?

– Tak jest, i nie tylko. Powiedział też, że Atticus niszczy rodzinę, a Jem i ja biegamy samopas...

Obserwując wyraz twarzy wujka Jacka, pomyślałam, że znowu mi się dostanie, ale gdy odpowiedział: „Jeszcze zobaczymy...”, wiedziałam, że w tarapatach znalazł się Francis.

– Jestem w odpowiednim nastroju, żeby wybrać się tam jeszcze dziś.

– Proszę cię, wujku, odpuść mu. Proszę.

– Nie mam najmniejszego zamiaru – odparł. – Alexandra powinna się o tym dowiedzieć. Sama myśl, że... Niech ja tylko dorwę tego chłopaka w swoje ręce...

– Wujku Jacku, proszę cię, obiecaj mi coś. Obiecaj, że nie powiesz o tym wszystkim Atticusowi. On... on prosił mnie kiedyś, żebym się nie wściekała, cokolwiek usłyszę na jego temat. Wolałabym, żeby myślał, że pobiliśmy się z innego powodu... Proszę, obiecaj mi...

– Nie chcę, żeby Francisowi uszła ta sprawa na sucho.

– Nie uszła. Może mógłbyś mi opatrzyć rękę? Jeszcze trochę krwawi.

– Oczywiście, kochanie. Nie znam żadnej ręki, którą chciałbym opatrzyć bardziej niż twoją. Tędy proszę.

Wujek Jack skłonił się z gracją, wskazując na łazienkę. Oczyszczając i bandażując rankę na mojej dłoni, zabawiał mnie historyjką o śmiesznym, wiekowym dżentelmenie cierpiącym na krótkowzroczność, który miał kota imieniem Hodge i który liczył wszystkie szpary w chodniku, kiedy szedł do miasta.

– Widzę, że będziesz miała całkiem nie pasującą damie bliznę na palcu, na którym nosi się obrączkę.

– Dziękuję. Wujku Jacku?

– Tak, proszę panienki?

– Co to jest kurwa?

Wujek Jack natychmiast zaczął snuć kolejną historię, tym razem o starym premierze, który zasiadał w Izbie Gmin i dmuchaniem starał się utrzymać w powietrzu piórka, podczas gdy wszyscy inni wokół tracili głowy. Przypuszczam, że usiłował odpowiedzieć na moje pytanie, ale wychodziło mu to całkiem bezsensownie.

Nieco później, gdy miałam już leżeć w łóżku, a wymknęłam się z pokoju, żeby napić się wody, usłyszałam dobiegającą z salonu rozmowę Atticusa z wujkiem Jackiem:

– Nigdy się nie ożenię, Atticusie.

– Dlaczego?

– Bo jeszcze miałbym dzieci.

– Musisz się wiele nauczyć, Jack.

– Wiem. Dziś po południu twoja córka dała mi pierwszą lekcję. Powiedziała, że nie za bardzo rozumiem dzieci, i wyjaśniła mi dlaczego. Miała rację, Atticusie. Uświadomiła mi, jak powinienem ją traktować. Wielkie nieba, tak mi przykro, że urządziłem jej scenę.

Atticus zachichotał.

– Zasłużyła sobie na to, więc nie żałuj aż tak bardzo.

Czekałam w napięciu, aż wujek Jack powie Atticusowi o tym, jak sprawa wyglądała od mojej strony, ale nie zrobił tego. Wymruczał tylko:

– To jej słownictwo rodem ze ścian publicznej toalety bywa doprawdy dosadne. Tylko że ona nie rozumie nawet połowy z tego, co mówi. Zapytała mnie, co znaczy „kurwa”.

– I wyjaśniłeś jej?

– Nie, opowiedziałem o lordzie Melbourne.

– Jack! Kiedy dziecko zadaje ci pytanie, musisz odpowiedzieć, na miłość boską. Tylko nie staraj się robić z tego przedstawienia. Dzieci to dzieci, ale potrafią wykryć uniki szybciej niż dorośli. Uniki tylko mącą im w głowach. Nie – dodał mój ojciec po namyśle – dziś po południu zareagowałeś właściwie, ale z niewłaściwego powodu. Używanie brzydkich słów to faza, przez którą przechodzą wszystkie dzieci. Kończy się sama, gdy dziecko zauważa, że nie udaje mu się zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Inaczej jest z wybuchowym temperamentem. Skaut musi się nauczyć panować nad sobą, i to jak najszybciej, zwłaszcza w obliczu tego, co czeka ją w najbliższych miesiącach. Już robi postępy. Jem jest coraz starszy, a ona naśladuje go z coraz lepszym skutkiem. Tyle że czasem jeszcze potrzebuje wsparcia.

– Ale ty, Atticusie, nigdy nie podniosłeś na nią ręki.

– Przyznaję, jak dotąd radziłem sobie jakoś samymi groźbami. Jack, ona naprawdę stara się być posłuszna. Nie udaje jej się to nawet w połowie, ale wciąż próbuje.

– To nie jest odpowiedź – odparł wujek Jack.

– Nie, odpowiedź brzmi: ona wie, że ja wiem, że ona próbuje. Na tym właśnie polega różnica. Martwi mnie tylko to, że już wkrótce oboje z Jemem będą musieli unieść spory ciężar. O rozwagę Jema się nie martwię, ale Skaut jest gotowa skoczyć każdemu do gardła, jeśli stawką będzie jej duma...

Czekałam, aż wujek Jack złamie obietnicę, jednak wciąż tego nie robił.

– Jak zła będzie sytuacja, Atticusie? Jak dotąd nie było okazji, żeby o tym porozmawiać.

– Gorzej być nie może, Jack. Mamy jedynie słowo czarnoskórego przeciwko rodzinie Ewellów. Cały materiał dowodowy sprowadza się do

twierdzenia „zrobiłeś to – nie zrobiłem”. Nie można oczekiwać, że ława przysięgłych przyjmie słowo Toma Robinsona przeciwko słowu Ewellów... znasz w ogóle tę rodzinę?

Wujek Jack odparł, że pamięta, i opisał ją pokrótce.

– Mówisz o poprzednim pokoleniu – stwierdził Atticus. – Ale dzisiejsi Ewellowie są tacy sami.

– Co zatem zamierzasz?

– Zanim zapadnie wyrok, spróbuję wstrząsnąć trochę ławą. Myślę, że podczas apelacji będziemy mieli większe szanse. Ale w tej chwili naprawdę nic więcej nie mogę powiedzieć, Jack. Wiesz, miałem nadzieję, że uda mi się przejść przez życie, nie trafiając na taką sprawę, ale John Taylor wskazał na mnie i powiedział: „Twoja dola”.

– Może przekazałbyś piłkę dalej?

– Jasne. Ale czy sądzisz, że mógłbym wtedy spojrzeć w oczy własnym dzieciom? Równie dobrze jak ja wiesz, co się stanie, Jack. Mam tylko nadzieję i modlę się, żeby Jem i Skaut nie stali się przez to wszystko zgorzkniali, a jeszcze bardziej o to, by nie zarazili się chorobą Maycomb. Dlaczego rozsądni ludzie dostają takiego amoku, kiedy w sprawę zamieszany jest Murzyn? Nie udaję nawet, że to rozumiem... Mam tylko nadzieję, że Jem i Skaut będą szukać odpowiedzi u mnie, a nie słuchać plotek krążących po mieście. I że ufają mi na tyle... Jean Louise?

Włosy zdążyły mi się zjeżyć na głowie, zanim wyjrzałam zza rogu.

– Tak, ojcze?

– Idź do łóżka.

Zwiałam do pokoju i wskoczyłam pod kołdrę. Wujek Jack był kumplem nad kumplami – nie zawiódł mnie. Nie mogłam tylko wydedukować, skąd Atticus wiedział, że podsłuchuję. Dopiero wiele lat później uświadomiłam sobie prawdę: chciał, żebym dokładnie usłyszała każde jego słowo.

# Rozdział 10

Prawie pięćdziesięcioletni Atticus był kruchą istotą. Gdy pytaliśmy go z Jemem, dlaczego jest taki stary, odpowiadał, że późno zaczął; naszym zdaniem, odbiło się to niekorzystnie na jego możliwościach i ogólnej męskości. Był znacznie starszy od rodziców naszych rówieśników i w zasadzie nie mieliśmy powodu, żeby tak jak nasi koledzy mówić o nim: „A mój ojciec to potrafi...”

Jem miał fioła na punkcie futbolu. Atticusowi nie brakło nigdy sił, by wcielać się w rolę obrońcy, ale gdy Jem chciał poćwiczyć grę w zwarciu, Atticus mawiał:

– Za stary na to jestem, synu.

Nie robił właściwie niczego ciekawego. Pracował w biurze, nie w aptece. Nie prowadził wywrotki w służbie komunalnej, nie był szeryfem, nie uprawiał ziemi, nie pracował w warsztacie samochodowym – nie parał się niczym, co mogłoby w kimkolwiek wzbudzić podziw.

A na dokładkę nosił okulary. Na lewe oko był prawie ślepy; mówił nam, że słabość lewego oka to plemienna klątwa Finchów. Zawsze, gdy chciał się czemuś dobrze przyjrzeć, obracał głowę i spoglądał prawym okiem.

Nie spędzał wolnego czasu tak, jak czynili to ojcowie naszych szkolnych kolegów: nigdy nie polował, nie grywał w pokera, nie łowił ryb, nie pił i nie palił. Siedział w salonie i czytał.

Mimo braku takich męskich atrybutów nie pozostawał postacią tak anonimową, jak byśmy chcieli. W owym roku cała szkoła mówiła o tym, że podjął się obrony Toma Robinsona, ale nikt nie komentował tego pozytywnie. Po starciu z Cecilem Jacobsem, kiedy już poświęciłam się

uprawianiu polityki tchórzostwa, rozeszła się wieść, że Skaut Finch już się nie bije, bo jej tata nie pozwala. Nie było to do końca prawdą: nie walczyłam publicznie za Atticusa, ale na łonie rodziny, czyli na prywatnym gruncie, byłam gotowa walczyć zażarcie z każdym, aż po kuzynów trzeciego stopnia. Francis Hancock na przykład wiedział o tym doskonale.

Dając nam wiatrówki, Atticus zastrzegł, że nie będzie nas uczył strzelania. Wujek Jack objaśnił nam więc podstawy, informując nas przy okazji, że ojciec w ogóle nie interesuje się bronią. Atticus powiedział kiedyś Jemowi:

– Wolałbym, żebyś strzelał do puszek na podwórzu, ale wiem, że będziesz wolał celować do ptaków. Strąć tyle sójek, ile dusza zapragnie, jeśli uda ci się trafić, ale pamiętaj, że grzechem jest zabić drozda.

To był jedyny raz, kiedy słyszałam, żeby Atticus nazywał coś grzechem. Musiałam zapytać o to pannę Maudie.

– Wasz ojciec ma rację – odrzekła. – Drozdy nie robią nam nic złego, tworzą jedynie muzykę, która cieszy nasze uszy. Nie wyjadają nam plonów z ogrodu, nie gniazdują w zebranej kukurydzy, nie robią absolutnie nic poza jedną rzeczą: śpiewają nam z głębi serca. I dlatego zabić drozda to grzech.

– Panno Maudie, nasza dzielnica jest stara, prawda?

– Istnieje dłużej niż reszta miasta.

– Nie o to mi chodzi. Chciałam powiedzieć, że mieszkają tu starsi ludzie. Jem i ja jesteśmy tu jedynymi dziećmi. Pani Dubose ma prawie sto lat, panna Rachel jest stara i pani, i Atticus...

– Nie powiedziałabym, że człowiek pięćdziesięcioletni jest stary – zauważyła oschle panna Maudie. – Jakoś na razie nie wożą mnie na wózku, nieprawdaż? Waszego ojca też nie. Muszę jednak powiedzieć, że Opatrzność była dla mnie łaskawa i pozwoliła, by spłonęło to moje mauzoleum. Za stara jestem, żeby dbać o taki dom, więc może jednak masz

rację, Jean Louise, że to dość stateczna dzielnica. Nigdy nie spędzałaś wiele czasu wśród młodych ludzi, prawda?

– Owszem, psze pani, w szkole.

– Ale ja mówię o młodych dorosłych. I wiesz co? Macie szczęście. Korzystacie na tym, że wasz ojciec jest akurat w takim wieku. Gdyby miał trzydzieści lat, pewnie wiedlibyście całkiem inne życie.

– Jasne. Atticus nic nie potrafi robić...

– Zdziwiłabyś się – zapewniła mnie panna Maudie. – Jest w nim jeszcze życie.

– W takim razie co potrafi?

– Na przykład sporządzić tak dobry testament, że nikt go nie obali.

– O rany...

– A wiedziałaś, że jest najlepszym warcabistą w mieście? Pamiętam, że kiedy bywaliśmy w Finch’s Landing, Atticus potrafił pokonać każdego, czy z tej, czy z tamtej strony rzeki.

– Jezu, panno Maudie, Jem i ja ciągle z nim wygrywamy.

– Może już najwyższy czas zrozumieć, że on wam daje wygrywać? A wiedziałaś, że potrafi grać na drumli?

Ta skromna umiejętność sprawiła, że zaczęłam jeszcze bardziej wstydzić się własnego ojca.

– No i...

– No i co, panno Maudie?

– No i nic. Nic... bo naprawdę to wszystko powinno wystarczyć, abyście byli z niego dumni. Nie każdy umie grać na drumli. A teraz już lepiej wracaj do domu, tylko uważaj na pracujących cieślów. Ja wracam do moich azalii, nie mogę mieć cię na oku. Żeby cię jaka deska nie uderzyła...

Poszłam na podwórko i zastałam tam Jema, który strzelał do blaszanej puszki, co wydawało się zajęciem o tyle głupim, że wokół roiło się od sójek. Wróciłam przed dom i przez dwie godziny tworzyłam skomplikowane barykady na bocznej części werandy, złożone z opony, skrzynki od pomarańczy, kosza na pranie, krzesełek ogrodowych oraz małej flagi Stanów Zjednoczonych, którą Jem dostał z pudełkiem prażonej kukurydzy.

Gdy Atticus wrócił do domu na obiad, zastał mnie przyczajoną za barykadą i mierzącą do celu po drugiej stronie ulicy.

– W co celujesz?

– Poniżej pleców panny Maudie.

Atticus odwrócił się i zobaczył mój bujny cel, wypięty nad ogrodową roślinnością. Odsunął kapelusz z czoła i przeszedł na drugą stronę ulicy.

– Maudie! – zawołał. – Chyba muszę cię ostrzec... jesteś w poważnym niebezpieczeństwie.

Panna Maudie wyprostowała się i spojrzała w moją stronę.

– Atticusie – powiedziała – jesteś diabłem z piekła rodem.

Gdy wrócił, kazał mi rozebrać umocnienia.

– I żebym cię więcej nie przyłapał na celowaniu do kogokolwiek – rzekł.

Marzyłam, żeby mój ojciec naprawdę był diabłem z piekła rodem. Wprowadziłam w ten temat Calpurnię.

– Pan Finch potrafi robić mnóstwo rzeczy.

– Na przykład? – spytałam.

Calpurnia podrapała się po potylicy.

– No, w zasadzie to nie wiem – odparła.

Jem tylko pogorszył sprawę, gdy zapytał Atticusa, czy zamierza grać w drużynie metodystów, i usłyszał, że ojciec co najwyżej złamałby sobie kark, bo jest za stary na takie wyczyny. Metodyści starali się spłacić hipotekę swego kościoła i w celu zebrania środków zorganizowali mecz futbolu amerykańskiego przeciwko zespołowi baptystów. Wydawało się, że zagrają w nim wszyscy ojcowie – oprócz naszego. Jem powiedział wtedy, że nawet odechciało mu się iść na mecz, ale że nie umiał się oprzeć piłce, skończył, stojąc za rękę z Atticusem i ze mną przy linii bocznej i patrząc, jak ojciec Cecila Jacobsa zdobywa punkty przez przyłożenie – dla baptystów.

Pewnej soboty postanowiliśmy z Jemem wybrać się na małą wyprawę, by sprawdzić skuteczność naszych wiatrówek w polowaniu na króliki czy wiewiórki. Uszliśmy może pięćset metrów za posesję Radleyów, gdy zauważyłam, że Jem mruży oczy, wpatrując się w coś na końcu ulicy. Przechylił głowę w bok i z ukosa spoglądał w dal.

– Na co patrzysz?

– Tam, na tego starego psa – odparł.

– To chyba Tim Johnson, nie?

– No.

Tim Johnson był własnością pana Harry’ego Johnsona, który był kierowcą autobusu do Mobile i mieszkał na południowym krańcu miasta. Tim był aporterem wątrobianej maści i ulubieńcem Maycomb.

– Co on robi?

– Nie wiem, Skaucie. Lepiej wracajmy do domu.

– Jem, przecież jest luty.

– Nie obchodzi mnie to. Powiem Cal.

Biegiem wróciliśmy do domu i wpadliśmy do kuchni.

– Cal – zaczął Jem – czy mogłabyś wyjść na chwilę na ulicę?

– Po co, Jem? Nie mogę wychodzić na ulicę za każdym razem, kiedy tego chcesz.

– Coś jest nie tak z jednym starym psem...

Calpurnia westchnęła.

– Nie umiem bandażować psich łap. W łazience jest gaza, weź ją i zrób to sam.

Jem pokręcił głową.

– On jest chory, Cal. Coś jest z nim nie tak.

– A co robi, próbuje schwytać własny ogon?

– Nic podobnego.

Jem przełknął powietrze jak złota rybka, zgarbił się nieco i wykrzywił.

– Idzie sobie, ale... nie tak, jak by chciał.

– Czy ty coś zmyślasz, Jemie Finchu? – spytała surowo Calpurnia.

– Nie, Cal, przysięgam, że nie zmyślam.

– Biegł?

– Nie, wlecze się łapa za łapą. Ledwo widać, że idzie w tę stronę.

Calpurnia uniosła ręce ku niebu i wyszła za Jemem na podwórze.

– Nie widzę żadnego psa – powiedziała.

Poszła za nami aż za dom Radleyów i spojrzała we wskazanym przez Jema kierunku. Tim Johnson wciąż był ledwie plamką w oddali, ale jednak zbliżył się do nas. Szedł dziwnie, jakby prawe łapy miał krótsze od lewych. Przypominał mi samochód, który ugrzązł w piasku.

– Koślawy jakiś – zauważył Jem.

Calpurnia popatrzyła jeszcze przez chwilę, a potem chwyciła nas pod ramiona i pobiegła do domu. Zatrzasnęła za nami drzwi, skoczyła do telefonu i zawołała:

– Prędko, z biurem pana Fincha!... Panie Finch, mówi Cal. Przysięgam na Boga, że niedaleko od domu widziałam wściekłego psa... Tak, proszę pana, idzie w tę stronę... Tak, panie Finch, na pewno tak... Stary Tim Johnson... Tak, proszę pana... Tak, proszę pana... Tak.

Przerwała połączenie i tylko potrząsnęła głową, kiedy próbowaliśmy się dowiedzieć, co powiedział Atticus. Zagrzechotała znów widełkami i znowu odezwała się do słuchawki:

– Panna Eula May?... Tak, proszę pani, już skończyłam rozmowę z panem Finchem, proszę mnie nie łączyć drugi raz... Proszę posłuchać, panno May. Czy może pani zadzwonić do panny Rachel i panny Stephanie Crawford i może do wszystkich mieszkańców tej ulicy, którzy mają telefon, i powiedzieć im, że zbliża się wściekły pies? Bardzo panią proszę!

Calpurnia słuchała przez moment.

– Wiem, że jest luty, panno May, ale też umiem rozpoznać wściekłego psa. Bardzo proszę, niech się pani pospieszy!

Calpurnia zwróciła się teraz do Jema:

– Czy Radleyowie mają telefon?

Jem sprawdził w książce telefonicznej. Nie było ich adresu.

– Ale oni i tak nie wychodzą z domu, Cal.

– Nieważne. Muszę ich zawiadomić.

Wybiegła na ganek.

– Zostańcie w domu! – krzyknęła, widząc, że ruszyliśmy za nią.

Ostrzeżenie od Calpurnii rozeszło się po okolicy. We wszystkich domach w zasięgu naszego wzroku zamknęły się drewniane drzwi. Tim Johnson natomiast zniknął bez śladu. Patrzyliśmy, jak Calpurnia biegnie w stronę domu Radleyów, zadzierając fartuch i spódnicę powyżej kolan. Wspięła się po schodkach na werandę i załomotała do drzwi. Nikt nie odpowiedział, więc tylko zawołała:

– Panie Nathanie, panie Arthurze! Wściekły pies idzie! Wściekły pies idzie!

– Powinna zajść od tyłu – stwierdziłam.

Jem pokręcił głową.

– Wszystko jedno – odpowiedział.

Calpurnia na próżno dobijała się do drzwi. Nikt nie potwierdził, że przyjął lub choćby usłyszał ostrzeżenie.

Gdy Calpurnia biegła na tyły naszego domu, na podjazd zajechał czarny ford, z którego wysiedli Atticus i pan Heck Tate.

Pan Heck Tate, szeryf hrabstwa Maycomb, był równie wysoki jak Atticus, ale szczuplejszy. Miał długi nos i nosił buty z lśniącymi metalowymi skuwkami, a do tego bryczesy i krótką kurtkę. Przy pasie miał rząd pochewek z nabojami, a w rękach dźwigał ciężki karabin. Gdy wszedł z Atticusem na werandę, Jem otworzył drzwi.

– Zostań w domu, synu – powiedział Atticus. – Cal, gdzie on jest?

– Powinien już tu być – odpowiedziała Calpurnia, wskazując na ulicę.

– Nie biegł? – spytał pan Tate.

– Nie, proszę pana, był już w fazie skurczów.

– Poszukamy go? – spytał Atticus.

– Lepiej zaczekajmy. Zwykle zwierzę w tej fazie choroby idzie prosto przed siebie, ale nigdy nic nie wiadomo. Może skręcił tam, gdzie go prowadziła droga? Mam nadzieję, że tak, bo inaczej wlezie prosto na podwórze Radleyów. Zaczekamy.

– Nie wydaje mi się, żeby mógł wejść do Radleyów – odparł Atticus. – Siatka go zatrzyma. Pewnie pójdzie ulicą...

Sądziłam, że wściekłym psom piana leci z pyska, że biegną jak szalone i skaczą ludziom do gardła, a w dodatku czynią to w sierpniu. Gdyby Tim

Johnson tak właśnie się zachowywał, byłabym pewnie mniej przerażona.

Nie ma nic bardziej martwego niż opuszczona, czekająca na coś ulica. Drzewa były nieruchome, drozdy milczały, a cieśle z domu panny Maudie zniknęli. Usłyszałam, jak pan Tate pociąga nosem i wydmuchuje go, a potem zobaczyłam, jak układa broń w zgięciu ramienia. Za szybką w przeszklonych drzwiach domu naprzeciwko pojawiła się twarz panny Stephanie Crawford; panna Maudie dołączyła do niej po chwili. Atticus oparł stopę o szczebel krzesełka i wolno wytarł dłoń o nogawkę.

– Jest – powiedział spokojnie.

Tim Johnson rzeczywiście się pojawił; człapał chwiejnie po wewnętrznym łuku drogi omijającej dom Radleyów.

– Patrzcie na niego – szepnął Jem. – Pan Heck mówił, że chore zwierzę idzie prosto, a on nie trzyma się nawet środka drogi.

– Wygląda na okropnie chorego – powiedziałam.

– Ale gdyby tylko zobaczył coś przed sobą, zaraz rzuciłby się na wprost.

Pan Tate przyłożył dłoń do czoła i pochylił się.

– To na pewno to, panie Finch.

Tim Johnson zbliżał się w żółwim tempie; nie wyglądał na skorego do zabawy i nawet nie wąchał przydrożnego zielska. Wydawało się, że podąża ustalonym kursem i że jakaś niewidzialna siła pcha go bez pośpiechu prosto na nas. Widzieliśmy, jak drży niczym koń oganiający się od much; zbliżający się w naszą stronę.

– Szuka miejsca, żeby zdechnąć – powiedział Jem.

Pan Tate obrócił się ku niemu.

– Do zdychania mu daleko, Jem, nawet jeszcze nie zaczął.

Tim Johnson dotarł do przecznicy biegnącej przed domem Radleyów. Stanął i wydawało się, że resztki nieszczęsnego umysłu próbują podjąć decyzję – którędy teraz? Zrobił kilka niepewnych kroków i przystanął przed furtką Radleyów; spróbował zawrócić, ale i z tym miał kłopoty.

– Jest w zasięgu, Heck – powiedział Atticus. – Lepiej zrób to teraz, zanim skręci w przecznicę. Bóg jeden wie, kto może być za rogiem. Wejdź do domu, Cal.

Calpurnia otworzyła siateczkowe drzwi, weszła i zamknęła je za sobą na zasuwkę, którą zaraz znowu otworzyła, by uchylić drzwi zabezpieczone jedynie haczykiem. Próbowała zasłonić widok własnym ciałem, ale wcisnęliśmy się z Jemem pod jej ramiona.

– Niech pan to zrobi, panie Finch – rzekł pan Tate, wręczając Atticusowi karabin.

Jem i ja omal nie zemdleliśmy.

– Nie trać czasu, Heck – odparł Atticus. – Strzelaj.

– Panie Finch, to trzeba załatwić jednym strzałem.

Atticus z przekonaniem potrząsnął głową.

– Nie stój tak, Heck! On nie będzie czekał cały dzień...

– Na miłość boską, panie Finch, niech pan spojrzy, gdzie on jest! Mały błąd i kula trafi prosto w dom Radleyów! Nie jestem aż tak świetnym strzelcem i dobrze pan o tym wie!

– Nie robiłem tego od trzydziestu lat...

Pan Tate nieomalże rzucił Atticusowi karabin.

– Czułbym się znacznie lepiej, gdyby pan to zrobił – powiedział.

Jak przez mgłę patrzyliśmy z Jemem, jak nasz ojciec z bronią w ręku wychodzi na środek ulicy. Szedł szybko, ale ja miałam wrażenie, że płynie

pod wodą: czas zwolnił i pełzł w przyprawiającym o mdłości, leniwym tempie.

Gdy Atticus odsunął okulary na czoło, Calpurnia mruknęła:

– Słodki Jezu, pomóż mu – i przycisnęła dłonie do policzków.

Atticus przycisnął okulary mocniej do czoła, ale zsunęły się. Upadły na jezdnię. W kompletnej ciszy usłyszałam trzask tłuczonego szkła. Atticus potarł palcami oczy i podbródek; widziałam, że mruga intensywnie.

Tim Johnson stojący u furtki Radleyów resztką świadomości wreszcie podjął decyzję. Obrócił się i powrócił na poprzedni kurs, by podjąć marsz po naszej ulicy. Zrobił dwa kroki naprzód, przystanął i uniósł łeb. Zauważyliśmy, jak zesztywniał.

Serią ruchów tak szybkich, że niemal jednoczesnych, Atticus odbezpieczył broń i podrzucił ją do ramienia.

Huknął strzał. Tim Johnson skoczył, wywinął kozła i jak bezkształtna, brązowo-biała masa wylądował nieruchomo na chodniku. Nie wiedział nawet, co go trafiło.

Pan Tate zeskoczył z ganku i pobiegł w stronę posesji Radleyów. Stanął przy zabitym psie, przykucnął, odwrócił się i postukał palcem w czoło tuż nad swoim lewym okiem.

– Odrobinę za bardzo w prawo, panie Finch – zawołał.

– Jak zawsze – odpowiedział Atticus. – Gdybym mógł wybierać, wziąłbym śrutówkę.

Pochylił się i podniósł oprawkę okularów, a zbite soczewki zmiażdżył obcasem na proch. Potem zbliżył się do pana Tate’a i stanąwszy obok niego, spojrzał na Tima Johnsona.

Drzwi domów otwierały się kolejno i dzielnica z wolna wracała do życia. Panna Maudie i panna Stephanie Crawford zeszły po schodkach na podwórko.

Jem stał jak sparaliżowany. Uszczypnęłam go, żeby się ruszył, ale gdy Atticus nas zobaczył, zawołał:

– Zostańcie tam.

Kiedy wrócili do nas, pan Tate uśmiechał się szeroko.

– Przyślę Zeebo, żeby go zabrał – powiedział. – Nie wyszedł pan z wprawy, panie Finch. Jak to mówią, tego się nie zapomina.

Ojciec milczał.

– Atticusie? – odezwał się Jem.

– Tak?

– Nic.

– Widziałam to, Jednostrzałowy Finchu!

Atticus obrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z panną Maudie. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa, a potem Atticus wsiadł do samochodu szeryfa.

– Chodź no tu – zwrócił się do Jema. – Nie podchodźcie do tego psa, zrozumiałeś? Nie zbliżajcie się nawet. Po śmierci jest równie niebezpieczny jak za życia.

– Tak jest – bąknął Jem. – Atticusie...

– Słucham, synu.

– Nic.

– Co z tobą, chłopcze, zapomniałeś języka w gębie? – wtrącił pan Tate, szczerząc się do Jema. – Nie wiedziałeś, że twój tatuś jest...

– Przestań, Heck – przerwał mu Atticus. – Wracajmy do miasta.

Gdy odjechali, poszliśmy z Jemem na schodki przed domem panny Stephanie. Siedząc tam, czekaliśmy na Zeebo i jego ciężarówkę do wywozu odpadków.

Jem wciąż trwał w niemym odrętwieniu.

– No, no, no – odezwała się panna Stephanie. – Kto by pomyślał, że w lutym zobaczymy wściekłego psa? A może nie miał wścieklizny, tylko zwyczajną szajbę? Nie chciałabym widzieć miny Harry’ego Johnsona, kiedy wróci z Mobile i dowie się, że Atticus Finch zastrzelił mu psa. A może kundel był tylko zapchlony...

Panna Maudie odrzekła, że panna Stephanie śpiewałaby całkiem inaczej, gdyby Tim Johnson wciąż szedł ulicą w ich stronę, i że wszystko stanie się jasne, kiedy odeślą jego łeb do Montgomery na badanie.

Jem częściowo odzyskał zdolność mówienia.

– Widziałaś go, Skaucie? Widziałaś, jak tam stanął?... Nagle się odprężył i wyglądało tak, jakby karabin stał się częścią jego ciała... I zrobił to tak szybko, jakby... Ja muszę mierzyć z dziesięć minut, zanim w coś trafię...

Panna Maudie uśmiechnęła się przewrotnie.

– I co teraz, panno Jean Louise? – spytała. – Nadal uważasz, że wasz ojciec nic nie umie? Wciąż się go wstydzisz?

– Nie – szepnęłam potulnie.

– Bo właśnie zapomniałam ci wtedy powiedzieć, że prócz tego, że potrafi grać na drumli, Atticus Finch był swego czasu najlepszym strzelcem w hrabstwie Maycomb.

– Najlepszym strzelcem... – powtórzył Jem.

– Tak właśnie powiedziałam, Jemie Finchu. Teraz, mam nadzieję, zmienicie ton. Naprawdę nie wiedzieliście, że gdy był młodym chłopakiem, nazywano go Starym Jednostrzałowcem? Kiedy przyjeżdżał do Landing, skarżył się czasem, zestrzeliwszy czternaście gołębi za piętnastoma strzałami, że zmarnował amunicję.

– Nigdy nam o tym nie wspominał – wymamrotał Jem.

– Nigdy, ani słowem?

– Nigdy, proszę pani.

– Ciekawe, dlaczego teraz nie chodzi na polowania – wtrąciłam.

– Mogę ci to wyjaśnić – odparła panna Maudie. – Jedno można powiedzieć o waszym ojcu, to człowiek na wskroś cywilizowany. Niezawodne oko to dar od Boga, prawdziwy talent... oczywiście trzeba go szlifować, żeby osiągnąć perfekcję, ale strzelectwo to coś innego niż granie na pianinie czy inne umiejętności. Przypuszczam, że Atticus rozstał się z bronią, gdy zrozumiał, że Bóg dał mu niezdrową przewagę nad większością żywych istot. Zapewne postanowił, że nie strzeli więcej, jeśli nie będzie musiał, a dziś właśnie zaszła taka konieczność.

– Można by pomyśleć, że powinien być dumny z tego daru – zauważyłam.

– Trzeźwo myślących ludzi nigdy nie rozpiera duma z własnych talentów – odparła panna Maudie.

Zobaczyliśmy, że podjeżdża Zeebo. Wyjął widły z paki swojej ciężarówki i ostrożnie uniósł truchło Tima Johnsona. Wrzucił je do skrzyni, a potem z parolitrowego pojemnika rozlał jakiś płyn wokół miejsca, w którym padł pies.

– Przez jakiś czas tu nie podchodźcie! – zawołał.

W drodze do domu powiedziałam Jemowi, że wreszcie będziemy mieli o czym opowiadać w szkole w poniedziałkowy ranek. Jem był temu przeciwny.

– Nie wspominaj o tym ani słowem, Skaucie – powiedział.

– Co? Jasne, że wspomnę. Nie każdy ma tatusia, który jest najlepszym strzelcem w hrabstwie Maycomb.

– A ja myślę – odparł Jem – że gdyby on chciał, żebyśmy o tym wiedzieli, toby nam sam powiedział. Zrobiłby to, gdyby był z tego dumny.

– Może po prostu zapomniał? – zasugerowałam.

– Nie, Skaucie. Ty tego nie zrozumiesz. Atticus jest bardzo stary, ale ja nie przejmowałbym się, nawet gdyby nic już nie potrafił zrobić. Absolutnie nic.

Jem podniósł z ziemi kamień i z satysfakcją cisnął nim o ścianę garażu. Biegnąc w ślad za nim, zawołał przez ramię:

– Bo Atticus jest dżentelmenem, tak jak ja!

# Rozdział 11

Gdy byliśmy z Jemem mali, nasza życiowa aktywność ograniczała się do południowej dzielnicy, ale kiedy byłam już doświadczoną drugoklasistką, a dręczenie Boo Radleya stało się niemodne, centrum Maycomb wywabiało nas coraz częściej poza granicę posesji pani Henry Lafayette Dubose. Nie sposób było dojść naszą ulicą do centrum miasta, nie przechodząc obok jej domu, chyba że chciałoby się nam nadrabiać półtora kilometra. Wcześniejsze,przelotne kontakty z tą panią zniechęciły mnie do dalszych, lecz Jem twierdził stanowczo, że pewnego dnia muszę w końcu dorosnąć.

Pani Dubose wiodła samotne życie, jeśli nie liczyć młodej Murzynki, która stale pomagała jej w domu. Mieszkała o dwie posesje od naszej, w domu z wysokimi schodami i zadaszonym pasażem łączącym dwie jego części. Była bardzo stara; większość czasu spędzała każdego dnia w łóżku, resztę w fotelu na kółkach. Podobno gdzieś w zwojach licznych szalów i pledów, którymi była okryta, skrywała stale konfederacki pistolet.

Jem i ja nienawidziliśmy jej. Gdy przechodziliśmy obok jej werandy, atakowała nas najpierw złowrogim spojrzeniem, następnie przeprowadzała bezwzględne przesłuchanie na temat naszego zachowania w ostatnich dniach i wreszcie wydawała melancholijne wyroki względem naszej przyszłości, za każdym razem wieszcząc nam, że będziemy nikim. Dawno już porzuciliśmy myśl o mijaniu jej domu drugą stroną ulicy; podnosiła tylko głos i wtedy już cała okolica musiała słuchać jej tyrad.

Nic nigdy nie mogło jej zadowolić. Kiedy najbardziej pogodnie jak umiałam wołałam do niej: „Hej, pani Dubose!”, w odpowiedzi słyszałam:

– Nie waż się mówić do mnie „hej”, paskudna dziewucho! Mówi się: „Dzień dobry, pani Dubose!”

Była podła. Kiedyś o mało nie dostała apopleksji, gdy usłyszała, jak Jem nazywa naszego ojca Atticusem. Dowiedzieliśmy się wtedy, że nie tylko jesteśmy parą najbezczelniejszych tumanów, jakich kiedykolwiek spotkała, ale także że bardzo nieszczęśliwie się złożyło, iż ojciec nie ożenił się ponownie po śmierci naszej matki. Nigdy nie było na świecie wspanialszej damy niż nasza matka, stwierdziła pani Dubose i dodała, że serce jej pęka, kiedy widzi, jak Atticus Finch pozwala, by dzieci wyrastały na dzikusów. Ja nie pamiętałam matki, ale Jem pamiętał – czasem mi o niej opowiadał – więc gdy pani Dubose wygłosiła te swoje rewelacje, wprost zsiniał z wściekłości.

Jem, który przeżył sprawę Boo Radleya, wściekłego psa i inne okropności, uznał w końcu, że tchórzostwem jest czajenie się i czekanie przy werandzie panny Rachel. Zarządził, że każdego wieczoru będziemy biec Atticusowi na spotkanie aż na ten róg ulicy, przy którym znajdowała się poczta. Trudno zliczyć, ile razy Atticus witał się z Jemem rozwścieczonym do granic wytrzymałości słowami, które pani Dubose zdążyła rzucić w naszą stronę.

– Tylko spokojnie, synu – mawiał wtedy nasz ojciec. – To starsza pani, a do tego schorowana. Trzymaj głowę wysoko i po prostu bądź dżentelmenem. Cokolwiek do ciebie powie, twoim zadaniem jest nie dać się sprowokować.

Jem odpowiadał, że pani Dubose widocznie nie jest aż taka chora, skoro może się tak na nas pieklić. Gdy przechodziliśmy obok jej domu, Atticus zawsze uchylał kapelusza, machał do niej uprzejmie i mówił:

– Dobry wieczór, pani Dubose! Wygląda pani dziś jak z obrazka.

Tylko nigdy jakoś się nie dowiedziałam, o jaki obrazek chodziło. Ojciec przekazywał pani Dubose nowiny z sądu i z całego serca życzył jej najlepszego dnia nazajutrz. Potem wkładał kapelusz na głowę, na jej oczach brał mnie na ręce i w wieczornym półmroku wracaliśmy do domu. Czasem właśnie przy takich okazjach miałam wrażenie, że mój ojciec, który nienawidził broni palnej i nigdy nie walczył na żadnej wojnie, jest najodważniejszym człowiekiem wszech czasów.

Dzień po dwunastych urodzinach Jema, gdy pieniądze mocno parzyły go w kieszeni, wczesnym popołudniem ruszyliśmy w stronę centrum. Jem był pewny, że ma dość gotówki, żeby kupić miniaturową lokomotywę parową dla siebie i batutę paradną dla mnie.

Od dawna miałam na oku tę batutę; leżała w sklepie V. J. Elmore’a, pięknie ozdobiona cekinami i lametą, a kosztowała siedemnaście centów. Ambicją mego życia stało się możliwie szybko dorosnąć i dołączyć do orkiestry Szkoły Średniej Hrabstwa Maycomb. Rozwinęłam swój talent na tyle, że umiałam już podrzucać do góry zwykły kij i prawie udawało mi się go złapać, ale Calpurnia zaczęła bronić mi wstępu do domu za każdym razem, gdy widziała mnie z kijem w dłoni. Czułam, że mogę jednak pokonać i tę przeszkodę, jeśli tylko zdobędę prawdziwą batutę. Uważałam, że chęć kupienia jej dla mnie jest ze strony Jema dowodem wielkiej hojności.

Gdy przechodziliśmy obok jej domu, pani Dubose siedziała na werandzie.

– A wy dokąd o tej porze? – krzyknęła. – Pewno na wagary, co? Zaraz zadzwonię do dyrektora szkoły i o wszystkim mu powiem! – Starsza pani położyła dłonie na kołach wózka i wykonała przepisowe w prawo zwrot.

– Dziś sobota, pani Dubose – powiedział Jem.

– Wszystko jedno, czy sobota – odparła niejasno. – Ciekawe, czy chociaż wasz ojciec wie, dokąd się wybieracie.

– Pani Dubose, chodzimy sami do miasta, odkąd byliśmy tacy. – Jem zawiesił dłoń mniej więcej pół metra nad chodnikiem.

– Nie łgać mi tu! – ryknęła pani Dubose. – Jeremy Finchu, Maudie Atkinson powiedziała mi, że dziś rano połamałeś jej stelaże pod muszkatelami! Kiedy doniesie o tym waszemu ojcu, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś! I nie nazywam się Dubose, jeśli przed końcem tego tygodnia nie zostaniesz odesłany do poprawczaka!

Jem, który co najmniej od zeszłego lata nie zbliżał się do altany panny Maudie i wiedział doskonale, że nawet gdyby zrobił coś takiego, to panna Maudie i tak nie wspomniałaby o tym Atticusowi, dość oględnie zaprzeczył.

– Nie waż się mi zaprzeczać! – huknęła pani Dubose. – A ty – dodała, wskazując na mnie wykrzywionym przez artretyzm paluchem – co tu robisz w tym kombinezonie? Powinnaś nosić sukienkę i gorset, młoda damo! Zobaczysz, jeśli ktoś cię nie naprostuje, skończysz, zmywając stoły w jakiejś knajpie... Finchówna kelnerką w OK Café, ha!

Byłam przerażona. OK Café była bliżej mi nie znaną spelunką na północnej pierzei rynku. Chwyciłam Jema za rękę, ale się wyrwał.

– Chodź, Skaucie – szepnął. – Nie zwracaj na nią uwagi, tylko trzymaj głowę wysoko i bądź dżentelmenem.

Ale pani Dubose wiedziała, jak nas zatrzymać:

– Finchówna kelnerką, a Finch sługusem czarnuchów w sądzie!

Jem zmartwiał. Strzał pani Dubose trafił w dziesiątkę, a ona doskonale o tym wiedziała.

– Tak, tak, dokąd ten świat zmierza, skoro już Finch występuje przeciwko swoim? Powiem wam! – zawołała i na chwilę przycisnęła dłoń

do ust. Gdy ją cofnęła, w powietrzu zalśniła srebrzysta nitka śliny. – Wasz ojciec nie jest lepszy od tych czarnuchów i mętów, dla których pracuje!

Jem był purpurowy. Pociągnęłam go za rękaw i ruszyliśmy przed siebie, ścigani zjadliwą filipiką na moralny upadek naszego rodu, której głównym motywem było stwierdzenie, iż i tak połowa Finchów już siedzi w przytułku dla obłąkanych, ale gdyby żyła nasza matka, sytuacja oczywiście wyglądałaby znacznie lepiej.

Nie byłam pewna, co najbardziej dopiekło Jemowi, ale mnie uraziły przede wszystkim zjadliwe słowa na temat zdrowia psychicznego naszej rodziny. Do obelg pod adresem Atticusa już się prawie przyzwyczaiłam, ale teraz po raz pierwszy usłyszeliśmy je z ust dorosłej osoby. Jeśli nie liczyć tychże uwag na temat ojca, atak pani Dubose był z gruntu rutynowy. Poza tym, w powietrzu czuło się już powiew lata – w cieniu wciąż było chłodno, lecz słońce przygrzewało przyjemnie, a to oznaczało rychłe nadejście dobrych czasów: wakacji i Dilla.

Jem kupił sobie parowozik i poszliśmy do pana Elmore’a po moją batutę. Nowa zabawka jednak jakoś nie cieszyła mojego brata: wcisnął ją do kieszeni i przez całą drogę szedł obok mnie milczący i ponury. Zanim dotarliśmy do domu, zdążyłam jeszcze nieomalże trafić batutą pana Linka Deasa,gdy nie udał mi się kolejny podrzut. „Uważaj, co robisz, Skaucie!”, usłyszałam. Gdy doszliśmy do posesji pani Dubose, moja ozdobna batuta była brudna od niezliczonych upadków na ziemię.

Weranda była pusta.

W późniejszych latach zastanawiałam się czasem, co właściwie skłoniło Jema do tego kroku, co sprawiło, że puściły hamulce wykreowane słowami „Po prostu bądź dżentelmenem, synu” i wzmocnione fazą świadomej prawości, w którą mój brat niedawno wkroczył. Przypuszczam, że Jem zniósł wtedy tyle samo obelg co ja w związku z tym, że nasz ojciec bronił

w sądzie czarnych, i niepotrzebnie zakładałam, że zawsze będzie potrafił zapanować nad sobą, bo był z natury spokojny i nie reagował pochopnie. Wtedy jednak znalazłam tylko jedno wytłumaczenie: mój brat na tych kilka minut zwyczajnie oszalał.

A Jem zrobił to, co sama zrobiłabym na jego miejscu, gdyby nie umowa z Atticusem, zakazująca mi, jak sądziłam, toczenia bitew z okropnymi starszymi paniami. Mijaliśmy właśnie furtkę, gdy Jem wyrwał mi batutę i wymachując nią dziko, wbiegł po stopniach do ogrodu pani Dubose. Zapomniał o wszystkim, co mówił nam Atticus, zapomniał o pistolecie ukrytym gdzieś pod szalami, zapomniał nawet o tym, że jeśli pani Dubose chybi, to jej służąca Jessie raczej nie.

Nie uspokoił się, póki nie poobcinał czubków wszystkim kameliom rosnącym w ogrodzie pani Dubose; póki ziemia nie zniknęła pod warstwą zielonych pąków i liści. Na koniec przełożył przez kolano moją batutę, złamał ją na pół i cisnął na pobojowisko.

W tym momencie wrzeszczałam już jak opętana. Jem złapał mnie za włosy, powiedział, że nic go to nie obchodzi, i że zrobiłby to jeszcze raz, gdyby miał okazję, i że jeśli się nie zamknę, to powyrywa mi wszystkie włosy, co do jednego. Nie zamknęłam się, więc mnie kopnął. Straciłam równowagę i upadłam na twarz. Jem podniósł mnie bez ceregieli, ale wyglądał tak, jakby było mu trochę przykro. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

Postanowiliśmy tego wieczoru nie wychodzić Atticusowi naprzeciw. Snuliśmy się po kuchni, póki nas Calpurnia nie wyrzuciła. Miałam wrażenie, że jakimś diabelskim sposobem wiedziała o wszystkim, co się stało. Nie była żadnym źródłem pocieszenia, ale mimo wszystko poczęstowała Jema gorącą grzanką z masłem, którą podzielił się ze mną. Smakowała jak bawełniany puch.

Poszliśmy do salonu. Otworzyłam czasopismo poświęcone futbolowi, odnalazłam zdjęcie Dixiego Howella i pokazałam je Jemowi, mówiąc:

– Jaki podobny do ciebie.

To była najmilsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy, ale moje wysiłki na nic się nie zdały. Jem siedział przy oknie, pochmurny, skulony na bujanym fotelu, czekając na coś niespokojnie. Zapadał zmierzch.

Dwie epoki geologiczne później usłyszeliśmy szuranie butów Atticusa na stopniach przed frontowymi drzwiami. Drzwi z siatki trzasnęły i nastąpiła chwila ciszy – Atticus zatrzymał się w holu przy wieszaku na kapelusze – a potem rozległo się wołanie:

– Jem!

Głos ojca brzmiał jak zimowy wicher.

Atticus włączył górne światło w salonie i zobaczył nas. Wciąż siedzieliśmy nieruchomo. W jednej ręce niósł kawałki mojej batuty, za którymi ciągnęła się resztka lamety. Otworzył drugą dłoń: leżały w niej pulchne pąki kamelii.

– Jem – odezwał się po chwili – czy to twoja sprawka?

– Tak, ojcze.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Powiedziała, że służysz czarnuchom i mętom – odparł cicho Jem.

– I zrobiłeś coś takiego z powodu jej słów?

Usta Jema poruszyły się, ale tym razem jego „Tak, ojcze” było niesłyszalne.

– Synu, nie wątpię, że ostatnio denerwowały cię uwagi rówieśników na temat tego, że bronię przed sądem czarnych, ale uczynienie takiej szkody starej, chorej kobiecie jest niewybaczalnym błędem. Dlatego stanowczo

radzę ci pójść teraz do pani Dubose i porozmawiać z nią – rzekł Atticus. – Zaraz potem wrócisz do domu.

Jem nie poruszył się.

– Kazałem ci iść.

Jem wyszedł z salonu, a ja pobiegłam za nim.

– Wracaj tu – polecił Atticus.

Wróciłam.

Sięgnął po „The Mobile Press” i usiadł w fotelu na biegunach, z którego chwilę wcześniej wstał Jem. Za nic w świecie nie mogłam pojąć, jak może tak sobie siedzieć z zimną krwią i czytać gazetę, kiedy lada chwila jego jedyny syn ma wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zginąć zastrzelony z zabytkowej konfederackiej broni. Jem, rzecz jasna, wkurzał mnie niekiedy tak bardzo, że gotowa byłam go zabić, ale koniec końców miałam tylko jego. Atticus jednak jakby tego nie rozumiał albo mało go to obchodziło.

Nienawidziłam go za to, ale kiedy człowiek ma kłopoty, łatwo ogarnia go znużenie i wkrótce siedziałam już na kolanach ojca, opleciona jego ramionami.

– Za duża jesteś na takie kołysanie – powiedział.

– Nie obchodzi cię, co się z nim stanie – odrzekłam. – Wysłałeś go tam na śmierć od kuli, a on przecież tylko stanął w twojej obronie.

Atticus wcisnął moją głowę pod swój podbródek.

– Jeszcze nie pora się martwić – stwierdził. – Nie przypuszczałem, że to Jem pierwszy straci głowę w tej sprawie. Spodziewałem się raczej kłopotów z tobą.

Odpowiedziałam, że nie rozumiem, dlaczego mam nie tracić głowy w tej sprawie, skoro w szkole nikt nie przejmuje się traceniem głowy w jakiejkolwiek sprawie.

– Skaucie – odparł Atticus – kiedy przyjdzie lato, będziecie musieli, nie tracąc głowy, znieść znacznie gorsze sytuacje niż do tej pory... Tak, wiem, że to nie fair wobec ciebie i Jema, ale czasem musimy decydować się na najmniejsze zło, a to, jak się zachowujemy w rozstrzygających momentach... Chcę tylko powiedzieć, że kiedy będziecie z Jemem dorośli, być może spojrzycie na całą tę sytuację z większym współczuciem i dojdziecie do wniosku, że was nie zawiodłem. Ta sprawa, sprawa Toma Robinsona, jest jedną z tych, które dotykają samej głębi ludzkiego sumienia... Skaucie, nie mógłbym więcej pójść do kościoła i wychwalać Boga, gdybym nie podjął się obrony tego człowieka.

– Atticusie, na pewno się mylisz...

– Jak to?

– No, większość ludzi uważa, że racja jest po ich stronie, a ty się mylisz...

– Oczywiście mają pełne prawo tak uważać i należy się ich poglądom pełny szacunek – odparł Atticus – ale zanim się zastanowię, jak żyć z tymi ludźmi, muszę jakoś żyć z samym sobą. Ludzkie sumienie jest jedną z tych rzeczy, które nie poddają się decyzjom większości.

Gdy wrócił Jem, wciąż jeszcze siedziałam na kolanach ojca.

– I co, synu? – spytał Atticus.

Postawił mnie na podłodze i ukradkiem przyjrzałam się Jemowi. Odniosłam wrażenie, że jest cały, tylko minę miał bardzo dziwną. Niewykluczone, że pani Dubose uraczyła go kalomelem.

– Posprzątałem i powiedziałem, że mi przykro, chociaż to nieprawda, i że będę pracował przy jej kwiatach w każdą sobotę i postaram się, żeby odrosły.

– Nie trzeba było mówić, że ci przykro, skoro to nieprawda – odparł Atticus. – Jem, to sędziwa i schorowana kobieta. Nie można jej winić za to,

co mówi i robi. Naturalnie wolałbym, żeby mówiła tak do mnie, a nie do was, ale nie zawsze mamy prawo wyboru.

Jem wyglądał na zafascynowanego różą na dywanie.

– Atticusie – odezwał się w końcu – ona chce, żebym jej czytał.

– Czytał?

– Tak jest. Chce, żebym przychodził każdego popołudnia po lekcjach i w soboty też. I żebym jej czytał na głos przez dwie godziny. Muszę, Atticusie?

– Oczywiście.

– Ale ona chce, żebym to robił przez miesiąc.

– Więc będziesz to robił przez miesiąc.

Jem bardzo delikatnie dotknął dużym palcem stopy samego środka róży, a potem przycisnął go mocniej.

– Atticusie – odezwał się po chwili – na ulicy to żaden problem, ale w środku... w środku jest mroczno i przerażająco. Są cienie na suficie i inne takie...

Atticus uśmiechnął się smutno.

– Na pewno przemówią ci do wyobraźni. Po prostu udawaj, że jesteś w domu Radleyów.

W poniedziałek po południu wspięliśmy się z Jemem po stromych stopniach do domu pani Dubose i skręciliśmy w zadaszony pasaż łączący dwie części budynku. Jem, uzbrojony w egzemplarz *Ivanhoe* i wyższą wiedzę, zapukał do drugich drzwi od lewej.

– Pani Dubose? – zawołał.

Jessie otworzyła drzwi główne i odsunęła zasuwkę drzwi z moskitierą.

– To ty, Jem Finch? – upewniła się. – Przyprowadziłeś siostrę. Nie wiem, czy...

– Wpuść oboje, Jessie – rozległ się głos pani Dubose.

Jessie wpuściła nas i odeszła w stronę kuchni.

Gdy tylko przekroczyliśmy próg uderzyła w nas przykra woń, którą czułam wiele razy w gnijących od deszczu, nie malowanych domach, oświetlanych lampami naftowymi, bez bieżącej wody, z prześcieradłami z surowego płótna. Takie miejsca napawały mnie lękiem, niepewnością, kazały spodziewać się czegoś złego.

W kącie pokoju stało mosiężne łóżko, a na nim spoczywała pani Dubose. Zastanawiałam się, czy to wyczyn Jema nadwerężył jej zdrowie, i przez chwilę było mi jej żal. Leżała pod stertą koców i wyglądała nieomal przyjaźnie.

Przy łóżku stała marmurowa umywalka, a na niej szklanka z łyżeczką. Obok leżała strzykawka z czerwonym uchwytem, pudełko wacików oraz stalowy budzik na trzech maleńkich nóżkach.

– Zatem sprowadziłeś tu tę swoją brudną siostrzyczkę, co? – powitała nas pani Dubose.

– Moja siostra nie jest brudna, a ja się pani nie boję – odpowiedział spokojnie, chociaż zauważyłam, że trochę trzęsły mu się kolana.

Spodziewałam się tyrady, ale zamiast niej usłyszałam tylko:

– Możesz rozpocząć czytanie, Jeremy.

Jem usiadł na wiklinowym krzesełku i otworzył książkę. Przestawiłam drugie krzesło i przysiadłam obok niego.

– Chodźcie bliżej – poleciła pani Dubose. – Do samego boku łóżka.

Przesunęliśmy się do przodu. Nigdy w życiu nie byłam bliżej tej kobiety i najbardziej na świecie zapragnęłam teraz odsunąć się z powrotem tam, gdzie byłam chwilę wcześniej.

Wyglądała strasznie. Jej twarz miała kolor brudnej poszewki od poduszki, a kąciki ust lśniły wilgocią, spływającą niczym lodowiec wzdłuż

głębokich bruzd okalających podbródek. Jej policzki były upstrzone starczymi, wątrobianymi plamami, a źrenice jej wyblakłych oczu były malutkie i czarne. Miała gruzłowate dłonie i paznokcie pozarastane skórkami. Nie nosiła dolnej części sztucznej szczęki, przez co górna warga sterczała nadmiernie. Od czasu do czasu pani Dubose dotykała dolną wargą do górnych zębów, ciągnąc za nią cały obwisły podbródek, po którym tym szybciej spływała ślina.

Nie patrzyłam na nią dłużej, niż musiałam. Jem ponownie otworzył książkę i zaczął czytać. Próbowałam nadążyć za nim, ale czytał zbyt szybko. Gdy docierał do słowa, którego nie znał, próbował je pomijać, lecz pani Dubose wciąż przyłapywała go na tym i kazała literować. Czytał tak może dwadzieścia minut, a ja przyglądałam się w tym czasie osmalonemu kominkowi, widokowi za oknem i wszystkim innym rzeczom, które choć na chwilę pozwalały mi nie patrzeć na panią Dubose. Po pewnym czasie poprawki pani Dubose stawały się coraz bardziej sporadyczne, aż w końcu Jem pozwolił sobie nawet na urwanie zdania w połowie. Nie słuchała go.

Spojrzałam na łóżko.

Coś się z nią stało. Leżała na plecach, przykryta kocami aż pod brodę; widzieliśmy tylko jej ramiona i głowę, która poruszała się z wolna na boki. Raz na jakiś czas pani Dubose szeroko otwierała usta, odsłaniając lekko falujący język. Strumyki śliny wciąż zbierały się na jej wargach; wciągała je do środka i znowu otwierała usta, które zdawały się żyć własnym, niezależnym życiem. Poruszały się całkiem osobno, bez związku z resztą ciała, jak małża w czasie odpływu. Czasem wydobywał się z nich cichy odgłos *pt*, jakby gdzieś w głębi zaczynała się gotować trująca substancja.

Pociągnęłam Jema za rękaw.

Spojrzał najpierw na mnie, a potem na łóżko. Głowa chorej, poruszająca się w regularnym rytmie, właśnie zwróciła się ku nam, gdy Jem przemówił:

– Pani Dubose, wszystko w porządku?

Nie usłyszała go.

Niespodziewane dzwonienie budzika przeraziło nas. Minutę później, wciąż cali w nerwach, byliśmy już z Jemem na chodniku i zmierzaliśmy w stronę domu. Nie uciekliśmy – to Jessie nas odesłała. Zanim budzik umilkł, była już w pokoju i popychała nas w stronę drzwi.

– Sio – mówiła. – Zmiatajcie do domu.

Jem zawahał się u drzwi.

– Już czas na jej lekarstwo – wyjaśniła Jessie.

Zanim zamknęła za nami drzwi, zobaczyłam jeszcze tylko, że szybkim krokiem znika w pokoju pani Dubose.

Dochodziła dopiero za piętnaście czwarta, gdy doszliśmy do domu, więc do powrotu Atticusa pograliśmy jeszcze w piłkę na podwórzu. Ojciec przyniósł mi dwa żółte ołówki, a Jemowi futbolowy periodyk, który, jak się domyślam, był cichą nagrodą za pierwszą sesję z panią Dubose. Jem opowiedział mu, co zaszło.

– Przestraszyła cię? – spytał Atticus.

– Nie, ojcze – odparł Jem. – Tylko że... jest taka obrzydliwa. Ma jakieś ataki czy coś w tym rodzaju. Strasznie się ślini.

– Nic na to nie poradzi. Gdy ludzie są chorzy, czasem nie wyglądają zbyt pięknie.

– A ja się bałam – przyznałam.

Atticus spojrzał na mnie sponad okularów.

– Nie musisz chodzić tam z Jemem.

Następne popołudnie u pani Dubose wyglądało tak samo jak pierwsze. Podobnie było z kolejnymi, aż wreszcie zarysował się pewien wzorzec: pani Dubose dręczyła Jema przez chwilę, poruszając swe ulubione tematy,

to jest sprawę kamelii oraz kochasia czarnuchów, czyli naszego ojca, następnie cichła coraz bardziej i wreszcie odpływała. Wtedy dzwonił budzik, Jessie nas wyganiała i reszta dnia należała do nas.

– Atticusie – odezwałam się któregoś wieczoru – kto to właściwie jest „kochaś czarnuchów”?

Atticus spojrzał na mnie ze śmiertelną powagą.

– Ktoś cię tak nazwał?

– Nie, ojcze, pani Dubose tak mówi o tobie. Czyni to każdego popołudnia, jakby na rozgrzewkę. Francis nazwał mnie tak w ostatnie święta i wtedy usłyszałam to po raz pierwszy.

– To dlatego na niego skoczyłaś? – spytał Atticus.

– Tak, ojcze...

– Więc dlaczego pytasz mnie, co to znaczy?

Próbowałam wyjaśnić Atticusowi, że nie chodziło tak naprawdę o to, co powiedział Francis; do szału doprowadziło mnie to, jak to powiedział.

– Brzmiało to tak, jakby mówił „smarkacz” albo jakoś tak...

– Skaucie – odrzekł Atticus – „kochaś czarnuchów” to jedno z tych określeń, które zupełnie nic nie znaczą; całkiem jak „smarkacz”. Trudno to wyjaśnić... Niedouczeni, niewiele warci ludzie używają takiego określenia, kiedy uważają, że ktoś faworyzuje Murzynów, wywyższa ich ponad własną rasę. Niestety, trafiło też do języka ludzi podobnych do nas. To takie pospolite, przykre przezwisko.

– Ale ty nie jesteś żadnym kochasiem czarnuchów, prawda?

– Ależ oczywiście, że jestem. Staram się jak mogę kochać wszystkich ludzi... Jestem dość twardym człowiekiem, kochanie. I musisz wiedzieć, że nigdy nie jest dla mnie obrazą słowo, którego ktoś używa jako przezwiska. Jeśli to robi, dowodzi tylko tego, jak biednym jest człowiekiem, ale w żaden sposób nie może cię zranić. I dlatego nie możesz pozwolić, żeby

dokuczyły ci słowa pani Dubose. Pamiętaj, że ona ma własne, znacznie poważniejsze kłopoty.

Pewnego popołudnia miesiąc później Jem brnął przez dzieło sir Waltera Skauta (tak go nazywał), a pani Dubose jak zawsze poprawiała go na każdym kroku. Nagle rozległo się stukanie do drzwi.

– Wejść! – wrzasnęła pani Dubose.

Atticus wszedł do pokoju, zbliżył się do łóżka i podał chorej rękę.

– Wracałem właśnie z biura i dzieci nie wyszły mi na spotkanie – wyjaśnił. – Pomyślałem, że jeszcze tu są.

Pani Dubose uśmiechnęła się do niego. Za chińskiego boga nie mogłam pojąć, jak ona może w ogóle z nim rozmawiać, skoro tyle razy pokazywała nam, jak bardzo go nienawidzi.

– Wiesz, Atticusie, która to godzina? – spytała. – Dokładnie czternaście po piątej. Budzik jest nastawiony na piątą trzydzieści. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Nagle uświadomiłam sobie, że każdego dnia zostawaliśmy u pani Dubose troszkę dłużej, że budzik odzywał się codziennie o kilka minut później i że kiedy już dzwonił, od dawna trwał już atak choroby. Tego dnia zaś nasza gospodyni dręczyła Jema od prawie dwóch godzin i nie miała najmniejszego zamiaru dostać żadnego ataku. Czułam się tak, jakbym wpadła w pułapkę bez wyjścia. Budzik był naszym heroldem wolności; co byśmy zrobili, gdyby któregoś dnia nie zadzwonił wcale?

– Mam wrażenie, że dni Jemowego czytania są policzone – powiedział Atticus.

– Jeszcze tylko tydzień, jak sądzę – odpowiedziała. – Tak na wszelki wypadek...

Jem podniósł się z krzesła.

– Ale...

Atticus uniósł rękę i Jem umilkł. W drodze do domu poskarżył się jednak, że kara miała trwać miesiąc i jej termin minął, więc przesuwanie go będzie nie fair.

– Jeszcze tylko tydzień, synu – odparł Atticus.

– Nie – upierał się Jem.

– Tak – nie ustępował ojciec.

Spędziliśmy u pani Dubose jeszcze tydzień. Budzik przestał dzwonić, a pani Dubose zwracała nam wolność, mówiąc „Wystarczy” o tak późnej porze, że gdy wracaliśmy do domu, Atticus czytał już gazetę w swoim fotelu. Ataki, które nękały panią Dubose, ustąpiły, ale pod każdym innym względem pozostała sobą: gdy sir Walter Scott wdawał się w długawe opisy fos i zamków, pani Dubose zaczynała się nudzić i dla rozrywki dokuczała nam.

– Jeremy Finchu, mówiłam ci, że pożałujesz gorzko zniszczenia moich kamelii. I żałujesz, prawda?

Jem zapewnił ją, że bardzo.

– Zdawało ci się, że wytłuczesz moje wilczomlecze? A Jessie mówi, że czubki już odbijają. Następnym razem będziesz wiedział, jak to zrobić, prawda? Wyrwiesz z korzeniami, hmm?

Jem obiecał, że tak by właśnie zrobił.

– Nie mrucz pod nosem, chłopcze! Trzymaj głowę wysoko i mów: tak, proszę pani. Tylko że ty chyba nie umiesz trzymać głowy wysoko, skoro z takiego ojca jesteś.

Nie pierwszy raz Jem unosił podbródek i spoglądał na panią Dubose bez śladu niechęci. Przez tych parę tygodni doskonale opanował sztukę zmieniania twarzy w maskę uprzejmego, chłodnego zainteresowania, która chroniła go przed nawet najbardziej bolesnymi atakami.

Wreszcie nadszedł ostatni dzień.

– Wystarczy – powiedziała tego popołudnia pani Dubose i dodała: – To wszystko. Miłego dnia.

Tak się to skończyło. Ogarnięci przemożnym uczuciem ulgi, popędziliśmy chodnikiem, skacząc i wyjąc jak opętani.

Dobra to była wiosna: dni były coraz dłuższe i coraz więcej mieliśmy czasu na zabawę. Umysł Jema pochłaniały głównie sprawy wielkiej wagi, takie jak statystyki skuteczności wszystkich futbolistów ligi akademickiej naszego kraju. Co wieczór Atticus czytał nam kolumny sportowe gazet. Alabama miała w tym sezonie szansę na Rose Bowl, a przynajmniej wskazywały na to nazwiska czołowych graczy, których nie umieliśmy nawet wymówić. Atticus był właśnie w połowie artykułu Windy'ego Seatona, gdy zadzwonił telefon.

Odebrał i zaraz podszedł do wieszaka na kapelusze, stojącego w holu.

– Idę na chwilę do pani Dubose – powiedział. – Niedługo wrócę.

Jak się okazało, został u niej znacznie dłużej; wrócił, gdy już od dawna powinniśmy leżeć w łóżkach. Przyniósł bombonierkę. Usiadł w salonie i położył pudełko na podłodze obok fotela.

– Czego ona chciała? – spytał Jem.

Nie widzieliśmy pani Dubose ponad miesiąc. Kiedy przechodziliśmy obok jej domu, nie było jej na werandzie.

– Umarła, synu – odparł Atticus. – Umarła kilka minut temu.

– Ach – mruknął Jem. – No i dobrze.

– Masz rację, że dobrze – przytaknął Atticus. – Już nie cierpi. Chorowała bardzo długo. Wiesz, synu, skąd się brały te jej ataki?

Jem pokręcił głową.

– Pani Dubose była uzależniona od morfiny – wyjaśnił Atticus. – Przez lata przyjmowała ją jako środek przeciwbólowy. Lekarz tak jej doradził.

Mogła spędzić resztę życia w uzależnieniu i umrzeć bez wielkiego cierpienia, ale uparła się, że będzie inaczej...

– Jak to? – zdziwił się Jem.

– Tuż przed twoim sławetnym wyczynem wezwała mnie, żebym spisał jej testament. Doktor Reynolds powiedział jej, że ma przed sobą najwyżej kilka miesięcy życia. Jej sprawy finansowe były w najlepszym porządku, ale stwierdziła, że trzeba rozwiązać jeszcze jeden problem.

– Jaki problem? – Jem był już całkiem skołowany.

– Powiedziała mi, że chce opuścić ten świat, nie zawdzięczając nic nikomu i niczemu. Widzisz, Jem, gdy człowiek choruje tak ciężko jak ona, ma prawo robić wszystko, by ulżyć sobie w bólu, ale pani Dubose wcale tak nie uważała. Powiedziała, że przed śmiercią chce wyrwać się z nałogu, i tak uczyniła.

– I właśnie z tego wynikały te ataki? – upewnił się Jem.

– Tak jest. Wątpię, żeby słyszała wiele z tego, co jej czytałeś. Wszystkimi siłami ciała i umysłu koncentrowała się na tym blaszanym budziku. Gdybyś sam nie wpadł w jej ręce, pewnie kazałbym ci chodzić do niej i czytać. Te wizyty miały odwracać jej uwagę. Był jeszcze inny powód...

– I umarła wolna? – spytał Jem.

– Jak górski wiatr – odparł Atticus. – I przytomna niemal do ostatniej chwili. Przytomna i zrzędliwa – dodał z uśmiechem. – Wciąż całym sercem potępiała moje postępowanie i ostrzegała, że resztę życia spędzę zapewne na wyciąganiu was z więzienia. Kazała Jessie przygotować dla ciebie to pudełko...

Atticus pochylił się, podniósł z podłogi bombonierkę i podał ją Jemowi.

Jem odchylił pokrywę. W środku, pośród kulek wilgotnej bawełny, spoczywała woskowobiała, piękna kamelia.

Oczy Jema omal nie wyskoczyły z orbit.

– Stara diablica!... Stara diablica! – wrzasnął, rzucając kwiat na podłogę. – Dlaczego nie mogła zostawić mnie w spokoju?!

Atticus poderwał się w okamgnieniu i stanął nad Jemem. Jem wtulił twarz w jego koszulę.

– Ciii... – szepnął ojciec. – Myślę, że tym sposobem próbowała dać ci znak, że już wszystko dobrze, Jem, wszystko w porządku między wami. Wiesz, to była wspaniała dama.

– Dama? – Jem uniósł głowę. Był siny na twarzy. – Po tym wszystkim, co na ciebie wygadywała, nazywasz ją damą?

– Bo nią była. Miała własne poglądy na niektóre sprawy, być może całkiem odmienne od moich... Synu, powiedziałem ci już, że nawet gdybyś nie stracił głowy, pewnie kazałbym ci czytać pani Dubose. Chciałem, żebyś coś w niej dostrzegł. Żebyś dostrzegł, czym jest prawdziwa odwaga, i żeby nigdy nie przyszło ci do głowy, że odważny jest człowiek z pistoletem w ręku. Odważny jest ten, kto wie, że przegra, zanim jeszcze rozpocznie walkę, lecz mimo to zaczyna i prowadzi ją do końca bez względu na wszystko. Rzadko zdarza się wtedy zwycięstwo, ale pani Dubose, drobna staruszka, jednak wygrała. Wedle jej własnych słów, odeszła, nie zawdzięczając nic nikomu i niczemu. Była najdzielniejszą osobą, jaką znałem.

Jem podniósł bombonierkę i cisnął ją do kominka. Zatrzymał tylko kwiat kamelii. Idąc do łóżka, widziałam, jak gładził palcami szerokie płatki. Atticus czytał gazetę.

# Część druga

# Rozdział 12

Jem miał dwanaście lat. Trudno było z nim wytrzymać, bo był niestały i miewał humory. Miał przerażający apetyt i tak często powtarzał mi, że mam go zostawić w spokoju, że wreszcie postanowiłam zasięgnąć rady Atticusa:

– Sądzisz, że ma tasiemca?

Atticus zapewnił mnie, że nie; Jem po prostu dorastał. Miałam tylko być cierpliwa i w miarę możliwości nie przeszkadzać bratu.

Ta przemiana w charakterze Jema dokonała się w ciągu paru tygodni. Pani Dubose jeszcze dobrze nie wystygła w swoim grobie – Jem, jak pamiętałam, był mi wdzięczny, gdy chodziłam do niej razem z nim. A potem nagle, jakby z dnia na dzień, pojawił się w jego życiu całkiem nowy, obcy mi system wartości. Co gorsza, Jem próbował mi go wpoić, a parę razy posunął się nawet do mówienia mi, co mam robić. Podczas jednej ze sprzeczek wykrzyknął:

– Najwyższy czas, żebyś zaczęła być dziewczyną i zachowywać się jak należy!

Rozpłakałam się i pobiegłam do Calpurnii.

– Nie przejmuj się za bardzo panem Jemem... – zaczęła.

– *Panem* Jemem?

– No tak, w zasadzie już prawie panem Jemem.

– Nie jest jeszcze taki duży – zaoponowałam. – Najbardziej przydałby mu się ktoś, kto by mu złoił skórę. Niestety, ja jestem na to za mała.

– Kochanie – odrzekła Calpurnia – nic nie poradzę na to, że pan Jem dorasta. Wkrótce będzie chciał spędzać więcej czasu samotnie, robiąc to, co

wszyscy chłopcy, a ty, kiedy tylko poczujesz się samotna, zawsze będziesz mogła wpaść do mnie, do kuchni. Tu na pewno nie będziemy się nudzić.

Początek lata zapowiadał się obiecująco: Jem mógł robić, co mu się podobało, a Calpurnia miała mi wystarczyć do przyjazdu Dilla. Chyba nawet cieszyła się, widząc mnie w kuchni. Obserwując ją, doszłam do wniosku, że bycie dziewczyną wymaga pewnych umiejętności.

Lato w końcu nadeszło, ale Dill się nie pojawił. W liście informował, że ma nowego ojca, którego zdjęcie załączył, i że będzie musiał zostać w Meridian, ponieważ planują budowę łodzi rybackiej. Jego ojciec był prawnikiem, jak Atticus, tylko znacznie młodszym. Nowy tata Dilla miał przyjemną twarz i dlatego cieszyłam się, że go sobie znalazł, ale zarazem byłam załamana. Dill obiecywał, że będzie mnie wiecznie kochał, że mam się nie martwić, że przyjedzie i ożeni się ze mną, gdy tylko zbierze dość pieniędzy, i że mam pisać.

To, że miałam stałego narzeczonego, było raczej niewielką rekompensatą za jego nieobecność. Wcześniej nigdy o tym nie myślałam, ale lato to był Dill przy sadzawce ćmiący papierosa ze sznurka i oczy Dilla płonące zapałem do najnowszego planu wywabienia Boo Radleya; lato było błyskawicznym pocałunkiem, którym Dill uszczęśliwiał mnie, kiedy Jem nie patrzył; było też tęsknotą, którą wyczuwaliśmy w sobie nawzajem. Przy nim życie było zwyczajne, bez niego – nieznośne. Rozpaczałam przez całe dwa dni.

Na domiar złego, stanowe ciało ustawodawcze miało zebrać się na sesji nadzwyczajnej, a to oznaczało wyjazd Atticusa na dwa tygodnie. Gubernator pragnął się rozprawić z paroma rzepami uczepionymi zdrowej tkanki naszego stanu. W Birmingham trwały strajki. W miastach kolejki po chleb stale się wydłużały, a mieszkańcy wsi biednieli z dnia na dzień.

Wszystkie te zdarzenia były jednak bardzo odległe od świata, w którym żyliśmy z Jemem.

Pewnego ranka ze zdumieniem zobaczyliśmy karykaturę w gazecie „Montgomery Advertiser”, opatrzoną podpisem „Finch z Maycomb”. Była to podobizna Atticusa, bosego i w krótkich portkach, przykutego łańcuchem do biurka. Pilnie gryzmolił coś w notatniku, a grupka frywolnie prezentujących się dziewcząt pokrzykiwała na niego „Juhuuuu!”

– To komplement – wyjaśnił mi Jem. – Ojciec spędza czas, robiąc rzeczy, które nie zostałyby zrobione, gdyby nikt ich nie zrobił.

– Hę?

Prócz całkiem nowych cech charakteru Jem nabrał też znienacka wielkiej mądrości, którą doprowadzał mnie do szału.

– Och, Skaucie... To coś takiego jak reorganizacja systemu podatkowego w hrabstwach i tak dalej. Dla większości śmiertelników to zbyt nudne sprawy.

– Skąd wiesz?

– Och, dajże mi już święty spokój. Czytam gazetę.

Spełniłam jego życzenie, udając się do kuchni.

Przy obieraniu groszku Calpurnia odezwała się nagle:

– Co ja z wami zrobię w niedzielę, kiedy trzeba będzie iść do kościoła?

– Chyba nic. Atticus zostawił nam drobne na tacę.

Calpurnia zmrużyła oczy; wiedziałam, że przyszedł jej do głowy jakiś pomysł.

– Cal – zaczęłam – przecież wiesz, że będziemy grzeczni. Od lat nie zmalowaliśmy nic w kościele.

Calpurnia jednak najwyraźniej pamiętała pewną deszczową niedzielę, kiedy zabrakło nie tylko ojca, ale i nauczycielki. Klasa pozostawiona

samopas szybko uporała się z przywiązaniem Eunice Ann Simpson do krzesła stojącego w kotłowni. Całkiem o niej zapomnieliśmy, maszerując na górę, do kościoła. Słuchaliśmy w skupieniu kazania, gdy nagle grzejniki rozbrzmiały przeraźliwym łomotem, który trwał tak długo, aż ktoś się zainteresował i uwolnił Eunice Ann. Usłyszeliśmy wtedy od niej, że już nie chce grać roli Sydracha, bo choć Jem zapewnił ją, że nie spłonie w piecu, jeśli jej wiara będzie dość silna, w kotłowni było jej zdecydowanie za gorąco.

– Poza tym, Cal, Atticus nie wyjechał po raz pierwszy – zaprotestowałam.

– Owszem, ale zawsze się upewnia, czy nauczycielka będzie z wami. A tym razem jakoś o tym nie mówił, pewnie zapomniał. – Calpurnia podrapała się po głowie. Nagle na jej twarzy pojawił się uśmiech. – A może jutro poszlibyście z panem Jemem do mojego kościoła.

– Poważnie?

– Czemu nie? – Calpurnia promieniała.

Jeżeli kiedykolwiek kąpała mnie naprawdę starannie, to wszystkie te okazje były niczym w porównaniu ze skrupulatnym szorowaniem, które zafundowała mi tamtej soboty. Namydliła mnie całą dwa razy, przed każdym płukaniem zmieniając wodę w wannie. Kazała mi pochylić się nad miednicą i wyszorowała głowę, najpierw mydłem do prania „Octagon”, a potem toaletowym. Od lat ufała Jemowi w kwestii mycia, ale tamtego wieczoru naruszyła jego łazienkowy spokój, prowokując go do wybuchu:

– Czy już nie można wziąć w tym domu kąpieli bez całej rodziny na karku?!

Rankiem wcześniej niż zwykle zabrała się do przeglądu ubrań. Gdy zostawała u nas na noc, sypiała na składanym łóżku w kuchni. Tego ranka całe jej posłanie było zasypane naszą niedzielną garderobą. Moją sukienkę

nakrochmaliła tak szczodrze, że kiedy siadałam, materiał stał wokół mnie jak namiot. Kazała mi włożyć halkę i ciasno przewiązała w talii różową szarfą. Moje lakierki polerowała tak długo, aż zobaczyła w nich swoje odbicie.

– Jakbyśmy szli na Mardi Gras – pożalił się Jem. – Po co taka szopka, Cal?

– Nie chcę, żeby ktoś powiedział, że nie dbam o moje dzieci – mruknęła w odpowiedzi Calpurnia. – Panie Jemie, ten krawat absolutnie nie pasuje do garnituru. Jest zielony.

– Co z tego?

– Garnitur jest niebieski. Nie widzi pan tego?

– Heheee – zawyłam. – Jem nie odróżnia kolorów.

Zarumienił się ze złości, ale Calpurnia zdążyła się wtrącić:

– W tej chwili przestańcie. Macie pójść do Pierwszego Zakupu z uśmiechem na twarzy.

Środkowowschodni Kościół Afrykański Pierwszego Zakupu znajdował się w murzyńskiej dzielnicy za południowo-wschodnią granicą miasta, po drugiej stronie starej linii kolejowej biegnącej do tartaku. Był to stary, obłażący z farby budynek, a zarazem jedyny kościół w Maycomb z wieżą i dzwonem, zwany Pierwszym Zakupem, jako że został nabyty za pierwsze pieniądze zarobione przez wyzwolonych niewolników. Murzyni wychwalali w nim Boga w niedziele, a w dni powszednie biali zajmowali się tu hazardem.

Dziedziniec przed kościołem pokryty był gliną twardą jak cegła, podobnie jak przylegający doń cmentarz. Gdy komuś zdarzyło się umrzeć podczas suszy, ciało okładano lodem do czasu, aż deszcze rozmiękczyły ziemię. Nad kilkoma mogiłami stały rozsypujące się nagrobki; granice nowszych wytyczano jedynie różnobarwnym szkłem i tłuczonymi

butelkami od coca-coli. Pręty odgromników znaczyły groby tych, którzy nie spoczywali w pokoju; resztki wypalonych świec widać było przy nagrobkach dzieci. Był to szczęśliwy cmentarzyk.

Gdy tylko weszliśmy na dziedziniec powitał nas przyjemny, słodko-gorzki zapach czystych Murzynów. Aromat brylantyny „Hearts of Love” mieszał się z wonią żywicy, tabaki, wody kolońskiej Hoyta, tytoniu „Brown’s Mule”, mięty pieprzowej oraz talku o zapachu bzu.

Na widok Jema i mnie w towarzystwie Calpurnii mężczyźni cofnęli się o krok i zdjęli z głów kapelusze, a kobiety skrzyżowały ręce na brzuchach w zwyczajowym geście szacunku i gotowości. Rozstąpili się przed nami, tworząc wąską ścieżkę wiodącą wprost do drzwi kościoła. Calpurnia szła między nami, odpowiadając na pozdrowienia barwnie odzianych sąsiadów.

– A co to ma znaczyć, panno Cal? – odezwał się głos za naszymi plecami.

Calpurnia położyła nam dłonie na ramionach; przystanęliśmy i rozejrzeliśmy się dokoła. Na ścieżce za nami stała wysoka Murzynka. Ciężar ciała opierała na jednej nodze; lewy łokieć ułożyła na krągłości biodra i wskazywała na nas otwartą dłonią. Miała pociągłą twarz o dziwnych oczach w kształcie migdałów, prosty nos i usta jak indiański łuk. Miałam wrażenie, że ma ze dwa metry wzrostu.

Poczułam, jak palce Calpurnii wpijają się w mój bark.

– Czego chcesz, Lula? – spytała tonem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam. Mówiła cicho i z pogardą.

– Chcę wiedzieć, po co przyprowadzasz białe dzieciaki do kościoła dla czarnych.

– Dla towarzystwa – odparła Calpurnia.

Znowu pomyślałam, że jej głos brzmi dziwnie; mówiła tak samo jak oni.

– No jasne, a w dni powszednie pewnie ty jesteś towarzystwem dla Finchów?

W tłumie rozległ się pomruk stłumionych głosów.

– Nic się nie bój – szepnęła mi na ucho Calpurnia, ale zauważyłam, że róże na jej kapelusiku drżały gniewnie.

Gdy Lula ruszyła ścieżką przez tłum w naszą stronę, Calpurnia powiedziała:

– Stój tam, gdzie stoisz, czarnucho.

Lula zatrzymała się, ale nie zamierzała milczeć.

– Niepotrzebnie sprowadzasz tu te białe dzieci. One mają swój kościół, a my swój. Ten jest, zdaje się, nasz, panno Cal?

– Ale Bóg jest jeden – odparła Calpurnia.

– Chodźmy do domu – zaproponował Jem. – Cal, oni nas tu nie chcą...

Zgadzałam się z nim: nie chcieli nas. Wyczuwałam raczej, niż widziałam, że coś ich pcha w naszą stronę. Miałam wrażenie, że się zbliżają, ale kiedy spojrzałam w oczy Calpurnii, zobaczyłam w nich tylko rozbawienie. Gdy ponownie popatrzyłam na ścieżkę, Luli już nie było, a jej miejsce zajęła zwarta masa kolorowych.

Jeden z mężczyzn wystąpił przed tłum. Był to śmieciarz Zeebo.

– Panie Jemie – powiedział – strasznie się cieszymy, żeście do nas przyszli. Nie zwracajcie uwagi na Lulę. Złości się, bo wielebny Sykes zagroził jej, że będzie o niej mówił w kazaniu. Zawsze lubiła mącić, ma dziwne pomysły i harda jest, ale my się cieszymy, że tu jesteście.

Po tych słowach Calpurnia poprowadziła nas do drzwi kościoła. Wielebny Sykes powitał nas na progu i zaprowadził do pierwszej ławki.

Kościół Pierwszego Zakupu nie miał w środku ani pomalowanych ścian, ani ozdobnego sklepienia. Wygaszone o tej porze lampy naftowe

wisiały na mosiężnych uchwytach; ławki wykonane były z prostych sosnowych desek. Za pulpitem z surowej dębiny stał cokolwiek spłowiały, różowy sztandar z jedwabiu, opatrzony napisem „Bóg jest Miłością” – była to jedyna dekoracja w tej świątyni, jeśli nie liczyć rotograwiury obrazu Hunta *Światłość świata*. Nie zauważyłam ani śladu pianina, organów, książeczek z hymnami, kościelnych gazetek – typowych religijnych rekwizytów, które widywałam co niedziela. Panował półmrok, a wilgotny chłód ustępował, w miarę jak przybywało wiernych. Na każdym siedzeniu leżał tandetny tekturowy wachlarz z wizerunkiem ogrodu Getsemani (dar sklepu żelaznego Tyndala i spółki – „Powiedz co, a sprzedamy ci to”).

Calpurnia wskazała nam miejsce na końcu ławki, a sama usiadła między nami. Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej chusteczkę i rozwiązała supeł, pod którym przechowywała drobne. Dała nam po dziesięciocentówce.

– Mamy swoje – szepnął Jem.

– To sobie zatrzymajcie – odparła Calpurnia. – Jesteście tu ze mną.

Na twarzy Jema przez chwilę malowało się niezdecydowanie: etyczna dwuznaczność zawłaszczenia sobie dziesięciocentówki przegrała ostatecznie z wrodzoną grzecznością, która nakazywała mu usłuchać Cal. Schował własną monetę do kieszeni, a ja bez specjalnych wyrzutów sumienia uczyniłam to samo.

– Cal – szepnęłam – gdzie są książeczki z hymnami?

– Nie mamy – odpowiedziała.

– Więc jak...?

– Ciii.

Wielebny Sykes stanął już za pulpitem i wpatrywał się w wiernych, czekając, aż się uciszą. Był to niski, krępy mężczyzna w czarnym garniturze, czarnym krawacie i białej koszuli. Złoty łańcuszek od zegarka

kieszonkowego lśnił na jego piersi w świetle wpadającym przez mleczne szyby.

– Bracia i siostry – zaczął. – Jest nam dziś szczególnie miło gościć młodych pana i pannę Finch. Znacie wszyscy ich ojca. Zanim przystąpimy do nabożeństwa, przeczytam ogłoszenia.

Wielebny Sykes przełożył papiery, wybrał jedną z kartek i odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętego ramienia.

– Towarzystwo Misyjne spotyka się w domu siostry Anette Reeves w następny czwartek. Proszę przynieść przybory do szycia.

Kapłan wyciągnął inną kartkę.

– Wszystkim wam wiadomo o kłopotach brata Toma Robinsona. Od najmłodszych lat był wiernym członkiem parafii Pierwszego Zakupu. Taca z dnia dzisiejszego i kolejnych trzech niedziel będzie przeznaczona dla Helen, jego żony, by pomóc jej w utrzymaniu domu.

Szturchnęłam Jema.

– To ten Tom, którego Atticus bro...

– Ciii!

Odwróciłam się ku Calpurnii, ale uciszyła mnie ponownie, zanim zdążyłam otworzyć usta. Przywołana do porządku skupiłam się znowu na wielebnym Sykesie, który jakby na to tylko czekał.

– Czy prowadzący może zacząć pierwszy hymn? – spytał.

Zeebo wstał, wyszedł spomiędzy ławek i główną nawą dotarł przed pierwsze rzędy, na środek, gdzie odwrócił się twarzą ku zgromadzonym, ściskając w ręku wytarty śpiewnik.

– Zaśpiewamy numer dwieście siedemdziesiąty trzeci.

Tego było mi już za wiele.

– Jak mamy śpiewać, skoro nie mamy książeczek?

Calpurnia tylko się uśmiechnęła.

– Spokojnie, kochanie – szepnęła. – Zaraz się przekonasz.

Zeebo odchrząknął i przeczytał głosem podobnym do dalekiego grzmotu artylerii:

– Jest ziemia daleko za rzeką....

Zdumiewająco zgrany chór stu głosów wyśpiewał słowa podane przez Zeebo. W ostatnią sylabę, zmienioną w ochrypłe murmurando, znowu włączył się prowadzący:

– Którą nazywamy słodką wiecznością...

Muzyka znowu narosła wokół nas; ostatnia nuta trwała długo i Zeebo wszedł w nią z kolejnym wersem tekstu:

– Lecz jej brzeg tylko przez wiarę znajdziemy.

Wierni się zawahali, a Zeebo starannie powtórzył linię. Dotarłszy do refrenu, prowadzący zamknął śpiewnik – był to sygnał dla zgromadzonych, że dalej mają sobie radzić sami.

Gdy wybrzmiewała ostatnia sylaba słowa „jubileusz”, Zeebo dodał:

– W ziemi tej wieczności słodkiej, po drugiej stronie rzeki lśniącej.

Wers za wersem, głosy podążały za prowadzącym w prostej harmonii, póki hymn nie wybrzmiał ostatnią, melancholijną nutą.

Spojrzałam na Jema, który wpatrywał się w Zeebo kącikami oczu. Ja też nie mogłam w to wszystko uwierzyć, a przecież oboje słyszeliśmy to na własne uszy.

Wielebny Sykes prosił Boga, by błogosławił chorym i cierpiącym, a czynił to w sposób w zasadzie nie różniący się od praktyki naszego kościoła, z tym że zwracał uwagę Stwórcy na bardziej konkretne sprawy.

Kazanie było ostrą krytyką grzechu i surową deklaracją motta, które widniało za plecami kapłana. Wielebny ostrzegał swoją trzódkę przed złem

mocnych trunków, hazardu i obcych kobiet. W murzyńskiej dzielnicy dość było kłopotów z powodu handlarzy nielegalnie pędzonym alkoholem, ale kobiety były, zdaniem Sykesa, jeszcze gorsze. Kolejny raz, podobnie jak w moim kościele, poznawałam doktrynę o nieczystości kobiet, która, jak mi się zdawało, była dla duchownych szczególnie intrygująca.

W zasadzie było to takie samo kazanie, jakiego słuchaliśmy w każdą niedzielę, ale z jedną różnicą: wielebny Sykes używał kościelnej mównicy znacznie swobodniej, by wyrazić opinię o całkiem konkretnych grzeszkach swoich podopiecznych. Jim Hardy nie zajrzał do kościoła od pięciu tygodni, a wiadomo, że nie choruje. Constance Jackson powinna bardziej uważać na to, co robi – była na krawędzi otwartego sporu z sąsiadami, bo postawiła jedyne ogrodzenie w historii dzielnicy.

Wielebny Sykes zakończył kazanie. Stanął przed pulpitem, obok stołu, i poprosił o poranną ofiarę – ten wariant był nam akurat obcy. Wierni podchodzili kolejno, by wrzucać pięcio- i dziesięciocentówki do czarnej, emaliowanej puszki do kawy. Jem i ja uczyniliśmy to co wszyscy i usłyszeliśmy „Dziękuję, dziękuję”, gdy do pojemnika wpadały z brzękiem nasze dziesiątaki.

Ku naszemu zdumieniu, wielebny Sykes wysypał zawartość puszki na stół i szybko przebrał monety. Po chwili wyprostował się i rzekł:

– Za mało. Musimy zebrać dziesięć dolarów.

Wśród wiernych zapanowało poruszenie.

– Dobrze wiecie, na co przeznaczamy te pieniądze. Helen nie może zostawić dzieci i iść do pracy, póki Tom siedzi w areszcie. Jeśli wszyscy dorzucą jeszcze po dziesięć centów, powinno wystarczyć. – Wielebny Sykes machnął ręką, dając sygnał komuś w głębi kościoła. – Alec, zamknij drzwi. Nikt stąd nie wyjdzie, póki nie zbierzemy dziesięciu dolarów.

Calpurnia wyłowiła z torebki wytartą skórzaną portmonetkę.

– Cal – szepnął Jem, gdy wręczyła mu lśniącą ćwierćdolarówkę – teraz możemy dołożyć nasze. Skaucie, daj swoje dziesięć centów.

W kościele było coraz duszniej i pomyślałam sobie, że wielebny Sykes postanowił wypocić z wiernych brakującą kwotę. Wachlarze szeleściły, a stopy szurały po podłodze; miłośnicy żucia tytoniu konali.

Wystraszyłam się, gdy wielebny Sykes przemówił surowo:

– Carlu Richardsonie, dziś jeszcze nie widziałem cię w pobliżu stołu.

Chudy mężczyzna w spodniach koloru khaki zbliżył się główną nawą i dorzucił monetę. Wierni przyjęli ofiarę pomrukiem aprobaty.

– Niech każdy, kto nie ma dzieci – odezwał się po chwili duszpasterz – złoży ofiarę z jeszcze jednej dziesięciocentówki. To wystarczy.

Powoli i w bólach zgromadzono wreszcie dziesięć dolarów. Drzwi zostały otwarte i poczuliśmy ożywczy podmuch ciepłego, świeżego powietrza. Zeebo zaintonował *Na burzliwych brzegach Jordanu* i wkrótce było już po mszy.

Chciałam zostać dłużej i się rozejrzeć, ale Calpurnia popchnęła mnie przed sobą w stronę wyjścia. Przy drzwiach, gdy zatrzymała się na chwilę, by porozmawiać z Zeebo i jego rodziną, my z Jemem pogawędziliśmy trochę z wielebnym Sykesem. Chciałam mu zadać mnóstwo pytań, ale postanowiłam się powstrzymać i poszukać odpowiedzi u Calpurnii.

– Naprawdę bardzo nam miło, że mogliśmy was gościć – mówił wielebny Sykes. – Ten kościół nie ma większego przyjaciela niż wasz tata.

Balon mojej ciekawości wreszcie pękł:

– Dlaczego zbieraliście wszyscy pieniądze dla żony Toma Robinsona?

– Nie słuchałaś? – odpowiedział mi pytaniem wielebny Sykes. – Helen ma w domu troje małych dzieci i nie może iść do pracy...

– Ale dlaczego nie weźmie ich ze sobą? – indagowałam.

Murzynki pracujące w polu bardzo często brały ze sobą dzieci – sadzały je w cieniu, zazwyczaj pomiędzy dwoma polami bawełny. Te, które jeszcze nie umiały siedzieć, były noszone na plecach albo kładzione w zapasowych workach na bawełnę.

Wielebny Sykes zawahał się.

– Prawdę mówiąc, panno Jean Louise, Helen ma ostatnio kłopoty ze znalezieniem pracy... Ale myślę, że na czas zbiorów przyjmie ją pan Link Deas.

– Dlaczego ma kłopoty?

Zanim wielebny zdążył mi odpowiedzieć, poczułam na ramieniu dłoń Calpurnii. Uścisk był na tyle mocny, że powiedziałam tylko:

– Dziękuję, że mogliśmy tu przyjść.

Jem powtórzył moje słowa i odmaszerowaliśmy w stronę domu.

– Cal, wiem, że Tom Robinson jest w więzieniu i że zrobił coś okropnego, ale dlaczego ludzie nie chcą zatrudnić Helen? – spytałam.

Calpurnia, ubrana w granatową suknię z woalu i kapelusz wielkości miednicy, szła między mną a Jemem.

– Z powodu tego, co zrobił Tom – odpowiedziała. – Nie bardzo chcą mieć do czynienia z kimkolwiek z jego rodziny.

– Ale co on właściwie zrobił, Cal?

Calpurnia westchnęła.

– Stary pan Bob Ewell twierdzi, że Tom zgwałcił jego córkę. To on doprowadził do aresztowania.

– Pan Ewell? – Coś drgnęło w mojej pamięci. – Czy on ma coś wspólnego z tymi Ewellami, którzy co roku przychodzą na pierwszy dzień nauki i zaraz wracają do domu? Atticus mówił, że to skończone męty.

Nigdy zresztą nie słyszałam, by mówił tak o kimkolwiek poza Ewellami. Powiedział, że...

– Tak, to właśnie ci.

– Ale przecież wszyscy w Maycomb wiedzą, co to z ludzie. Na pewno chętnie zatrudniliby Helen... Ale Cal, co to znaczy zgwałcił?

– O to będziesz musiała spytać pana Fincha – odrzekła Calpurnia. – On ci to lepiej wytłumaczy. Głodni jesteście? Wielebny nie spieszył się dzisiaj zbytnio z nabożeństwem. Zwykle nie jest aż taki skrupulatny.

– Jest taki sam jak nasz kaznodzieja – odparł Jem. – Ale powiedz mi, dlaczego śpiewacie hymny właśnie w taki sposób?

– Po linii?

– Tak się to nazywa?

– Tak, po linii. Zawsze tak śpiewaliśmy, odkąd pamiętam.

Jem zauważył, że gdyby przez rok oszczędzali pieniądze zbierane do puszki, mogliby kupić książeczki z hymnami.

Calpurnia się roześmiała.

– Nic by to nie dało – stwierdziła. – Oni nie umieją czytać.

– Nie umieją czytać? – powtórzyłam. – Nikt?

– Tak jest – przytaknęła Calpurnia, kiwając głową. – W całej parafii Pierwszego Zakupu może ze cztery osoby potrafią... Ja jestem jedną z nich.

– Do której szkoły chodziłaś, Cal? – zainteresował się Jem.

– Do żadnej. Zaraz, kto to mnie uczył liter...? Ciocia panny Maudie Atkinson, sędziwa panna Buford.

– To ty jesteś aż tak stara?

– Starsza nawet od pana Fincha – odrzekła z uśmiechem Calpurnia. – Tylko nie wiem dokładnie o ile. Kiedyś próbowaliśmy sobie przypominać różne zdarzenia, żeby ustalić, ile mam lat. Wiem, że pamiętam tylko o kilka

lat więcej niż wasz ojciec, więc nie jestem aż tak wiele starsza, zwłaszcza że mężczyźni mają gorszą pamięć niż kobiety.

– A kiedy masz urodziny?

– Obchodzę w Boże Narodzenie, bo tak najłatwiej zapamiętać, ale prawdziwej daty urodzin nie znam.

– Ależ Cal – zaprotestował Jem – wcale nie wyglądasz mi na tak starą jak Atticus.

– Po kolorowych nie widać wieku tak, jak po białych – odparła.

– Może to dlatego, że nie potrafią czytać? Cal, czy to ty uczyłaś Zeebo?

– Tak, panie Jemie. Kiedy był małym chłopcem, nawet nie było tu szkoły. Ale jakoś go nauczyłam.

Zeebo był najstarszym synem Calpurnii. Gdybym kiedykolwiek się nad tym zastanawiała, pewnie wpadłabym na to, że Cal ma już swoje lata – Zeebo sam przecież miał prawie dorosłe dzieci – ale jakoś nigdy o tym nie myślałam.

– Uczyłaś go z elementarza, tak jak nas? – spytałam.

– Nie, codziennie dostawał do przeczytania jedną stronę z Biblii, a oprócz tego miałam jeszcze jedną książkę, z której uczyła mnie panna Buford. Nie zgadniecie, od kogo ją dostałam.

Miała rację, nie zgadliśmy.

– Od waszego dziadka Fincha.

– To ty też jesteś z Landing? – zdziwił się Jem. – Nigdy nam o tym nie mówiłaś.

– A pewnie, że jestem, panie Jemie. Dorastałam między Buford Place a Finch’s Landing. Pracowałam na przemian dla jednej albo drugiej rodziny, a kiedy wasi rodzice się pobrali, przeniosłam się z nimi do Maycomb.

– Jaka to była książka, Cal? – spytałam.

– *Komentarze*[1] Blackstone’a.

W Jema jakby piorun strzelił.

– Uczyłaś Zeebo z czegoś takiego?!

– I owszem, panie Jemie. – Calpurnia jakby z onieśmieleniem zasłoniła usta dłonią. – Tylko takie książki miałam. Wasz dziadziuś twierdził, że pan Blackstone pisał piękną angielszczyzną...

– To dlatego nie mówisz tak jak reszta – domyślił się Jem.

– Jaka reszta?

– Reszta kolorowych. Cal, ale przecież przed kościołem mówiłaś tak jak oni...

Nigdy nie pomyślałam, że Calpurnia może wieść skromne, ale jednak podwójne życie. Zupełną nowością była dla mnie myśl, że Cal mogła egzystować całkiem niezależnie, poza naszym domem, a kto by zgadł, że w dodatku włada dwoma językami!

– Cal – spytałam – dlaczego rozmawiasz ze swoimi w języku czarnych, skoro wiesz, że to niepoprawny język?

– Wiesz, przede wszystkim jestem czarna...

– Ale to nie znaczy, że masz tak mówić, skoro potrafisz lepiej – wtrącił Jem.

Calpurnia odchyliła kapelusz i podrapała się po głowie, po czym na powrót wcisnęła kapelusz mocno na uszy.

– Trudno to tak wprost wyjaśnić – zaczęła. – Ale przypuśćmy, że pan i Skaut zaczęlibyście rozmawiać w domu w języku kolorowych. Byłoby to nie na miejscu, prawda? A gdybym tak ja zaczęła mówić jak biali w kościele przy sąsiadach? Pomyśleliby, że poczułam się ważniejsza od Mojżesza.

– Ale Cal, przecież umiesz lepiej – upierałam się.

– Nie trzeba zaraz zdradzać wszystkich atutów. Damy tak nie robią, to po pierwsze. A po drugie, ludzie nie lubią, kiedy ktoś zaczyna pokazywać, że umie więcej niż inni. Reagują wrogością. A nawet gdybym mówiła prawidłowo, nie zmieniłabym obyczajów żadnego z nich. Muszą się sami nauczyć, a skoro tego nie chcą, to już nie można nic zrobić, tylko trzymać gębę na kłódkę albo gadać ich językiem.

– Cal, czy mogłabym czasem się z tobą widywać?

Spojrzała na mnie z góry.

– Widywać, skarbie? Przecież widujemy się codziennie.

– Tak, ale nie w twoim domu – odrzekłam. – Może czasem po pracy? Atticus mógłby mnie odbierać.

– Odwiedzaj mnie, kiedy tylko zechcesz. Zawsze będziesz miłym gościem.

Przechodziliśmy właśnie obok posesji Radleyów.

– Spójrzcie tam, na werandę – odezwał się Jem.

Automatycznie skierowałam wzrok ku domowi Radleyów, spodziewając się ujrzeć ducha opalającego się na huśtawce, ale huśtawka była pusta.

– Nie na tę, na naszą – uściślił Jem.

Spojrzałam nieco dalej. W naszym bujanym fotelu siedziała sztywna, pancerna i bezkompromisowa ciocia Alexandra, jakby przez całe życie niczego innego nie robiła.

# Rozdział 13

Calpurnio, postaw tę torbę w sypialni od frontu.

Tak brzmiało pierwsze zdanie, które usłyszeliśmy od cioci Alexandry.

– Jean Louise, przestań się drapać po głowie.

Tak brzmiało drugie jej zdanie.

Calpurnia dźwignęła ciężką walizę ciotuni i otworzyła drzwi.

– Ja wezmę – powiedział Jem. Zaraz potem usłyszałam głośny huk torby opadającej na podłogę w sypialni. Dźwięk rozszedł się echem po domu, jakby zapowiadał trwałe zmiany.

– Przyjechałaś z wizytą, ciotuniu? – zapytałam.

Ciocia Alexandra opuszczała Finch’s Landing rzadko, ale za to w wielkim stylu. Miała kanciastego, jasnozielonego buicka oraz czarnoskórego szofera, wyglancowanych do granic przyzwoitości, ale tym razem jakoś nie zauważyłam ich w pobliżu.

– Ojciec wam nie powiedział? – spytała.

Pokręciliśmy głowami.

– Pewnie zapomniał. Jeszcze nie wrócił, prawda?

– Nie, zwykle wraca późnym popołudniem – odparł Jem.

– Otóż postanowiliśmy z waszym ojcem, że już najwyższa pora, żebym pomieszkała z wami przez jakiś czas.

W Maycomb sformułowanie „przez jakiś czas” oznaczało dowolny przedział czasu, od trzech dni do trzydziestu lat. Wymieniliśmy z Jemem spojrzenia.

– Jem jest dorastającym chłopcem, a i ty rośniesz – ciągnęła, zwracając się do mnie. – Uznaliśmy więc, że kobieca ręka będzie miała na was doskonały wpływ. Nie minie wiele lat, Jean Louise, a zaczniesz interesować się strojami i chłopcami...

Mogłam udzielić paru odpowiedzi: Cal też jest kobietą, minie mnóstwo lat, zanim zainteresują mnie chłopcy, nigdy nie zainteresują mnie ubrania... Ale milczałam.

– A co z wujkiem Jimmym? – spytał Jem. – On też przyjedzie?

– O nie, wujek został w Landing. Musi pilnować interesu.

W tej samej sekundzie, w której zadałam pytanie: „A nie będziesz za nim, ciociu, tęsknić?”, zrozumiałam, że było to pytanie nietaktowne. Poza tym, między obecnością a nieobecnością wujka Jimmy’ego nie było zasadniczej różnicy, gdyż i tak nigdy się nie odzywał. Ciocia Alexandra zignorowała moje pytanie.

Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Gwoli ścisłości, nigdy nie miałam pojęcia, co mogłabym jej powiedzieć, i dlatego teraz siedziałam zmartwiała, wspominając nasze bolesne rozmowy z przeszłości: Jak się masz, Jean Louise? Dziękuję, doskonale, a jak się ciocia miewa? Świetnie, dziękuję. Co ostatnio porabiasz? Nic. Naprawdę nic? Nic, proszę cioci. Ale na pewno masz przyjaciół. Tak, proszę cioci. Zatem co z nimi porabiasz? Nic.

Nie miałam wątpliwości, że ciocia uważa mnie za osobę skrajnie nudną, a to dlatego, że raz nawet usłyszałam, jak w rozmowie z Atticusem nazwała mnie „niemrawą”.

Kryła się za tym dłuższa historia, ale nie miałam ochoty wyciągać jej z mojej cioci akurat tamtego dnia: była to niedziela, w dniu Bożym ciotunia Alexandra była szczególnie drażliwa. Przypuszczam, że przyczyną był gorset, w który wbijała się w dni świąteczne. Nie była otyła, ale na pewno

mocno zbudowana, toteż używała takiego pancernego modelu, który unosił jej biust na niewiarygodną wysokość, niemożliwie ściskał talię i szczodrze uwypuklał rufę, niejako dając do zrozumienia, że miała niegdyś figurę klepsydry. W każdym razie z każdej strony prezentowała się zabójczo.

Reszta popołudnia upłynęła nam w łagodnie smutnej atmosferze, która pojawia się często, gdy zjeżdżają goście. Zły czar prysł, dopiero gdy usłyszeliśmy, że na nasz podjazd skręca samochód. Atticus wrócił z Montgomery. Jem, całkiem zapominając o godności, wraz ze mną wybiegł mu na spotkanie. Przechwycił natychmiast jego aktówkę i torbę, a ja skoczyłam prosto w ramiona ojca. Dostałam ostrożnego całusa na powitanie i zaraz zapytałam:

– Przywiozłeś mi książkę? Wiesz, że ciocia przyjechała?

Atticus udzielił dwóch twierdzących odpowiedzi.

– A czy byłabyś zadowolona, gdyby miała z nami zamieszkać?

Odpowiedziałam, że bardzo, co było kłamstwem, ale w pewnych okolicznościach trzeba kłamać, a zwłaszcza wtedy, gdy powiedzenie prawdy i tak nic nie zmieni.

– Uznaliśmy, że potrzeba wam, dzieciom... To jest tak, Skaucie – tłumaczył Atticus. – Twoja ciocia wyświadcza przysługę i mnie, i wam. Nie mogę być przy was przez cały dzień, a lato zapowiada się gorące.

– Tak, ojcze – przytaknęłam, nie rozumiejąc nic a nic z tego, co mówił. Świtała mi natomiast w głowie myśl, że pojawienie się cioci Alexandry na scenie było raczej jej zasługą niż Atticusa. Ciotunia doskonale potrafiła obwieszczać światu, Co Jest Najlepsze dla Rodziny, i przypuszczałam, że jej przenosiny do nas również należały do tej kategorii zdarzeń.

Maycomb powitało ją ciepło. Panna Maudie Atkinson upiekła ciasto tak szczodrze nasączone burbonem, że kręciło mi się po nim w głowie. Panna Stephanie Crawford składała cioci Alexandrze długie wizyty, podczas

których często potrząsała głową i uparcie powtarzała „ho, ho, ho”. Panna Rachel, nasza sąsiadka, po południu zapraszała ciotunię na kawę, a pan Nathan posunął się nawet do tego, że wszedł na nasze podwórko, żeby powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że ją widzi.

Podwieczorki dla Towarzystwa Misyjnego szybko przyniosły cioci reputację świetnej gospodyni (nie pozwalała Calpurnii na samodzielne przyrządzanie smakołyków, które miały podtrzymać przy życiu szanowne zgromadzenie podczas omawiania długich raportów na temat świeżo nawróconych pogan z Azji). Zapisała się do Klubu Kronikarzy Maycomb i szybko została jego sekretarzem. Obecna na wszystkich imprezach i w pełnym zakresie uczestnicząca w życiu hrabstwa, ciocia Alexandra była jedną z ostatnich w swoim rodzaju: miała maniery damy wychowanej w pensji z internatem, pamiętającej czasy bocznokołowców, ze wszystkiego umiała wyciągnąć morał i była nieuleczalną plotkarką. W czasach, gdy chodziła do szkoły, w żadnym podręczniku nie istniało określenie „brak wiary w siebie” i dlatego nie rozumiała jego znaczenia. Nigdy się nie nudziła i jeśli tylko pojawiała się choćby najmniejsza szansa, rządziła się po królewsku: aranżowała, doradzała, uprzedzała i ostrzegała.

Nigdy nie przepuściła okazji do wytknięcia słabości innego plemienia, ku tym większej chwale naszego. Nawyk ten bardziej bawił Jema, niż irytował:

– Ciotunia powinna uważać na to, kogo miesza z błotem, bo prawie wszyscy mieszkańcy Maycomb są z nami spokrewnieni.

Wysnuwając morał z samobójstwa młodego Sama Merriweathera, ciocia Alexandra powiedziała raz, że przyczyną tej tragedii była patologiczna skaza w całej jego rodzinie. Wystarczyło, by szesnastoletnia chórzystka zachichotała, a już ciocia twierdziła:

– To tylko dowód na to, że wszystkie kobiety Penfieldów to latawice.

Wydawało się, że wszyscy w Maycomb mają jakąś Skazę – lubią alkohol albo hazard, bywają skąpi albo zwyczajnie dziwni.

Pewnego razu, gdy ciotunia zapewniła nas, że tendencja panny Stephanie Crawford do zajmowania się cudzymi sprawami jest dziedziczna, Atticus powiedział:

– Siostro, gdyby się nad tym zastanowić, jesteśmy dopiero pierwszym pokoleniem Finchów, którzy nie zawierają małżeństw z kuzynami. Czy zatem powiedziałabyś, że Finchowie mają Skazę Kazirodczą?

Ciocia zaprzeczyła i dodała, że właśnie dzięki temu mamy małe dłonie i stopy.

Nie rozumiałam tej jej obsesji na punkcie dziedziczności. Jakoś tak się złożyło, że za tak zwaną elitę uważałam ludzi, którzy potrafili zrobić najlepszy użytek z własnego rozumu, tymczasem ciocia Alexandra – choć nie mówiła tego wprost – była zdania, iż tym lepsza to rodzina, im dłużej zamieszkuje na jednym i tym samym kawałku ziemi.

– W takim razie Ewellowie to elita – stwierdził kiedyś Jem.

Plemię to, do którego należał znany mi Burris Ewell, od trzech pokoleń żyło na koszt hrabstwa w tym samym miejscu, to jest na placu za wysypiskiem miejskim Maycomb.

W teorii cioci Alexandry była jednak odrobina sensu. Maycomb było starym miastem, leżącym trzydzieści kilometrów na wschód od Finch’s Landing, jak na swój wiek zadziwiająco daleko od rzeki. Prawdą jest jednak, że leżałoby bliżej drogi wodnej, gdyby nie szczwany umysł niejakiego Sinkfielda, który u zarania dziejów prowadził jedyną oberżę w okolicy, usytuowaną na skrzyżowaniu szlaków. Sinkfield nie był patriotą – obsługiwał i zaopatrywał w amunicję i Indian, i osadników, nie bardzo przejmując się tym, czy jest obywatelem Terytorium Alabamy, czy też członkiem narodu Krików, jeśli tylko interes kwitł. A prosperował jak mało

kiedy, gdy gubernator William Wyatt Bibb, z myślą o utwierdzeniu niedawno odzyskanego pokoju na podległym mu terytorium, wysłał duet badaczy z zadaniem precyzyjnego wyznaczenia środka hrabstwa i ustanowienia tam siedziby władz lokalnych. Badacze zatrzymali się u Sinkfielda i poinformowali go, że jego przybytek znajduje się w obrębie hrabstwa Maycomb, a następnie pokazali mu na mapie miejsce, w którym miała powstać stolica. Gdyby nie śmiałe posunięcie Sinkfielda w obronie własnego interesu, być może Maycomb zostałoby wybudowane pośrodku bagna Winston, w miejscu bez żadnych perspektyw biznesowych. Stało się jednak tak, że nasze miasto wyrosło wokół oberży Sinkfielda, a to dlatego że pewnego wieczoru sprytny oberżysta upił swych gości i nakłonił ich, by przynieśli mu swe mapy, tu nieco odjęli, tam nieco dodali i przesunęli centrum hrabstwa tak, by odpowiadało to jego potrzebom. Następnego dnia wysłał ich w drogę z poprawionymi mapami i pięcioma kwartami burbona w jukach – po dwie wieźli dla siebie, jedną zaś dla gubernatora.

Jako że głównym powodem założenia Maycomb była potrzeba ulokowania władz, miasto nie doświadczyło nigdy fazy nieporządku, przez którą przeszły inne osady podobnej wielkości w Alabamie. Od razu wzniesiono solidne budynki i imponujący gmach sądu, a także wytyczono szerokie ulice. Od początku też nie brakło specjalistów w wielu dziedzinach: jeździło się do Maycomb, by dać wyrwać sobie ząb, by naprawić wóz, by dać serce do osłuchania, by zdeponować pieniądze, by zadbać o zbawienie duszy i by podleczyć muły. Ostatecznie jednak mądrość śmiałego posunięcia Sinkfielda jest kwestią sporną. Ulokował młode miasto zbyt daleko od jedynego dostępnego wówczas środka transportu publicznego – statków rzecznych – a zarazem tak daleko od środka hrabstwa, że mieszkańcy północnych krańców musieli podróżować dwa dni, by kupić niezbędne produkty w Maycomb. W rezultacie miasto nie

rozwinęło się przez sto lat, pozostając wysepką na szachownicy pól bawełny i lasów.

Wprawdzie wojna między stanami ominęła Maycomb, za to upadek ekonomiczny i ustawa o odbudowie zmusiły miasto do rozrostu. Tyle tylko, że rozrastało się do wewnątrz. Tak rzadko osiedlał się tu ktoś nowy, że małżeństwa zawierano wciąż w obrębie tych samych rodzin, aż wreszcie wszyscy członkowie tutejszej społeczności zaczęli być do siebie podobni. Bardzo niewielu mieszkańców Maycomb przywoziło współmałżonka z Montgomery czy Mobile, a nawet kiedy tak się zdarzało, była to jedynie drobna zmarszczka na powierzchni leniwego strumyka rodzinnych podobieństw. Kiedy byłam mała, sytuacja wciąż wyglądała właśnie tak.

Istniało też w Maycomb coś na kształt systemu kastowego, który w moim rozumieniu działał tak: starzy obywatele, którzy mieszkali obok siebie przez długie lata, byli dla siebie nawzajem absolutnie przewidywalni – z góry znali swoje zachowania, niuanse charakterów, nawet gesty, bo wszystko to były elementy przekazywane z pokolenia na pokolenie i szlifowane upływem czasu. Stąd takie prawdy jak: Żaden Crawford nie pilnuje swoich spraw, Co trzeci Merriweather jest zły, Nie masz prawdy u Delafieldów albo Wszyscy Bufordowie chodzą w taki sposób, były po prostu wskazówkami w codziennym życiu: nigdy nie przyjmuj czeku od Delafielda, nie zadzwoniwszy dyskretnie do banku; bark panny Maudie Atkinson jest krzywy, jak to u Bufordów; skoro pani Grace Merriweather sączy dżin z butelek po leczniczych nalewkach Lydii E. Pinkham, to nie ma w tym nic dziwnego, bo jej matka czyniła to samo.

Ciocia Alexandra pasowała do świata Maycomb jak dłoń do rękawiczki; nie pasowała natomiast do świata mojego i Jema. Tak często zastanawiałam się, jak to możliwe, że ona jest siostrą Atticusa i wujka Jacka, że w mojej

pamięci odżyły prawie zapomniane opowieści o podmienionych dzieciach i korzeniach mandragory, którymi Jem straszył mnie dawno temu.

Wszystko to były abstrakcyjne spekulacje przez pierwszy miesiąc jej pobytu, kiedy rzadko odzywała się do Jema i do mnie, a widywaliśmy ją tylko przy posiłkach i wieczorem, zanim szliśmy do łóżek. Było lato, większość czasu spędzaliśmy poza domem. Oczywiście zdarzało się, że gdy któregoś popołudnia wpadałam do domu po łyk wody, salon przeżywał akurat oblężenie sącząco-szepcząco-wachlujących dam z Maycomb i rozlegał się głos:

– Jean Louise, przyjdź porozmawiać z paniami.

Lecz gdy pojawiałam się w drzwiach, ciotunia wyglądała zazwyczaj tak, jakby już żałowała swego życzenia; albo byłam zachlapana błotem, albo zasypana piaskiem.

– Porozmawiaj z kuzynką Lily – poleciła mi pewnego popołudnia, przyłapawszy mnie w holu.

– Z kim? – spytałam.

– Z kuzynką Lily Brooke – uściśliła ciocia Alexandra.

– To nasza kuzynka? Nie wiedziałam.

Ciocia Alexandra jakimś sposobem zdołała wyemitować uśmiech, który był zarazem łagodnymi przeprosinami dla kuzynki Lily i stanowczą dezaprobatą dla mojej postawy. Gdy kuzynka Lily Brooke sobie poszła, wiedziałam, że czekają mnie przykre chwile.

Jak się dowiedziałam, smutne było to, że nasz ojciec wcale nam nie opowiadał o rodzinie Finchów i nie próbował wstrzykiwać nam należnej dawki dumy. Wezwała też Jema, który nieufnie przysiadł na kanapie obok mnie. Wyszła na chwilę i wróciła z książką w purpurowej oprawie, ze złotym napisem *Medytacje Joshuy S. St Claira*.

– Wasz kuzyn napisał tę książkę – oznajmiła ciocia Alexandra. – Cóż za piękna postać.

Jem przyglądał się chwilę purpurowemu tomikowi.

– Czy to ten kuzyn Joshua, którego zamknęli na tyle lat?

– Skąd wiesz? – zdziwiła się ciocia Alexandra.

– Atticus opowiadał, że coś mu odbiło na uniwersytecie i próbował zastrzelić rektora. Podobno kuzyn Joshua wymyślał mu, że nie jest rektorem, tylko zwykłym kanalarzem, a potem usiłował go zabić za pomocą starego pistoletu skałkowego, który wybuchł mu w dłoni. Atticus mówił, że rodzina musiała wydać pięćset dolarów, żeby go z tego wyciągnąć...

Ciocia Alexandra stała nad nami sztywna jak bocian.

– To wszystko – powiedziała. – Jeszcze porozmawiamy.

Zaszłam przed snem do Jema, żeby pożyczyć książkę, i wtedy do drzwi zapukał Atticus. Usiadł na brzegu łóżka, spojrzał na nas z powagą, a potem się uśmiechnął.

– E... em... – powiedział.

Zaczynał poprzedzać wypowiedzi gardłowymi odgłosami, więc pomyślałam, że w końcu stał się najprawdziwszym starcem, ale przecież wyglądał tak samo.

– Nie wiem za bardzo, jak wam to powiedzieć – przyznał.

– Po prostu powiedz – odparł Jem. – Nabroiliśmy?

Ku naszemu zdumieniu, ojciec wiercił się niespokojnie.

– Nie, tylko chciałbym wam wyjaśnić, że... bo ciocia Alexandra mnie prosiła... Synu, ty wiesz, że jesteś Finchem, prawda?

– Tak mi mówiono. – Jem spojrzał na ojca z ukosa. – Atticusie, o co chodzi? – spytał, nie bardzo panując nad głosem.

Atticus zarzucił nogę na nogę i skrzyżował ramiona na piersiach.

– Próbuję wam wyłuszczyć kilka życiowych faktów.

Jem był głęboko zniesmaczony.

– Ja już to wszystko wiem – powiedział.

Nagle Atticus spoważniał i niemodulowanym głosem prawnika rzekł:

– Wasza ciocia prosiła mnie, żebym spróbował wpoić tobie i Jean Louise przekonanie, iż nie jesteście pospolitymi ludźmi, ale spadkobiercami tradycji kilku pokoleń dobrze urodzonych... – Atticus urwał, przyglądając się, jak próbuję zlokalizować na własnej nodze niewidoczną larwę lądzienia. – ...Dobrze urodzonych – powtórzył, gdy znalazłam ją wreszcie i zdrapałam. – I dlatego powinniście spróbować zachowywać się jak młody dżentelmen i młoda dama, którymi przecież jesteście. Chciałaby też opowiedzieć wam o naszej rodzinie i jej znaczeniu dla hrabstwa Maycomb na przestrzeni lat, abyście mieli pojęcie o tym, kim jesteście, i sami zapragnęli zachowywać się bardziej stosownie – zakończył w imponującym tempie.

W oszołomieniu spojrzeliśmy z Jemem najpierw na siebie, a potem na Atticusa, którego nagle zaczął uwierać kołnierzyk. Nie odezwaliśmy się.

Podniosłam grzebień z szafki Jema i potarłam jego zębami o krawędź blatu.

– Przestań hałasować – powiedział Atticus.

Ubodła mnie szorstkość jego głosu. Rzuciłam grzebień, dotarłszy ledwie do połowy jego długości. Poczułam, że całkiem bez powodu zaczynam płakać i że nie mogę powstrzymać łez. To nie był mój ojciec. Mój ojciec nigdy nie miewał takich pomysłów. Nigdy nie przemawiał w taki sposób. Ciocia Alexandra jakoś go do tego zmusiła. Przez łzy zobaczyłam Jema, który znalazł się nagle w podobnej toni osamotnienia i stał w niej, przechyliwszy głowę.

Nie miałam dokąd pójść, lecz mimo to obróciłam się i ruszyłam przed siebie. Zatrzymałam się na kamizelce Atticusa. Zatopiłam w niej twarz i słuchałam cichutkich dźwięków, które dobiegały spod jasnoniebieskiego materiału: tykania zegarka, chrzęstu wykrochmalonej koszuli i spokojnego oddechu.

– Burczy ci w brzuchu – powiedziałam.

– Wiem – odparł.

– Może weź sody.

– Wezmę.

– Atticusie, czy całe to zachowanie i w ogóle, czy to coś zmieni? To znaczy, czy ty...?

Poczułam z tyłu głowy jego dłoń.

– Nie martwcie się niczym – odrzekł. – Nie czas, żeby się martwić.

Kiedy to usłyszałam, wiedziałam, że do nas powrócił. Krew znowu zaczęła krążyć w moich nogach. Uniosłam głowę.

– Naprawdę chciałbyś, żebyśmy tacy byli? Bo jakoś nie mogę spamiętać wszystkiego, co Finchowie powinni robić...

– Nie chcę, żebyście pamiętali. Zapomnijcie o tym.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zamknął za sobą. Omal nie trzasnął, ale opanował się w ostatniej sekundzie i domknął bardzo cicho. Wciąż jeszcze spoglądaliśmy za nim, gdy uchylił je na powrót i zajrzał do pokoju. Okulary zsunęły mu się na nos, a brwi uniosły wysoko.

– Z każdym dniem bardziej przypominam kuzyna Joshuę, nieprawdaż? Sądzicie, że rodzina będzie musiała wydać na mnie pięćset dolarów?

Dzisiaj wiem, co Atticus próbował osiągnąć, ale był tylko mężczyzną. A do takich spraw potrzeba kobiety.

# Rozdział 14

Choć od cioci Alexandry nie usłyszeliśmy już nic o rodzinie Finchów, coraz więcej dowiadywaliśmy się na mieście. W soboty, gdy zaopatrzeni w pięciocentówki przeciskaliśmy się przez spocone tłumy w centrum Maycomb (jeśli Jem akurat pozwolił, bym mu towarzyszyła, bo ostatnio w miejscach publicznych reagował na moją obecność wręcz alergicznie), słyszeliśmy często: „Patrzcie no, to jego bachory” albo: „To Finchowie”. Gdy odwracaliśmy się ku tym, którzy wypowiadali te słowa tak oskarżycielskim tonem, widzieliśmy jedynie grupkę farmerów przyglądających się z zainteresowaniem irygatorom na wystawie sklepu Mayco albo dwie pulchne wieśniaczki w słomkowych kapeluszach, siedzące w dwukółce.

– Dla tych, co rządzą hrabstwem, kto chce może sobie buszować po okolicy i gwałcić. – Tą całkiem niejasną opinią podzielił się z nami pewien chudy dżentelmen, który mijał nas na ulicy.

Przypomniało mi się, że miałam o coś spytać Atticusa.

– Co to jest gwałt? – zagadnęłam go wieczorem.

Ojciec uniósł głowę znad gazety. Siedział w swoim fotelu pod oknem. Byliśmy już z Jemem na tyle duzi, żeby w swej hojności darować mu trzydzieści minut świętego spokoju po kolacji.

Najpierw westchnął, a potem wyjaśnił mi, że gwałt to stosunek cielesny z kobietą odbyty bez jej zgody, z użyciem siły.

– I to wszystko? To dlaczego Calpurnia mnie zbyła, kiedy o to pytałam?

– Co takiego? – spytał Atticus, wyrwany z zamyślenia.

– Kiedy wracaliśmy z Calpurnią z kościoła, spytałam ją, co znaczy to słowo, i odpowiedziała, że ty mi to wyjaśnisz, tylko że ja zapomniałam i dlatego pytam dopiero teraz.

Atticus odłożył gazetę na kolana.

– Jeszcze raz, proszę – powiedział.

Wyjaśniłam mu szczegółowo, jak to było z naszą wyprawą do kościoła Calpurnii. Chyba nawet podobała mu się ta opowieść, za to ciocia Alexandra, która siedziała cichutko w kącie i haftowała, teraz odłożyła robótkę i patrzyła na nas srogo.

– Tamtej niedzieli wracaliście razem z kościoła Calpurnii?

– Tak, ciociu, zabrała nas ze sobą – odpowiedział Jem.

Coś jeszcze mi się przypomniało.

– Tak, ciociu. I jeszcze obiecała mi, że któregoś popołudnia będę mogła pójść do jej domu. Atticusie, czy mogę pójść w następną niedzielę? Cal mówiła, że przyjdzie po mnie, jeśli pojedziesz gdzieś samochodem.

– NIE możesz.

Ciocia Alexandra to powiedziała. Obróciłam się wystraszona, a potem znowu popatrzyłam na Atticusa – w samą porę, by dostrzec, jak posłał jej szybkie spojrzenie, ale było już za późno, bo właśnie mówiłam:

– Nie ciebie pytałam!

Choć był rosłym mężczyzną, Atticus potrafił wstawać i siadać w fotelu szybciej niż którakolwiek ze znanych mi osób. Zerwał się na równe nogi.

– Przeproś ciocię – powiedział.

– Ale nie ją pytałam, tylko ciebie...

Atticus odwrócił głowę i przyszpilił mnie do ściany spojrzeniem zdrowego oka, a potem dobił słowami:

– Najpierw przeproś ciocię.

– Przepraszam, ciotuniu – wymamrotałam.

– A teraz wyjaśnijmy sobie coś – ciągnął Atticus. – Będziesz robić to, co ci każę, co każe ci Calpurnia i co każe ci ciocia, dopóki mieszka pod naszym dachem. Zrozumiałaś?

Zrozumiałam. Po krótkim zastanowieniu doszłam do wniosku, że jeśli mam w tej sytuacji zachować odrobinę godności, powinnam wyjść do toalety. Zostałam tam na tyle długo, by nabrali pewności, że naprawdę musiałam tam pójść. W drodze powrotnej już na korytarzu usłyszałam, że w salonie toczy się zażarta dyskusja. Zza uchylonych drzwi widziałam Jema wciąż siedzącego na kanapie z czasopismem sportowym przed nosem; poruszał głową w prawo i w lewo, jakby na stronach periodyku toczył się na żywo mecz tenisowy.

– ...musisz coś z nią zrobić – mówiła właśnie ciotunia. – Zbyt długo pozostawiałeś sprawy własnemu losowi. Zbyt długo, Atticusie.

– Nie widzę nic złego w tym, że tam pójdzie. Cal zaopiekuje się nią tam równie dobrze jak tutaj.

Kim była ta „ona”, o której rozmawiali? Moje serce stanęło nagle: rozmawiali o mnie. Miałam wrażenie, że zamykają się wokół mnie nakrochmalone ściany więzienia z różowej bawełny, i po raz drugi w życiu pomyślałam o ucieczce. Natychmiastowej.

– Atticusie, miękkie serce to nic złego, jesteś łagodnym człowiekiem, ale musisz też myśleć o swojej córce. Dorastającej córce.

– Właśnie o niej myślę.

– I nie próbuj omijać problemu. Prędzej czy później będziesz musiał się z nim zmierzyć i nie ma powodu, byś nie miał tego zrobić jeszcze dziś. Ona nie jest nam potrzebna.

Atticus odpowiedział spokojnie i pewnie:

– Alexandro, Calpurnia nie odejdzie z tego domu, póki sama nie zechce. Możesz być odmiennego zdania, ale prawda jest taka, że nie poradziłbym sobie bez niej przez te wszystkie lata. Jest wiernym członkiem rodziny i po prostu będziesz musiała pogodzić się z tym. Poza tym, siostrzyczko, wcale nie chcę, żebyś sobie dla nas urabiała ręce. Nie ma powodu, żebyś to robiła. Potrzebujemy więc Cal tak samo jak dawniej.

– Ależ Atticusie...

– Nie sądzę też, żeby dzieci ucierpiały przez to, że w zasadzie to ona je wychowała. W pewnym sensie była dla nich bardziej surowa niż rodzona matka... Nigdy nie pozwoliła, żeby coś uszło im na sucho, i nigdy ich nie rozpieszczała, jak czyni to większość kolorowych opiekunek. Starała się kształtować ich według własnego rozumu, a zapewniam cię, że rozumu jej nie brakuje. Poza tym, dzieci kochają Cal.

Odetchnęłam. Więc jednak nie rozmawiali o mnie, tylko o Calpurnii. Odżywszy, wkroczyłam do salonu. Atticus zdążył wycofać się za tarczę gazety, a ciocia Alexandra była pochłonięta wyszywaniem. Puk, puk, puk – igła dźgała zajadle naprężony krąg płótna. Ciotunia przerwała na chwilę, by naciągnąć je jeszcze mocniej. Puk, puk, puk. Była wściekła.

Jem wstał i przemierzając na ukos dywan, skinął głową, bym poszła za nim. Zamknął za nami drzwi swojego pokoju. Miał bardzo poważną minę.

– Kłócą się, Skaucie.

Ostatnio często kłóciłam się z Jemem, ale nigdy, przenigdy nie widziałam, żeby ktoś kłócił się z Atticusem. Nie był to przyjemny widok.

– Postaraj się nie drażnić ciotuni, słyszysz?

Wciąż bolały mnie uwagi Atticusa i pewnie dlatego nie wyczułam stanowczego tonu wypowiedzi Jema. Znowu zaczęłam stroszyć piórka.

– Próbujesz mi rozkazywać?

– Nie, tylko... Chodzi o to, że ojciec ma teraz ważne sprawy na głowie i nie powinniśmy przysparzać mu zmartwień.

– Jakie sprawy? – Jakoś nie wydawało mi się, żeby coś przesadnie zaprzątało uwagę Atticusa.

– Zamartwia się na śmierć tą sprawą Toma Robinsona...

Przerwałam mu, twierdząc, że Atticus niczym się nie zamartwia, a w dodatku sprawa wcale nas nie dotykała tak mocno, a jeśli już, to najwyżej raz w tygodniu i na krótko.

– To dlatego, że nie umiesz zachować myśli w głowie na dłużej – odparł Jem. – Z nami, dorosłymi, jest inaczej. My...

Od jakiegoś czasu wyższość, z którą się obnosił, była nie do zniesienia. Nie chciał robić już nic poza czytaniem i włóczeniem się samotnie. Mimo to wszystko, co czytał, docierało i do mnie, ale z pewną różnicą: dawniej opowiadał mi o różnych rzeczach, ponieważ uważał, że mogą mnie zainteresować, natomiast teraz robił to wyłącznie, żeby mnie pouczyć albo podbudować.

– A niech cię drzwi ścisną, Jem! Za kogo ty się uważasz?!

– Mówię poważnie, Skaucie. Nie drażnij cioci, bo... bo ci wleję.

Przebrał miarkę.

– Zabiję cię, ty cholerny hermafrodyto!

Siedział na łóżku, więc bez trudu złapałam go za grzywkę i wymierzyłam cios w szczękę. Dał mi w twarz z otwartej dłoni, a ja znowu spróbowałam trafić go lewym prostym, ale cios w żołądek rzucił mnie na podłogę. Omal nie straciłam oddechu, ale nawet się tym nie przejęłam, bo ważne było to, że ze mną walczył. Oddawał mi. Wciąż byliśmy równi.

– I co, już nie jesteś taki ważny! – wrzasnęłam, ponawiając atak.

Jem wciąż siedział na posłaniu, a ja nie za mocno trzymałam się na nogach, więc po prostu rzuciłam się na niego z całej siły, bijąc, szarpiąc,

szczypiąc i dusząc. To, co jeszcze przed chwilą było walką na pięści, zamieniło się w bezładną bijatykę. Siłowaliśmy się jeszcze, gdy Atticus wkroczył, by nas rozdzielić.

– Wystarczy – powiedział. – Oboje natychmiast do łóżek.

– Ha! – krzyknęłam, patrząc na Jema.

Miał się położyć o tej porze, kiedy ja szłam spać.

– Kto zaczął? – spytał zrezygnowany Atticus.

– Jem. Próbował mi rozkazywać. Jego poleceń chyba nie muszę słuchać, prawda?

Atticus uśmiechnął się.

– Ustalmy, że jest tak: masz słuchać Jema wtedy, kiedy potrafi cię do tego zmusić. W porządku?

Ciocia Alexandra słuchała tej rozmowy w milczeniu, a kiedy odchodziła z Atticusem, usłyszeliśmy:

– ...właśnie jedna z tych rzeczy, o których ci mówiłam.

Te słowa zjednoczyły nas na nowo.

Nasze pokoje sąsiadowały ze sobą; gdy zamykałam dzielące je drzwi, Jem powiedział:

– Dobranoc, Skaucie.

– Dobranoc – mruknęłam, idąc w stronę włącznika światła.

Gdy mijałam łóżko, nadepnęłam na coś ciepłego, sprężystego i dość gładkiego. Raczej nie była to twarda guma; miałam wrażenie, że to coś żywego. W dodatku wyczułam ruch.

Włączyłam światło i spojrzałam na podłogę obok łóżka. To, na co nadepnęłam, zniknęło. Zapukałam do Jema.

– Czego? – spytał.

– Jaki jest wąż w dotyku?

– Trochę szorstki. Chłodny. Zakurzony. Dlaczego pytasz?

– Zdaje mi się, że mam takiego pod łóżkiem. Mógłbyś zajrzeć?

– To jakieś żarty? – Jem otworzył drzwi.

Był w samych spodniach od pidżamy; nie bez satysfakcji zauważyłam wyraźne odbicie mojej pięści przy jego ustach. Gdy zobaczył, że mówię poważnie, powiedział:

– Jeśli myślisz, że wsadzę głowę tam, gdzie czai się wąż, to pomyśl jeszcze raz. Zaczekaj chwilę.

Przyniósł z kuchni miotłę.

– Lepiej wejdź na łóżko – polecił.

– Sądzisz, że to naprawdę wąż? – spytałam.

Byłaby to wyjątkowa okazja. Nasze domy nie miały piwnic; budowano je na kamiennych blokach metr nad ziemią. Zdarzało się, że wchodziły do nich gady, ale naprawdę rzadko. Panna Rachel Haverford codziennie rano wypijała szklaneczkę whiskey właśnie pod takim pretekstem, że inaczej nigdy nie przezwycięży lęku przed grzechotnikiem, który mógłby wśliznąć się do jej garderoby albo do kosza z praniem, gdy szła powiesić bieliznę.

Jem ostrożnie przeciągnął miotłą pod łóżkiem. Spojrzałam w dół, wypatrując węża, ale się nie pokazał. Jem powtórzył manewr.

– Czy węże chrząkają?

– To nie wąż – orzekł Jem. – To człowiek.

Spod łóżka wychynął brudnobrązowy tobołek. Jem uniósł miotłę w obronnym geście. Cios minimalnie minął głowę Dilla, która ukazała się tuż za tobołkiem.

– Boże Wszechmogący – jęknął nabożnie Jem.

Patrzyliśmy, jak Dill wyłania się stopniowo. Ledwie się tam mieścił. Wstał wreszcie, rozprostował ramiona, poruszał stopami i roztarł kark. Gdy

przywrócił krążenie w zdrętwiałych członkach, powiedział:

– Hej.

Jem raz jeszcze wezwał Pana. Ja nie mogłam wydusić ani słowa.

– Zaraz padnę – rzekł Dill. – Macie coś do jedzenia?

Jak we śnie podreptałam do kuchni. Przyniosłam mu trochę mleka i pół placka kukurydzianego – resztkę kolacji. Dill pochłonął wszystko błyskawicznie, swoim zwyczajem żując ciasto przednimi zębami.

Wreszcie odzyskałam głos.

– Jak się tu znalazłeś?

Historia była dość skomplikowana. Pokrzepiony jedzeniem Dill uraczył nas opowieścią: nowy ojciec, który go nie lubił, przykuł go do muru w piwnicy (w Meridian były piwnice) i zostawił na pewną śmierć. Dill przeżył jednak, żywiąc się grochem dostarczonym mu przez pewnego farmera, który usłyszał jego wołanie o pomoc (dobry ów człowiek strąk po strąku przepchnął cały buszel przez kratkę wentylacyjną). Nasz przyjaciel tymczasem zdołał wyrwać łańcuchy ze ściany i ze stalowymi bransoletami na nadgarstkach oddalić się o trzy kilometry od Meridian, gdzie natrafił na obóz małego cyrku; natychmiast zatrudniono go do mycia wielbłąda. Z cyrkiem tym objechał całe Missisipi, aż wreszcie nieomylne, wrodzone poczucie kierunku podpowiedziało mu, że trafili do hrabstwa Abbott w Alabamie, położonego w sąsiedztwie Maycomb, po drugiej stronie rzeki. Resztę drogi pokonał pieszo.

– Jak się tu znalazłeś? – spytał tym razem Jem.

Dill pożyczył trzynaście dolarów z matczynej portmonetki i o dziewiątej wsiadł do pociągu z Meridian do Węzła Kolejowego Maycomb. Stamtąd pieszo przeszedł większość drogi ze stacji do naszego miasta; przedzierał się opłotkami, z dala od szosy, na wypadek gdyby poszukiwały go władze. Resztę trasy pokonał uwieszony na pace

ciężarówki z bawełną. Pod łóżkiem spędził ostatnie dwie godziny, jak mu się zdawało. Słyszał nasze rozmowy w jadalni, a brzęk sztućców o talerze omal nie doprowadził go do szaleństwa. Był już prawie pewny, że Jem i ja nigdy nie pójdziemy do łóżek; potem zastanawiał się, czy nie warto wyjść z ukrycia i pomóc mi w walce z Jemem, bo Jem strasznie urósł, ale wiedział, że pan Finch pojawi się lada chwila, więc uznał, że lepiej będzie pozostać pod łóżkiem. Był zmęczony, niewiarygodnie brudny i nareszcie w domu.

– Muszą wiedzieć, że tu jesteś – stwierdził Jem. – Inaczej dostalibyśmy wiadomość, że cię szukają.

– Przypuszczam, że w tej chwili przeszukują jeszcze wszystkie kina w Meridian – odparł z uśmiechem Dill.

– Powinieneś zawiadomić matkę, gdzie jesteś – nie ustępował Jem. – Że jesteś u nas.

Dill spojrzał przelotnie na niego, a mój brat skierował wzrok ku podłodze. Po chwili wstał i złamał ostatnią zasadę kodeksu naszego dzieciństwa. Wyszedł na korytarz.

– Atticusie – usłyszeliśmy jego daleki głos. – Czy mógłbyś tu na chwilę zajrzeć?

Twarz Dilla pobladła pod maską brudu pociętą strużkami potu. Poczułam mdłości. Atticus stał już w drzwiach.

Stanął pośrodku pokoju, z rękami w kieszeniach, spoglądając z góry na Dilla.

Po chwili odzyskałam mowę.

– Będzie dobrze, Dill. Kiedy on chce, żebyś coś usłyszał, po prostu to mówi.

Dill spojrzał na mnie bez słowa.

– Naprawdę nie ma problemu – dodałam. – Wiesz, że on ci nie będzie dokuczał. Przecież nie boisz się Atticusa.

– Nie boję się... – mruknął Dill.

– Tylko jesteś głodny, jak sądzę. – Głos Atticusa był taki jak zawsze, suchy i przyjemny. – Skaucie, chyba stać nas na więcej niż pół placka z kolacji? Zadbaj o żołądek tego młodzieńca, a kiedy wrócę, zastanowimy się, co dalej.

– Panie Finch, niech pan nie mówi cioci Rachel, niech pan mi nie każe wracać, bardzo pana proszę! Bo ja znowu ucieknę...!

– Spokojnie, synu – odparł Atticus. – Nikt nie każe ci donikąd iść, a jeśli już, to tylko do łóżka, i to wkrótce. Chcę tylko powiedzieć pannie Rachel, że jesteś u nas, i spytać, czy możesz spędzić tu noc. Przecież chciałbyś, prawda? I na miłość boską, postaraj się zwrócić hrabstwu to, co mu zabrałeś. Mamy wystarczające problemy z naturalną erozją gleby.

Dill spoglądał za oddalającą się postacią mojego ojca.

– Próbuje być zabawny – skomentowałam. – Chodziło mu o to, żebyś wziął kąpiel. Widzisz? Mówiłam, że nie będzie ci dokuczał.

Jem stał w kącie pokoju i wyglądał na zdrajcę, którym w istocie był.

– Dill, musiałem mu powiedzieć – odezwał się w końcu. – Nie możesz uciec pięćset kilometrów od domu i nie zawiadomić matki.

Zostawiliśmy go bez słowa.

Dill jadł, jadł i jadł. Był to jego pierwszy posiłek od poprzedniego wieczoru. Wszystkie pieniądze wydał na bilet, wsiadł do pociągu, jak robił to wiele razy, i spokojnie pogawędził z konduktorem, który go pamiętał, ale nie miał odwagi powołać się na zasadę dotyczącą małych dzieci podróżujących samotnie: jeśli zgubiłeś pieniądze, konduktor postawi ci obiad, a potem rozliczy się z twoim ojcem na stacji docelowej.

Dill dojadł już wszystkie resztki i właśnie sięgał w spiżarni po puszkę fasoli z wieprzowiną, gdy w holu rozległo się głośne „O Jezu!” panny Rachel. Zatrząsł się jak królik.

A potem zniósł dzielnie jej: „Poczekaj, aż cię odstawię do domu” oraz: „Twoi rodzice odchodzą od zmysłów z niepokoju”, całkiem spokojnie wysłuchał: „No i wyłazi z ciebie cały Harris”, uśmiechał się podczas: „Myślę, że na jedną noc możesz zostać”, i wreszcie odwzajemnił uścisk, którym go pożegnała.

Atticus uniósł okulary i potarł twarz dłonią.

– Ojciec jest już zmęczony – powiedziała ciocia Alexandra i wydawało się, że to pierwsze jej słowa od paru godzin. A przecież była przy nas, zapewne przez większość czasu zwyczajnie oszołomiona tym, co się działo.

Gdy zostawialiśmy ich w jadalni, Atticus wciąż jeszcze pocierał policzki.

– Od gwałtu przez bunt do ucieczki z domu – usłyszeliśmy jego chichot. – Ciekawe, co nam przyniosą kolejne dwie godziny.

Jako że sprawy ułożyły się całkiem nieźle, postanowiliśmy z Dillem okazać Jemowi łaskę. Dill zresztą miał spać w jego pokoju, więc nie szkodziło nam porozmawiać z nim.

Włożyłam pidżamę, poczytałam trochę i nagle stwierdziłam, że dłużej nie uniosę ciężkich powiek. U Dilla i Jema było całkiem cicho; gdy wyłączyłam lampkę, pod drzwiami sąsiedniego pokoju nie pojawił się pasek światła.

Myślę, że spałam dość długo, bo gdy obudziło mnie szturchnięcie, pokój był zalany blaskiem zachodzącego księżyca.

– Posuń się, Skaucie.

– On uważa, że musiał – wymamrotałam sennie. – Nie bądź na niego zły.

Dill położył się w łóżku obok mnie.

– Nie jestem – odparł. – Tylko że wolę spać z tobą. Rozbudziłem cię?

Rozbudził, ale byłam jeszcze dość skołowana.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Nie odpowiedział.

– Dlaczego uciekłeś? Czy on naprawdę tak cię nienawidził?

– Nie...

– Nie zbudowaliście razem tego kutra, o którym pisałeś?

– On tylko mówił, że zbudujemy. Nie zbudowaliśmy.

Uniosłam się na łokciu, by spojrzeć na profil Dilla.

– To nie powód, żeby uciekać. Oni nie dotrzymują słowa co drugi raz, gdy coś obiecują.

– Nie o to chodziło. On... oni po prostu się mną nie interesowali.

Był to najdziwaczniejszy powód ucieczki, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

– Jak to?

– Wiecznie ich nie było, a jak już byli, to siedzieli sami w pokoju.

– I co tam robili?

– Nic. Siedzieli i czytali. Ale nie chcieli, żebym był z nimi.

Popchnęłam poduszkę w stronę wezgłowia i usiadłam.

– Wiesz co? Dziś wieczorem też chciałam stąd wiać, ale dlatego, że oni wszyscy tu byli. Nie potrzebujesz ich stale, Dill...

Dill odetchnął cierpliwie, trochę jakby wzdychał.

– ...dobrej nocy, Atticus znika nieraz w pracy na cały dzień i pół nocy, albo jedzie do parlamentu i Bóg wie co jeszcze... naprawdę nie potrzebujesz rodziców przez cały czas, Dill. Gdyby wciąż byli przy tobie, nic byś nie mógł zrobić.

– Nie o to chodzi.

Słuchając wyjaśnień Dilla, zastanawiałam się, jak by to było, gdyby Jem był inny – inny nawet, niż jest teraz; co bym zrobiła, gdyby Atticus nie czuł potrzeby mojej obecności, pomocy i rady. Przecież dnia by beze mnie nie wytrzymał. Nawet Calpurnia nie mogła beze mnie żyć. Wszyscy mnie potrzebowali.

– Coś kręcisz, Dill. Twoi rodzice nie mogliby żyć bez ciebie. Pewnie byli dla ciebie niemili. Powiem ci, co powinieneś zrobić...

Głos Dilla rozbrzmiał w ciemności całkiem spokojnie.

– Rzecz w tym... i to próbuję ci wyjaśnić, że... oni znacznie lepiej czują się beze mnie. W niczym nie mogę im pomóc. Nie są źli. Kupują mi wszystko, czego zapragnę, ale potem słyszę: „Masz, co chciałeś, więc się tym baw”. „Masz cały pokój zabawek”. „Dostałeś książkę, więc ją czytaj”. – Dill spróbował mówić nieco głębszym głosem. – „Ty chyba nie jesteś chłopcem. Chłopcy wychodzą na dwór i grają w baseball z innymi chłopcami, a nie siedzą w domu, marudząc rodzicom”. – Głos Dilla odzyskał normalną barwę. – Naprawdę nie są źli. Całują mnie i przytulają na dobranoc, dzień dobry czy do widzenia, mówią, że kochają... Skaucie, weźmy sobie dziecko.

– Skąd?

Dill słyszał o pewnym człowieku, który łodzią wiosłową wyprawiał się na wyspę spowitą mgłą, gdzie czekały wszystkie malutkie dzieci; to właśnie u niego można było jedno zamówić...

– Kłamstwo. Ciocia mi mówiła, że Bóg podrzuca dzieci przez komin. A przynajmniej zdawało mi się, że tak mówiła. – Akurat przy tej jednej okazji dykcja cioci Alexandry nie była najlepsza.

– To też nieprawda. Dziecko to człowiek musi dostać od człowieka, a tamten facet wie, gdzie one czekają, aż je obudzi i tchnie w nie życie...

Dill znowu fantazjował. Piękne rzeczy lewitowały w jego sennym umyśle. Potrafił przeczytać dwie książki, kiedy ja czytałam jedną. Umiał dodawać i odejmować błyskawicznie, a jednak wolał swój własny, mroczny świat, świat, w którym śpiące dzieciątka czekały, aż ktoś je zbierze niczym poranne lilie. Pomału pogrążał się we śnie i zabierał mnie ze sobą, ale w ciszy jego zamglonej wyspy pojawił się jeszcze wyblakły obraz szarego domu ze smutnymi, brązowymi drzwiami.

– Dill?

– Hmm?

– Jak sądzisz, dlaczego Boo Radley nigdy nie próbował uciec?

Dill westchnął przeciągle i odwrócił się do mnie plecami.

– Może nie ma dokąd...

# Rozdział 15

Po wielu rozmowach telefonicznych, licznych prośbach w imieniu oskarżonego i po długim, serdecznym liście od matki postanowiono, że Dill może zostać. Mieliśmy tydzień wspólnego spokoju. Potem miało być gorzej. Zbliżał się koszmar.

Zaczęło się pewnego wieczoru, po kolacji. Dill był u nas, ciocia Alexandra siedziała w swoim fotelu w kącie, Atticus w swoim, a my z Jemem leżeliśmy na podłodze, czytając. Tydzień minął spokojnie: ja uważałam na ciocię, Jem, który był już za duży na zabawę w domku na drzewie, pomógł Dillowi i mnie sporządzić nową drabinkę sznurową, a Dill opracował nowy, niezawodny plan wywabienia Boo Radleya z domu bez najmniejszego ryzyka z naszej strony (należało tylko sporządzić ścieżkę z kropel soku cytrynowego od tylnych drzwi jego domu do podwórka od frontu, a Boo poszedłby nią jak mrówka). Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Jem poszedł otworzyć i obwieścił nam, że przyszedł pan Heck Tate.

– Więc poproś go do środka – powiedział Atticus.

– Już to zrobiłem. Ale na podwórku czeka kilku panów, którzy chcą, żebyś do nich wyszedł.

W Maycomb mężczyźni zbierali się przed domami tylko z dwóch powodów: śmierci albo polityki. Zastanawiałam się więc, kto umarł. Pobiegliśmy z Jemem w stronę drzwi, ale Atticus zawołał za nami:

– Wracajcie do domu.

Jem zgasił górne światło w salonie i przycisnął nos do moskitiery. Ciocia Alexandra zaprotestowała.

– Tylko chwileczkę, ciotuniu, zobaczymy, kto przyszedł – poprosił Jem.

Stanęliśmy z Dillem przy sąsiednim oknie. Grupa mężczyzn otoczyła Atticusa i wydawało się, że wszyscy odzywają się jednocześnie.

– ...przenieść go do więzienia hrabstwa jutro – mówił właśnie pan Tate. – Nie spodziewam się kłopotów, ale nie mogę zagwarantować, że ich nie będzie...

– Nie gadaj głupstw, Heck – odparł Atticus. – To przecież Maycomb.

– ...mówiłem tylko, że czuję się nieswojo.

– Heck, uzyskaliśmy odroczenie sprawy właśnie po to, żeby nie czuć się nieswojo. Jest sobota – ciągnął Atticus – a proces zacznie się pewnie w poniedziałek. Przecież możesz przetrzymać go przez dobę, prawda? Nie wydaje mi się, żeby w tych trudnych czasach ktoś zechciał odebrać mi klienta.

Szum rozbawienia urwał się, gdy odezwał się pan Link Deas.

– Tutaj nikt niczego nie planuje, martwi mnie tylko ta banda z Old Sarum... Heck, sądzisz, że mógłbyś się upomnieć o... jak to się nazywało?

– Przeniesienie rozprawy – podpowiedział pan Tate. – Teraz to już chyba bez sensu, prawda?

Atticus powiedział coś, czego nie dosłyszałam. Odwróciłam się ku Jemowi, ale on tylko machnął na mnie ręką, żebym milczała.

– ...poza tym – mówił dalej Atticus – chyba nie boisz się tego tłumu, co?

– ...wie, do czego będą zdolni, kiedy się napiją.

– Zwykle nie piją w niedzielę, bo większość dnia spędzają w kościele – odparł Atticus.

– Tylko że to będzie specjalna okazja... – dorzucił ktoś.

Mruczeli i pohukiwali, aż ciocia powiedziała, że jeśli Jem natychmiast nie włączy światła w salonie, będzie to hańbą dla całej rodziny. Jem nawet

jej nie słyszał.

– ...nie rozumiem, po co w ogóle brałeś tę sprawę – mówił pan Link Deas. – Możesz przez nią wszystko stracić, Atticusie. Mówię ci, wszystko.

– Naprawdę tak sądzisz?

To było bardzo niebezpieczne pytanie Atticusa. „Naprawdę sądzisz, że to będzie dobry ruch, Skaucie?” Bum, bum, bum i na szachownicy nie było już moich pionów. „Naprawdę tak sądzisz, synu? Więc poczytaj to”. I Jem przez resztę wieczoru zmagał się z mowami Henry’ego W. Grady’ego.

– Link, ten chłopak może pójść na krzesło, ale to nie nastąpi, póki nie zostanie powiedziana cała prawda. – W głosie Atticusa nie było cienia wątpliwości. – A dobrze wiesz, jaka jest prawda.

W grupie mężczyzn znowu rozległy się pomruki, nieco bardziej złowróżbne, gdy Atticus cofnął się o krok, do najniższego stopnia. Zebrani ruszyli za nim.

Nagle Jem wykrzyknął:

– Atticusie, telefon dzwoni!

Mężczyźni aż podskoczyli i rozproszyli się. Byli to ludzie, których widywaliśmy każdego dnia: kupcy, farmerzy mieszkający w mieście, nawet doktor Reynolds tam był i pan Avery.

– Więc odbierz, synu! – odkrzyknął Atticus.

Rozproszył ich śmiech.

Gdy Atticus włączył górne światło w salonie, zobaczył Jema wciąż stojącego przy oknie i bardzo bladego, jeśli nie liczyć wyraźnego śladu od moskitiery na nosie.

– Dlaczego, na miłość boską, siedzicie tu wszyscy po ciemku? – spytał.

Jem patrzył bez słowa, jak ojciec wraca do swego fotela i podnosi wieczorną gazetę. Czasem sobie myślę, że Atticus dokonywał cichej analizy

wszystkich kryzysowych sytuacji w swoim życiu, kryjąc się za stronicami periodyków, takich jak „The Mobile Register”, „The Birmingham News” i „The Montgomery Advertiser”.

– Przyszli po ciebie, prawda? – spytał Jem, podchodząc do niego. – Chcieli cię skrzywdzić, tak?

Atticus opuścił nieco gazetę i spojrzał na Jema.

– Czegoś ty się naczytał? – spytał, a potem dodał łagodnie: – Nie, synu, to byli nasi przyjaciele.

– Więc to nie był... gang? – Jem wpatrywał się w ojca z ukosa.

Atticus bardzo się starał stłumić uśmiech, ale nie zdołał.

– Nie, w Maycomb nie mamy żadnych band ani niczego takiego. W życiu nie słyszałem o lokalnym gangu.

– Kiedyś Ku-Klux-Klan gnębił katolików.

– Nie słyszałem też o katolikach w Maycomb – odparł Atticus. – Mieszasz fakty. Dawno temu, mniej więcej w tysiąc dziewięćset dwudziestym, działał tu Klan, ale był głównie organizacją polityczną. Nawet nie mieli tu kogo zastraszać. Paradowali jednej nocy przed domem pana Sama Levy’ego, ale Sam tylko wyszedł na ganek i powiedział im, że się pięknie składa, bo przecież to on sprzedał im wszystkie te prześcieradła, w które się poprzebierali. Zawstydził ich tak skutecznie, że sobie poszli.

Rodzina Levych spełniała wszystkie kryteria przynależności do elity: radzili sobie jak mogli, używając rozumu, a w dodatku od pięciu pokoleń mieszkali na tym samym kawałku ziemi w Maycomb.

– Ku-Klux-Klan to przeszłość – powiedział Atticus. – Nigdy tu nie wróci.

Odprowadziłam Dilla do domu i wróciłam w samą porę, by usłyszeć, jak Atticus mówi do cioci:

– ...za ochroną kobiet Południa tak samo jak wszyscy, ale nie popieram podtrzymywania grzecznej fikcji kosztem ludzkiego życia.

Słowa te kazały mi podejrzewać, że znowu wywiązała się między nimi kłótnia.

Znalazłam Jema w jego pokoju: leżał na łóżku pogrążony w myślach.

– Żrą się?

– Tak jakby. Ona nie daje mu spokoju w sprawie Toma Robinsona. Omal nie powiedziała, że Atticus przynosi hańbę rodzinie. Skaucie... boję się.

– Czego?

– Boję się o Atticusa. Ktoś może mu wyrządzić krzywdę.

Jem lubił być tajemniczy; na moje wszystkie pytania odpowiadał już tylko, że mam sobie pójść i zostawić go w spokoju.

Nazajutrz była niedziela. W przerwie między zajęciami szkółki niedzielnej a mszą, gdy wierni się rozeszli, by rozprostować nogi, zobaczyłam na dziedzińcu Atticusa z nową grupą mężczyzn. Był wśród nich pan Heck Tate i pomyślałam, że chyba doznał objawienia, bo do tej pory nigdy nie widziałam go w kościele. Zauważyłam też pana Underwooda, który dotąd nie uznawał autorytetu żadnej organizacji poza „The Maycomb Tribune”, gazety, której był wyłącznym właścicielem, redaktorem i drukarzem. Całe dnie spędzał przy linotypie, od czasu do czasu odświeżając się łykiem wiśniowego wina z wielkiego dzbana. Rzadko musiał polować na nowiny; ludzie sami mu je przynosili. Podobno sam wymyślał wszystkie teksty do wszystkich numerów „The Maycomb Tribune” i sam je składał. Wierzyłam, że tak mogło być. Coś ważnego musiało się dziać, skoro pan Underwood wychynął na świat.

Złapałam Atticusa przy drzwiach i dowiedziałam się, że przewieziono Toma Robinsona do więzienia w Maycomb. Powiedział mi też, choć

właściwie mówił bardziej do siebie niż do mnie, że gdyby trzymali go tu od początku, nie byłoby takiego zamieszania. Patrzyłam, jak zajmuje miejsce w trzeciej ławce, i słuchałam, jak nuci *Bliżej, mój Boże, do Ciebie* spóźniony o kilka nut. Nigdy nie siadał ze mną, Jemem i ciocią. W kościele lubił być sam.

Fałszywy spokój, który panował zwykle w niedzielę, stał się jeszcze bardziej irytujący, odkąd zamieszkała z nami ciocia Alexandra. Atticus ewakuował się do swego gabinetu zaraz po obiedzie i jeśli czasem ktoś do niego zajrzał, mógł się przekonać, że nasz ojciec siedzi tyłem do drzwi w swym obrotowym fotelu i czyta gazetę. Ciocia Alexandra fundowała sobie dwugodzinną drzemkę i stanowczo odradzała nam hałasowanie na podwórku. Cała dzielnica odpoczywała. Jem na stare lata polubił swój pokój i zamykał się w nim ze stertą czasopism poświęconych futbolowi. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko włóczyć się co niedzielę z Dillem po Jelenim Pastwisku.

Strzelanie w niedziele było zabronione, próbowaliśmy więc zabijać czas, kopiąc piłkę Jema, ale nie było to zbyt ciekawe. Dill spytał w końcu, czy nie chciałabym zapolować na Boo Radleya. Odparłam, że chyba nie byłoby miło go dręczyć. Resztę popołudnia spędziłam na opowiadaniu Dillowi wydarzeń ostatniej zimy. Naprawdę był pod wrażeniem.

Rozstaliśmy się w porze kolacji. Po posiłku zaczęliśmy się już z Jemem szykować do kolejnego rutynowego niedzielnego wieczoru, gdy Atticus zrobił coś, co nas zaintrygowało: wszedł do salonu z długim, zwiniętym przewodem w ręku, zakończonym żarówką.

– Wychodzę na jakiś czas – oznajmił. – Kiedy wrócę, będziecie już spać, więc od razu mówię wam dobranoc. – Włożył kapelusz i wyszedł tylnymi drzwiami.

– Bierze samochód – zauważył Jem.

Nasz ojciec miał swoje dziwactwa: po pierwsze, nigdy nie jadł deseru, a po drugie – lubił chodzić pieszo. Odkąd sięgałam pamięcią, w naszym garażu stał doskonale utrzymany chevrolet, którym Atticus przemierzał długie trasy, podróżując w sprawach zawodowych, ale w obrębie Maycomb poruszał się wyłącznie na własnych nogach, cztery razy dziennie pokonując trasę z domu do biura; w sumie ponad trzy kilometry. Mawiał, że marsz to jego jedyne ćwiczenie fizyczne. A jeśli ktoś w Maycomb spacerował bez wyraźnie określonego celu, można było podejrzewać, iż jego umysł nie jest zdolny do wyznaczenia sobie jakiegokolwiek celu.

Nieco później, gdy już powiedziałam cioci i bratu dobranoc i położyłam się z książką, usłyszałam, że Jem krząta się w swoim pokoju. Dobrze znałam dźwięki, które dobiegały zza ściany, gdy mój brat układał się do snu. Tym razem poczułam, że muszę zapukać do niego.

– Dlaczego nie idziesz do łóżka? – zapytałam zdziwiona.

– Bo idę na chwilę do miasta – odparł, zmieniając spodnie.

– Po co? Jem, dochodzi dziesiąta.

Wiedział o tym, ale i tak się wybierał.

– W takim razie idę z tobą. A jeśli powiesz „nie, nie idziesz”, to i tak pójdę, słyszysz?

Jem zrozumiał, że musiałby mnie pobić, żebym zgodziła się pozostać w domu. Przypuszczalnie uznał, że walka między nami poważnie rozdrażniłaby ciotunię, bo zgodził się, choć bez entuzjazmu.

Ubrałam się szybko. Zaczekaliśmy, aż zgasło światło w pokoju cioci, a potem wymknęliśmy się cicho tylnymi drzwiami. Tej nocy księżyca nie było.

– Dill chętnie by poszedł – szepnęłam.

– To niech pójdzie – odparł posępnie Jem.

Przeskoczyliśmy nad murkiem oddzielającym podjazdy, przebiegliśmy przez boczne podwórko panny Rachel i zatrzymaliśmy się pod oknem Dilla. Jem zaświstał jak przepiór. W oknie ukazała się twarz Dilla. Zaraz potem znikła, a pięć minut później Dill otworzył siateczkowe drzwi i wyśliznął się z domu. Niczym doświadczony wojak nie odezwał się ani słowem, póki nie znaleźliśmy się na chodniku.

– Co jest grane?

– Jema nosi. – Tak nazywała tę dolegliwość Calpurnia, która twierdziła też, że cierpią na nią wszyscy chłopcy w jego wieku.

– Mam przeczucie – mruknął Jem. – Po prostu mam przeczucie.

Minęliśmy dom pani Dubose, pusty i zamknięty na głucho, z grządką kamelii poprzerastanych trawą i chwastami. Od budynku poczty dzieliło nas jeszcze osiem posesji.

Południowa strona placu była pusta. Wielkie krzewy iglaste jeżyły się w narożnikach, a między nimi ciągnęła się żelazna poręcz do przywiązywania koni, lśniąca w świetle ulicznych latarń. W publicznej toalecie paliło się światło; cała reszta okien z tej strony gmachu sądu była ciemna. W witrynach sklepów otaczających rynek paliły się słabe lampy.

Gdy Atticus otwierał praktykę, jego biuro mieściło się w budynku sądu, ale po kilku latach zostało przeniesione w spokojniejsze miejsce – do gmachu Banku Maycomb. Gdy wyszliśmy zza rogu, zobaczyliśmy samochód stojący przed bankiem.

– Jest u siebie – powiedziałam do Jema.

Myliłam się. Jego pokój znajdował się na końcu długiego korytarza. Z daleka powinniśmy byli widzieć napis ATTICUS FINCH, ADWOKAT na przeszklonych drzwiach, podświetlonych od strony gabinetu. Drzwi jednak były ciemne.

Jem upewnił się, chwytając gałkę u wejścia do banku. Drzwi były zamknięte.

– Pójdźmy dalej tą ulicą. Może poszedł odwiedzić pana Underwooda?

Pan Underwood nie tylko kierował redakcją gazety „The Maycomb Tribune”, ale także mieszkał w jej siedzibie, a ściślej mówiąc – nad nią. Mógł pisać reportaże na temat wydarzeń w sądzie czy więzieniu, po prostu wyglądając przez okno na piętrze. Siedziba gazety znajdowała się przy północno-wschodnim krańcu placu, żeby więc do niej dotrzeć, musieliśmy minąć więzienie.

Więzienie w Maycomb było najszacowniejszym i najpaskudniejszym budynkiem w całym hrabstwie. Atticus twierdził, że coś takiego mógłby zaprojektować na przykład nasz kuzyn Joshua St Clair. Bez wątpienia była to konstrukcja z czyjegoś pokrętnego snu. Uderzająco nie na miejscu w samym centrum miasteczka kanciastych sklepów i domów o spadzistych dachach, było więzienie w Maycomb miniaturowym gotyckim żartem architektonicznym, szerokim na jedną celę i wysokim na dwie, zwieńczonym maleńkimi blankami i ozdobionym przyporami. Fantazyjność tego dzieła podkreślała fasada z czerwonej cegły ze stalowymi kratami w nieomalże kościelnych oknach. Nie stało to cudo jednak samotnie na szczycie wzgórza, lecz zostało wpasowane między sklep żelazny Tyndala a siedzibę „The Maycomb Tribune”. Tutejsze więzienie było jedynym budynkiem wzbudzającym kontrowersje: jego przeciwnicy twierdzili, że wygląda jak wiktoriański wychodek, zwolennicy zaś uważali, że przydaje ono miastu szacownego wyglądu, a w dodatku nikt obcy się nie domyśli, że siedzi tam tylu czarnuchów.

Idąc chodnikiem, dostrzegliśmy samotne światło w oddali.

– To dziwne – odezwał się Jem. – Przed więzieniem nie było latarni.

Długi kabel łączył kratę w oknie na piętrze z boczną ścianą budynku. Pod nagą żarówką, na krześle przyniesionym z biura, siedział Atticus zwrócony plecami do drzwi więzienia. Czytał, nie zwracając najmniejszej uwagi na krążące nad jego głową ćmy.

Chciałam pobiec do niego, ale Jem mnie zatrzymał.

– Nie idź tam – powiedział. – To mu się nie spodoba. Wiemy, że nic mu nie jest, więc wracajmy do domu. Chciałem tylko sprawdzić, dokąd pojechał.

Szliśmy właśnie na ukos przez plac, gdy od strony szosy na Meridian podjechały niespiesznie cztery zakurzone samochody. Okrążyły rynek, minęły budynek banku i zatrzymały się przed więzieniem.

Nikt nie wysiadł. Zobaczyliśmy, że Atticus unosi głowę. Zamknął gazetę, złożył ją starannie, ułożył na kolanach i odsunął kapelusz na tył głowy. Chyba spodziewał się wizyty.

– Chodźcie – szepnął Jem.

Przekradliśmy się na drugą stronę placu, aż do względnie bezpiecznej kryjówki przy drzwiach supermarketu Jitney Jungle. Jem wyjrzał na chodnik.

– Możemy podejść bliżej – orzekł.

Pobiegliśmy do drzwi sklepu żelaznego Tyndala, bardzo blisko celu, a zarazem dyskretnie.

Pojedynczo i parami z samochodów wysiedli mężczyźni. Ich cienie gęstniały, w miarę jak się zbliżali do drzwi więzienia, wkraczając w krąg światła. Atticus nie ruszył się z miejsca. Przybysze zasłonili go przed naszym wzrokiem.

– On tam jest, panie Finch? – spytał któryś.

– Jest – usłyszeliśmy odpowiedź Atticusa. – I śpi. Nie obudźcie go.

Posłuszni mojemu ojcu, mężczyźni mówili odtąd prawie szeptem, nieświadomie przydając chorobliwego komizmu tej całkiem nieśmiesznej sytuacji.

– Wie pan, czego chcemy – odezwał się inny mężczyzna. – Niech pan odejdzie spod drzwi, panie Finch.

– Możecie już wracać do domów, Walterze – odparł uprzejmie Atticus. – Heck Tate jest w pobliżu.

– Ni cholery – rzucił któryś z przybyszów. – Heck i jego ludzie zapuścili się tak daleko w las, że do rana nie wrócą.

– Czyżby? A to dlaczego?

– Dlatego, że dostali fałszywe wezwanie – padła zwięzła odpowiedź. – Nie pomyślał pan o tym, panie Finch?

– Pomyślałem, ale nie chciałem uwierzyć. Cóż – ciągnął mój ojciec wciąż tym samym, spokojnym tonem – to chyba zmienia postać rzeczy, nieprawdaż?

– Owszem – odezwał się czyjś głęboki głos. Jego właściciel był tylko cieniem.

– Ale czy naprawdę tak sądzicie?

Już drugi raz w ciągu dwóch dni słyszałam, jak Atticus zadaje to pytanie, które oznaczało, że za chwilę komuś utrze nosa. Nie mogłam przegapić takiej okazji. Wyrwałam się Jemowi i najszybciej jak mogłam, pobiegłam do Atticusa.

Jem kwiknął i spróbował mnie złapać, ale miałam już przewagę nad nim i Dillem. Przecisnęłam się między ciemnymi, brzydko pachnącymi postaciami i wpadłam w krąg światła.

– Hej, Atticusie!

Myślałam, że zrobię mu przednią niespodziankę, ale widok jego twarzy zabił we mnie całą radość. W jego oczach błysnął zwykły strach, który

zniknął na chwilę i zaraz powrócił, gdy w plamie światła pojawili się Dill i Jem.

Czułam w powietrzu ciężką woń whiskey i chlewni; co gorsza, teraz dopiero zauważyłam, że wszyscy ci mężczyźni, którzy nas otaczali, są mi obcy. To nie byli ci sami ludzie, których widziałam poprzedniego wieczora. Ogarnęła mnie fala potężnego zażenowania: wskoczyłam triumfalnie w krąg ludzi, których nigdy w życiu nie widziałam.

Atticus podniósł się z krzesła; poruszał się bardzo wolno, jak starzec. Starannie odłożył gazetę, niespiesznymi ruchami palców wygładzając najdrobniejsze zmarszczki papieru. Jego dłonie drżały nieznacznie.

– Idźcie do domu, Jem – powiedział. – Zabierz Skauta i Dilla do domu.

Przywykliśmy do natychmiastowego, choć nie zawsze entuzjastycznego wykonywania poleceń Atticusa, ale sądząc po postawie, jaką przyjął Jem, raczej nie myślał usłuchać.

– Powiedziałem, idźcie do domu.

Jem potrząsnął głową. Atticus oparł pięści na biodrach i w tej samej chwili uczynił to jego syn. Gdy tak mierzyli się wzrokiem, dostrzegłam w nich niewiele podobieństw. Puszyste, brązowe włosy i oczy, a także owal twarzy i mocno przylegające uszy upodabniały go do matki i tworzyły dziwny kontrast z ciemnymi, siwiejącymi włosami Atticusa oraz jego kanciastymi rysami. Mimo to mieli coś wspólnego... Tę samą buntowniczą pozę.

– Synu, kazałem wam iść do domu.

Jem znowu potrząsnął głową.

– Ja ich wyślę do domu – odezwał się jakiś barczysty typ i bez ceregieli pochwycił Jema za kołnierz. Omal nie uniósł go nad ziemię.

– Nie waż się go ruszyć! – wrzasnęłam i wymierzyłam obcemu błyskawicznego kopniaka. Miałam bose stopy, więc tym bardziej się

zdziwiłam, gdy zatoczył się do tyłu w autentycznym bólu. Zamierzałam kopnąć go w goleń, ale najwidoczniej trafiłam zbyt wysoko.

– Wystarczy, Skaucie. – Atticus położył dłoń na moim ramieniu. – Nie kop ludzi. Nie – uciął, zanim zaczęłam się tłumaczyć.

– Nie pozwolę, żeby ktoś tak traktował Jema – powiedziałam tylko.

– Dobra, Finch, niech pan ich stąd zabierze – warknął ktoś. – Ma pan na to piętnaście sekund.

Pośrodku tego osobliwego zgromadzenia Atticus uparcie próbował skłonić Jema do posłuszeństwa.

– Nigdzie nie idę – powtarzał mój brat w odpowiedzi na groźby i żądania Atticusa, i na ostatnie:

– Proszę, Jem, zabierz ich do domu.

Zaczynało mnie to nużyć, lecz czułam, że Jem ma jakiś ważny powód do takiego zachowania, być może związany z tym, co mogło go czekać, gdyby jednak dał się skłonić do powrotu. Rozejrzałam się w tłumie. Była to letnia noc, a mimo to obcy mężczyźni w większości byli ubrani w spodnie na szelkach i drelichowe koszule zapięte aż pod szyje. Pomyślałam, że muszą być z natury zimni, skoro nawet rękawy mieli opuszczone i zapięte mankiety. Niektórzy przyjechali w kapeluszach mocno wciśniętych na uszy. Wyglądali na ponurych i zaspanych; z pewnością nie nawykli do aktywności o tej porze. Raz jeszcze poszukałam znajomej twarzy i wreszcie, pośrodku półkola obcych, znalazłam jedną.

– Hej, panie Cunningham!

Wydało mi się, że mnie nie usłyszał.

– Hej, panie Cunningham. Jak tam sprawa majoratu?

Sprawy majątkowe pana Waltera Cunninghama były mi doskonale znane, ponieważ Atticus kiedyś mi je szczegółowo objaśnił. Potężny mężczyzna mrugnął niespokojnie i zahaczył kciuki o szelki ogrodniczek.

Wyglądał na zmieszanego; odchrząknął z cicha i odwrócił głowę. Moja przyjacielska uwertura zrobiła klapę.

Pan Cunningham nie miał na głowie kapelusza, ale górna część jego czoła była blada w porównaniu z ogorzałą twarzą, co kazało mi przypuszczać, że nosił go na co dzień. Przestąpił z nogi na nogę w swych ciężkich, roboczych buciorach.

– Nie pamięta mnie pan, panie Cunningham? Jestem Jean Louise Finch. Przyniósł nam pan kiedyś worek hikorowych orzechów, nie pamięta pan? – Zaczynałam odczuwać daremność wysiłków typową dla kogoś, kogo uparcie nie rozpoznaje przypadkowy znajomy. – Chodzę do szkoły z Walterem – zaczęłam na nowo. – To pański syn, prawda? Prawda, proszę pana?

Pan Cunningham odpowiedział mi ledwie widocznym skinieniem głową. Czyli jednak mnie znał.

– Chodzi do mojej klasy – ciągnęłam. – I radzi sobie całkiem dobrze. Dobry z niego chłopak – dodałam. – Naprawdę miły. Kiedyś zaprosiliśmy go do domu na obiad. Może opowiadał panu o mnie? Raz mu przyłożyłam, ale potem był całkiem miły. Pozdrowi go pan ode mnie?

Atticus uczył mnie, że grzecznie jest rozmawiać z ludźmi o tych sprawach, które ich interesują, a nie o tych, które nam wydają się ciekawe. Pan Cunningham jakoś nie zainteresował się wątkiem swego syna, postanowiłam więc podjąć ostatnią próbę poruszenia kwestii majoratu, by poczuł się jak w domu.

– Te majoraty to kiepska sprawa – powiedziałam z przekonaniem i właśnie wtedy zaczęło do mnie docierać, że przemawiam do wszystkich zebranych.

Mężczyźni w drelichach patrzyli na mnie, niektórzy z półotwartymi ustami. Atticus dał spokój Jemowi; stali razem obok Dilla, słuchając mnie

już nie z uwagą, ale wręcz z fascynacją. Nawet usta mojego ojca były na wpół otwarte, choć dobrze pamiętałam, że kiedyś nazwał coś takiego prostactwem. Zamknął usta, dopiero gdy nasze spojrzenia się spotkały.

– Widzisz, Atticusie, właśnie mówię panu Cunninghamowi, że majorat to zła rzecz i w ogóle, ale ty przecież wspominałeś, że nie trzeba się martwić, bo czasem sprawa długo się ciągnie... i że razem jakoś ją doprowadzicie do końca... – Pomału zwalniałam tempo, zastanawiając się intensywnie, jakąż to znowu głupotę palnęłam. Sprawa majoratu nadawała się raczej na salonowe pogaduszki.

Poczułam, że spod włosów zaczynają spływać po mnie strużki potu; zniosłabym wszystko, ale nie to, że gapi się na mnie taka gromada ludzi. Stali zupełnie nieruchomo.

– O co chodzi? – spytałam.

Atticus nie odpowiedział. Rozejrzałam się i mój wzrok spoczął znowu na beznamiętnej twarzy pana Cunninghama. I nagle ojciec Waltera zrobił coś dziwnego: przykucnął i chwycił mnie za ramiona.

– Pozdrowię go od ciebie, młoda damo – powiedział. A potem wyprostował się i machnął wielkim łapskiem. – Zbieramy się! – zawołał. – No, jazda, chłopcy.

Tak jak się zjawili, pojedynczo i parami, mężczyźni powrócili do swych brudnych samochodów. Trzasnęły drzwi, zakaszlały silniki i wozy odjechały.

Zwróciłam się ku Atticusowi, ale on już stał pod ścianą więzienia, przyciskając do niej policzek. Podeszłam do niego i spytałam:

– Czy możemy już wracać do domu?

Skinął głową, wyjął z kieszeni chusteczkę, otarł starannie twarz i mocno wydmuchał nos.

– Panie Finch? – Cichy, chrapliwy głos dobiegał z ciemności rozpościerającej się nad nami. – Pojechali sobie?

Atticus cofnął się nieco i zadarł głowę.

– Pojechali – odparł. – Prześpij się, Tom. Już nie będą cię niepokoić.

Gdzieś z boku inny głos przeciął nocną ciszę:

– Za cholerę nie wrócą. Osłaniałem cię przez cały czas, Atticusie.

Pan Underwood i jego dwururka pojawili się w oknie mieszkania nad redakcją „The Maycomb Tribune”.

Od dawna powinnam była leżeć w łóżku i zmęczenie dokuczało mi coraz mocniej. Miałam wrażenie, że Atticus będzie rozmawiał z panem Underwoodem przez resztę nocy. Wreszcie jednak powrócił, wyłączył światło nad drzwiami więzienia i zabrał swoje krzesło.

– Mogę to dla pana ponieść, panie Finch? – spytał Dill, który do tej pory nie odezwał się ani słowem.

– A tak, dziękuję, synu.

Idąc w stronę biura, zostaliśmy z Dillem nieco w tyle, gdyż dźwigał krzesło. Atticus z Jemem dobrze nas już wyprzedzili i pomyślałam, że pewnie ojciec urządza mu niezłe piekło za odmowę powrotu do domu, ale myliłam się. Gdy przechodzili pod latarnią, zobaczyłam, jak Atticus wyciąga rękę i czułym gestem gładzi czuprynę Jema.

# Rozdział 16

Jem mnie usłyszał. Wyjrzał zza uchylonych drzwi łączących nasze pokoje. Gdy zbliżał się do mojego łóżka, w pokoju Atticusa zapaliło się światło. Nie ruszając się, odczekaliśmy, aż zgasło, a potem usłyszeliśmy jeszcze, że ojciec przewraca się na drugi bok. Czekaliśmy dalej, aż zapadnie cisza.

Jem zaprowadził mnie do swojego pokoju i położył do łóżka.

– Spróbuj zasnąć – powiedział. – Myślę, że pojutrze będzie już po wszystkim.

Wróciliśmy do domu po cichu, żeby nie obudzić cioteczki. Atticus wyłączył silnik już na podjeździe, zanim wjechał do garażu. Weszliśmy tylnymi drzwiami i bez słowa udaliśmy się do swoich pokojów. Byłam bardzo znużona i już dryfowałam w stronę snu, gdy wspomnienie Atticusa spokojnie składającego gazetę i przesuwającego kapelusz na tył głowy stało się wspomnieniem Atticusa stojącego pośrodku pustej, pogrążonej w oczekiwaniu ulicy, unoszącego okulary... Cały sens wydarzeń ostatniej nocy spadł na mnie znienacka i zaczęłam płakać. Jem był taki dobry; choć raz nie przypominał mi, że ludzie prawie dziewięcioletni nie zachowują się w ten sposób.

Apetyt mieliśmy rankiem raczej skromny, choć Jem spałaszował trzy jajka. Atticus spoglądał na niego ze szczerym podziwem; ciocia Alexandra popijała kawę, emanując falami dezaprobaty. Dzieci, które nocą wymykały się z domu, były ujmą dla rodziny. Atticus wyraził zadowolenie z tego, że jego ujmy postanowiły dotrzymać mu towarzystwa, ale ciocia nie dała się przekonać:

– Bzdura, pan Underwood osłaniał cię przez cały czas.

– Wiesz, z Braxtonem to zabawna historia – odparł Atticus. – Otóż on gardzi Murzynami, nie znosi nawet ich obecności.

Wedle powszechnej opinii, pan Underwood był narwanym człowieczkiem o naturze bluźniercy, któremu ojciec, w napadzie zdumiewającego poczucia humoru, nadał imiona Braxton Bragg. Pan Underwood czynił w życiu wszystko, by się od tych imion odciąć. Atticus twierdził zaś, że nadawanie ludziom imion po generałach Konfederacji powiększa jedynie zastępy pijaków i nieudaczników.

Calpurnia dolewała właśnie kawy cioci Alexandrze. Pokręciła głową, widząc moje błagalne spojrzenie.

– Za mała jesteś – powiedziała. – Powiem ci, kiedy to się zmieni.

Odparłam, że kawa pomogłaby mi na żołądek.

– W porządku – mruknęła Cal i sięgnęła do kredensu po dodatkową filiżankę. Nalała do niej łyżkę kawy i dolała mleka aż po brzeg. Podziękowałam jej, pokazując język, i kątem oka przechwyciłam ostrzegawcze zmarszczenie brwi ciotuni. Tylko że adresatem jej miny był Atticus.

Ciocia Alexandra zaczekała, aż Calpurnia wyjdzie z kuchni.

– Nie mów przy nich w taki sposób – powiedziała.

– W jaki sposób i przy kim? – spytał ojciec.

– W taki sposób przy Calpurnii. Powiedziałeś w jej obecności, że Braxton Underwood gardzi Murzynami.

– Jestem pewien, że Calpurnia doskonale o tym wie. Wszyscy w Maycomb wiedzą.

Zaczynałam zauważać, że w ostatnich dniach zachodzi w moim ojcu subtelna przemiana. Widać ją było właśnie podczas rozmów z ciocią Alexandrą. Był to jakby cichy opór, nigdy otwarta irytacja. Jego ton był odrobinę oficjalny, gdy mówił:

– Wszystko, co wypada powiedzieć przy stole, może być powiedziane w obecności Calpurnii. Ona doskonale wie, jak wiele znaczy dla tej rodziny.

– Nie wydaje mi się, Atticusie, żeby to był dobry zwyczaj. Ośmielasz ich w ten sposób. Wiesz przecież, jak gadają między sobą. O wszystkim, co wydarzy się w tym mieście, przed zachodem słońca wiadomo już w całej murzyńskiej dzielnicy.

Ojciec odłożył nóż.

– Nie słyszałem o prawie, które zabraniałoby im rozmawiać. Może siedzieliby cicho, gdybyśmy nie dawali im tak wielu powodów do plotkowania? Skaucie, dlaczego nie pijesz kawy?

Rzeczywiście, mieszałam ją tylko łyżeczką.

– Myślałam, że pan Cunningham jest naszym przyjacielem. Dawno temu mówiłeś, że jest.

– I nadal jest.

– Ale ostatniej nocy chciał cię skrzywdzić.

Atticus ułożył widelec obok noża i odsunął talerz na bok.

– Pan Cunningham jest z gruntu dobrym człowiekiem – wyjaśnił. – Tylko, podobnie jak my wszyscy, nieświadomie uprzedzonym.

– Nie nazywaj tego uprzedzeniem – wtrącił Jem. – Tej nocy, gdy tylko się tam zjawił, był gotów cię zabić.

– Może i trochę by mnie poturbował – przyznał Atticus – ale zapewniam cię, synu, że zrozumiesz ludzi takich jak on nieco lepiej, gdy będziesz starszy. Wrogi tłum zawsze składa się z pojedynczych ludzi, nie może być inaczej. Pan Cunningham był wczoraj częścią tłumu, ale mimo to pozostał człowiekiem. Motłoch w małym południowym miasteczku zawsze składa się z ludzi, których dobrze znasz... niezbyt dobrze to o nich świadczy, nieprawdaż?

– Raczej nie – zgodził się Jem.

– Ale potrzeba było tylko ośmioletniego dziecka, by przywrócić im rozsądek – ciągnął Atticus. – To czegoś dowodzi... że można powstrzymać stado bestii z tej prostej przyczyny, że wciąż są to ludzie. Ha, może potrzebna nam policja dziecięca? Bo to wy, dzieci, sprawiłyście wczoraj, że Walter Cunningham na chwilę wczuł się w moją rolę. To wystarczyło.

Miałam nadzieję, że Jem zrozumie ludzi nieco lepiej, kiedy dorośnie, bo ja raczej nie widziałam takiej możliwości.

– Pierwszy dzień, w którym Walter pojawi się w szkole, będzie jego ostatnim – oznajmiłam twardo.

– Nie tkniesz go – odparł spokojnie Atticus. – Nie chcę, żeby któreś z was żywiło do kogoś urazę za to, co się stało, bez względu na to, co się jeszcze wydarzy.

– Teraz widzisz – wtrąciła ciocia Alexandra – co wynika z takich awantur. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Atticus zapewnił ją, że nigdy tak nie powie, po czym odsunął krzesło i wstał.

– Mamy przed sobą długi dzień, więc wybaczcie. Jem, nie chcę, żebyście dzisiaj pokazywali się w mieście.

Gdy Atticus wyszedł, z holu wyłonił się Dill.

– Od rana w mieście nie mówią o niczym innym – obwieścił, wchodząc do jadalni – tylko o tym, jak gołymi rękami powstrzymaliśmy stu chłopa...

Ciocia Alexandra patrzyła na niego w milczeniu.

– Nie było tam stu chłopa – odezwała się, gdy skończył. – I nikt nikogo nie powstrzymywał. Była tylko banda pijanych Cunninghamów, którym zachciało się pyskować.

– Och, ciociu, Dill zawsze tak opowiada – wyjaśnił Jem i gestem nakazał nam, byśmy poszli za nim.

– Cały dzień spędzicie na naszym podwórku – zapowiedziała nam ciocia, gdy szliśmy w stronę werandy.

Miało się wrażenie, że to sobota – w drodze do miasta mieszkańcy południowej części hrabstwa mijali nasz dom leniwym, nieprzerwanym strumieniem.

Pan Dolphus Raymond minął nas, chwiejąc się na grzbiecie wierzchowca czystej krwi.

– Nie rozumiem, jakim cudem trzyma się w siodle – zamruczał Jem. – I jak można być tak pijanym przed ósmą rano?

Z grzechotem przetoczył się obok nas wóz z paniami w bawełnianych czepkach i sukienkach z długimi rękawami. Powoził nim brodaty mężczyzna w wełnianej czapce.

– To menonici – objaśnił Dillowi Jem. – Nie używają guzików.

Mieszkali w głębi puszczy, handlowali głównie z osadami z drugiej strony rzeki i rzadko pokazywali się w Maycomb. Dill był zaciekawiony.

– Wszyscy mają błękitne oczy – kontynuował Jem – a mężczyźni nie golą się po ślubie. Zdaje się, że ich żony lubią łaskotanie brodą.

Pan X Billups jadący na mule pomachał w naszą stronę.

– Dziwny człowiek – podsumował go Jem. – X to naprawdę jego imię, nie inicjał. Kiedyś w sądzie zapytano go, jak się nazywa. Odpowiedział, że X Billups. Urzędnik poprosił o przeliterowanie i znowu usłyszał X. Spytał jeszcze raz, znowu X. Poprosił więc, żeby pan Billups sam napisał swoje imię. Zrobił to i podniósł wysoko kartkę, żeby wszystkim pokazać. Spytali go, skąd ma takie imię; powiedział, że w taki sposób zarejestrowali go rodzice, kiedy przyszedł na świat.

Korowód mieszkańców hrabstwa mijał nas, a Jem raczył Dilla charakterystykami i krótkimi opowiastkami o co ważniejszych postaciach. Pan Tensaw Jones głosował za ścisłą prohibicją. Panna Emily Davis zażywa

w domu tabaki. Pan Byron Waller umie grać na skrzypcach. Panu Jake’owi Slade’owi po raz trzeci wyrzynają się zęby.

Na ulicy pojawił się wóz wyjątkowo poważnie wyglądających obywateli. Gdy zaczęli pokazywać palcami dom panny Maudie Atkinson, który właśnie mijali, ozdobiony letnimi kwiatami, panna Maudie zjawiła się na ganku. To ciekawe, ale choć jej dom stał zbyt daleko, abyśmy mogli widzieć rysy jej twarzy, zawsze potrafiliśmy odgadnąć, w jakim jest nastroju, bacznie obserwując jej sylwetkę. Tym razem stała z rękami wspartymi na biodrach, lekko garbiąc ramiona, z głową nieznacznie przechyloną na bok, błyskając szkłami okularów w pełnym słońcu. Wiedzieliśmy, że na jej twarzy jaśnieje nader przewrotny uśmiech.

Furman powstrzymał nieco muły, a wtedy jakaś kobieta wrzasnęła piskliwym głosem:

– Bo przyszedł jako nicość i odchodzi w mroku, a imię jego mrokiem zakryte![2]

– Serce radosne twarz rozwesela![3] – odpowiedziała panna Maudie.

Domyśliłam się, że obmywacze stóp dostrzegli w niej samego diabła cytującego słowa Pisma dla własnych celów, bo woźnica natychmiast popędził muły. Zagadką pozostawało dla mnie, dlaczego tak bardzo nie podobał im się ogród panny Maudie; zagadką tym bardziej intrygującą, że jak na kogoś, kto spędzał pod gołym niebem tak wiele godzin każdego dnia, panna Maudie wykazywała się zadziwiającą znajomością Pisma.

– Wybiera się pani dziś do sądu? – spytał Jem, kiedy do niej podeszliśmy.

– Nie – odparła. – Dziś rano nie mam tam absolutnie nic do załatwienia.

– I nie chce pani nawet popatrzeć? – zdziwił się Dill.

– Nie. To okropne, przyglądać się, jak deliberują nad życiem lub śmiercią tego biedaka. A dla tych wszystkich ludzi to coś jak rzymski

karnawał.

– Proces musi być publiczny, panno Maudie – wtrąciłam. – Inaczej nie byłoby sprawiedliwie.

– Doskonale to rozumiem – odrzekła. – Ale to, że jest publiczny, nie oznacza wcale, że muszę go oglądać, nieprawdaż?

Podeszła do nas panna Stephanie Crawford, w rękawiczkach i w kapeluszu na głowie.

– Ho, ho, ho – powiedziała. – Patrzcie tylko, jakie tłumy. Można by pomyśleć, że William Jennings Bryan[4] będzie przemawiał.

– A ty dokąd się wybierasz, Stephanie? – spytała panna Maudie.

– Do Jitney Jungle.

Panna Maudie wyznała, że nigdy w swym długim życiu nie widziała jeszcze, by panna Stephanie szła na zakupy do Jitney Jungle w kapeluszu.

– Cóż – odparła panna Stephanie – pomyślałam też, że zajrzę do sądu, żeby zobaczyć, jak sobie radzi Atticus.

– Lepiej uważaj, żeby i tobie nie doręczyli wezwania.

Poprosiliśmy pannę Maudie o wyjaśnienie; odrzekła nam, że panna Stephanie orientuje się w sprawie tak znakomicie, że może nawet zostać wezwana na świadka.

Odczekaliśmy jeszcze do popołudnia, kiedy to Atticus wpadł do domu na obiad i powiedział, że przez cały ranek trwały wybory ławy przysięgłych, a kiedy zjedliśmy, zaszliśmy po Dilla i razem udaliśmy się do miasta.

To było wielkie wydarzenie. Przy żelaznej poręczy nie dałoby się uwiązać już ani jednego zwierzęcia; muły i wozy stały też pod każdym drzewem w centrum miasta. Na placu przed gmachem sądu roiło się od ciekawskich, którzy niczym na pikniku porozsiadali się na rozłożonych gazetach, racząc się ciastkami, syropem i ciepłym mlekiem wprost ze

słoików po przetworach. Bardziej zamożni popijali z pękatych szklaneczek coca-colę kupioną w drogerii. Dzieci o umorusanych buziach biegały wężykiem wśród tłumu, a niemowlęta pożywiały się mlekiem prosto z piersi matek.

W zalanym słońcem, dalekim kącie placu siedzieli w milczeniu Murzyni. Jedli sardynki i suchary, popijając nehi colą. Był z nimi pan Dolphus Raymond.

– Jem – odezwał się Dill – on pije z worka!

Rzeczywiście tak to wyglądało: pan Dolphus Raymond sączył trunek przez dwie słomki, których końce znikały w torbie z szarego papieru.

– W życiu nie widziałem czegoś takiego – mamrotał Dill. – Dlaczego nic mu się nie wylewa?

Jem zachichotał.

– W środku ma butelkę od coli pełną whiskey. Robi tak, żeby nie denerwować pań. Zobaczysz, będzie tak popijał przez całe popołudnie, wychodząc co jakiś czas po dolewkę.

– Ale dlaczego siedzi z kolorowymi?

– Zawsze to robi. Zdaje się, że bardziej ich lubi niż białych. Mieszka sam, daleko stąd, przy samej granicy hrabstwa. Ma kolorową kobietę i stadko dzieci mieszanej krwi. Pokażę ci, jeśli któreś zobaczę.

– Nie wygląda na menela – zauważył Dill.

– Bo nie jest. Jest właścicielem sporego kawałka ziemi nad rzeką i spadkobiercą naprawdę dobrej rodziny.

– Więc dlaczego tak się prowadzi?

– Taki już jest – odparł Jem. – Podobno nigdy się nie podniósł po tym, co się wydarzyło przed jego weselem. Miał się ożenić z jedną damą, zdaje się, że ze Spenderów. Szykowało się wielkie weselisko, ale po próbie panna

młoda poszła na piętro i odstrzeliła sobie głowę. Palcem u nogi pociągnęła za cyngiel strzelby.

– Wiadomo dlaczego?

– Nie – odrzekł Jem. – Nikt dokładnie nie wie, poza panem Dolphusem. Ludzie mówią, że przyszła żona dowiedziała się o jego kolorowej kochance, a on uznał, że może mieć i jedną, i drugą. Od tamtej pory właściwie nie trzeźwieje. Ale wiesz, i tak jest naprawdę dobry dla swoich dzieci...

– Jem – przerwałam mu – co to znaczy dziecko mieszanej krwi?

– Pół białe, pół kolorowe. Widziałaś je przecież, Skaucie. Pamiętasz tego dziwnego, rudawego, co nosi towar do drogerii? Jest półbiały. To naprawdę smutna gromadka.

– Dlaczego smutna?

– Oni nie należą do nikogo. Kolorowi ich nie chcą, bo uważają ich za półbiałych. Biali też nie, bo uważają ich za kolorowych. Są zawieszeni w połowie drogi, nie należą do żadnej rasy. Ale podobno pan Dolphus wysłał już dwoje na Północ. Tam ponoć nie mają nic przeciwko kolorowym. O, tam jest jeden z młodszych.

W naszą stronę szedł mały chłopiec trzymający za rękę Murzynkę. Na mój gust był czarny: miał intensywnie czekoladową skórę, szerokie nozdrza i piękne zęby. Od czasu do czasu podskakiwał radośnie, ale Murzynka zaraz ciągnęła go za rękę, żeby się uspokoił.

Jem zaczekał, aż nas minęli.

– Tak, to jedno z jego dzieci – powiedział.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Dill. – Wyglądał na czarnego.

– Czasem trudno odróżnić, chyba że zna się ich osobiście. Ale uwierz mi, że to w połowie Raymond.

– Dobrze, ale skąd wiesz? – spytałam.

– Już mówiłem, Skaucie... trzeba wiedzieć, że to oni.

– A skąd wiesz, że my nie jesteśmy Murzynami?

– Wujek Jack Finch twierdzi, że tak naprawdę to nie wiadomo. Mówił mi, że prześledził dzieje Finchów i wśród naszych przodków nie ma czarnych, ale wcale nie można wykluczyć, że w czasach Starego Testamentu wynieśliśmy się z Etiopii.

– Skoro wynieśliśmy się stamtąd tak dawno, to się nie liczy.

– Też tak pomyślałem – odparł Jem. – Ale tu wystarczy mieć w żyłach kroplę murzyńskiej krwi, żeby zostać uznanym za czarnego. Hej, patrzcie...

Jak na niewidzialny sygnał posilający się na placu powstali, rozrzucając wokół kawałki gazet, celofanu i papieru śniadaniowego. Dzieci pobiegły ku matkom, niemowlęta znalazły się na rękach, a mężczyźni w splamionych potem kapeluszach zaczęli gromadzić wokół siebie rodziny i kierować je ku drzwiom budynku sądu. W oddali zauważyliśmy, że Murzyni i pan Dolphus Raymond również wstają i otrzepują spodnie. Kobiet z dziećmi było wśród nich niewiele, co mąciło nieco nastrój wielkiego pikniku. Czekali cierpliwie u drzwi, aż do środka wejdą białe rodziny.

– Chodźmy – rzucił Dill.

– Nie, lepiej zaczekajmy, aż wszyscy będą na sali. Atticus nie byłby zachwycony, gdyby nas zobaczył.

Gmach sądu hrabstwa Maycomb pod jednym względem przypominał nieco ten z Arlington: betonowe kolumny wspierające południową część dachu były zbyt masywne do tak lekkiego brzemienia. W zasadzie tylko one przetrwały pożar dawnego sądu w roku 1856. Wokół nich zbudowano nowy gmach, choć może trafniej byłoby powiedzieć, że zbudowano go mimo tych kolumn. Od południa budynek sądu hrabstwa Maycomb jaśniał stylem wczesnowiktoriańskim; od północy również prezentował się całkiem znośnie. Jednak z boków, gdy patrzyło się na niby-renesansowe kolumny

w stylu greckim połączone z wielką, dziewiętnastowieczną wieżą zegarową kryjącą bardzo lichy i przeżarty rdzą mechanizm, widok ten świadczył jedynie i jednoznacznie o tym, że mieszkają tu ludzie rozpaczliwie starający się zachować każdy namacalny dowód przeszłości.

Kto chciał się dostać do sali rozpraw na piętrze, musiał przejść obok ciemnych klitek urzędniczych: asesora, poborcy podatkowego, sekretarza, radcy, sędziego wizytatora oraz sędziego do spraw nieletnich. Wszyscy oni pracowali w chłodnych, dość mrocznych pomieszczeniach pachnących butwiejącymi aktami, starym wilgotnym betonem oraz stęchłą uryną. I za dnia trzeba tu było włączać światło, a na surowych dechach podłogi wiecznie leżała warstwa kurzu. Lokatorzy tych biur byli stworzeniami przystosowanymi do swego środowiska: małymi ludzikami o poszarzałych twarzach, zdawać by się mogło – nie tkniętych słońcem i wiatrem.

Wiedzieliśmy, że będzie tłoczno, ale nie spodziewaliśmy się aż tak nieprzebranych tłumów w holu na parterze. Zgubiłam gdzieś Jema i Dilla, ale udało mi się dotrzeć do ściany tuż obok schodów – wiedziałam, że chłopcy wrócą po mnie prędzej czy później. Znalazłam się, niestety, w samym środku Klubu Próżniaków, toteż bardzo się starałam nie zwracać na siebie ich uwagi. Była to grupa starców w białych koszulach i spodniach koloru khaki na szelkach, którzy w całym długim życiu nie robili absolutnie nic i teraz, u schyłku swej drogi, także nie trudzili się niczym poza siedzeniem na sosnowych ławkach pod dębami ocieniającymi rynek. Byli od lat uważnymi obserwatorami i krytykami sądowej praktyki; Atticus mówił, że znają prawo równie dobrze jak prezes Sądu Najwyższego. Zwykle byli jedyną publicznością na sali rozpraw, toteż tego dnia z wyraźną niechęcią patrzyli na wielkie odstępstwo od utartego obyczaju. Gdy coś mówili, na pozór niedbale, wyczuwało się, że są przekonani o wadze własnych opinii. A rozmawiali o moim ojcu.

– ...myśli, że wie, co robi – dowodził jeden.

– No, ja bym nie powiedział – sprzeciwił się drugi. – Atticus Finch dużo czyta, bardzo dużo czyta, to wszystko.

– Może i czyta, ale nic ponadto.

Członkowie klubu parsknęli śmiechem.

– Coś ci powiem, Billy – odezwał się trzeci. – To sąd wyznaczył go do obrony tego czarnucha.

– Tak, ale Atticus wziął sobie do serca to zadanie. I to mi się nie podoba.

Była to dla mnie nowina, która stawiała sprawy w całkiem nowym świetle: Atticus musiał to robić, czy tego chciał, czy nie. Wydało mi się dziwne, że nie wspomniał nam o tym – mogliśmy przecież użyć tego argumentu tak wiele razy, gdy trzeba było bronić jego lub nas samych. Musiał, dlatego to robił. O ile mniej bijatyk i kłótni mogło nas spotkać... Ale czy to wyjaśniało postawę mieszkańców miasta? Sąd wyznaczył Atticusa do obrony. Atticus zamierzał naprawdę bronić. I to im się nie podobało. Miałam mętlik w głowie.

Murzyni, którzy czekali, aż biali wejdą na górę, teraz ruszyli w stronę sali.

– Zaraz, zaraz – odezwał się jeden z członków klubu, unosząc w górę laskę. – Jeszcze się nie pchajcie na schody.

Klub zaczął mozolną wspinaczkę, po czym zaraz zderzył się z Jemem i Dillem, którzy biegli na dół, by mnie szukać. Przecisnęli się między starcami i Jem zawołał:

– Skaut, do mnie! Wszystkie miejsca zajęte, trzeba będzie stać... No i masz – dodał z irytacją, bo właśnie w tej chwili czarni ruszyli na górę.

Starcy, którzy weszli przed nimi, mieli zająć jedne z ostatnich miejsc. Mieliśmy pecha, a wszystko z mojej winy, poinformował mnie Jem.

Stanęliśmy smętnie pod ścianą.

– Nie możecie wejść?

Wielebny Sykes spoglądał na nas, trzymając w dłoni czarny kapelusz.

– Czołem, wielebny – powitał go Jem. – To przez Skauta.

– Zobaczymy, co się da zrobić.

Wielebny Sykes wszedł na górę i wrócił po paru chwilach.

– Rzeczywiście, na sali nie ma już miejsca. A może chcielibyście usiąść ze mną na galerii?

– Kurczę, jasne! – ucieszył się Jem.

Zadowoleni pognaliśmy do sali rozpraw, wyprzedzając wielebnego Sykesa. Weszliśmy do zabudowanej klatki schodowej i zatrzymaliśmy się dopiero na górze, przed drzwiami. Zasapany pastor dołączył do nas po chwili i poprowadził przez tłum czarnych, którzy okupowali galerię. Czterech zerwało się z ławki, ustępując nam miejsca w pierwszym rzędzie.

Galeria dla kolorowych otaczała salę rozpraw z trzech stron, niczym weranda na pierwszym piętrze domu. Mieliśmy doskonały widok na to, co działo się w dole.

Ławnicy siedzieli po lewej, pod wysokimi oknami. Szczupli i opaleni, wyglądali na farmerów, co wcale mnie nie dziwiło. Mieszkańcy miasta rzadko byli wybierani do ławy przysięgłych; albo się nie kwalifikowali, albo ich skreślano. Jeden lub dwaj z ławników wyglądali mi na Cunninghamów w odświętnych ubraniach. Siedzieli prosto, rozglądając się czujnie.

Prokurator okręgowy, jeszcze jeden pan oraz Atticus i Tom Robinson siedzieli przy stołach, plecami do nas. Na blacie prokuratora leżała brązowa książka i kilka żółtych notatników; blat Atticusa był pusty.

Również plecami do nas, tuż za barierką odgradzającą publiczność, na krytych bydlęcą skórą krzesłach zasiedli świadkowie.

Sędzia Taylor, który miał poprowadzić rozprawę, wyglądał jak stary i senny rekin, drzemiący w asyście ryby-pilota, czyli protokolanta siedzącego poniżej i notującego coś w wielkim pośpiechu. Sędzia Taylor wyglądał tak jak większość sędziów, których zdarzyło mi się spotkać: przyjazny, siwobrody, rumiany, prowadził sprawy niepokojąco swobodnie – czasem kładł stopy na stole, a czasem scyzorykiem czyścił paznokcie. Podczas długich przesłuchań w sprawach cywilnych nieraz wyglądał tak, jakby drzemał, ale podejrzenie to rozwiane zostało raz na zawsze, gdy pewnego razu adwokat celowo zepchnął ze stołu stertę książek, rozpaczliwie próbując obudzić sędziego. Nie otwierając oczu, sędzia Taylor wycedził wtedy:

– Panie Whitley, kolejna taka próba będzie pana kosztowała sto dolarów.

Znał prawo na wskroś i choć wydawało się, że dość niedbale podchodzi do swoich obowiązków, w rzeczywistości prowadził sprawy silną ręką. Raz tylko zdarzyło się, że utknął w martwym punkcie, a stało się to za sprawą Cunninghamów. Old Sarum, skąd pochodzili, zaludnione było głównie przez dwie rodziny, które wywodziły się wprawdzie od całkiem innych przodków, lecz na nieszczęście nosiły podobne nazwisko. Cunninghamowie więc zawierali małżeństwa z Conninghamami tak długo, aż sprawa pisowni nazwisk przestała mieć znaczenie – przestała, ale tylko do czasu, aż pewien Cunningham zaczął się sądzić z Conninghamem o prawo do ziemi. W toku sprawy niejaki Jeems Cunningham zeznał, że jego matka znana była na co dzień jako Cunningham, ale w rzeczywistości była z Conninghamów i miała kłopoty z ortografią, bo mało co czytała i najbardziej interesowało ją gapienie się w dal, gdy siadywała wieczorami na balkonie. Po dziewięciu godzinach wysłuchiwania opowieści o ekscentrycznych wybrykach mieszkańców Old Sarum sędzia Taylor oddalił sprawę. Gdy poproszono go

o uzasadnienie wyroku, rzekł krótko: „Zmowa w celu wyłudzenia” i dodał, że pokłada nadzieję w Bogu, iż obie strony będą usatysfakcjonowane tym, że mogły publicznie wyrazić swoje zdanie. I były. Bo tego właśnie pragnęły od samego początku.

Sędzia Taylor miał pewien intrygujący obyczaj. Pozwalał palić w sali rozpraw, ale sam nie ulegał nałogowi. Czasem tylko, jeśli ktoś miał szczęście, mógł obserwować, jak sędzia wkłada do ust długie cygaro i zaczyna je żuć. Kawałek po kawałku zwinięty liść znikał w jego ustach, po czym powracał po paru godzinach jako spłaszczona, oślizła masa, całkiem pozbawiona tytoniowego smaku i zmieszana z sokami trawiennymi sędziego Taylora. Pytałam kiedyś Atticusa, jak pani Taylor może całować swego męża, ale dowiedziałam się tylko, że oni nie całują się za często.

Stanowisko dla świadków znajdowało się na prawo od sędziego Taylora. Gdy zajmowaliśmy miejsca, pan Heck Tate już tam był.

# Rozdział 17

Jem – spytałam – czy to nie Ewellowie siedzą tam na dole?

– Cicho – odpowiedział Jem. – Pan Heck Tate zeznaje.

Pan Tate ubrał się stosownie do okazji, w zwykły garnitur, który upodobnił go do całkiem zwyczajnego mężczyzny – nie miał ani wysokich butów, ani krótkiej kurtki, ani pasa z nabojami. Od tej pory przestał być dla mnie przerażającą postacią. Siedział na krześle dla świadków, zwrócony twarzą ku sędziemu, trzymając splecione dłonie między kolanami i słuchając uważnie tego, co miał do powiedzenia prokurator.

A prokuratora, pana Gilmera, nie znaliśmy zbyt dobrze. Mieszkał w Abbottsville; widywaliśmy go tylko podczas rozpraw, czyli bardzo rzadko, jako że sprawy sądowe ani mnie, ani Jema specjalnie nie interesowały. Łysiejący, o gładkiej twarzy, mógł mieć równie dobrze czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Choć siedział plecami do nas, wiedzieliśmy, że jedno oko ucieka mu nieco na bok, a niedoskonałość tę potrafił doskonale wykorzystać: niekiedy wydawało się, że na kogoś patrzy, a wcale nie było to prawdą. Proceder ten piekielnie deprymował i przysięgłych, i świadków. Ławnicy, którym się zdawało, że są pilnie obserwowani, słuchali z wielką uwagą; tak samo i z tego samego powodu postępowali świadkowie.

– ...swoimi słowami, panie Tate – mówił właśnie pan Gilmer.

– Zatem – zaczął pan Tate, poprawiając okulary i zwracając się do własnych kolan – zostałem wezwany...

– Czy mógłby pan mówić do przysięgłych, panie Tate? Dziękuję. Kto pana wezwał?

– Bob po mnie przyjechał – odparł pan Tate. – To znaczy: pan Bob Ewell, który tam siedzi. Pewnego wieczoru...

– Którego wieczoru, proszę pana?

– Wieczorem dwudziestego pierwszego listopada – uściślił pan Tate. – Właśnie wychodziłem z biura i miałem wracać do domu, kiedy zjawił się Bo... pan Ewell. Był bardzo podniecony, mówił, że muszę pędzić do jego domu, bo jakiś czarnuch zgwałcił jego córkę.

– I pojechał pan tam?

– Oczywiście. Wsiadłem do samochodu i pojechałem tak szybko, jak się dało.

– Co pan zobaczył na miejscu?

– Zobaczyłem dziewczynę. Leżała pośrodku pokoju, tego po prawej od wejścia. Była nieźle poobijana, ale kiedy ją podniosłem i obmyła twarz wodą z wiadra, które stało w kącie, powiedziała, że nic jej nie jest. Spytałem, kto ją skrzywdził. Odparła, że Tom Robinson...

Sędzia Taylor, który dotąd bardzo się interesował swoimi paznokciami, uniósł głowę, jakby spodziewał się sprzeciwu, ale Atticus milczał.

– ...spytałem, czy to on ją tak pobił. Potwierdziła. Spytałem, czy ją wykorzystał. Powiedziała, że tak. Poszedłem więc do domu Robinsona i przyprowadziłem go na miejsce zdarzenia. Zidentyfikowała go, więc go przymknąłem. To wszystko.

– Dziękuję – odezwał się pan Gilmer.

– Jakieś pytania, Atticusie? – spytał sędzia Taylor.

– Tak – odparł mój ojciec. Siedział wciąż za swoim stołem. Włosy miał zaczesane na bok, nogi skrzyżowane, a jedno z ramion przerzucił nad oparciem krzesła. – Wezwał pan lekarza, szeryfie? Albo czy ktokolwiek wezwał lekarza? – spytał.

– Nie, panie mecenasie – odparł pan Tate.

– Nie wezwał pan lekarza?

– Nie, panie mecenasie – powtórzył pan Tate.

– Dlaczego? – spytał ostro Atticus.

– Powiem panu dlaczego. Bo to nie było konieczne, panie Finch. Była solidnie poobijana. Coś się musiało stać, to było oczywiste.

– I mimo to nie wezwał pan lekarza? Był pan tam, ale nie posłał pan po lekarza, nie sprowadził go osobiście, nie zaniósł ofiary do niego?

– Nie, panie mecenasie.

– Odpowiedział ci już trzy razy, Atticusie – wtrącił się sędzia Taylor. – Nie wezwał lekarza.

– Chciałem się tylko upewnić, wysoki sądzie – odparł Atticus, a sędzia odpowiedział mu uśmiechem.

Dłoń Jema, spoczywająca na barierce otaczającej galerię, zacisnęła się kurczowo. Odetchnął gwałtownie, a ja spojrzałam w dół, ale nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego i przyszło mi do głowy, że może mój brat po prostu dramatyzuje. Dill wyglądał na spokojnego, podobnie jak siedzący obok niego wielebny Sykes.

– O co chodzi? – spytałam Jema szeptem, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko „Ciii”.

– Szeryfie – kontynuował Atticus – powiedział pan, że była solidnie poobijana. W jaki sposób?

– Cóż...

– Po prostu opisz jej obrażenia, Heck.

– Miała ślady ciosów na głowie. Na ramionach wyłaziły już siniaki, bo od zajścia minęło mniej więcej trzydzieści minut...

– Skąd pan wie?

Pan Tate uśmiechnął się szeroko.

– Przepraszam, tak mi powiedziano. Tak czy inaczej, kiedy tam dotarłem, była nieźle posiniaczona i miała opuchnięte oko.

– Które oko?

Pan Tate zamrugał gwałtownie i przeczesał palcami włosy.

– Niech pomyślę – odpowiedział cicho i spojrzał na Atticusa tak, jakby uważał to pytanie za dziecinne.

– Nie pamięta pan? – indagował Atticus.

Pan Tate wskazał na niewidzialną postać stojącą przed nim i rzekł:

– Lewe.

– Chwileczkę, szeryfie – powiedział Atticus. – Jej lewe czy lewe, patrząc z pańskiej strony?

– No tak, jej prawe – odparł pan Tate. – Jej prawe oko, panie Finch. Teraz pamiętam, że miała siniaka po tej stronie twarzy...

Pan Tate znowu zatrzepotał powiekami, jakby nagle coś sobie uświadomił. Potem odwrócił głowę i spojrzał na Toma Robinsona. Jakby wiedziony instynktem Tom Robinson uniósł głowę.

Dla Atticusa również coś stało się nagle całkiem oczywiste i kazało mu wstać.

– Szeryfie, proszę powtórzyć to, co pan przed chwilą powiedział.

– Powiedziałem, że miała siniaka pod prawym okiem.

– Nie... – Atticus zbliżył się do stanowiska protokolanta i pochylił się nad jego błyskawicznie piszącą ręką. Ręka znieruchomiała zaraz, a potem przewróciła kartkę. Protokolant zaczął czytać:

– „...panie Finch. Teraz pamiętam, że miała siniaka po tej stronie twarzy”.

Atticus uniósł głowę, by spojrzeć na pana Tate’a.

– To po której stronie, Heck?

– Po prawej stronie, panie Finch, ale miała tych siniaków znacznie więcej, nie chce pan posłuchać?

Atticus wahał się, czy zadać jeszcze jedno pytanie, ale rozmyślił się i powiedział:

– Tak, proszę opowiedzieć o innych urazach.

Słuchając odpowiedzi pana Tate’a, Atticus odwrócił się i spojrzał na Toma Robinsona, jakby chciał mu powiedzieć, że oto zaszło coś, na co nie liczyli.

– ...ramiona miała posiniaczone; pokazała mi też szyję. Bez wątpienia miała ślady palców na gardle...

– Wokół całego gardła? I na karku?

– Powiedziałbym, że dookoła, panie Finch.

– Naprawdę?

– Tak, panie mecenasie. Ma szczupłą szyję, każdy by ją otoczył...

– Proszę odpowiadać „tak” lub „nie”, szeryfie – wtrącił sucho Atticus i pan Tate umilkł.

Atticus usiadł i skinął głową na prokuratora, który pokręcił głową, spoglądając na sędziego, który kiwnął głową w stronę pana Tate’a, który wstał sztywno i opuścił stanowisko dla świadków.

W dole zrobiło się poruszenie: ludzie kręcili głowami, stopy szurały o posadzkę, matki przenosiły niemowlęta na drugie ramię, a kilkoro dzieci wymknęło się chyłkiem z sali. Murzyni siedzący za nami szeptali cicho. Dill spytał wielebnego Sykesa, o co chodzi, ale wielebny nie wiedział. Jak dotąd było całkiem nudno: nikt nie grzmiał, nie było kłótni prawników ani dramaturgii. Miałam wrażenie, że publiczność jest bardzo zawiedziona. Atticus poczynał sobie tak dobrodusznie, jakby bronił w sprawie o tytuł własności. Mając nieziemski talent do łagodzenia nawet najgwałtowniejszych burz, potrafił uczynić sprawę o gwałt tak beznamiętną

jak kazanie. Ulotniły się z mojej głowy straszne wspomnienia woni świń i starej whiskey, zaspanych, ponurych ludzi i chrapliwego głosu przeszywającego nocną ciszę: „Panie Finch? Pojechali sobie?” Światło dnia przepędziło nasze złe sny i wszystko miało się szczęśliwie ułożyć.

Widzowie rozluźnili się prawie jak sędzia Taylor – wszyscy z wyjątkiem Jema. Jego usta wykrzywiał wystudiowany półuśmiech, w oczach błyszczała radość, a słowa o korzystnych dowodach upewniły mnie, że się popisuje.

– ...Robert E. Lee Ewell!

W odpowiedzi na donośne zawołanie woźnego podniósł się z krzesła mężczyzna postury koguta. Pomaszerował w stronę stanowiska, czerwieniąc się na karku na dźwięk swego nazwiska. Gdy się obrócił, by złożyć przysięgę, zobaczyliśmy, że twarz ma równie zarumienioną jak kark. Przy okazji przekonaliśmy się też, że w niczym nie przypomina swego imiennika[5]. Nad jego czołem sterczała strzecha świeżo umytych włosów; nos miał cienki, ostro zakończony i błyszczący, brakowało mu za to podbródka, który zlewał się z pomarszczoną szyją.

– ...tak mi dopomóż Bóg – zaskrzeczał.

W każdym mieście wielkości Maycomb można było znaleźć takie rodziny jak Ewellowie. Żadne gospodarcze fluktuacje nie zmieniały ich pozycji; ludzie tego pokroju żyli na koszt hrabstwa i w czasie prosperity, i w najgłębszym kryzysie. Żaden kurator nie zatrzymałby w szkole ich potomstwa. Żaden inspektor sanitarny nie uwolniłby ich od wad wrodzonych, najrozmaitszych pasożytów oraz chorób wynikających z życia w brudzie.

Ewellowie z Maycomb mieszkali za wysypiskiem miejskim, w czymś, co niegdyś było murzyńską chatą. Niszczejące deski w ścianach uzupełniali kawałkami blachy falistej, a dachówki – puszkami rozklepanymi na płask.

Wskutek tych zabiegów tylko ogólny kształt wskazywał jeszcze na dawną postać tego domostwa, zbudowanego na planie kwadratu, z czterema ciasnymi pokoikami i wąskim korytarzem wiodącym wprost od frontowych do tylnych drzwi. Konstrukcja spoczywała niepewnie na czterech nierównych bryłach wapienia. Okna były ledwie otworami w ścianach, latem przesłanianymi brudnymi strzępami zgrzebnego płótna, które miały zatrzymać insekty żerujące na wysypisku.

Insekty zresztą wiodły na wysypisku żywot nader skromny, bo Ewellowie każdego ranka bardzo starannie przeczesywali hałdy śmieci w poszukiwaniu jadalnych resztek; inne zdobycze składowali na podwórku, które coraz bardziej przypominało plac zabaw szalonego dziecka. Za ogrodzenie służyły kawałki konarów, kije od mioteł i trzonki narzędzi, ozdobione łbami zardzewiałych młotów, szczerbatych grabi, toporów i motyk, a powiązane do kupy drutem kolczastym. Za tymi zasiekami dostrzec można było zaniedbane podwórze, a na nim resztki forda T (na klockach), porzucony fotel dentystyczny, zabytkową lodówkę oraz mnóstwo pomniejszych eksponatów: stare buty, zepsute radia, ramy obrazów oraz słoiki, pod którymi chuderlawe, pomarańczowe kurczaki z nadzieją poszukiwały pożywienia.

Przejeżdżających tamtędy mieszkańców Maycomb wprawiał w zdumienie tylko jeden zakątek posiadłości Ewellów: kąt pod płotem, gdzie w sześciu obłażących z emalii garnkach rosły wspaniałe, czerwone pelargonie. Były tak zadbane, jakby miała je w opiece panna Maudie Atkinson, oczywiście gdyby panna Maudie pozwalała pelargoniom rosnąć w swym ogrodzie. Ludzie mówili, że to kwiaty Mayelli Ewell.

Nikt nie był pewien, ile dzieci mieszka pod tym dachem. Jedni mówili, że sześcioro, inni, że dziewięcioro; ktokolwiek przechodził obok, widział zawsze w oknach kilka umorusanych twarzyczek. Tyle że nikt tamtędy nie

przechodził, a jeśli już, to wyłącznie na Boże Narodzenie, gdy kościoły dostarczały biednym kosze z darami albo gdy burmistrz Maycomb prosił o wsparcie miejskiego śmieciarza w wywożeniu choinek i poświątecznych resztek.

Atticus zabrał nas tam ostatniej zimy, gdy postanowił odpowiedzieć na apel burmistrza. W bok od szosy biegła gruntowa droga wiodąca do wysypiska i dalej, ku małej osadzie Murzynów jakieś pięćset metrów za domostwem Ewellów. Kto w nią wjechał, musiał potem albo cofać do samej szosy, albo dojechać do końca drogi i nawrócić – większość kierowców decydowała się na zawracanie na podwórzach murzyńskich gospodarstw. O zmierzchu w chłodny grudniowy dzień domki w osadzie wyglądały całkiem schludnie, gdy tak unosiły się z ich kominów smugi szaroniebieskiego dymu, a drzwi frontowe podświetlał blask ogni płonących w środku. Dokoła rozchodziły się cudowne zapachy pieczonych kurczaków i boczku chrupiącego jak zmarznięta trawa w ten rześki, zimowy wieczór. Jem i ja wyczuwaliśmy woń potrawki z wiewiórki, ale tylko stary smakosz Atticus wykrył też aromaty oposa i królika, które naturalnie rozpłynęły się w powietrzu, gdy mijaliśmy zagrodę Ewellów.

Mały człowieczek ze stanowiska dla świadków w tym tylko mógł uważać się za lepszego od swych najbliższych sąsiadów, że gdy porządnie wyszorował się mydłem ługowym w bardzo gorącej wodzie, jego skóra odzyskiwała białą barwę.

– Pan Robert Ewell? – spytał pan Gilmer.

– Tak się nazywam, kapitanie – odparł świadek, zaciągając z wiejska.

Pan Gilmer jakby zesztywniał i nagle zrobiło mi się go żal. Może będzie lepiej, jeśli wyjaśnię dlaczego. Otóż słyszałam, że dzieci prawników, gdy widzą swych rodziców w gorących sporach przed sądem, wyobrażają sobie całkiem mylnie, że prawnik strony przeciwnej jest osobistym wrogiem

danego rodzica i że obie strony naprawdę cierpią. Dzieci te są zszokowane, gdy widzą następnie, jak prawnicy, którzy jeszcze przed chwilą tak się nawzajem dręczyli, wychodzą ramię w ramię i w najlepszej komitywie z sali rozpraw na przerwę. Jem i ja nie byliśmy takimi dziećmi. Zwycięstwa czy porażki ojca nie były dla nas traumatycznym przeżyciem. Przykro mi, jeśli nie dostarczę w tej materii dramatycznych opisów; skłamałabym, gdybym to uczyniła. Umieliśmy natomiast z Jemem stwierdzić, czy dysputa staje się bardziej zajadła niż profesjonalna, ale tę zdolność oceny zawdzięczaliśmy obserwowaniu innych prawników, nie naszego ojca. Nigdy bowiem w całym moim życiu nie słyszałam, by Atticus podniósł głos – chyba że miał do czynienia z głuchym świadkiem. Pan Gilmer wykonywał swoją pracę, a Atticus swoją. Poza tym pan Ewell był świadkiem pana Gilmera i nie miał powodu być nieuprzejmy akurat wobec niego.

– Czy jest pan ojcem Mayelli Ewell? – padło kolejne pytanie.

– No, jeśli nie jestem, to już nic na to nie poradzę, bo jej mamuśka wyciągnęła kopyta – odpowiedział pan Ewell.

Sędzia Taylor drgnął. Wolniutko obrócił się w swym obrotowym fotelu i spojrzał dobrotliwie na świadka.

– Czy jest pan ojcem Mayelli Ewell? – zapytał w taki sposób, że śmiechy dobiegające z sali umilkły w jednej chwili.

– Tak jest – odparł pokornie pan Ewell.

– Pan pierwszy raz w sądzie? – kontynuował sędzia Taylor równie łaskawym tonem. Świadek pokiwał głową. – Bo właśnie nie przypominam sobie, żebyśmy się tu spotkali. W takim razie wyjaśnijmy sobie coś na samym wstępie. Dopóki siedzę w tym fotelu, nikt na tej sali nie będzie rzucał sprośnych aluzyjek na żaden temat. Rozumie pan?

Pan Ewell znowu pokiwał głową, ale nie wydaje mi się, żeby zrozumiał. Sędzia Taylor westchnął i zapytał:

– W porządku, panie Gilmer?

– Tak jest, wysoki sądzie. Panie Ewell, zechce pan opowiedzieć nam swoimi słowami, co się wydarzyło wieczorem dwudziestego pierwszego listopada?

Jem uśmiechnął się i odgarnął włosy na tył głowy. „Swoimi słowami”, tak brzmiało ulubione powiedzonko pana Gilmera. Często się zastanawialiśmy, czy pan Gilmer naprawdę się obawia, że świadek mógłby zacząć mówić cudzymi słowami.

– No więc wieczorem dwudziestego pierwszego listopada wracałem właśnie z lasu z wiązką chrustu i gdy zbliżałem się do płotu, usłyszałem, że Mayella drze się w domu jak zarzynana świnia...

W tym momencie sędzia Taylor spojrzał ostro na świadka, ale widocznie uznał, że tym razem w obrazowej wypowiedzi nie było niecnej intencji, bo zaraz zapadł na powrót w stan śpiączki.

– Która to była godzina, panie Ewell?

– Jakoś tuż przed zachodem słońca. No i jak powiedziałem, Mayella darła się, jakby ją obdzierali... – Kolejne spojrzenie z fotela sędziowskiego uciszyło pana Ewella.

– Tak? Krzyczała? – podpowiedział Gilmer.

Zdezorientowany pan Ewell popatrzył na sędziego.

– Mayella się wydzierała wniebogłosy, więc rzuciłem drewno i pobiegłem do niej najszybciej jak się dało, ale wpadłem na ogrodzenie i zanim się wyplątałem, minęła chwila. Kiedy dopadłem okna, zobaczyłem... – twarz pana Ewella była purpurowa, gdy wstał i wskazał palcem na Toma Robinsona – ...zobaczyłem, jak ten czarnuch kryje moją Mayellę!

Sala, w której pracował sędzia Taylor, była na co dzień tak senna, że niezmiernie rzadko przychodziło mu używać młotka, ale tym razem walił nim w blat przez okrągłe pięć minut. Atticus poderwał się z krzesła i próbował klarować coś sędziemu, a pan Heck Tate, jako czołowy stróż prawa w hrabstwie, skoczył na środek sali i usiłował uciszyć tłum. Zza naszych pleców dobiegał gniewny, chóralny pomruk kolorowych.

Wielebny Sykes pochylił się nade mną i Dillem, by pociągnąć Jema za łokieć ku sobie.

– Panie Jemie – powiedział – lepiej będzie, jeśli zabierze pan pannę Jean Louise do domu. Słyszał pan, panie Jemie?

Jem odwrócił głowę.

– Skaut, do domu. Dill, ty i Skaut idziecie do domu.

– A spróbuj mnie zmusić – odpowiedziałam, pamiętając błogosławione zalecenie Atticusa.

Jem posłał mi wściekłe spojrzenie, a potem zwrócił się do wielebnego Sykesa:

– Ja myślę, że nic się nie stanie, pastorze, ona i tak nic nie rozumie.

Obraził mnie śmiertelnie.

– A właśnie, że rozumiem! Zrozumiem wszystko to, co ty!

– Och, milcz wreszcie. Pastorze, ona nie rozumie, jeszcze nie ma dziewięciu lat.

Czarne oczy wielebnego Sykesa były pełne niepokoju.

– A czy pan Finch wie, że tu jesteście? Nie jest to odpowiednie miejsce ani dla panny Jean Louise, ani dla was, chłopcy.

Jem potrząsnął głową.

– Z tej odległości nas nie zobaczy. Naprawdę nie ma problemu, pastorze.

Wiedziałam, że Jem zwycięży, ponieważ żadna siła nie mogła go teraz wyrwać z sali rozpraw. Byliśmy więc z Dillem bezpieczni – przynajmniej na razie, bo przecież Atticus zobaczyłby nas, gdyby tylko spojrzał w tę stronę.

Gdy sędzia Taylor walił młotkiem w stół, pan Ewell z bardzo przebiegłą miną siedział sobie na krześle dla świadków i podziwiał swoje dzieło. Jednym zdaniem zamienił szczęśliwych piknikowiczów w ponury, pełen napięcia, warczący tłum, z wolna hipnotyzowany rytmiczną pracą młotka. Uderzenia wydawały się coraz cichsze, aż wreszcie słychać było tylko ciche stuk, stuk, stuk, jakby sędzia próbował zaprowadzić porządek, bębniąc ołówkiem o blat.

Odzyskawszy władzę nad salą rozpraw, sędzia Taylor odchylił się w fotelu. Nagle wydało mi się, że jest bardzo zmęczony i że widać po nim wiek. Przypomniałam sobie, co mówił Atticus – że pani Taylor raczej nieczęsto całuje męża – i doszłam do wniosku, że sędzia musi dobiegać siedemdziesiątki.

– Pojawiło się żądanie – zaczął sędzia Taylor – żeby usunąć z sali publiczność, a przynajmniej kobiety i dzieci. Żądanie to, przynajmniej na razie, nie zostanie spełnione. Ludzie zazwyczaj widzą to, co chcą zobaczyć, i słyszą to, czego chcą słuchać. Mają też prawo pozwolić swoim dzieciom, by słuchały tego samego. Zapewnić mogę wszystkich tylko o jednym: zobaczą, co chcą zobaczyć, i usłyszą, co chcą usłyszeć tylko i wyłącznie w milczeniu. Jeśli nie będzie tu spokoju, wyrzucę wszystkich z sali rozpraw, najpierw wymierzywszy każdemu z osobna grzywnę za znieważenie sądu. Panie Ewell, w miarę możliwości będzie pan zeznawał, posługując się przyzwoitą angielszczyzną. Proszę kontynuować, panie Gilmer.

Pan Ewell przypominał mi głuchoniemego. Byłam pewna, że w ogóle nie słyszał słów, które kierował doń sędzia Taylor. Zmagał się tylko z nimi, powtarzając je bezgłośnie, ale to wystarczyło, by zmienił się wyraz jego twarzy. Znikł z niej przebiegły uśmiech, a jego miejsce zajęła wymuszona powaga, na którą sędzia Taylor ani myślał się nabrać. Do końca zeznań pana Ewella sędzia nie spuszczał go z oczu, jakby czekał na jeden fałszywy ruch.

Pan Gilmer i Atticus wymienili spojrzenia. Atticus znowu siedział za stołem; opierał policzek na zaciśniętej pięści, więc nie widzieliśmy jego twarzy. Pan Gilmer sprawiał wrażenie zrozpaczonego. Uspokoił się nieco, dopiero gdy sędzia Taylor rzucił pytanie:

– Panie Ewell, czy widział pan, jak oskarżony odbywa stosunek seksualny z pańską córką?

– Tak jest.

Publiczność milczała; tylko oskarżony coś powiedział. Atticus szepnął mu kilka słów i Tom Robinson umilkł.

– Powiedział pan, że dopadł okna? – pytał dalej pan Gilmer.

– Tak jest.

– Jak wysoko nad ziemią znajduje się okno?

– Niespełna metr.

– Dobrze pan widział wnętrze pokoju?

– Tak jest.

– Jak wyglądało?

– Był nieporządek, jakby toczyła się tam walka.

– Co pan zrobił, gdy zobaczył pan oskarżonego?

– Obiegłem dom, żeby go dorwać, ale wybiegł drugimi drzwiami tuż przede mną. Tylko że ja wiedziałem, kto to jest. Za bardzo przejąłem się

Mayellą, żeby go ścigać. Kiedy wpadłem do domu, leżała na podłodze i skomlała...

– Co pan wtedy zrobił?

– Poleciałem po Tate’a najszybciej jak umiałem. Wiedziałem, kto to zrobił, dobrze wiedziałem, bo mieszkał z tą sforą czarnuchów i codziennie przechodził obok mojego domu. Sędzio, ja już piętnaście lat upominam się w hrabstwie, żeby tę sforę rozpędzić, bo niebezpiecznie żyć obok takich, a w dodatku niszczą moją własność...

– Dziękuję, panie Ewell – wtrącił pospiesznie pan Gilmer.

Świadek w pośpiechu opuścił stanowisko i wpadł wprost na Atticusa, który wstał, by go przesłuchać. Tym razem sędzia Taylor pozwolił na śmiech na sali.

– Chwileczkę, proszę pana – odezwał się przyjaźnie Atticus. – Czy mógłbym zadać panu pytanie lub dwa?

Pan Ewell cofnął się i usiadł ponownie na krześle świadka. Wiercąc się niespokojnie, rzucał w stronę Atticusa podejrzliwe spojrzenia, jak to zwykle czynili świadkowie w sądzie hrabstwa Maycomb, gdy przyszło im rozmawiać z prawnikiem strony przeciwnej.

– Panie Ewell – zaczął Atticus – tamtej nocy wiele było biegania. Najpierw pan pobiegł w stronę domu, potem do okna, potem do środka, potem do Mayelli i wreszcie po pana Tate’a. Czy w całej tej bieganinie nie wpadł pan na to, żeby pobiec po lekarza?

– Nie było potrzeby. Widziałem, co się stało.

– Jednego właśnie nie rozumiem – ciągnął Atticus. – Nie przejął się pan stanem Mayelli?

– Jak najbardziej – odparł pan Ewell. – Widziałem, kto jej to zrobił.

– Ale ja mówię o stanie jej zdrowia. Nie pomyślał pan, że charakter jej obrażeń wymaga natychmiastowej interwencji medycznej?

– Co?

– Nie pomyślał pan, że trzeba natychmiast sprowadzić lekarza?

Świadek wyjaśnił, że nie przyszło mu to do głowy, bo nigdy w życiu nie wzywał lekarza do żadnego ze swoich dzieci, a gdyby to zrobił, musiałby zapłacić pięć dolarów.

– To wszystko? – spytał.

– Nie całkiem – odparł gładko Atticus. – Panie Ewell, słyszał pan zeznanie szeryfa, nieprawdaż?

– Że jak?

– Był pan na sali rozpraw, kiedy pan Heck Tate siedział na tym miejscu, prawda? Słyszał pan wszystko, co pan Tate mówił?

Pan Ewell rozważył tę kwestię bardzo starannie, zanim doszedł do wniosku, że to całkiem niewinne pytanie.

– Tak – odpowiedział.

– I zgadza się pan z jego opisem obrażeń Mayelli?

– Że jak?

Atticus obrócił się i z uśmiechem spojrzał na pana Gilmera. Wydawało się, że pan Ewell postanowił zająć obronie cały dzień.

– Pan Tate zeznał, że jej prawe oko było opuchnięte i że widział ślady pobicia wokół...

– A, tak – ocknął się świadek. – Podtrzymuję wszystko, co powiedział Tate.

– Naprawdę? – spytał łagodnie Atticus. – Ja jeszcze się upewnię.

Podszedł do sądowego protokolanta, powiedział coś do niego, a przez następne parę minut protokolant zabawiał nas odczytywaniem zeznań pana Tate’a tak monotonnym głosem, jakby to były kursy akcji spółek giełdowych:

– ...No tak, jej prawe... Jej prawe oko, panie Finch. Teraz pamiętam, że miała siniaka... – Protokolant przewrócił kartkę – ...po tej stronie twarzy... Szeryfie, proszę powtórzyć to, co pan przed chwilą powiedział. Powiedziałem, że...

– Dziękuję, Bert – przerwał mu Atticus. – Usłyszał pan ponownie to zeznanie, panie Ewell. Chciałby pan coś dodać? Zgadza się pan z szeryfem?

– Podtrzymuję to, co mówił Tate. Miała podbite oko i była solidnie poturbowana.

Wydawało się, że mały człowieczek zapomniał już, jak został upokorzony przez sędziego. Najwyraźniej uważał Atticusa za łatwego przeciwnika. Odzyskał rumieniec, wypiął pierś i na powrót zmienił się w czerwonego kogucika. Miałam wrażenie, że przy następnym pytaniu Atticusa pęknie mu koszula.

– Panie Ewell, czy potrafi pan czytać i pisać?

– Sprzeciw – odezwał się pan Gilmer. – Nie widzę związku między sprawą a tym, czy świadek jest piśmienny.

Atticus zareagował, zanim sędzia Taylor zdążył odpowiedzieć prokuratorowi.

– Panie sędzio, wykażę związek, jeśli będę mógł zadać to i następne pytanie.

– Zgoda – odparł sędzia Taylor. – Ale postaraj się nas przekonać, Atticusie. Oddalam sprzeciw.

Pan Gilmer był równie zaciekawiony jak wszyscy obecni na sali, jaki to związek łączył wykształcenie pana Ewella ze sprawą gwałtu.

– Powtarzam pytanie – rzekł Atticus. – Czy potrafi pan czytać i pisać?

– Zdecydowanie tak.

– Zechce pan nam to pokazać, składając podpis?

– Zdecydowanie tak. A pan myśli, że jak podpisuję czeki z opieki społecznej?

Pan Ewell był przekonany, że właśnie podbija serca współobywateli; ich szepty i chichoty brał zapewne za dowód uznania dla swego sprytu.

Zaczynałam się denerwować. Atticus, zdaje się, wiedział, co robi, ale ja miałam dziwne wrażenie, że działa na oślep. Biorąc świadka w krzyżowy ogień pytań, nigdy, przenigdy nie zadawaj mu takich pytań, na które nie znasz odpowiedzi – tę złotą zasadę wchłonęłam chyba z kleikami, którymi mnie karmił. Zrób to, a być może dostaniesz odpowiedź, której sobie nie życzysz, odpowiedź, która położy całą sprawę.

Atticus sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej kopertę, a następnie z kieszonki w kamizelce wysunął pióro. Poruszał się niespiesznie, stojąc w taki sposób, by przysięgli dobrze widzieli, co robi. Odkręcił zatyczkę pióra i odłożył ją na stół. Lekko potrząsnął piórem i podał je świadkowi wraz z kopertą.

– Zechce pan napisać dla nas swoje nazwisko? – poprosił. – Proszę wyraźnie, niech przysięgli popatrzą, jak pan to robi.

Pan Ewell podpisał się na odwrocie koperty i spojrzał z zadowoleniem na sędziego Taylora, wpatrującego się w niego jak w wonną gardenię, która niespodziewanie zakwitła na stanowisku dla świadków. Spojrzał też na pana Gilmera, który zastygł za stołem w półstojącej pozycji. Przysięgli przyglądali się panu Ewellowi z równym zainteresowaniem; jeden z nich nawet pochylił się ku niemu, opierając dłonie o barierkę.

– Co w tym takiego ciekawego? – spytał świadek.

– Pan jest leworęczny, panie Ewell – stwierdził sędzia Taylor.

Pan Ewell obrócił się ku niemu ze złością i rzekł, że nie rozumie, co ma wspólnego ze sprawą jego leworęczność, że jest bogobojnym człowiekiem i że Atticus Finch bezczelnie go wykorzystał. I że przebiegli prawnicy, tacy

jak Atticus Finch, zawsze go przebiegle oszukiwali za pomocą swych przebiegłych sztuczek. Przecież opowiedział, co się wydarzyło, powtórzył wszystko jeszcze raz i jeszcze raz. Słowa Atticusa niczego nie zmieniły w jego relacji: zajrzał przez okno, spłoszył czarnucha, pobiegł po szeryfa...

Atticus pozwolił mu odejść.

Pan Gilmer chciał jednak zadać jeszcze jedno pytanie.

– Jeśli chodzi o to pisanie... Czy pan jest oburęczny, panie Ewell?

– Zdecydowanie nie. Równie dobrze posługuję się jedną ręką, jak i drugą. Równie dobrze jedną, jak i drugą – powtórzył, spoglądając nienawistnie w stronę stołu obrońcy.

Jem przeżywał bezgłośny atak radości. Uderzał cicho dłonią o poręcz i tylko raz szepnął:

– Mamy go.

Nie podzielałam jego zdania. Wyczuwałam, że Atticus próbuje udowodnić, iż pan Ewell mógł pobić Mayellę – nietrudno było na to wpaść. Skoro miała podbite prawe oko i większość urazów po prawej stronie twarzy, istniało prawdopodobieństwo, że sprawca był leworęczny. Sherlock Holmes i Jem Finch poparliby ten wniosek. Tylko że Tom Robinson również mógł być leworęczny. Podobnie jak pan Heck Tate, wyobraziłam sobie, że ktoś stoi naprzeciwko mnie, i szybko odegraliśmy niewidzialną pantomimę. Uznałam, że bez problemu mogłabym przytrzymać kogoś prawą ręką i sprać go lewą. Spojrzałam w dół. Stał plecami do nas, ale widziałam jego szerokie ramiona i potężny, byczy kark. Bez trudu mógł to zrobić. Pomyślałam, że Jem dzieli skórę na niedźwiedziu.

# Rozdział 18

Znowu odezwał się grzmiący głos:

– Mayella Violet Ewell!

Do stanowiska dla świadków podeszła młoda dziewczyna. Gdy podnosiła rękę i przysięgała, że będzie mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak jej dopomóż Bóg, wyglądała na delikatną istotę. Kiedy jednak zasiadła na krześle i zobaczyliśmy ją w pełnej krasie, w jednej chwili stała się tym, kim naprawdę była: grubokościstą dziewuchą nawykłą do ciężkiej pracy fizycznej.

W hrabstwie Maycomb łatwo było zauważyć, czy ktoś kąpie się regularnie, czy też poddaje się tej przykrej operacji raz do roku. Pan Ewell na przykład wyglądał na poparzonego, jakby całonocne namaczanie pozbawiło go ochronnej warstwy brudu; jego skóra wydawała się teraz nader wrażliwa na działanie sił przyrody. W przeciwieństwie do niego Mayella chyba próbowała dbać o czystość; gdy na nią patrzyłam, zaraz przypomniały mi się czerwone pelargonie rosnące w garnkach na podwórzu Ewellów.

Pan Gilmer poprosił Mayellę, żeby opowiedziała przysięgłym swoimi słowami o tym, co wydarzyło się dwudziestego pierwszego listopada ubiegłego roku, tylko koniecznie swoimi słowami.

Mayella milczała.

– Gdzie pani była tamtego wieczoru, mniej więcej o zachodzie słońca? – zaczął cierpliwie pan Gilmer.

– Na werandzie.

– Na której?

– Mamy tylko jedną, od frontu.

– Co pani tam robiła?

– Nic.

– Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło – wtrącił sędzia Taylor. – Potrafi pani to zrobić, prawda?

Mayella popatrzyła na niego i zalała się łzami. Szlochając, zasłoniła dłonią usta. Sędzia Taylor pozwolił jej płakać przez dłuższą chwilę, a potem rzekł:

– Wystarczy. Nie musi pani bać się nikogo na sali, jeśli tylko będzie pani mówić prawdę. Wiem, że wszystko to wydaje się pani dziwne, ale naprawdę nie trzeba się niczego wstydzić ani lękać. Czego pani się boi?

Mayella powiedziała coś, nie odrywając dłoni od ust.

– Słucham? – powiedział sędzia.

– Jego – załkała Mayella, wskazując na Atticusa.

– Pana Fincha?

Pokiwała energicznie głową, mówiąc:

– Nie chcę, żeby mnie urządził tak jak papę. Zrobił z niego lewusa...

Sędzia Taylor przyczesał palcami gęste, siwe włosy. Widać było, że po raz pierwszy ma do czynienia z takim problemem.

– Ile pani ma lat? – spytał.

– Dziewiętnaście i pół – odparła Mayella.

Sędzia Taylor odchrząknął i bezskutecznie spróbował przemówić kojącym tonem:

– Pan Finch wcale nie zamierza pani straszyć – warknął. – A jeśli tylko spróbuje, ja go powstrzymam. Między innymi po to tu jestem. Jest pani dużą dziewczyną, więc proszę już wziąć się w garść i opowiedzieć ławie... opowiedzieć nam, co się pani przydarzyło. Może pani to zrobić, prawda?

– Czy ona ma za grosz rozumu? – spytałam szeptem Jema.

Jem spoglądał z ukosa na stanowisko świadków.

– Jeszcze nie wiem – odparł. – Ma go dość, żeby spróbować wzbudzić litość sędziego, ale może jest po prostu... Eee, nie wiem.

Udobruchana Mayella raz jeszcze spojrzała lękliwie na Atticusa, a potem przemówiła do pana Gilmera.

– Widzi pan, siedziałam sobie na werandzie... i wtedy on przyszedł... a wie pan, mieliśmy na podwórku tę wielką starą szafę, którą papa przywiózł do porąbania na opał... no i miałam to zrobić, kiedy on poszedł do lasu, ale nie czułam się na siłach, więc kiedy on przyszedł...

– Kto to jest „on”?

Mayella wskazała na Toma Robinsona.

– Muszę prosić, żeby odpowiadała pani bardziej precyzyjnie – powiedział pan Gilmer. – Protokolant nie radzi sobie najlepiej z zapisywaniem gestów.

– Ten tam – odrzekła Mayella. – Robinson.

– Co się potem wydarzyło?

– Powiedziałam: chodź no tu, czarnuchu, i porąb mi tę szafę; dostaniesz pięć centów. Mógł to zrobić bez trudu, naprawdę mógł. Wszedł na podwórze, a ja zaszłam do domu po pieniądze. Ledwie się zdążyłam obejrzeć, a on był już na mnie. Zakradł się od tyłu, złapał za szyję, zaczął przeklinać i mówić takie sprośności... Walczyłam i krzyczałam, ale mocno mnie trzymał za szyję. Uderzył mnie, i jeszcze raz, i jeszcze...

Pan Gilmer zaczekał, aż Mayella się pozbiera. Zdążyła już skręcić chusteczkę w mokry sznurek; kiedy ją rozwinęła, widać było na materiale ślady jej spoconych rąk. Spodziewała się kolejnego pytania od pana Gilmera, ale skoro milczał, sama zaczęła mówić:

– Rzucił mnie na podłogę, dusił mnie i wykorzystał.

– Krzyczała pani? – spytał pan Gilmer. – Krzyczała i próbowała się bronić?

– No chyba! Wierzgałam i wrzeszczałam ile sił, najgłośniej jak mogłam.

– Co było dalej?

– Nie pamiętam za dobrze, ale wiem, że w końcu papa wpadł do pokoju i stanął nade mną, krzycząc: kto to zrobił, kto to zrobił? Potem chyba zemdlałam. Pamiętam tylko, że pan Tate podniósł mnie z podłogi i poprowadził do wiadra z wodą.

Występ przed publicznością najwyraźniej przywrócił Mayelli pewność siebie, ale nie była to ta bezczelna pewność, którą przejawiał jej ojciec; panna Ewell miała w sobie coś z kotki o nieruchomym spojrzeniu i ogonie prężącym się w czujnej gotowości – coś podstępnego.

– Twierdzi pani, że stawiała opór ze wszystkich sił? Gryzła pani i drapała? – dopytywał się pan Gilmer.

– Zdecydowanie tak – powtórzyła Mayella za swoim ojcem.

– I jest pani pewna, że została wykorzystana?

Mayella skrzywiła się i już zaczęłam się bać, że znowu będzie płakała, ale powiedziała tylko:

– Zrobił to, co chciał mi zrobić.

Ocierając pot z czoła, pan Gilmer przypomniał wszystkim, jaki to upalny dzień.

– Na razie to wszystko – oznajmił przyjaźnie. – Ale proszę zostać na miejscu. Przypuszczam, że wielki i zły pan Finch zechce zadać pani kilka pytań.

– Prokurator nie będzie nastawiał świadka negatywnie wobec obrońcy oskarżonego – wymamrotał półgębkiem sędzia Taylor. – A przynajmniej nie teraz.

Atticus wstał z uśmiechem, ale zamiast podejść od razu do świadka, przystanął, rozpiął marynarkę, wsunął kciuki do kieszonek kamizelki i wolniutko przemierzył salę, by wyjrzeć przez okno. Nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego tym, co się dzieje na zewnątrz; odwrócił się po chwili i podszedł do stanowiska dla świadków. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało mi, że próbuje podjąć decyzję w jakiejś sprawie.

– Panno Mayello – zaczął z uśmiechem – jeszcze przez chwilę nie będę próbował pani straszyć. Poznajmy się najpierw trochę lepiej. Ile pani ma lat?

– Mówiłam już, że dziewiętnaście, kiedy ten tam sędzia pytał. – Mayella z niechęcią skinęła głową w stronę stołu sędziowskiego.

– W rzeczy samej, łaskawa pani, w rzeczy samej. Musi pani wybaczyć, panno Mayello, ale lata lecą i pamięć nie dopisuje mi już tak jak dawniej. Być może więc będę pytał o rzeczy, o których już pani mówiła, ale na pewno zechce pani odpowiedzieć jeszcze raz, mam rację? Doskonale.

Nie dostrzegałam w twarzy Mayelli żadnych symptomów, które potwierdzałyby jej chęć współpracy. Prawdę mówiąc, patrzyła na Atticusa ze złością.

– Nie odpowiem na żadne pytanie, jeśli nie przestanie pan drwić ze mnie – powiedziała.

– Słucham? – spytał zdumiony Atticus.

– Jeśli nie przestanie pan drwić ze mnie.

– Pan Finch wcale nie drwi – odezwał się sędzia Taylor. – O co pani chodzi?

Mayella spojrzała spod półprzymkniętych powiek na Atticusa, ale przemówiła do sędziego:

– Jeśli nie przestanie mówić do mnie „pani” i „panno Mayello”. Nie muszę tego znosić, nie po to tu przyszłam.

Atticus znów udał się na spacer w stronę okien, zostawiając sędziemu Taylorowi tę delikatną kwestię. Sędzia Taylor nie należał do osób wzbudzających współczucie, ale tym razem żal mi go było, gdy patrzyłam, jak próbuje przemówić do Mayelli.

– Pan Finch już taki jest – powiedział. – Pracujemy w tym sądzie od wielu, wielu lat i pan Finch zawsze traktował wszystkich uprzejmie. Wcale z pani nie drwi, po prostu stara się być grzeczny. To jego sposób bycia. – Sędzia zapadł się w fotelu. – Atticusie, kontynuujmy. W końcu protokół i tak wykaże, że nikt tu nie drwił ze świadka, cokolwiek jej się wydaje.

Zastanawiałam się, czy ktoś kiedykolwiek zwracał się do niej „proszę pani” albo „panno Mayello”. Zapewne nie, skoro zwykłą grzeczność brała za obrazę. Jakie więc, na miłość boską, było jej życie? Wkrótce się dowiedziałam.

– A zatem ma pani dziewiętnaście lat – zaczął na nowo Atticus. – Ile ma pani rodzeństwa? – spytał, wracając spod okna.

– Siedmioro – odparła.

Byłam ciekawa, czy wszyscy jej bracia i wszystkie siostry przypominają ten okaz, który miałam sposobność poznać w pierwszym dniu nauki.

– Pani jest najstarsza?

– Tak.

– Ile czasu minęło od śmierci waszej matki?

– Nie wiem... ale sporo.

– Chodziła pani kiedyś do szkoły?

– Czytam i piszę równie dobrze jak papa.

Mayella odzywała się jak pan Jingle z książki, którą niedawno czytałam.

– Jak długo chodziła pani do szkoły?

– Dwa lata... może trzy... nie wiem.

Powoli zaczynałam rozumieć schemat przesłuchania, które prowadził Atticus: wychodząc od pytań, które nie wydawały się panu Gilmerowi wystarczająco nieistotne czy nie związane ze sprawą, by zgłaszać sprzeciw, mój ojciec zaczynał dyskretnie kreślić przed ławą obraz domowego pożycia Ewellów. Przysięgli dowiadywali się kolejno, że czek z opieki społecznej wcale nie wystarczał na utrzymanie rodziny, że wedle wszelkich oznak papa przepijał większość pieniędzy, że czasem wychodził na bagna i przepadał na wiele dni, po czym wracał do domu chory, że rzadko kiedy pogoda zmuszała Ewellów do noszenia butów, ale kiedy się to zdarzało, mogli sporządzić sobie gustowne obuwie jedynie ze skrawków starych opon; że wodę nosili wiadrami ze źródła, które wypływało ze śmietniska (jego najbliższe sąsiedztwo utrzymywali we względnym porządku), że każde z rodzeństwa samo musiało dbać o higienę: kto chciał się umyć, ten musiał przynieść sobie wodę; że młodsze dzieci nieustannie były przeziębione i alergicznie reagowały na obecność pasożytów atakujących bose stopy, że pewna pani przyjeżdżała od czasu do czasu i pytała Mayellę, dlaczego przestała chodzić do szkoły, że dostała odpowiedź na piśmie, z której wynikało, że skoro dwoje członków rodziny potrafi czytać i pisać, to reszta nie musi się uczyć, bo bardziej potrzebna jest pomoc dla papy.

– Panno Mayello – ciągnął Atticus, choć wcale nie miał na to ochoty – jako dziewiętnastoletnia dziewczyna z pewnością ma pani przyjaciół. Kim są pani przyjaciele?

Córka Ewella zmarszczyła brwi, jakby nie zrozumiała.

– Przyjaciele?

– Tak, właśnie. Nie zna pani nikogo w swoim wieku, może trochę starszego albo młodszego? Ani chłopców, ani dziewcząt? Po prostu

przyjaciół.

Spod niechętnej obojętności Mayelli ponownie wyłoniła się otwarta wrogość.

– Pan znowu ze mnie drwi, panie Finch?

Atticus zostawił to pytanie bez odpowiedzi.

– Kocha pani swojego ojca, panno Mayello?

– Jak to, czy go kocham?

– Czy jest dla pani dobry, czy łatwo się z nim porozumieć?

– Jest znośny, chyba że...

– Chyba że co?

Mayella spojrzała na ojca, który siedział na krześle tak odchylonym do tyłu, że oparciem dotykało barierki. Teraz usiadł prosto, czekając na jej odpowiedź.

– Chyba że nic – odrzekła Mayella. – Jak powiedziałam, jest znośny.

Pan Ewell znowu odchylił się z krzesłem.

– Chyba że akurat pije? – podpowiedział Atticus tak łagodnie, że Mayella skinęła głową.

– Czy kiedykolwiek panią krzywdził?

– Co pan ma na myśli?

– Czy bił panią czasem, gdy był zdenerwowany?

Mayella spojrzała niepewnie najpierw na protokolanta, a potem na sędziego.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, panno Mayello – powiedział sędzia Taylor.

– Włos mi z głowy nie spadł przez ojca – zadeklarowała twardo. – Nigdy mnie nie tknął.

Okulary zsunęły się nieco po nosie Atticusa, ale poprawił je palcem.

– Miła to była rozmowa, panno Mayello, a teraz czas przejść do sedna. Jak słyszeliśmy, prosiła pani Toma Robinsona, żeby porąbał... co to miało być?

– Szafa. Stara szafa z szufladami po jednej stronie.

– Czy dobrze pani znała Toma Robinsona?

– Jak to?

– Czy wiedziała pani, kim jest, gdzie mieszka?

Mayella skinęła głową.

– Wiedziałam, kim jest. Codziennie przechodził obok naszego domu.

– Czy owego dnia po raz pierwszy pozwoliła mu pani wejść za ogrodzenie?

Mayella podskoczyła lekko, słysząc to pytanie. Atticus znowu pielgrzymował niespiesznie w stronę okien – w zasadzie robił to bez przerwy: zadawał pytanie i wypatrywał czegoś za oknem, czekając na odpowiedź. Nie widział jej mimowolnej reakcji, ale mam wrażenie, że wyczuwał jej poruszenie. Obrócił się i spojrzał na Mayellę spod uniesionych brwi.

– Czy owego... – zaczął ponownie.

– Tak, po raz pierwszy.

– A czy wcześniej prosiła go pani kiedykolwiek, żeby zaszedł?

Tym razem była przygotowana.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Jedno „nie” w zupełności wystarczy – stwierdził pogodnie Atticus. – I nigdy wcześniej nie prosiła go pani o wykonanie drobnych prac?

– Może i prosiłam – przyznała Mayella. – W pobliżu kręciło się paru czarnuchów.

– A czy przypomina sobie pani te inne okazje?

– Nie.

– W porządku, przejdźmy teraz do wydarzeń tamtego wieczoru. Mówiła pani, że Tom Robinson stał za panią w pokoju, gdy się pani odwróciła?

– Tak.

– Powiedziała pani, że złapał ją za szyję, zaczął przeklinać i mówić sprośności, czy tak?

– Właśnie tak.

Pamięć Atticusa nagle stała się niezawodna.

– Powiedziała pani też: „złapał mnie, dusił mnie i wykorzystał”, zgadza się?

– Tak powiedziałam.

– A pamięta pani, jak bił panią po twarzy?

Świadek zawahała się.

– Wydaje się pani bardzo mocno przekonana, że dusił panią. I przez cały czas stawiała pani opór. Wierzgała pani i wrzeszczała ile sił. Ale czy pamięta pani ciosy w twarz?

Mayella milczała. Wyglądała tak, jakby sama sobie próbowała coś wyjaśnić. Przeszło mi nawet przez myśl, że robi to samo co pan Heck Tate i ja: wykorzystuje sztuczkę z niewidzialnym człowiekiem. Spojrzała przelotnie na pana Gilmera.

– To proste pytanie, panno Mayello, więc zadam je jeszcze raz. Czy pamięta pani, jak bił panią po twarzy?

– Nie, nie przypominam sobie tego. To znaczy tak, uderzył mnie.

– Czy to ostatnie zdanie jest pani odpowiedzią?

– Hę? Tak, uderzył... Nie pamiętam, po prostu nie pamiętam... To się stało tak szybko.

Sędzia Taylor spojrzał na nią surowo.

– Tylko proszę nie płakać, młoda damo... – zaczął, ale Atticus wpadł mu w słowo:

– Niech płacze, jeśli chce, panie sędzio. Mamy przecież tyle czasu, ile dusza zapragnie.

Mayella prychnęła nienawistnie i spojrzała na Atticusa.

– Odpowiem na wszystkie pytania. Myślicie, że będziecie mnie tu ciągać i naśmiewać się ze mnie? A właśnie, że odpowiem na każde pytanie...

– Doskonale – podchwycił Atticus. – Zostało już tylko kilka. Panno Mayello, nie chciałbym być przesadnie skrupulatny, ale zeznała pani, że oskarżony uderzył panią, złapał za szyję, dusił i wykorzystał. A ja chciałbym mieć absolutną pewność, że mówimy o właściwej osobie. Czy może pani zidentyfikować człowieka, który panią zgwałcił?

– Tak, to on, tam siedzi.

Atticus odwrócił się w stronę oskarżonego.

– Wstań, Tom. Niech panna Mayella dobrze ci się przyjrzy. Czy to ten człowiek, panno Mayello?

Potężne barki Toma Robinsona drgnęły nieznacznie pod cienką koszulą. Wstał, podpierając się prawą ręką o oparcie krzesła. Wyglądał tak, jakby trudno mu było zachować równowagę, ale nie z powodu pozycji, którą przyjął. Jego lewe ramię było o całych trzydzieści centymetrów krótsze od prawego i zwisało nieruchomo u boku. Było zakończone małą, zdeformowaną dłonią i o ile mogłam dostrzec wszystkie szczegóły z dalekiej galerii, była to dłoń całkowicie bezużyteczna.

– Skaucie – jęknął Jem. – Spójrz tam! Pastorze, on jest kaleką!

Wielebny Sykes pochylił się nade mną i szepnął do Jema:

– Wciągnęła go odziarniarka bawełny... Był małym chłopcem, a maszyna należała do pana Dolphusa Raymonda... Omal nie wykrwawił

się na śmierć... Oderwało mu wszystkie mięśnie od kości...

– Czy to ten człowiek panią zgwałcił? – spytał Atticus.

– Z całą pewnością.

Następne pytanie składało się z jednego krótkiego wyrazu:

– Jak?

Mayella była oburzona.

– Nie wiem, jak to zrobił, ale zrobił... Tak szybko się to stało, że ja...

– Zastanówmy się więc spokojnie... – zaczął Atticus, ale w tym momencie pan Gilmer zgłosił sprzeciw: tym razem pytania miały związek ze sprawą, ale mój ojciec „zastraszał świadka”.

Sędzia Taylor roześmiał się w głos.

– Och, siadaj, Horace, on nie robi nic takiego. Jeśli już, to świadek zastrasza Atticusa.

Sędzia Taylor był jedyną osobą w sali, która pozwoliła sobie na śmiech.

Nawet niemowlęta znieruchomiały i przeszło mi przez myśl, że może się podusiły pod maminymi piersiami.

– Panno Mayello – ciągnął Atticus – zeznała pani, że oskarżony dusił panią i bił. Nie mówiła pani, że zakradł się od tyłu i ogłuszył panią, ale że odwróciła się pani i on już za panią stał... – Atticus wrócił za stół i akcentował każde słowo, wybijając rytm na blacie. – Może chciałaby pani coś zmienić w swoim zeznaniu?

– Chce pan, żebym powiedziała coś, co nie będzie zgodne z prawdą?

– Nie, proszę pani. Chcę, żeby powiedziała pani coś, co będzie zgodne z prawdą. Niech pani opowie raz jeszcze, co się wydarzyło.

– Już mówiłam, co się wydarzyło.

– Zeznała pani, że odwróciła się i on stał już za panią. Wtedy zaczął panią dusić?

– Tak.

– A potem puścił pani szyję i uderzył panią?

– Tak powiedziałam.

– I podbił pani lewe oko prawą pięścią?

– Uchyliłam się i zahaczył mnie tylko, tak to było. Uchyliłam się i zahaczył.

Mayella wreszcie dojrzała światło.

– Nagle zaczęła pani doskonale pamiętać ten moment. Jeszcze niedawno pamięć nie służyła pani zbyt dobrze, nieprawdaż?

– Mówiłam, że mnie uderzył.

– W porządku. Dusił panią, uderzył, a następnie zgwałcił, czy tak?

– Z całą pewnością tak.

– Jest pani silną dziewczyną... co pani wtedy robiła, tak po prostu stała?

– Już mówiłam, że wierzgałam, krzyczałam, walczyłam...

Atticus zdjął okulary, spojrzał na świadka zdrowym, prawym okiem i rzucił całą garść pytań.

– Po jednym pytaniu, Atticusie – upomniał go sędzia Taylor. – Daj świadkowi czas na odpowiedź.

– Zgoda. Dlaczego pani nie uciekła?

– Próbowałam...

– Próbowała pani? I co panią zatrzymało?

– Przewrócił mnie. Tak było, przewrócił mnie i usiadł na mnie.

– I krzyczała pani przez cały czas?

– Oczywiście.

– Więc dlaczego nie usłyszały pani pozostałe dzieci? Gdzie były? Na wysypisku?

Bez odpowiedzi.

– Gdzie były? Dlaczego pani krzyki ich nie zwabiły? Przecież wysypisko leży bliżej niż las.

Bez odpowiedzi.

– A może nie krzyczała pani, póki nie zobaczyła ojca w oknie? Aż do tej chwili ani myślała pani krzyczeć, nieprawdaż?

Bez odpowiedzi.

– Może krzyczała pani na ojca, a nie na Toma Robinsona? Tak było?

Bez odpowiedzi.

– Kto panią pobił? Tom Robinson czy ojciec?

Bez odpowiedzi.

– Co takiego zobaczył pani ojciec przez okno, zbrodnię gwałtu czy najlepszą obronę przed nim? Dlaczego nie mówisz prawdy, dziecko? Czy to Bob Ewell cię pobił?

Gdy odwracał się plecami do Mayelli, miał taką minę, jakby bolał go żołądek, na twarzy dziewczyny zaś malował się strach zmieszany z furią. Atticus usiadł znużony i zaczął chusteczką polerować okulary.

Nagle Mayella odzyskała mowę.

– Chcę coś powiedzieć – oświadczyła.

Atticus uniósł głowę.

– Chcesz nam powiedzieć, co się wydarzyło?

Ale Mayella nie usłyszała w tym zaproszeniu nuty współczucia.

– Powiem coś teraz, a potem już ani słowa. Ten oto czarnuch wykorzystał mnie i jeśli wy, piękni dżentelmeni, nie zamierzacie nic zrobić w tej sprawie, to jesteście śmierdzącymi tchórzami, wszyscy, co do jednego. Wasze maniery mam za nic, wasze „proszę pani” i „panno Mayello” nie liczy się ani trochę, panie Finch...

A potem naprawdę się rozpłakała. Jej ramiona podskakiwały, niesione gniewnym szlochem. Dotrzymała słowa: nie odpowiedziała już na żadne pytanie, nawet gdy pan Gilmer próbował do niej przemówić. Przypuszczam, że gdyby nie była taka biedna i niedouczona, sędzia Taylor zamknąłby ją w areszcie za pogardę, którą okazała wszystkim zgromadzonym. Nie wiem jak, ale Atticus trafił ją w czuły punkt, wcale nie sprawiło mu to jednak satysfakcji. Siedział ze spuszczoną głową i muszę powiedzieć, że nigdy nie widziałam tak pełnego nienawiści spojrzenia jak to, którym obrzuciła go Mayella, gdy zeszła ze stanowiska dla świadków i mijała jego stół.

Kiedy pan Gilmer powiedział sędziemu Taylorowi, że oskarżyciel nie ma więcej pytań, sędzia Taylor odparł:

– I wszystkim nam należy się chwila odpoczynku. Zarządzam dziesięć minut przerwy.

Atticus i pan Gilmer spotkali się przed ławą sędziowską, poszeptali chwilę, a potem wyszli z sali drzwiami umieszczonymi za stanowiskiem dla świadków. Był to sygnał dla nas wszystkich, że możemy rozprostować kości. Teraz dopiero zauważyłam, że siedziałam na samym skraju długiej ławy i że porządnie zdrętwiałam. Jem wstał i ziewnął, Dill podobnie, a wielebny Sykes otarł twarz kapeluszem. Temperatura na pewno sięgała trzydziestu stopni.

Pan Braxton Underwood, który siedział cichutko na krześle zarezerwowanym dla przedstawiciela prasy i chłonął zeznania gąbką swego umysłu, skierował zgorzkniały wzrok ku galerii kolorowych i napotkał moje spojrzenie. Parsknął tylko i odwrócił głowę.

– Jem – zawołałam – pan Underwood nas widział.

– Nie szkodzi. Nie powie Atticusowi, tylko napisze o tym w kolumnie towarzyskiej „Tribune”.

Jem odwrócił się ku Dillowi, by wyjaśnić mu, jak przypuszczam, ciekawsze momenty procesu, a ja się zastanawiałam, czy w ogóle takie były. Nie wywiązała się dłuższa debata w żadnej kwestii między Atticusem a panem Gilmerem; prokurator oskarżał nieomalże z niechęcią; świadkowie dawali się wodzić za nos jak osły i prawie nikt nie zgłaszał sprzeciwu. Ale Atticus tłumaczył nam kiedyś, że u sędziego Taylora prawnik, który opiera się wyłącznie na materiale dowodowym, zwykle zostaje przezeń ostro pouczony. Przybliżył mi tę myśl, twierdząc, że być może sędzia Taylor wygląda na nieroba pracującego w stanie uśpienia, ale jego wyroki rzadko bywają uchylane i to jest ostatecznym dowodem jego wartości. Atticus twierdził innymi słowy, że pan Taylor jest dobrym sędzią.

Sędzia Taylor wrócił po chwili i zasiadł w swym obrotowym fotelu. Wyjął cygaro z kieszeni kamizelki i obejrzał je w wielkim skupieniu. Szturchnęłam Dilla. Ukończywszy inspekcję cygara, sędzia z pasją zagłębił w nim zęby.

– Czasem tu przychodzimy, żeby na niego popatrzeć – wyjaśniłam. – Zajmie mu to całe popołudnie. Teraz uważaj.

Całkiem nieświadomy, że podlega wnikliwej obserwacji, sędzia Taylor pozbył się odgryzionej końcówki cygara, plując nią fachowo z głośnym „Tfu!” Trafił do spluwaczki tak precyzyjnie, że usłyszeliśmy plusk.

– Musiał być diabelnie dobry w pluciu kulkami – mruknął Dill.

Zazwyczaj przerwa oznaczała wielką wędrówkę ludów, ale tego dnia prawie nikt nie ruszył się z miejsca. Nawet Próżniacy, którym przez zawstydzanie nie udało się skłonić młodszych mężczyzn do ustąpienia im miejsca, stali cierpliwie pod ścianami. Przypuszczam też, że pan Heck Tate zarezerwował dla uczestników procesu sądową toaletę.

Atticus i pan Gilmer powrócili wreszcie, a sędzia Taylor spojrzał na zegarek.

– Dochodzi czwarta – powiedział, co było o tyle intrygujące, że zegar na wieży musiał wybijać godzinę co najmniej dwa razy, a ja nie tylko go nie słyszałam, ale nawet nie odczułam wibracji.

– Spróbujemy skończyć dziś po południu? – spytał sędzia Taylor. – Co ty na to, Atticusie?

– Myślę, że damy radę – odparł mój ojciec.

– Ilu masz świadków?

– Jednego.

– No to go wołaj.

# Rozdział 19

Thomas Robinson sięgnął prawą ręką, wsunął dłoń pod lewe ramię i uniósł je. Poprowadził je ku Biblii, jakby gumowatą dłonią wycelował w czarną oprawę książki. Gdy uniósł prawą do przysięgi, lewa bezwładnie ześliznęła się i uderzyła w stolik woźnego. Próbował powtórzyć całą operację, ale sędzia Taylor warknął tylko:

– Tak wystarczy, Tom.

Tom złożył przysięgę i zajął miejsce dla świadków. Atticus bardzo szybko wydobył z niego niezbędne informacje. Tom miał dwadzieścia pięć lat, żonę i troje dzieci. Miał też już kiedyś kłopoty z prawem: dostał trzydzieści dni za zakłócanie porządku.

– Na czym polegało to zakłócanie? – spytał Atticus.

– Wdałem się w bójkę z jednym takim, który chciał mnie pchnąć nożem.

– Udało mu się?

– Tak trochę, proszę pana. Ale nie zrobił mi krzywdy, bo wie pan... – Tom poruszył lewym ramieniem.

– Wiem – odparł Atticus. – Obaj zostaliście skazani?

– Tak, proszę pana, ale tylko ja poszedłem siedzieć, bo nie mogłem zapłacić grzywny. Tamten zapłacił.

Dill pochylił się przede mną, żeby spytać Jema, co Atticus właściwie robi. Jem odpowiedział, że w ten sposób nasz ojciec pokazuje przysięgłym, że Tom nie ma nic do ukrycia.

– Znałeś Mayellę Violet Ewell? – spytał Atticus.

– Tak, proszę pana. Codziennie mijałem jej dom w drodze na pole.

– Czyje pole?

– Pracuję dla pana Linka Deasa.

– Zbierałeś bawełnę w listopadzie?

– Nie, proszę pana. Po sezonie pracuję w jego folwarku. Można powiedzieć, że jestem zatrudniony u pana Deasa przez okrągły rok. Pielęgnuję hikory i nie tylko.

– Mówiłeś, że w drodze do pracy mijasz posesję Ewellów. Nie ma innej trasy?

– Nie, proszę pana, nic mi nie wiadomo o innej.

– Tom, czy kiedykolwiek rozmawialiście ze sobą?

– O, tak, proszę pana. Zawsze się kłaniam, kiedy przechodzę obok, więc jednego dnia panna Mayella poprosiła mnie, żebym zaszedł i porąbał dla niej starą szafę.

– Kiedy cię o to prosiła?

– Dawno temu, panie Finch, poprzedniej wiosny. Pamiętam, bo był to czas obtłukiwania bawełny i miałem ze sobą motykę. Powiedziałem, że nie mam przy sobie innych narzędzi, a ona na to, że da mi toporek. No to wziąłem ten toporek i porąbałem szafę. Powiedziała: „Chyba powinnam dać ci za to pięć centów?” A ja na to: „Nie, proszę pani, nie trzeba”. I poszedłem do domu. Panie Finch, to było poprzedniej wiosny, dobrze ponad rok temu.

– Zachodziłeś tam jeszcze?

– Tak, proszę pana.

– Kiedy?

– No, wiele razy.

Sędzia Taylor instynktownie sięgnął po młotek, ale opuścił rękę w połowie drogi. Pomruk publiczności umilkł bez interwencji.

– W jakich okolicznościach?

– Słucham?

– Dlaczego wiele razy wchodziłeś za ogrodzenie Ewellów?

Zmarszczki na czole Toma Robinsona się wygładziły.

– Ona mnie wołała, proszę pana. Wyszło na to, że za każdym razem, gdy przechodziłem w pobliżu, miała dla mnie coś do zrobienia: rąbałem drewno na opał, nosiłem wodę... Codziennie podlewała te swoje czerwone kwiaty.

– Płaciła ci za te usługi?

– Nie, proszę pana, wystarczyło, że za pierwszym razem nie przyjąłem pięciu centów. Robiłem to z przyjemnością, bo pan Ewell wcale córce nie pomagał, ani żadne z jego dzieci. Wiedziałem też, że panna Mayella nie ma pieniędzy.

– A gdzie przebywały wtedy inne dzieci?

– Zawsze były blisko, łaziły po podwórzu. Patrzyły, jak pracuję, niektóre z bliska, inne z okna.

– Czy panna Mayella rozmawiała z tobą?

– Tak, proszę pana, rozmawiała.

W miarę jak Tom Robinson zeznawał, nabierałam przekonania, że Mayella Ewell musi być najbardziej samotną osobą na świecie. Bardziej samotną nawet niż Boo Radley, który od dwudziestu pięciu lat nie wychodził z domu. Gdy Atticus pytał ją, czy ma przyjaciół, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi; myślała nawet, że sobie z niej drwi. Była tak smutnym stworzeniem, myślałam, jak mieszane dzieci, o których mówił Jem: biali ludzie nie chcieli mieć z nią do czynienia, bo mieszkała między świniami; Murzyni też nie, bo była biała. Nie mogła nawet żyć tak jak pan

Dolphus Raymond, który wolał towarzystwo czarnych, bo nie miała ziemi nad rzeką i nie pochodziła ze starej, dobrej rodziny. Nikt nie mówił o Ewellach: „Tacy już są”. Maycomb dawało im koszyki ze świątecznymi smakołykami i zasiłek dla ubogich, ale nie było dla nich przyjazne. Tom Robinson był może jedynym człowiekiem, który zachowywał się wobec niej przyzwoicie. A jednak twierdziła, że ją wykorzystał, a gdy wstawała, patrzyła na niego tak, jakby był pyłem pod jej stopami.

– Czy kiedykolwiek – przerwał moje medytacje Atticus – wszedłeś na teren należący do Ewellów... innymi słowy, czy twoja noga kiedykolwiek stanęła na ziemi Ewellów bez wyraźnego zaproszenia ze strony któregoś z członków rodziny?

– Nie, proszę pana. Nigdy tego nie zrobiłem, panie Finch. Nie mógłbym, proszę pana.

Atticus mawiał niekiedy, że dobrym sposobem, by ustalić, czy świadek kłamie, czy mówi prawdę, jest słuchanie go, a nie obserwowanie. Postanowiłam spróbować: Tom zaprzeczył trzykrotnie na jednym oddechu, ale spokojnie, bez jękliwej nuty w głosie. Stwierdziłam, że wierzę mu, mimo zbytniej gorliwości w zaprzeczaniu. Czułam, że jest honorowym Murzynem, a ktoś taki nigdy nie wszedłby z własnej woli na cudzy teren.

– Tom, co ci się przytrafiło wieczorem dwudziestego pierwszego listopada ubiegłego roku?

Tłum zgromadzony pod nami jak na komendę wstrzymał oddech i pochylił się ku przodowi. Siedzący za nami Murzyni zrobili to samo.

Tom miał aksamitnoczarną cerę, nie lśniącą, tylko właśnie jak miękki, czarny aksamit. Białka oczu i piękne zęby błyskały w jego twarzy i pomyślałam sobie nawet, że gdyby nie ułomność, byłby wspaniałym okazem mężczyzny.

– Panie Finch – odpowiedział – tamtego wieczoru jak zwykle wracałem do domu, a gdy mijałem dom Ewellów, zobaczyłem na werandzie pannę Mayellę. Uprzedzała, że tam będzie. Wydawało mi się, że jest dziwnie spokojnie, tylko nie wiedziałem dlaczego. I właśnie kiedy szedłem i zastanawiałem się nad tym, zawołała mnie, żebym jej pomógł. Wszedłem za ogrodzenie i rozejrzałem się, szukając drewna do porąbania, ale nic takiego nie zauważyłem. Powiedziała: „Nie, mam dla ciebie robotę w domu. Te stare drzwi spadają z zawiasów, a już jesień...” Spytałem pannę Mayellę, czy ma śrubokręt. Odpowiedziała, że oczywiście ma. Wszedłem więc po schodkach, a ona gestem zaprosiła mnie do środka. Stanąłem w pokoju i spojrzałem na te drzwi. Powiedziałem: „Panno Mayello, te drzwi wyglądają całkiem solidnie”. Poruszałem skrzydłem w tę i we w tę; zawiasy chodziły jak trzeba. I wtedy zamknęła mi te drzwi przed nosem. Panie Finch, ciągle się zastanawiałem, dlaczego jest tak cicho, i wreszcie do mnie dotarło, że w okolicy nie ma ani jednego dzieciaka. Spytałem więc pannę Mayellę, gdzie się podziały dzieciaki.

Aksamitna, czarna skóra Toma zaczęła lśnić. Przeciągnął dłonią po twarzy.

– „Gdzie się podziały dzieciaki?”, mówię – powtórzył. – A ona na to jakby ze śmiechem, że poszły wszystkie do miasta na lody. I dodała: „Cały rok oszczędzałam, żeby zebrać te siedem piątaków, aż wreszcie zebrałam. Moje rodzeństwo poszło do miasta”.

Tom czuł się coraz bardziej nieswojo, i to wcale nie z powodu wilgotności powietrza.

– Jak jej na to odpowiedziałeś, Tom? – spytał Atticus.

– Odpowiedziałem mniej więcej tak: „Panno Mayello, jak to sprytnie wymyśliła im pani taką gratkę”. A ona na to: „Tak uważasz?” Myślę, że

mnie nie zrozumiała, bo chciałem tylko powiedzieć, że mądrze zrobiła, oszczędzając, i pięknie postąpiła, fundując im lody.

– Rozumiem, Tom. Mów dalej – zachęcił go Atticus.

– Wtedy powiedziałem, że chyba lepiej już pójdę, skoro na nic się jej nie przydam. Odrzekła mi, że właśnie mogę. „Do czego?”, spytałem. Powiedziała, żebym wszedł na krzesło i zdjął pudło, które stoi na szafie.

– Chyba nie na tej samej, którą porąbałeś? – wtrącił Atticus.

Świadek się uśmiechnął.

– Nie, proszę pana, na innej. Sięgała prawie do sufitu. Stanąłem na krześle i już sięgałem po pudło, kiedy ona znienacka złapała mnie za nogi. Otoczyła moje nogi ramionami, panie Finch. Tak mnie wystraszyła, że zeskoczyłem, przy okazji przewracając krzesło... i to był jedyny mebel, który nie został na swoim miejscu, kiedy stamtąd wychodziłem, panie Finch. Przysięgam na Boga.

– Co się stało, kiedy przewróciłeś krzesło?

Tom Robinson utknął. Spojrzał na Atticusa, potem na przysięgłych, i wreszcie na pana Underwooda siedzącego w dalekim kącie sali.

– Tom, przysiągłeś mówić całą prawdę. Powiesz?

Tom nerwowym ruchem potarł wargi.

– Co się wtedy stało?

– Odpowiedz na pytanie – wtrącił się sędzia Taylor. Jedna trzecia jego cygara zdążyła już zniknąć.

– Panie Finch, kiedy zeskoczyłem z krzesła i odwróciłem się, ona... jakby na mnie wskoczyła.

– Wskoczyła? Zaatakowała cię?

– Nie, proszę pana, raczej... raczej mnie objęła. Objęła mnie w pasie.

Tym razem młotek sędziego Taylora z hukiem opadł na blat stołu i w tym samym momencie w sali rozpraw zgasło światło. Nie zapadła ciemność, ale popołudniowe słońce zdążyło już uciec z okien. Sędzia Taylor szybko przywrócił porządek.

– Co jeszcze zrobiła?

Świadek z trudem przełknął ślinę.

– Stanęła na palcach i pocałowała mnie w policzek. Powiedziała, że nigdy nie całowała mężczyzny, więc równie dobrze może pocałować czarnucha. I że nieważne, co jej za to zrobi ojciec. „Teraz ty mnie pocałuj, czarnuchu”, powiedziała. Ja na to: „Niech panna Mayella mnie wypuści” i spróbowałem się wymknąć, ale oparła się plecami o drzwi i musiałbym ją odepchnąć, żeby je otworzyć. Nie chciałem jej skrzywdzić, panie Finch, więc mówię: „Proszę mnie przepuścić”, ale właśnie wtedy, gdy to powiedziałem, pan Ewell krzyknął coś przez okno.

– Co takiego?

Tom Robinson raz jeszcze przełknął ślinę, a jego oczy stały się jakby większe.

– Nie wypada mi powtórzyć. Dzieci słuchają...

– Co on powiedział, Tom? Musisz powiedzieć ławie przysięgłych, co powiedział pan Ewell.

Tom Robinson zacisnął powieki.

– Powiedział: „Zabiję cię, przeklęta kurwo”.

– Co się wtedy stało?

– Panie Finch, uciekałem tak prędko, że nie mam pojęcia, co było dalej.

– Tom, czy zgwałciłeś Mayellę Ewell?

– Nie, proszę pana.

– Czy skrzywdziłeś ją w inny sposób?

– Nie, proszę pana.

– Czy oparłeś się jej zalotom?

– Próbowałem, panie Finch. Próbowałem, ale nie chciałem być dla niej szorstki. Nie chciałem jej odepchnąć czy coś takiego.

Przyszło mi na myśl, że w pewnym sensie maniery Toma Robinsona były równie doskonałe jak uprzejmość Atticusa. Dopóki ojciec mi tego nie wytłumaczył, nie rozumiałam dokładnie, w jak trudnym położeniu znalazł się Tom: pod żadnym pozorem nie ośmieliłby się uderzyć białej kobiety, jeśli życie było mu miłe. To dlatego umknął przy pierwszej okazji, choć niestety dla wielu był to oczywisty dowód winy.

– Tom, wróćmy jeszcze do pojawienia się pana Ewella – powiedział Atticus. – Czy pan Ewell mówił coś do ciebie?

– Ani słowa, proszę pana. Może powiedział coś, kiedy mnie już nie było...

– Wystarczy – przerwał mu ostro Atticus. – Jeśli chodzi o te słowa, które słyszałeś... Do kogo zwracał się pan Ewell?

– Patrzył na pannę Mayellę i mówił do niej, panie Finch.

– A potem uciekłeś?

– Jeszcze jak, proszę pana.

– Dlaczego?

– Bo się bałem, proszę pana.

– Czego się bałeś?

– Panie Finch, gdyby był pan czarnuchem jak ja, też by się pan bał.

Atticus usiadł. Pan Gilmer zmierzał już w stronę stanowiska dla świadków, ale zanim tam doszedł, pan Link Deas wstał z miejsca i obwieścił:

– Chcę tylko, żebyście wszyscy wiedzieli o jednym. Ten chłopak pracował u mnie osiem lat i nigdy nie miałem z nim najmniejszego kłopotu. Najmniejszego.

– Zamknij się pan! – Sędzia Taylor ryknął donośnie i nie wyglądał na sennego; był natomiast mocno rumiany na twarzy. Jakimś cudem cygaro tkwiące w jego ustach ani trochę nie utrudniało mu mówienia. – Panie Deas – pieklił się sędzia – jeśli masz pan coś do powiedzenia, to wyłącznie pod przysięgą i w odpowiednim czasie, a teraz zabieraj się pan z tej sali, jasne? Precz z sali! I prędzej mnie szlag trafi, niż dopuszczę do ponownego rozpatrzenia tej sprawy!

Sędzia Taylor spiorunował Atticusa wzrokiem, jakby wyzywał go na słowny pojedynek, ale ojciec tylko pochylił głowę, tłumiąc śmiech klapą marynarki. Przypomniało mi się coś, co mówił na temat uwag wygłaszanych przez sędziego Taylora *ex cathedra*. Często sędzia przekraczał w ten sposób swoje kompetencje, ale niewielu adwokatów decydowało się na złożenie skargi. Spojrzałam na Jema, on jednak tylko potrząsnął głową.

– Byłoby gorzej, gdyby to jeden z przysięgłych wstał i zaczął komentować – powiedział. – Wystąpienie pana Linka to najwyżej zakłócenie porządku albo coś takiego.

Sędzia Taylor kazał protokolantowi wykreślić wszystko, co zapisał po słowach „Panie Finch, gdyby był pan czarnuchem jak ja, też by się pan bał” i polecił przysięgłym, by zignorowali incydent. Następnie spojrzał w głąb sali, czekając chyba, aż zniknie wszelki ślad po panu Linku Deasie. Wreszcie powiedział:

– Proszę kontynuować, panie Gilmer.

– Dostałeś trzydzieści dni za zakłócanie porządku, zgadza się, Robinson? – spytał pan Gilmer.

– Tak, proszę pana.

– Jak wyglądał tamten czarnuch, kiedy z nim skończyłeś?

– To on mnie pobił, panie Gilmer.

– Tak, ale i ciebie skazali, nieprawdaż?

Atticus uniósł głowę.

– To było wykroczenie. Jest odnotowane w aktach, wysoki sądzie.

Odniosłam wrażenie, że jest już zmęczony.

– Świadek może odpowiedzieć – zarządził sędzia Taylor znużonym głosem.

– Tak, proszę pana. Na trzydzieści dni.

Wiedziałam, że pan Gilmer już za chwilę z przekonaniem powie przysięgłym, iż każdy, kto raz już dostał wyrok za zakłócanie porządku, może spokojnie nosić w sercu plan wykorzystania Mayelli Ewell. Dobrze było mieć pod ręką gotowe uzasadnienie czynu.

– Robinson, świetnie ci idzie rąbanie szaf i surowego drewna jedną ręką, co?

– Tak mi się zdaje, proszę pana.

– A masz dość siły, żeby poddusić kobietę i cisnąć ją na podłogę?

– Nigdy nie próbowałem, proszę pana.

– Ale siły masz dość?

– Pewnie tak, proszę pana.

– Od dawna miałeś ją na oku, prawda, chłopcze?

– Nie, proszę pana. W ogóle nie zwracałem na nią uwagi.

– No, to wyjątkowo uprzejmy z ciebie gość. Tyle się narąbałeś i nanosiłeś dla niej, prawda, chłopcze?

– Ja tylko próbowałem jej pomóc, proszę pana.

– To bardzo pięknie z twojej strony. Bo przecież i w domu miałeś jakieś obowiązki, kiedy wracałeś z pracy?

– Tak, proszę pana.

– Więc dlaczego nie zajmowałeś się nimi, tylko odwiedzałeś pannę Ewell?

– Pomagałem i tu, i tam, proszę pana.

– To pewne strasznie byłeś zapracowany. Dlaczego?

– Co dlaczego, proszę pana?

– Dlaczego tak ci było pilno do wyręczania tej kobiety w obowiązkach?

Tom Robinson zawahał się, szukając odpowiedzi.

– Zdaje mi się, że nie miała nikogo do pomocy. Już o tym mówiłem...

– Nie miała ojca i siedmiorga rodzeństwa, chłopcze?

– O tym też już mówiłem. Zdaje się, że oni nigdy jej nie pomagali...

– Za to ty rąbałeś jej drewno i nie tylko... z czystej dobroci, prawda, chłopcze?

– Starałem się pomóc.

Pan Gilmer uśmiechnął się smutno do przysięgłych.

– Niesamowicie dobry z ciebie człowiek... nie chciałeś za to wszystko nawet złamanego centa?

– Zgadza się, proszę pana. Żal mi jej było, bo chyba starała się bardziej niż reszta...

– *Tobie* było *jej* żal? Tobie było jej *żal*? – Pan Gilmer najchętniej wzleciałby pod samo sklepienie nad salą.

Świadek pojął swój błąd i poruszył się niespokojnie na krześle, ale było już za późno. W dole, pod nami, nikomu nie spodobała się odpowiedź Toma Robinsona. Pan Gilmer odczekał długą chwilę, by wszyscy mieli czas dobrze przemyśleć słowa świadka.

– Zatem jak zawsze przechodziłeś obok jej domu dwudziestego pierwszego listopada – odezwał się wreszcie – i poprosiła cię, żebyś porąbał jej szafę?

– Nie, proszę pana.

– Czyli zaprzeczasz, że poszedłeś do jej domu?

– Nie, proszę pana. Powiedziała, że mógłbym coś dla niej zrobić w domu...

– Panna Ewell twierdzi, że prosiła o porąbanie szafy... czy tak było?

– Nie, proszę pana, nie było.

– Chcesz powiedzieć, chłopcze, że ona kłamie?

Atticus poderwał się z krzesła, ale Tom Robinson go nie potrzebował.

– Nie twierdzę, że ona kłamie, panie Gilmer. Twierdzę, że coś jej się pomyliło.

Kolejnych dziesięć pytań pana Gilmera służyło potwierdzeniu wersji przedstawionej przez Mayellę. Świadek uparcie powtarzał, że widocznie coś jej się pomyliło.

– A pan Ewell cię nie przepędził, chłopcze?

– Nie, proszę pana, nie wydaje mi się.

– Co ma znaczyć „nie wydaje mi się”?

– To, że nie zostałem tam na tyle długo, żeby mógł mnie przepędzić.

– Podziwiam twoją szczerość. Ale dlaczego uciekałeś tak szybko?

– Już mówiłem. Bałem się, proszę pana.

– Czego się bałeś, skoro miałeś czyste sumienie?

– To też mówiłem. Żaden czarnuch nie jest bezpieczny, kiedy znajdzie się w takich... opałach.

– Ależ ty nie byłeś w opałach. Zeznałeś przecież, że opierałeś się pannie Ewell. Taki byk z ciebie, a bałeś się, że dziewczyna cię skrzywdzi?

– Nie, proszę pana. Bałem się, że trafię pod sąd... i trafiłem.

– Bałeś się aresztowania, tego, że będziesz musiał zapłacić za to, co zrobiłeś?

– Nie, proszę pana. Bałem się, że będę musiał zapłacić za to, czego nie zrobiłem.

– Czy ty nie jesteś aby bezczelny, chłopcze?

– Nie, proszę pana. Nie miałem takiego zamiaru.

Tyle usłyszałam z krzyżowego ognia pytań w wykonaniu pana Gilmera, bo w tym momencie Jem kazał mi wyprowadzić Dilla. Chłopak nagle zaczął płakać i nie mógł się uspokoić; z początku szlochał cicho, ale potem zwrócił na siebie uwagę kilku widzów na galerii. Jem powiedział, że jeśli z nim nie wyjdę, to mnie do tego zmusi, a wielebny Sykes poparł go, mówiąc, że będzie lepiej, jeśli już pójdę – więc poszłam. Dill przez cały dzień zachowywał się normalnie, był zdrów jak ryba; podejrzewałam tylko, że jeszcze nie pozbierał się do końca po ucieczce z domu.

– Źle się czujesz? – spytałam, gdy zbiegliśmy na dół.

W drodze do schodów przy południowym wyjściu Dill próbował wziąć się w garść. Na najwyższym stopniu minęliśmy samotną postać pana Linka Deasa.

– Coś się tam dzieje, Skaucie? – spytał.

– Nie, proszę pana – rzuciłam przez ramię. – Tylko Dill źle się poczuł. Chodźmy na plac, pod drzewa – dodałam, zwracając się do Dilla. – Pewnie upał ci zaszkodził.

Wybraliśmy najpotężniejszy dąb i usiedliśmy w jego cieniu.

– Nie mogłem już na niego patrzeć – wyznał Dill.

– Na kogo, na Toma?

– Nie, na tego dziada Gilmera, który tak się z nim obchodził, z taką nienawiścią...

– Dill, to jego zawód. Gdybyśmy nie mieli prokuratorów... no, wtedy chyba nie mielibyśmy też obrońców.

Dill westchnął cierpliwie.

– Wiem o tym wszystkim, Skaucie. Tylko od tego, w jaki sposób on to robił, zrobiło mi się niedobrze. Normalnie niedobrze.

– Tak właśnie powinien pracować, Dillu. Wziął świadka w krzyżowy....

– Nie zachowywał się tak, gdy...

– Dill, tamci byli jego świadkami, a Tom nie.

– Pan Finch jakoś nie musiał być taki dla Mayelli i starego Ewella, kiedy brał ich w krzyżowy ogień. A ten... przez cały czas mówił „chłopcze”, ciągle z niego szydził i jeszcze przy każdej odpowiedzi zerkał na przysięgłych...

– Dill, w końcu świadek to tylko Murzyn.

– Guzik mnie to obchodzi. To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe, że tak są traktowani. Nie ma powodu, żeby tak do nich mówić... I od tego mam mdłości.

– Pan Gilmer już taki jest, Dillu. Ze wszystkimi Murzynami tak rozmawia. Ty jeszcze nie widziałeś, jaki czasem potrafi być. Dzisiaj nie starał się nawet w połowie tak bardzo jak zwykle. I chyba wszyscy oni, to znaczy prawnicy, tak ich traktują.

– Pan Finch nie.

– To zły przykład, Dillu, on... – Szukałam w pamięci celnej opinii panny Maudie Atkinson. I znalazłam: – On jest taki sam w sali sądowej i na ulicy.

– Nie o to mi chodziło – odparł Dill.

– A ja wiem, o co ci chodziło – odezwał się głos za naszymi plecami.

Pomyśleliśmy, że dochodzi wprost z dębowego pnia, ale należał do pana Dolphusa Raymonda, który wychylił się zza drzewa i patrzył na nas.

– Nie jesteś mięczakiem, a jednak przyprawia cię to o mdłości, prawda?

# Rozdział 20

Podejdź no tu, synu, dam ci coś na uspokojenie żołądka.

Jako że pan Dolphus Raymond był złym człowiekiem, przyjęłam jego zaproszenie z wahaniem, ale mimo obaw poszłam za Dillem. Wydawało mi się, że Atticus byłby zadowolony, gdybyśmy się zaprzyjaźnili z panem Raymondem, i że cioci Alexandrze wcale by się to nie spodobało.

– Masz – powiedział, podając Dillowi papierową torbę, z której sterczały słomki. – Pociągnij solidny łyk, to cię uspokoi.

Dill pociągnął, uśmiechnął się i pociągnął jeszcze mocniej.

– He, he. – Pan Raymond najwyraźniej rozkoszował się demoralizowaniem dziecka.

– Dill, lepiej uważaj – rzuciłam ostrzegawczo.

Dill oderwał się wreszcie od słomek i wyszczerzył się do mnie.

– Skaucie, to tylko coca-cola.

Pan Raymond usiadł, opierając się plecami o pień. Widziałam, że wcześniej leżał na trawie.

– Ale nie zdradzicie mnie, młodziaki? Zrujnowalibyście moją reputację.

– Czy to znaczy, że zawsze pije pan z tego worka coca-colę? Zwyczajną coca-colę?

– Tak jest, panienko – odparł pan Raymond, kiwając głową. Podobał mi się jego zapach, zapach skóry, koni i nasion bawełny. Był jedynym znanym mi człowiekiem noszącym angielskie buty do jazdy konnej. – W zasadzie nic innego nie piję.

– Więc tylko udaje pan, że jest pół...? Bardzo pana przepraszam – zmitygowałam się zaraz. – Nie chciałam być...

Pan Raymond zaśmiał się, wcale nie obrażony, a ja spróbowałam sformułować bardziej dyskretne pytanie:

– Dlaczego pan to robi?

– Dlaczego... A, chodzi ci o to, dlaczego udaję? To bardzo proste – odparł. – Niektórym ludziom nie podoba się to, jak żyję. Mógłbym powiedzieć: do diabła z nimi, nic mnie nie obchodzi ich zdanie. I w zasadzie mówię: nic mnie nie obchodzi ich zdanie, ale wolę nie mówić: do diabła z nimi. Rozumiecie?

– Nie, proszę pana – odrzekliśmy zgodnie.

– Chodzi o to, że próbuję podsunąć im powód. Łatwiej jest ludziom, kiedy mają jakiś powód, coś, czego mogą się chwycić. Kiedy przyjeżdżam do miasta, czyli dość rzadko, chwieję się lekko i popijam coś z papierowej torby, ludzie mogą powiedzieć: „Dolphus Raymond jest w szponach whiskey, to dlatego nie zmieni swojego stylu życia. Nie panuje nad sobą, dlatego żyje tak, jak żyje”.

– To nieuczciwe, panie Raymond, tak udawać kogoś gorszego, niż pan jest w rzeczywistości...

– Może i nieuczciwe, ale świetnie służy wszystkim ludziom dookoła. I powiem ci w sekrecie, moja panno Finch, że choć nie jestem pijakiem, nasi współobywatele nigdy nie pojmą, że tak żyję, bo taka jest moja wola.

Miałam wrażenie, że nie powinnam tak stać i słuchać tego grzesznego człowieka, który miał dzieci mieszanej krwi i nic go nie obchodziło, że wszyscy o tym wiedzą, ale pan Raymond mnie fascynował. Nigdy nie spotkałam człowieka, który celowo psuł obraz samego siebie w oczach innych. Ale dlaczego powierzał nam swój największy sekret? Zapytałam go o to.

– Bo jesteście dziećmi i potraficie mnie zrozumieć – odparł. – I dlatego, że słyszałem, co mówił – dodał, ruchem głowy wskazując na Dilla. – Życie jeszcze nie stępiło jego instynktu. Ale niech no tylko podrośnie, już nie będzie mu niedobrze, już nie będzie płakał. Może i takie sprawy wciąż nie będą mu się podobały, ale na pewno nie zapłacze. Zobaczycie za kilka lat.

– Nad czym nie zapłaczę, panie Raymond? – W Dillu odezwała się męska natura.

– Nad tym, jak jedni ludzie bezmyślnie gotują innym ludziom piekło na ziemi. Nad tym, jakie piekło gotują biali kolorowym, a przecież to także są ludzie.

– Atticus mówi, że oszukać kolorowego to dziesięć razy większy grzech, niż oszukać białego – wymamrotałam. – Mówi, że to najgorsze, co można zrobić.

– Nie wydaje mi się, żeby... – zaczął pan Raymond. – Panno Jean Louise, jeszcze nie wiesz, że twój ojciec jest nieprzeciętnym człowiekiem, ale za parę lat to zrozumiesz. Na razie jeszcze nie znasz świata. Nie znasz nawet jeszcze tego miasta, ale wystarczy, że wrócisz teraz na salę rozpraw.

Pan Raymond przypomniał mi, że straciliśmy prawie całe przesłuchanie w wykonaniu pana Gilmera. Spojrzałam na słońce, które kryło się pospiesznie za dachami sklepów na zachodnim krańcu rynku. Nie mogłam się zdecydować, w który ogień wolę wskoczyć: słuchać pana Raymonda czy wrócić do siedziby Piątego Sądu Okręgowego.

– Chodźmy, Dill – rozstrzygnęłam. – Lepiej ci?

– Tak. Cieszę się, że pana poznałem, panie Raymond. I dzięki za napój, rzeczywiście uspokoił mi żołądek.

Pobiegliśmy z powrotem do sądu, po stopniach do holu i po schodach na piętro, a potem cicho przemknęliśmy wzdłuż poręczy okalającej galerię. Wielebny Sykes trzymał dla nas miejsca.

W sali panował spokój i kolejny raz zastanawiałam się, gdzie się podziały dzieci. Cygaro sędziego Taylora było ledwie ciemną plamką pośrodku jego ust; pan Gilmer pisał coś w jednym z żółtych notatników leżących na stole, próbując prześcignąć sądowego protokolanta, którego dłoń energicznie podrygiwała.

– Cholerka – mruknęłam. – Przegapiliśmy.

Atticus był już w połowie mowy do przysięgłych. Na jego stole leżały teraz jakieś papiery, które musiał wyjąć z teczki leżącej na podłodze. Tom Robinson bawił się nimi zasłuchany.

– ...braku przekonujących dowodów człowiek ten został oskarżony o dokonanie zbrodni i poddany procesowi, który zadecyduje o jego życiu lub śmierci...

Szturchnęłam Jema.

– Długo nawija?

– Dopiero omówił dowody – odparł szeptem Jem. – Wygramy, Skaucie. Nie widzę innej możliwości. Od pięciu minut wykłada swoje racje tak prosto i jasno... tak, jakbym to ja tłumaczył ci tę sprawę. Nawet ty byś zrozumiała.

– Czy pan Gilmer...?

– Ciii... Nic nowego, był taki jak zawsze. A teraz cicho.

Znowu spojrzeliśmy w dół. Atticus przemawiał spokojnie, głosem prawie beznamiętnym, którym zwykle dyktował listy. Przechadzał się wolno przed ławą przysięgłych, którzy, miałam wrażenie, słuchali go z uwagą: głowy trzymali wysoko, wodząc za Atticusem wzrokiem, w którym widziałam chyba uznanie. Być może cieszyło ich to, że nasz ojciec nie jest krzykaczem.

Atticus umilkł, a potem zrobił coś, czego zwykle nie robił: odpiął łańcuszek i wraz zegarkiem położył go na stole, mówiąc:

– Za pozwoleniem wysokiego sądu...

Sędzia Taylor skinął głową, a wtedy Atticus zrobił coś jeszcze, coś, czego nie robił w mojej obecności ani przedtem, ani potem, ani w miejscu publicznym, ani prywatnie: rozpiął kamizelkę i kołnierzyk, poluzował krawat i zdjął marynarkę. Nigdy, ale to nigdy nie rozpinał i nie luzował żadnej części ubrania, póki nie zaczynał rozbierać się do snu. Stając przed sądem w rozpiętej kamizelce, był dla mnie i Jema praktycznie nagi. Wymieniliśmy przerażone spojrzenia.

Atticus włożył ręce do kieszeni, a kiedy odwracał się w stronę przysięgłych, w świetle błysnął złoty guzik spod kołnierzyka oraz końcówki pióra i długopisu.

– Panowie – rzekł.

Znowu spojrzeliśmy z Jemem po sobie. Atticus równie dobrze mógł powiedzieć: „Skaucie”. Z jego głosu zniknęła nagle cała suchość, w jednej chwili przestał być beznamiętny i przemawiał do przysięgłych tak, jak do przyjaciół spotkanych przy poczcie na rogu ulicy.

– Panowie – powtórzył – będę się streszczał, a cały czas, jaki mi pozostał, przeznaczę na przypomnienie wam, że sprawa, którą rozpatrujemy, nie jest trudna. Nie wymaga mozolnego analizowania złożonych faktów, lecz tego, abyście byli pewni ponad wszelką wątpliwość w kwestii winy oskarżonego. Przede wszystkim zaś sprawa ta w ogóle nie powinna trafić do sądu. Jest tak oczywista jak kontrast bieli i czerni. Oskarżyciel nie dostarczył najskromniejszego nawet dowodu natury medycznej potwierdzającego, że w ogóle popełniono przestępstwo, o które oskarżony jest Tom Robinson. Zarzuty oparte są na zeznaniach świadków, które nie tylko wydały się wątpliwe w krzyżowym ogniu pytań, ale także są jawnie sprzeczne z zeznaniami oskarżonego. Twierdzę, że oskarżony nie jest winny, ale ktoś w tej sali na pewno jest. Wobec głównego świadka

oskarżenia odczuwam głównie litość, ale nie sięga ona aż tak daleko, bym mógł poświęcić dla niej ludzkie życie, czego świadek nie zawahała się uczynić, usiłując pozbyć się własnego poczucia winy. Powiedziałem „winy”, panowie, właśnie bowiem poczucie winy kazało świadkowi działać. Nie popełniła przestępstwa. Wystarczyło, że złamała sztywny kodeks, od niepamiętnych czasów obowiązujący w naszym społeczeństwie, kodeks tak surowy, że ktokolwiek go naruszy, spychany jest na margines jako niezdolny do życia pośród nas. Świadek jest ofiarą okrutnej biedy i niewiedzy, ale nie mogę jej nawet współczuć: przecież jest biała. Znała doskonale wielką wagę wykroczenia, na które chciała się poważyć, lecz pożądanie było w niej silniejsze niż wola przestrzegania kodeksu, i dlatego dążyła do złamania zasad. Złamawszy je, zareagowała w sposób znany każdemu z nas. Zrobiła coś, co zrobiłoby każde dziecko: spróbowała usunąć dowód wykroczenia. Tyle że w tej sprawie dowodem nie jest drobiazg wykradziony przez dziecko. Świadek doszła do wniosku, że konieczne będzie usunięcie go z jej otoczenia, a nawet z tego świata. Dowód jej wykroczenia miał zostać zniszczony, miał stać się jej ofiarą.

A co było dowodem jej wykroczenia? – ciągnął Atticus. – Tom Robinson, ludzka istota. Musiała usunąć Toma Robinsona. Tego, który swą obecnością każdego dnia przypominał jej o tym, co zrobiła. A co zrobiła? Wodziła Murzyna na pokuszenie. Jest biała, a kusiła czarnego. Uczyniła coś, co w naszym społeczeństwie uchodzi za rzecz niewyobrażalną: pocałowała czarnego człowieka. Nie sędziwego wuja, ale młodego, silnego Murzyna. Żaden kodeks nie liczył się dla niej, póki go nie złamała... wtedy dopiero jego moc spadła na nią z wielką siłą. Jej ojciec był świadkiem zajścia i słyszeliśmy w zeznaniu oskarżonego, jak skomentował to, co widział. Co zrobił potem? Nie wiemy dokładnie, ale dowody pośrednie wskazują, że Mayella Ewell została brutalnie pobita przez kogoś, kto

używał niemal wyłącznie lewej ręki. Po części jednak wiemy, co zrobił pan Ewell: to, co zrobiłby na jego miejscu każdy bogobojny, szanujący się i wierny swoim zasadom biały człowiek. Złożył mianowicie donos, zeznając pod przysięgą i zapewne podpisując się lewą ręką. To dlatego Tom Robinson siedzi teraz przed wami, a nim zaczął zeznawać, złożył przysięgę unosząc jedyną swą sprawną rękę... prawą. I tak cichy, porządny, skromny Murzyn, który miał śmiałość poczuć, że „żal mu" białej kobiety, stawia swoje słowo przeciwko słowu dwojga białych ludzi. Nie muszę przypominać wam, jak zachowywało się tych dwoje na stanowisku dla świadków, widzieliście ich na własne oczy. Świadkowie oskarżenia, poza szeryfem hrabstwa Maycomb, wystąpili przed wami, panowie, i przed wszystkimi, którzy się tu zgromadzili, w cynicznym przekonaniu, że nikt nie poda w wątpliwość ich zeznań. W przekonaniu, że wy, panowie, przyjmiecie to samo założenie, podłe założenie, że wszyscy Murzyni kłamią, że wszyscy Murzyni są istotami z gruntu amoralnymi i wreszcie że żadnemu Murzynowi nie można ufać, gdy w pobliżu są kobiety. Jest to założenie, które kojarzyć należy wyłącznie z ludźmi takiego pokroju jak świadkowie oskarżenia.

Bo przecież, moi panowie – mówił dalej Atticus – wiemy, że jest ono kłamstwem tak czarnym jak skóra Toma Robinsona, kłamstwem, którego wcale nie muszę wam wskazywać. Znacie prawdę, a brzmi ona tak: niektórzy Murzyni kłamią, niektórzy Murzyni są amoralnymi istotami i niektórym Murzynom nie można ufać, gdy w pobliżu są kobiety, białe czy czarne. Jednakże jest to prawda, która odnosi się do całego ludzkiego rodzaju, a nie do jednej tylko rasy. Nie ma na tej sali osoby, która nigdy w życiu nie skłamała i nigdy w życiu nie splamiła się niemoralnym postępkiem, nie ma też na świecie mężczyzny, który nigdy nie spojrzał na kobietę pożądliwie.

Atticus umilkł i sięgnął po chusteczkę. Zdjął okulary i przetarł je, a my znów zobaczyliśmy coś po raz pierwszy: nigdy dotąd nie widzieliśmy, by się pocił, ale teraz jego twarz lśniła.

– Jeszcze jedno, panowie, nim skończę. Thomas Jefferson powiedział kiedyś, że wszyscy ludzie są stworzeni równymi; Jankesi i ich stronnicy w Waszyngtonie uwielbiają cytować te słowa. Dziś niestety, w roku pańskim tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, niektórzy używają ich w oderwaniu od kontekstu, próbując dopasowywać je do wszelkich sytuacji. Najbardziej niedorzecznym przykładem tej tendencji, jaki przychodzi mi do głowy, jest traktowanie przez władze oświatowe uczniów głupich i leniwych na równi z mądrymi i pracowitymi... bo przecież wszyscy ludzie są stworzeni równymi, twierdzą z powagą luminarze edukacji, a dzieci pozostawione w tyle straszliwie cierpią z powodu kompleksu niższości. My jednak wiemy, że ludzie nie są stworzeni równymi w takim sensie, jaki niektórzy usiłują nam wmówić. Niektórzy są mądrzejsi od innych, niektórzy rodzą się z większym potencjałem, niektórzy zarabiają lepiej od innych, niektóre panie pieką smaczniejsze ciasta... Słowem, niektórzy rodzą się bardziej utalentowani niż większość ludzi. Jest jednak pewne miejsce w tym kraju, gdzie wszyscy ludzie są równi. Jest taka instytucja stworzona ludzką ręką, w której biedak równy jest Rockefellerowi, głupiec Einsteinowi, a niedouczony prostak rektorowi najlepszej uczelni. Tą instytucją, panowie, jest sąd. Wszystko jedno, czy będzie to Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych czy najskromniejszy urząd sędziego pokoju na dalekiej prowincji, czy też ten szacowny sąd, któremu i wy służycie. Nasze sądy nie są bez skazy, jak wszystkie stworzone przez człowieka instytucje, ale w tym kraju sądy są prawdziwymi strażnikami równości, bo przed nimi wszyscy ludzie istotnie są równi. Nie jestem idealistą, który niezłomnie wierzy w doskonałość

naszych sądów i systemu prawnego – nie są to dla mnie instytucje idealne, ale żywe, funkcjonujące realnie organizmy. Panowie, sąd jest tak dobry jak zasiadający w nim przysięgli. Sąd jest tylko tak mądry jak ława przysięgłych, a ława jest tylko tak mądra jak ludzie, którzy ją tworzą. Jestem przekonany, panowie, że bez emocji rozważycie przedstawione wam dowody, podejmiecie słuszną decyzję i przywrócicie oskarżonego jego rodzinie. W imię Boga, czyńcie swoją powinność.

Atticus zniżył głos i gdy odwracał się plecami do ławy, powiedział coś jeszcze, ale nie dosłyszałam jego słów. Mówił zresztą bardziej do siebie niż do przysięgłych.

– Co powiedział? – szepnęłam, trącając Jema.

– Chyba „W imię Boga, uwierzcie mu”.

Dill nagle sięgnął nade mną i szarpnął Jema za koszulę.

– Spójrzcie tam!

Powędrowaliśmy wzrokiem za jego palcem i serca w nas zamarły. Calpurnia szła środkiem sali rozpraw, kierując się wprost do Atticusa.

# Rozdział 21

Zatrzymała się nieśmiało przed barierką i zaczekała, aż sędzia Taylor zwróci na nią uwagę. Miała na sobie czyściutki fartuch, a w ręku trzymała kopertę.

Sędzia Taylor zauważył ją wreszcie i powiedział:

– Calpurnia, nieprawdaż?

– Tak, proszę pana – odpowiedziała. – Czy mogę przekazać ten liścik panu Finchowi, panie sędzio? Nie ma to nic wspólnego... z tym procesem.

Sędzia Taylor skinął głową i Atticus wziął kopertę od Calpurnii. Otworzył ją, przeczytał list i powiedział:

– Wysoki sądzie, to wiadomość od mojej siostry. Pisze, że moje dzieci zaginęły. Nie pojawiły się od południa... Ja... Czy mógłby pan...

– Ja wiem, gdzie one są, Atticusie – odezwał się głośno pan Underwood. – Tam, na galerii dla kolorowych. Siedzą tam od trzynastej osiemnaście.

Nasz ojciec odwrócił się i spojrzał w górę.

– Jem, zejdźcie stamtąd! – zawołał.

Potem zwrócił się do sędziego, ale nie słyszeliśmy, co mówił. Minęliśmy wielebnego Sykesa i wyszliśmy na klatkę schodową.

Atticus i Calpurnia czekali na dole. Calpurnia patrzyła na nas ze złością. Atticus był tylko wyczerpany.

Jem podskakiwał z podniecenia.

– Wygraliśmy, prawda?

– Nie mam pojęcia – odparł krótko Atticus. – Przesiedzieliście tu całe popołudnie? Idźcie teraz z Calpurnią na kolację i zostańcie w domu.

– Atticusie, pozwól nam wrócić – jęknął błagalnie Jem. – Prosimy, ojcze, pozwól nam wysłuchać werdyktu.

– Przysięgli mogą wyjść i wrócić w każdej chwili... – odpowiedział Atticus, ale czuliśmy, że mięknie. – No cóż, skoro słyszeliście wszystko, możecie też posłuchać finału. Zgoda, możecie wrócić po kolacji, tylko jedzcie wolno, bo i tak nie ominie was tu nic ważnego. Jeśli do tego czasu przysięgli nie wrócą, będziecie mogli zaczekać na nich z nami. Spodziewam się jednak, że będzie po wszystkim, zanim tu wrócicie.

– Myślisz, że tak szybko go uniewinnią? – spytał Jem.

Atticus otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz zamknął je bez słowa i odszedł.

Modliłam się, żeby wielebny Sykes zatrzymał dla nas wolne miejsca, ale przestałam się modlić, gdy przypomniałam sobie, że ludzie w pośpiechu wychodzą na przerwę, kiedy przysięgli opuszczają salę, a tego wieczoru tłumy prawdopodobnie stratują drogerię, OK Café oraz hotel, jeśli wszyscy przybysze nie przywieźli ze sobą prowiantu.

Calpurnia odprowadziła nas do domu.

– ...żywcem obdarłabym ze skóry za pomysł, żebyście wy, małe dzieci, słuchały takich rzeczy! Panie Jemie, nie wiedział pan, że nie wolno zabierać siostrzyczki na tę rozprawę? Panna Alexandra dostanie paraliżu, kiedy się o tym dowie! To nie są sprawy dla dzieci...

W świetle latarń, pod którymi maszerowaliśmy, spoglądaliśmy w górę, na profil oburzonej Calpurnii.

– Panie Jemie, myślałam, że już coś pan ma w tej głowie, którą pan dźwiga na karku, ale ten pomysł... Przecież to pana siostrzyczka! Kto to

widział?! Powinien pan się strasznie wstydzić, panie Jemie; czy panu rozum odebrało?

Byłam w siódmym niebie. Tyle fascynujących rzeczy działo się niemal jednocześnie! Czułam, że będę potrzebowała paru lat, żeby to wszystko ogarnąć. W dodatku Calpurnia zmywała głowę swemu pupilkowi Jemowi – jakie cuda czekały mnie jeszcze tego wieczoru?

Jem zachichotał.

– Nie chcesz posłuchać, jak było, Cal?

– Milcz już, mój panie! Pan się ze mnie podśmiewa, zamiast ze wstydem zwiesić głowę. – Calpurnia uraczyła nas jeszcze serią dobrze znanych gróźb, którymi Jem nie bardzo się przejął, po czym zafiniszowała na schodach klasycznym tekstem: – Jeśli pan Finch tego nie zrobi, osobiście pana zatłukę, panie Jemie. A teraz marsz do domu, mój panie!

Jem usłuchał z uśmiechem na ustach, a Calpurnia w milczeniu skinęła głową, godząc się podjąć Dilla kolacją.

– W tej chwili zadzwoń do panny Rachel i powiedz jej, gdzie jesteś – poleciła. – Szukała cię w wielkim strachu, więc lepiej uważaj, żeby cię z samego rana nie odesłała do Meridian.

Ciocia Alexandra wyszła nam na spotkanie i omal nie zemdlała, gdy Calpurnia powiedziała jej, gdzie byliśmy. Chyba zabolało ją, gdy usłyszała, że Atticus pozwolił nam wrócić na ogłoszenie wyroku, bo nie odezwała się ani razu aż do końca kolacji. Mieszała jedzenie na talerzu, przyglądając się ze smutkiem, jak Calpurnia z furią obsługuje Jema, Dilla i mnie. Cal nalewała mleko, nakładała sałatkę ziemniaczaną i kroiła szynkę, mrucząc w kółko „Wstydźcie się” ze zmiennym ładunkiem złości.

– A teraz jedzcie powoli – zakomenderowała na koniec.

Wielebny Sykes dopilnował naszych miejsc. Ze zdziwieniem przyjęliśmy wiadomość, że nie było nas prawie godzinę. Równie mocno

zaskoczył nas widok sali sądowej, w której nie zmieniło się prawie nic, tyle że brakowało przysięgłych, oskarżonego i sędziego Taylora, który powrócił w chwili, gdy zasiadaliśmy na ławce.

– Prawie nikt nie wyszedł – stwierdził Jem.

– Było trochę ruchu, kiedy przysięgli opuścili salę – powiedział wielebny Sykes. – Mężczyźni przynieśli kobietom kolację, a kobiety nakarmiły dzieci.

– Jak długo się naradzają? – spytał Jem.

– Mniej więcej trzydzieści minut. Pan Finch i pan Gilmer jeszcze przemawiali, a sędzia Taylor instruował przysięgłych.

– Jak się prezentował? – indagował Jem.

– Cóż można powiedzieć... Całkiem dobrze. Nie mam do niego żadnych zastrzeżeń. Sprawiedliwie mówił. Że jeśli uwierzyli w jedno, to przyjdą z takim werdyktem, a jeśli w drugie, to z innym. Ale miałem wrażenie, że skłaniał się odrobinę w naszą stronę... – Wielebny Sykes podrapał się po głowie.

Jem uśmiechnął się.

– On się nie powinien skłaniać, pastorze. Zresztą to nieważne, bo i tak wygraliśmy – orzekł Jem tonem głębokiej mądrości. – Nie rozumiem, jakim cudem jakakolwiek ława przysięgłych mogłaby skazać człowieka na podstawie tego, co tu usłyszeliśmy...

– O, panie Jemie, niech pan nie będzie taki pewny, bo ja z kolei nie widziałem jeszcze takiej rady, która wydałaby wyrok na korzyść czarnego przeciwko białemu człowiekowi...

Jem nie dał się jednak przekonać wielebnemu Sykesowi i uraczył nas długawym podsumowaniem materiału dowodowego, wplatając w nie własne opinie na temat przepisów prawnych dotyczących gwałtu: nie ma gwałtu, kiedy kobieta pozwala, pod warunkiem że ma osiemnaście lat –

przynajmniej tak było w Alabamie – a Mayella miała lat dziewiętnaście. Kto jednak nie chce być zgwałcony, musi kopać, wrzeszczeć, dać się pokonać albo znaleźć się pod napastnikiem, a już najlepiej – dać się ogłuszyć. Kto nie ma lat osiemnastu, nie musi się aż tak męczyć.

– Panie Jemie – zaprotestował nieśmiało wielebny Sykes – to chyba nie są sprawy, o których młode damy powinny słuchać...

– Ależ ona nie ma pojęcia, o czym mówimy – odparł Jem. – Skaucie, to wszystko dla ciebie za trudne, prawda?

– Ależ oczywiście, że nie. Rozumiem każde twoje słowo. – Możliwe, że zabrzmiało to zbyt przekonująco, bo Jem umilkł i nie wrócił już do tematu.

– Która godzina, pastorze? – spytał.

– Dochodzi ósma.

Wyjrzałam zza poręczy i zobaczyłam, że w dole Atticus przechadza się z rękami w kieszeniach: zaszedł do okien i idąc wzdłuż barierki, zbliżył się do stanowiska przysięgłych. Przyjrzał się mu, popatrzył na sędziego Taylora, który zasiadł już na swym tronie, a potem wrócił do punktu wyjścia. Gdy na mnie spojrzał, pomachałam mu, a on skinął głową w odpowiedzi na moje pozdrowienie i kolejny raz ruszył tą samą trasą.

Pan Gilmer stał przy oknie, zajęty rozmową z panem Underwoodem. Bert, protokolant, palił jednego papierosa za drugim, siedząc wygodnie z nogami na stole.

Jedynie uczestnicy rozprawy – przynajmniej ci, którzy pozostali na sali, czyli Atticus, pan Gilmer, pogrążony we śnie sędzia Taylor oraz Bert – zachowywali się całkiem normalnie. Nigdy natomiast nie widziałam, by wśród tłumnie zgromadzonej publiczności panował taki spokój. Od czasu do czasu zapłakało niespokojne niemowlę albo jakiś dzieciak wymknął się chyłkiem na korytarz, ale dorośli zachowywali się sztywno jak w kościele.

Murzyni stłoczeni na galerii siedzieli lub stali w nabożnym skupieniu, czekając na werdykt z biblijną wręcz cierpliwością.

Stary zegar na wieży zgrzytnął z wielkim wysiłkiem i wybił godzinę: osiem ogłuszających uderzeń wstrząsnęło nami aż do kości.

Gdy zadzwonił jedenaście razy, w zasadzie nic już nie czułam: zmęczona walką z przemożną sennością pozwoliłam sobie na krótką drzemkę, wsparta o całkiem wygodne ramię wielebnego Sykesa. Ocknęłam się nagle i uczciwie postarałam się zachować przytomność, zerkając za barierkę i próbując skupić się na ludzkich głowach. Naliczyłam szesnaście łysych, czternaście męskich, od biedy rudych, oraz czterdzieści ciemnych w palecie barw od brązowej do czarnej. Przypomniałam sobie o zjawisku, które Jem tłumaczył mi kiedyś, gdy przechodził fazę fascynacji eksperymentami z dziedziny fizyki: jeśli wystarczająco wielu ludzi – na przykład pełny stadion – skoncentruje się na jednej rzeczy, na przykład wyobrażając sobie ogarnięte płomieniami drzewo stojące gdzieś w lesie, drzewo to zapali się samoistnie. Zastanawiałam się, czy nie poprosić wszystkich, żeby skupili się na myśli o uwolnieniu Toma Robinsona, ale doszłam do wniosku, że jeśli wszyscy są tak znużeni jak ja, nic z tego nie wyjdzie.

Dill spał mocnym snem, wsparty głową o bark Jema, który czekał w milczeniu.

– Długo, nie? – zagadnęłam.

– Długo, Skaucie – odpowiedział radośnie.

– Z tego co mówiłeś, miało być pięć minut.

Brwi Jema uniosły się.

– Są takie sprawy, których po prostu nie rozumiesz – powiedział.

Byłam zbyt zmęczona, żeby się z nim spierać. Musiałam jednak być względnie przytomna, bo inaczej nie ogarnęłoby mnie to uczucie, które

pamiętałam z ostatniej zimy. Wzdrygnęłam się, choć noc była parna. Uczucie narastało stopniowo, aż w końcu atmosfera w sali sądowej stała się taka sama jak tego lutowego poranka, kiedy drozdy umilkły, cieśle przestali tłuc młotkami w szkielet nowego domu panny Maudie, a wszystkie drzwi domów w naszej dzielnicy zamknęły się równie szczelnie jak drzwi u Radleyów. Opustoszała, pogrążona w oczekiwaniu ulica i sąd pełen ludzi. Duszna letnia noc jak zimowy poranek. Pan Heck Tate, który wszedł do sali i rozmawiał teraz z Atticusem, mógł mieć na sobie krótką kurtkę i wysokie buty. Atticus przerwał swą senną podróż i oparł stopę o poprzeczkę między nogami krzesła; słuchając pana Tate'a, wolno sunął dłonią po udzie, w górę i w dół... Spodziewałam się, że pan Tate lada chwila powie: „Niech pan to zrobi, panie Finch..."

Ale pan Tate powiedział:

– Cisza na sali! – Jego głos brzmiał władczo i twarze zgromadzonych ludzi zwróciły się ku mówiącemu.

Pan Tate wyszedł i wrócił po chwili z Tomem Robinsonem. Odprowadził go na miejsce za stołem, obok Atticusa, i stanął przy nim. Sędzia Taylor ocknął się błyskawicznie i usiadł prosto, spoglądając na puste miejsca przysięgłych.

To, co wydarzyło się później, było jak sen: zobaczyłam powracających przysięgłych, którzy poruszali się jak pływacy w głębinie. Głos sędziego Taylora dochodził jakby z oddali i był ledwie słyszalny. Dostrzegłam coś, co tylko dziecko prawnika mogło dostrzec, czego mogło wręcz wypatrywać, i przez chwilę miałam wrażenie, że patrzę na Atticusa, który wychodzi na ulicę, unosi karabin do ramienia i naciska spust, a ja przez cały czas wiem, że broń nie jest nabita.

Otóż przysięgli nigdy nie patrzą na oskarżonego, którego skazali. Ani jeden z tych, którzy teraz zajmowali swoje miejsca, nie patrzył na Toma

Robinsona. Przewodniczący składu wręczył kartkę papieru panu Tate’owi, pan Tate przekazał ją woźnemu, a woźny podał ją sędziemu...

Zamknęłam oczy. Sędzia Taylor odczytywał decyzje przysięgłych:

– Winny... winny... winny... winny...

Zerknęłam na Jema; jego dłonie zbielały od ściskania poręczy, a ramiona podskakiwały raz po raz, jakby każde „winny” było dlań jak pchnięcie nożem.

Sędzia Taylor coś mówił. Trzymał w dłoni młotek, ale nie używał go. Jak przez mgłę patrzyłam na Atticusa, który spychał papiery ze stołu wprost do teczki. Zamknął ją z trzaskiem, podszedł do protokolanta i coś mu powiedział, skinął głową panu Gilmerowi i w końcu zbliżył się do Toma Robinsona, żeby szepnąć mu coś na ucho. Potem zdjął marynarkę z oparcia krzesła i zarzucił ją sobie na ramię. Wreszcie wyszedł z sali, ale inną drogą niż zwykle. Przypuszczam, że chciał wrócić do domu krótszą drogą, bo przeszedł szybko środkową nawą, wprost do południowego wyjścia. Odprowadziłam wzrokiem czubek jego głowy zmierzający ku drzwiom. Nie spojrzał w górę.

Ktoś mnie szturchał, ale ja nie chciałam oderwać spojrzenia od ludzi tłoczących się w dole i od samotnego Atticusa, który szedł między nimi.

– Panno Jean Louise?

Rozejrzałam się. Wszyscy wstawali. Dookoła nas i na przeciwległej galerii Murzyni podnosili się z ław. Głos wielebnego Sykesa był równie daleki jak wcześniej głos sędziego Taylora:

– Panno Jean Louise, proszę wstać. Wasz ojciec wychodzi.

# Rozdział 22

Tym razem rozpłakał się Jem. Łzy wściekłości płynęły po jego twarzy, gdy wędrowaliśmy wśród tłumu uszczęśliwionych ludzi.

– To niesprawiedliwe – mamrotał przez całą drogę do narożnika placu, gdzie czekał na nas Atticus.

Ojciec stał pod latarnią i wyglądał tak, jakby nic się nie wydarzyło: miał dokładnie zapiętą kamizelkę i kołnierzyk oraz starannie dociągnięty krawat, a łańcuszek od zegarka lśnił na jego piersi – znowu był niewzruszonym sobą.

– Atticusie, to niesprawiedliwe – powiedział Jem.

– Masz rację, synu, to niesprawiedliwe.

Poszliśmy do domu.

Ciocia Alexandra czekała na nas. Była w koszuli nocnej, ale mogłabym przysiąc, że pod spodem miała gorset.

– Przykro mi, bracie – powiedziała cicho.

Jako że nigdy w życiu nie słyszałam, by nazywała Atticusa bratem, posłałam Jemowi ukradkowe spojrzenie, ale on nawet nie słuchał. Spojrzał najpierw na ojca, a potem na podłogę; zastanawiałam się, czy nie uważa, że Atticus w jakimś sensie jest odpowiedzialny za skazanie Toma Robinsona.

– Coś mu jest? – spytała ciotunia, wskazując na Jema.

– Wkrótce dojdzie do siebie – odparł Atticus. – To trochę za mocne przeżycia, jak dla niego. – Ojciec westchnął. –Idę do łóżka – dodał. – Jeśli sam nie wstanę, nie budźcie mnie.

– Od początku uważałam, że to nierozsądne... pozwalać im, żeby...

– To jest ich dom, siostro, ich kraj – przerwał jej Atticus. – Tak go dla nich urządziliśmy, więc niech się uczą, jak w nim żyć.

– Ale to nie oznacza, że muszą chodzić do sądu i nurzać się w tym...

– To tak samo sprawy hrabstwa Maycomb jak te twoje herbatki kółka misyjnego.

– Atticusie... – W oczach cioci Alexandry pojawił się niepokój. – Jesteś ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o rozgoryczenie tą sprawą.

– Nie jestem rozgoryczony, tylko zmęczony. Idę spać.

– Atticusie... – odezwał się ponuro Jem.

Ojciec odwrócił się, stojąc w drzwiach.

– Co takiego, synu?

– Jak oni mogli to zrobić? Jak mogli?

– Nie wiem, ale to zrobili. Robili to już wcześniej, zrobili dziś i zrobią ponownie. I wydaje się, że kiedy to robią, tylko dzieci płaczą. Dobrej nocy.

Rankiem sprawy zawsze wyglądają lepiej. Atticus wstał jak zwykle o nieprzyzwoicie wczesnej porze i kiedy wpadliśmy do salonu, siedział już w fotelu schowany za płachtą „The Mobile Register”. Cała twarz Jema wyrażała pytanie, którego usta jakoś nie mogły zadać.

– Jeszcze nie czas się martwić – zapewnił go Atticus, gdy szliśmy do jadalni. – To jeszcze nie koniec. Będzie apelacja, tego możesz być pewny. Na miłość boską, Cal, co to jest? – spytał, spoglądając na talerz.

– Tata Toma Robinsona przysłał dziś rano kurczaka – odrzekła Calpurnia. – No, to przyrządziłam.

– Powiedz mu, że to dla mnie zaszczyt. Założę się, że nawet w Białym Domu nie jadają kurczaków na śniadanie. A to co?

– Bułki – odparła Calpurnia. – Przysłała je Estelle z hotelu.

Atticus spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Lepiej niech pan zajrzy jeszcze do kuchni, panie Finch – dodała.

Poszliśmy za nim. Na stole kuchennym piętrzył się kurhan jedzenia, pod którym można by pochować całą naszą rodzinę. Były tam płaty solonej wieprzowiny, pomidory, fasola, a nawet winogrona muszkatelowe. Atticus uśmiechnął się na widok słoja z golonkami.

– Sądzicie, że ciotunia pozwoli mi jeść coś takiego w jadalni?

– Znalazłam to wszystko przy schodkach na tyłach domu, kiedy przyszłam tu rano – powiedziała Calpurnia. – Oni... Oni doceniają to, co pan zrobił, panie Finch. Nie poważyli się na zbyt wiele, mam nadzieję?

Atticus miał łzy w oczach i przez chwilę nie odpowiadał.

– Powiedz im, że jestem bardzo wdzięczny – rzekł wreszcie. – Powiedz... Powiedz im, że nie wolno im więcej tego robić. Czasy są zbyt ciężkie...

Wyszedł z kuchni, zajrzał do jadalni, żeby przeprosić ciocię Alexandrę, włożył kapelusz i pomaszerował do miasta.

Usłyszeliśmy kroki Dilla w korytarzu, więc Calpurnia zostawiła na stole nie ruszone śniadanie Atticusa. Racząc się nim łapczywie, Dill opowiedział nam o reakcji panny Rachel na wydarzenia ostatniej nocy, a była to reakcja następująca: „Jeśli taki człowiek jak Atticus Finch chce walić głową w skałę, to niech wali... to jego głowa”.

– Nagadałbym jej – bełkotał Dill, obgryzając udko – ale akurat dziś nie bardzo się do tego nadawała. Powiedziała, że nie spała pół nocy, bo się zastanawiała, gdzie znowu przepadłem, że wysłałaby szeryfa na poszukiwania, gdyby nie to, że był w sądzie.

– Dill, nie możesz wychodzić z domu, nie informując jej o tym – orzekł Jem. – Tylko ją drażnisz.

Dill westchnął cierpliwie.

– Powtarzałem jej, dokąd idę, aż zsiniałem na twarzy, tylko że ona widzi zdecydowanie za dużo węży w szafie. Na śniadanie codziennie pije pół litra. Sam widziałem, jak wysuszyła dwie szklanki.

– Nie mów tak, Dillu – skarciła go ciocia Alexandra. – To nie przystoi dziecku. Brzmi... cynicznie.

– Ja nie jestem cyniczny, panno Alexandro. Mówienie prawdy to chyba nie cynizm?

– Cyniczny jest sposób, w jaki o tym mówisz.

Jem błysnął oczami w jej stronę, ale odezwał się do Dilla:

– Chodźmy. Weź kawałek na drogę.

Gdy tylko wyszliśmy na werandę, panna Stephanie Crawford zameldowała o tym pannie Maudie Atkinson i panu Avery'emu. Spojrzeli na nas i wrócili do przerwanej rozmowy. Jem prychnął na nich gardłowo, a ja żałowałam, że nie mam broni.

– Nie cierpię, kiedy dorośli tak patrzą – powiedział Dill. – Człowiek zaraz się czuje, jakby coś przeskrobał.

Panna Maudie zawołała Jema Fincha.

Jem jęknął i podniósł się ciężko z huśtawki.

– Pójdziemy z tobą – zaoferował się Dill.

Nos panny Stephanie aż drżał z ciekawości. Chciała się dowiedzieć, kto nam pozwolił iść do sądu; sama nas nie widziała, ale od rana w mieście mówiło się tylko o tym, że siedzieliśmy na galerii dla kolorowych. Czy to Atticus umieścił nas tam jako...? Czy dobrze było zasiąść tak blisko tych wszystkich...? Czy Skaut rozumiała wszystkie te...? Czy nie byliśmy wściekli, widząc, że tata przegrywa?

– Milcz już, Stephanie – przemówiła ostrym tonem panna Maudie. – Nie zamierzam spędzić całego ranka na werandzie. Jemie Finch, zawołałam cię, żeby spytać, czy nie macie ochoty na ciasto. Wstałam o piątej, żeby je

upiec, więc lepiej powiedz, że tak. Wybacz nam, Stephanie. Miłego ranka, panie Avery.

Na stole kuchennym u panny Maudie stało jedno duże ciasto i dwa małe. Powinny być trzy, pomyślałam. Panna Maudie nigdy nie zapominała o Dillu. Chyba daliśmy coś po sobie poznać, ale zrozumieliśmy wszystko, gdy odkroiła kawałek z dużego ciasta i podała go Jemowi.

Jedząc, wyczuwaliśmy, że panna Maudie chce nam w ten sposób powiedzieć: „Jeśli o mnie chodzi, to nic się nie zmieniło”. Siedziała cichutko na kuchennym krześle, obserwując nas.

– Nie martw się, Jem – przemówiła znienacka. – Sprawy nigdy nie stoją tak źle, jak na to wyglądają.

Gdy w domowym zaciszu panna Maudie szykowała się do dłuższej wypowiedzi, zawsze poprawiała mostek i obejmowała dłońmi kolana. Teraz właśnie to zrobiła, więc czekaliśmy.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że są na tym świecie ludzie, którzy urodzili się po to, żeby wykonać za nas najtrudniejszą robotę. Wasz ojciec jest jednym z nich.

– Ach tak – mruknął Jem.

– Nie żadne „ach tak”, mój panie – zareplikowała panna Maudie, która dobrze znała fatalistyczne odzywki mojego brata. – Nie jesteś jeszcze wystarczająco duży, żeby w pełni docenić to, co mówię.

Jem wpatrywał się w niedojedzone ciasto.

– Jest tak, jakby człowiek był gąsienicą w kokonie, ot co – powiedział. – Jakby spał szczelnie czymś owinięty, w ciepłym miejscu. Zawsze sądziłem, że ludzie z Maycomb to najlepsi ludzie na świecie... tak mi się przynajmniej wydawało.

– Jesteśmy najbezpieczniejsi na świecie – poprawiła go panna Maudie. – Tak rzadko los każe nam pokazywać, jacy z nas chrześcijanie, że kiedy

już naprawdę trzeba, wynajdujemy ludzi takich jak Atticus, żeby byli chrześcijanami w naszym imieniu.

Jem uśmiechnął się smutno.

– Szkoda, że wszyscy w naszym hrabstwie tak nie myślą.

– Zdziwiłbyś się, jak wielu jest takich.

– Niby kto? – spytał Jem nieco podniesionym głosem. – Kto w tym mieście kiwnął palcem, żeby pomóc Tomowi Robinsonowi? No kto?

– Na przykład jego kolorowi przyjaciele i ludzie tacy jak my. Tacy jak sędzia Taylor. Jak pan Heck Tate. Przestań jeść i zacznij myśleć, Jem. Czy nie uderzyło cię to, że sędzia Taylor nie przypadkiem wybrał Atticusa na obrońcę tego chłopaka? Że miał swoje powody, żeby go wyznaczyć?

Tak, to była myśl. Obrony z urzędu zwykle przypadały Maxwellowi Greenowi, najnowszemu nabytkowi palestry Maycomb, który musiał zdobywać doświadczenie. To Maxwell Green powinien dostać sprawę Toma Robinsona.

– Zastanów się nad tym – kontynuowała panna Maudie. – To nie był ślepy traf. Siedziałam wczoraj wieczorem na werandzie i czekałam. Czekałam i czekałam, żeby zobaczyć, jak wracacie razem do domu, i tak sobie pomyślałam: Atticus Finch nie wygra, nie może wygrać, ale jest jedynym człowiekiem w tych stronach, który może zmusić przysięgłych do tak długiego deliberowania w tak prostej sprawie. I pomyślałam jeszcze: cóż, robimy krok naprzód. Może jest to malutki, dziecinny krok, ale zawsze.

– Wszystko pięknie, ale chrześcijańscy prawnicy i sędziowie nie naprawią błędów barbarzyńców z ławy przysięgłych... – wymamrotał Jem. – Gdy tylko dorosnę...

– Nad tym będziesz musiał popracować z ojcem – orzekła panna Maudie.

Zeszliśmy po nowych, pięknych schodkach wprost w plamę słońca i zastaliśmy pana Avery’ego i pannę Stephanie Crawford wciąż pogrążonych w rozmowie. Usunęli się tylko z chodnika i stali teraz wprost przed domem panny Stephanie. Panna Rachel szła już w ich stronę.

– Myślę, że kiedy dorosnę, zostanę klaunem – wyznał Dill.

Jem i ja stanęliśmy jak wryci.

– Tak jest, właśnie klaunem – ciągnął. – Nic nie poradzę, że ludzie na tym świecie są, jacy są, mogę ich tylko wyśmiać. No więc dołączę do jakiejś trupy cyrkowej i będę umierał ze śmiechu.

– Wszystko pokręciłeś, Dill – odparł Jem. – Klauni są smutni, to ludzie się z nich śmieją.

– To ja będę pierwszym klaunem nowego rodzaju. Będę stawał pośrodku areny i nabijał się z ludzi. Patrzcie tylko – dodał, wskazując palcem. – Brakuje jeszcze tylko, żeby latały na miotłach. Chociaż ciocia Rachel czasem już lata...

Panna Stephanie i panna Rachel machały do nas z zapałem, a my pomyśleliśmy, że uwaga Dilla była całkiem trafna.

– Do licha – stęknął Jem. – Chyba nie byłoby w porządku obejść je z daleka.

Coś się wydarzyło. Pan Avery był czerwony na twarzy po ataku kichania i znowu omal nie zdmuchnął nas z chodnika, gdy się zbliżyliśmy. Panna Stephanie drżała z podniecenia, a panna Rachel złapała Dilla za ramię.

– Wracajcie na podwórze i zostańcie tam – powiedziała. – Zbliża się niebezpieczeństwo.

– Co się stało? – spytałam.

– Nie słyszeliście jeszcze? Całe miasto huczy...

W tym momencie ciocia Alexandra podeszła do drzwi i zawołała nas, ale było już za późno. Panna Stephanie poinformowała nas z przyjemnością, że tego ranka pan Bob Ewell zatrzymał Atticusa na rogu obok poczty, napluł mu w twarz i powiedział, że go dopadnie, choćby miał poświęcić na to resztę życia.

# Rozdział 23

Wolałbym, żeby Bob Ewell nie żuł tytoniu.

Tylko tyle Atticus miał do powiedzenia o sprawie. A według panny Stephanie Crawford, właśnie wychodził z urzędu pocztowego, gdy pan Ewell zbliżył się do niego, sklął go, opluł i zagroził mu śmiercią. Panna Stephanie (która zdążyła powiedzieć nam dwa razy, że wszystko widziała na własne oczy, bo akurat wracała drugą stroną ulicy z zakupów w Jitney Jungle) twierdziła też, że Atticusowi nawet powieka nie drgnęła, tylko wyjął chusteczkę, wytarł twarz i stał nieruchomo, pozwalając, żeby pan Ewell obrzucał go wyzwiskami, których nam nie powtórzy, choćbyśmy ją końmi włóczyli. Pan Ewell był ponoć weteranem jakiejś wojny i zapewne to sprawiło, że widząc spokojną reakcję Atticusa, spytał: „Za dumny jesteś, żeby walczyć, cholerny murzyński kochasiu?!” Atticus zaś, według panny Stephanie, odpowiedział: „Nie, za stary”, po czym włożył ręce do kieszeni i odszedł. Panna Stephanie powiedziała, że to jedno trzeba Atticusowi Finchowi oddać: czasem potrafił być zimny.

Wcale nas nie ubawiła ta opowieść.

– Zaraz, w końcu był kiedyś najlepszym strzelcem w hrabstwie – powiedziałam. – Mógłby...

– Skaucie, przecież wiesz, że nie będzie nosił broni – odparł Jem. – Nawet jej nie ma. I wiesz, że nie był uzbrojony nawet wtedy, nocą, przy więzieniu. Powiedział mi, że noszenie broni jest zaproszeniem, żeby ktoś cię zastrzelił.

– Ale teraz to całkiem inna sprawa – nie ustępowałam.– Możemy go poprosić, żeby od kogoś pożyczył.

Tak zrobiliśmy.

– Nonsens – odpowiedział ojciec.

Dill był zdania, że skuteczniejszy byłby apel wymierzony w łagodną stronę charakteru Atticusa: przecież pomarlibyśmy z głodu, gdyby pan Ewell go zabił, w dodatku wychowywałaby nas ciocia Alexandra, a przecież wiedzieliśmy doskonale, że zanim jeszcze nasz ojciec spocząłby w grobie, zwolniłaby Calpurnię. Jem stwierdził, że mogłabym przy tym efektownie popłakać, bo jestem mała i płci żeńskiej. Niestety, to też nie poskutkowało.

Ale kiedy Atticus zauważył, że włóczymy się smętnie po okolicy, nie jemy i mało nas obchodzą codzienne psoty, sam zrozumiał, jak bardzo byliśmy przerażeni. Spróbował ożywić Jema nowym czasopismem futbolowym, ale kiedy zobaczył, że Jem tylko przerzuca kartki i zaraz odkłada pismo, zapytał:

– Co cię trapi, synu?

Jem od razu przeszedł do rzeczy.

– Pan Ewell.

– A co się stało?

– Nic się nie stało. Boimy się o ciebie i uważamy, że powinieneś coś z nim zrobić.

Atticus uśmiechnął się cierpko.

– Co mianowicie? Załatwić mu dozór sądowy?

– Kiedy ktoś mówi w taki sposób, że cię dopadnie, to chyba chce to zrobić.

– Chciał to zrobić, kiedy to mówił – przyznał Atticus. – Jemie, postaw się na chwilę w sytuacji Boba Ewella. W toku rozprawy zniszczyłem resztki jego wiarygodności, jeśli jeszcze je miał. Musiał więc jakoś się odegrać, tacy jak on zawsze muszą. Jeśli więc naplucie mi w twarz i obrzucenie

groźbami oszczędziło Mayelli Ewell choć jednego bicia, to godzę się na to chętnie. Musiał na kimś się wyżyć i lepiej się stało, że wyżył się na mężczyźnie, a nie na gromadce dzieci. Rozumiesz?

Jem skinął głową.

Ciocia Alexandra weszła do pokoju, gdy Atticus mówił:

– Nie musimy się niczego obawiać ze strony Boba Ewella. Ulżył sobie dziś rano i to wszystko.

– Nie byłabym tego taka pewna, Atticusie – powiedziała. – Tacy jak on zrobią wszystko, żeby wyrównać rachunki. Wiesz, jacy oni są.

– A cóż takiego Ewell może mi zrobić, siostro?

– Zagra nieczysto – odparła ciocia Alexandra. – Tego możesz być pewny.

Ale po tej rozmowie już się nie baliśmy. Lato topniało z każdym dniem, więc staraliśmy się wykorzystać je do ostatka. Atticus zapewnił nas, że włos z głowy nie spadnie Tomowi Robinsonowi, póki sąd wyższej instancji nie rozpatrzy sprawy, i że Tom ma spore szanse na odzyskanie wolności, a przynajmniej na całkiem nowy proces. Siedział w więzieniu Enfield, ponad sto kilometrów od domu, w hrabstwie Chester. Zapytałam Atticusa, czy żona i dzieci mogą odwiedzać Toma, ale odpowiedział mi, że nie.

– A jeśli przegra apelację? – spytałam pewnego wieczoru. – Co się z nim stanie?

– Pójdzie na krzesło elektryczne – odparł Atticus. – Chyba że gubernator go ułaskawi. Jeszcze nie czas się martwić, Skaucie. Mamy spore szanse.

Jem leżał na kanapie i czytał „Popular Mechanics”. Teraz uniósł głowę.

– To niesprawiedliwe. Nikogo nie zabił, nawet jeśli jest winien w tej sprawie. Nie można odbierać komuś życia.

– Przecież wiesz, że taka kara grozi za gwałt w Alabamie – odparł Atticus.

– Tak, ojcze, ale sędziowie nie musieli skazywać Toma na śmierć. Mogli dać mu dwadzieścia lat, gdyby tylko chcieli.

– Jednakże – tłumaczył mu Atticus – Tom Robinson jest czarny, Jem. Żadna ława przysięgłych w tej części świata nie powie: „Uważamy, że jesteś winny, ale nie za bardzo”, kiedy zarzuty są tak poważne. Musieli wypowiedzieć się jasno: albo wszystko, albo nic.

Jem słuchał go, potrząsając głową.

– Wiem, że coś tu jest nie tak, ale nie wiem co... Może gwałt nie powinien być karany śmiercią?

Atticus położył gazetę na podłodze obok krzesła. Powiedział, że nie ma żadnych zastrzeżeń co do wysokości kar w sprawach o gwałt, ale zdecydowanie się nie zgadza, gdy oskarżenie żąda kary śmierci, a przysięgli ją orzekają na podstawie poszlak. Spojrzał na mnie, upewnił się, że słucham, i wyłożył to samo w prostszy sposób:

– Chodzi o to, że zanim na przykład skaże się kogoś na śmierć za morderstwo, powinno się znaleźć co najmniej jednego czy dwóch naocznych świadków. Ktoś powinien zeznać: „Tak, byłem tam i widziałem, jak pociągnął za spust”.

– Ale przecież wielu ludzi wisiało... zostało powieszonych... już na podstawie dowodów pośrednich – powiedział Jem.

– Wiem, i zapewne wielu z nich zasłużyło na taką karę, ale gdy brakuje świadka naocznego, zawsze pozostaje wątpliwość, niekiedy wręcz cień wątpliwości. Litera prawa dopuszcza tylko „uzasadnioną wątpliwość”, ale ja uważam, że oskarżony zawsze ma prawo do cienia wątpliwości. Zawsze istnieje możliwość, choćby najbardziej nieprawdopodobna, że człowiek ten jest niewinny.

– W takim razie wszystko zależy od przysięgłych. Powinniśmy zrezygnować z ławy przysięgłych – stwierdził z przekonaniem Jem.

Atticus nie mógł powstrzymać uśmiechu, choć bardzo się starał.

– Dość surowo oceniasz nasz system, synu. Myślę, że znalazłby się lepszy sposób: zmienić prawo. Zmienić tak, aby tylko sędzia miał prawo decydowania o karze za najcięższe przestępstwa.

– Pojedź więc do Montgomery i zmień prawo.

– Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, jakie to trudne. Ja nie dożyję tej zmiany, a jeśli ty się jej doczekasz, będziesz już bardzo starym człowiekiem.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Jema.

– Nie, ojcze, nadal uważam, że trzeba zrezygnować z przysięgłych. Tom w ogóle nie był winny, a oni twierdzili, że był!

– Gdybyś zasiadał w ławie przysięgłych, synu, wraz z jedenastoma podobnymi do ciebie chłopcami, Tom byłby wolny – odrzekł Atticus. – Jak dotąd nic w twoim życiu nie zakłóciło procesu rozumowania. W sądzie zaś mieliśmy dwunastu ludzi, którzy w codziennym życiu są całkiem rozsądni, ale jak widziałeś, tamtej nocy coś wdarło się między nich a ich trzeźwy osąd. To samo widziałeś i wtedy, gdy czuwałem pod bramą więzienia. Gdy tamci mężczyźni odjechali, nie zrobili tego dlatego, że są rozsądni, ale dlatego, że my tam byliśmy. W naszym świecie istnieje coś, co sprawia, że ludzie tracą głowy, a wtedy absolutnie nie potrafią być uczciwi. W naszych sądach, gdy słowo białego człowieka przeciwstawia się słowu czarnego, biały zawsze wygrywa. To podłe, ale takie są fakty.

– To wcale nie czyni tego wyroku bardziej sprawiedliwym – wyrecytował wolno Jem, wybijając rytm pięścią o kolano. – Nie można skazać człowieka na podstawie takich dowodów. Po prostu nie można.

– Ty byś nie mógł, ale oni mogli i zrobili to. Im będziesz starszy, tym częściej będziesz się o tym przekonywał. Jedynym miejscem, gdzie powinna dziać się sprawiedliwość, jest sala sądowa... i dotyczyć to powinno ludzi o skórze w dowolnym kolorze tęczy. Niestety, jest jakoś tak, że ludzie przenoszą swoje ukryte uprzedzenia wprost na ławę przysięgłych. Gdy będziesz starszy, przekonasz się, że biali oszukują czarnych na każdym kroku, ale pozwól, że coś ci powiem, i nigdy o tym nie zapomnij: zawsze, gdy biały człowiek czyni coś takiego czarnemu, bez względu na to, kim jest, jak jest bogaty i z jak znakomitej rodziny pochodzi, ten biały człowiek jest śmieciem.

Atticus mówił dotąd tak cicho i spokojnie, że ostatnie słowo zabrzmiało jak krzyk. Uniosłam głowę i zobaczyłam, że grymas zaciętości wykrzywił jego twarz.

– Nie ma dla mnie nic bardziej ohydnego niż biały człowiek, który wykorzystuje prostotę Murzyna. Nie oszukujmy się: wszystkie te krzywdy sumują się i pewnego dnia przyjdzie nam za nie zapłacić. Mam nadzieję, moje dzieci, że nie wydarzy się to za waszego życia.

Jem podrapał się po głowie i nagle spojrzał na ojca szeroko otwartymi oczami.

– Atticusie – powiedział – dlaczego ludzie tacy jak my albo panna Maudie nie zasiadają w ławie przysięgłych? Nigdy nie widziałem tam nikogo z Maycomb. Zawsze przyjeżdżają gdzieś ze środka puszczy...

Atticus odchylił się w bujanym fotelu, wyraźnie zadowolony z postawy Jema.

– Zastanawiałem się, kiedy zadasz sobie to pytanie – rzekł. – Istnieje wiele powodów. Po pierwsze, panna Maudie nie może być przysięgłym, ponieważ jest kobietą...

– Czy to znaczy, że kobiety w Alabamie nie mogą...? – Zatkało mnie z oburzenia.

– Nie mogą. Zdaje się, że chodzi o to, żeby chronić nasze subtelne damy przed takimi okropieństwami, jak choćby sprawa Toma. Poza tym – Atticus uśmiechnął się szelmowsko – wątpię, by kiedykolwiek udało się zakończyć jakąś sprawę przed sądem. Panie bez przerwy przerywałyby proces pytaniami.

Roześmialiśmy się z Jemem. Panna Maudie w ławie przysięgłych – tak, to by było coś! Wyobraziłam sobie też sędziwą panią Dubose w jej fotelu na kółkach: „Przestańże tłuc tym młotkiem, Johnie Taylorze; chcę o coś zapytać tego człowieka...” Niewykluczone, że nasi przodkowie byli całkiem niegłupi.

Atticus mówił dalej:

– A jeśli chodzi o ludzi takich jak my... to jest nasz udział w zapłacie rachunku. Dostajemy za swoje, krótko mówiąc. Nasi dzielni obywatele Maycomb najczęściej albo nie są zainteresowani, albo się boją. Poza tym są...

– Czego się boją? – przerwał mu Jem.

– Wyobraź sobie na przykład... że pan Link Deas musi zadecydować o wysokości odszkodowania, powiedzmy że dla panny Maudie, za to, że panna Rachel przejechała ją samochodem. Na pewno nie chciałby się narazić żadnej z dobrych klientek swojego sklepu, nieprawdaż? I dlatego mówi sędziemu Taylorowi, że nie może być przysięgłym, ponieważ pod jego nieobecność nie ma komu zająć się sklepem. I sędzia Taylor zwalnia go z tej zaszczytnej służby. Niekiedy zresztą czyni to w gniewie.

– Ale dlaczego pan Deas uważałby, że jedna ze stron przestałaby u niego kupować? – spytałam.

Jem odpowiedział:

– Panna Rachel by przestała, a panna Maudie nie. Ale Atticusie, przecież głosowanie przysięgłych jest tajne.

Ojciec zaśmiał się cicho.

– Jeszcze długa droga przed tobą, mój synu. Głosowanie przysięgłych powinno być tajne. Zasiadanie w ławie zmusza jednak człowieka do podjęcia decyzji, opowiedzenia się po którejś ze stron. Ludzie tego nie lubią, zwłaszcza że bywa to czasem nieprzyjemne.

– W sprawie Toma przysięgli powinni szybciej podjąć decyzję – powiedział cicho Jem.

– Nieprawda – odparł Atticus bardziej do siebie niż do nas, sięgając do kieszonki z zegarkiem. – Właśnie to, że tak długo obradowali, kazało mi myśleć, że być może jesteśmy świadkami nieśmiałych początków. Przysięgli naradzali się przez kilka godzin. Werdykt był może oczywisty, ale zwykle ustalenie go zabiera im ledwie kilka minut. Tym razem... – Atticus urwał i spojrzał na nas. – Pewnie ucieszy was wiadomość, że jeden z nich wymagał solidnego urobienia, ponieważ na początku głosował za natychmiastowym uniewinnieniem.

– Kto taki? – Jem był zdumiony.

W oku Atticusa spostrzegliśmy błysk.

– Nie wolno mi o tym mówić, ale trochę wam zdradzę. Jeden z waszych przyjaciół z Old Sarum...

– Ktoś od Cunninghamów? – wykrzyknął Jem. – Jeden z... Nie rozpoznałem żadnego z nich. Ty chyba żartujesz – dodał, spoglądając na ojca spod półprzymkniętych powiek.

– Jeden z ich krewnych. Miałem przeczucie i nie skreśliłem go z listy. Zwykłe przeczucie. Mogłem, ale nie skreśliłem.

– Na Mojżesza – szepnął nabożnie Jem. – W jednej chwili próbują go zabić, a w następnej chcą go puścić wolno... W życiu nie zrozumiem, o co

chodzi tym ludziom.

Atticus odrzekł na to, że trzeba ich najpierw poznać. Cunninghamowie nigdy niczego od nikogo nie przyjęli w prezencie i niczego nikomu nie zabrali, odkąd tylko pojawili się w Nowym Świecie. Atticus powiedział też, że jeśli już nabrali do kogoś szacunku, byli gotowi bronić go kłami i pazurami. Miał przeczucie, a może tylko bardzo wątłe podejrzenie, że tamtej nocy przed więzieniem Cunningham nabrał niemałego szacunku dla Finchów. A wtedy już tylko grom z jasnego nieba i drugi Cunningham na dokładkę mogli skłonić takiego do zmiany zdania.

– Gdybyśmy mieli dwóch takich w ławie, nie byłoby jednomyślnej decyzji.

– Chcesz powiedzieć – odparł z namysłem Jem – że wpuściłeś do grona przysięgłych człowieka, który poprzedniej nocy próbował cię zabić? Jak mogłeś podjąć takie ryzyko, Atticusie? Jak mogłeś?

– Kiedy się nad tym zastanowisz, przekonasz się, że ryzyko nie było wielkie. Nie ma różnicy między jednym człowiekiem, który na pewno orzeknie winę, a innym człowiekiem, który na pewno orzeknie winę. Jest natomiast pewna różnica między człowiekiem, który na pewno orzeknie winę, a człowiekiem, którego udało się skłonić do odrobiny refleksji. Ten człowiek był jedynym niepewnym punktem na liście przysięgłych.

– W jaki sposób był spokrewniony z panem Walterem Cunninghamem? – spytałam.

Atticus wstał, przeciągnął się i ziewnął. Nie była to jeszcze pora, o której zwykle szliśmy do łóżek, ale rozumieliśmy, że ojciec chce w spokoju poczytać gazetę. Podniósł ją, złożył i postukał nią w moją głowę.

– Niech no pomyślę – mruknął przeciągle. – Już wiem. Był dla niego podwójnym kuzynem pierwszego stopnia.

– To znaczy kim?

– Dwie siostry poślubiły dwóch braci. Tyle mogę ci powiedzieć, resztę wydedukuj sama.

Biedziłam się nad tym dość długo, aż wreszcie wymyśliłam, że gdybym ja wyszła za Jema, a Dill miał siostrę, którą też by poślubił, to nasze dzieci byłyby dla siebie podwójnymi kuzynami pierwszego stopnia.

– Rany koguta, Jem – powiedziałam, gdy Atticus wyszedł. – Ale dziwni ludzie... Słyszałaś to wszystko, ciotuniu?

Ciocia Alexandra dziergała kilimek i nie obserwowała nas zbytnio, ale słuchała. Siedziała w fotelu z robótką na kolanach, a kosz z wełnami stał obok. Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego damy w pochmurne wieczory tak uwielbiają dziergać wełniane kilimki.

– Słyszałam – odrzekła.

Pamiętałam dawną katastrofę, kiedy to zbyt ochoczo broniłam małego Waltera Cunninghama. Teraz jednak się cieszyłam, że to zrobiłam.

– Niedługo zacznie się rok szkolny i zaproszę Waltera do domu na obiad – snułam plany i jakoś całkiem wyleciało mi z pamięci, że nie tak dawno postanowiłam sprać go na kwaśne jabłko przy najbliższej okazji. – Po szkole też mógłby czasem u nas zostać. Atticus odwiózłby go potem do Old Sarum. A może Walter zostałby u nas na noc, zgadzasz się, Jem?

– Zobaczymy – powiedziała ciocia Alexandra, a była to deklaracja zawsze oznaczająca groźbę, nigdy obietnicę.

Odwróciłam się ku niej zaskoczona.

– Dlaczego nie, ciotuniu? To dobrzy ludzie.

Spojrzała na mnie sponad okularów.

– Jean Louise, nie mam żadnych wątpliwości, że to dobrzy ludzie. Tyle że nie z naszej sfery.

– Skaucie, ciocia chce powiedzieć, że oni lubią kręcić.

– Co to znaczy?

– No, że są pospolici, że kombinują i tak dalej.

– Ja też czasem kombinuję...

– Nie bądź głuptasem, Jean Louise – skarciła mnie ciocia Alexandra. – Chodzi o to, że nawet jeśli wyszorujesz Waltera Cunninghama na błysk, nawet jeśli dasz mu nowiutkie buty i garniturek, nigdy nie będzie taki jak Jem. Poza tym jest w ich rodzinie alkoholowa skaza, a raczej ogromna plama. Kobiety z rodu Finchów nie interesują się takimi ludźmi.

– Ciociu – wtrącił Jem. – Ona jeszcze nie ma dziewięciu lat.

– Ale już może o tym wiedzieć.

Ciocia Alexandra powiedziała swoje. Przypomniał mi się ostatni raz, kiedy tak się postawiła. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego to zrobiła. Marzyła mi się wtedy wizyta w domu Calpurnii – byłam zaciekawiona, zainteresowana, chciałam być jej gościem, zobaczyć, jak żyje, kim są jej przyjaciele. Równie dobrze mogłam pragnąć poznać ciemną stronę księżyca. Tym razem taktyka była odmienna, ale ciocia Alexandra – taka sama. Postanowiłam wziąć ją na przetrzymanie:

– Skoro to dobrzy ludzie, to dlaczego nie mogę być miła dla Waltera?

– Nie powiedziałam, że nie masz być dla niego miła. Powinnaś być grzeczna i przyjaźnie nastawiona do wszystkich i do każdego, moja droga. Tylko nie musisz zapraszać Waltera do domu.

– A gdyby był naszym krewnym, ciociu?

– Fakty są takie, że nie jest naszym krewnym, ale gdyby nawet był, moja odpowiedź byłaby taka sama.

– Ciociu – odezwał się Jem – Atticus twierdzi, że przyjaciół można sobie wybierać, a rodziny nie, i rodzina pozostaje rodziną choćby nie wiem co, a kto się do niej nie przyznaje, ten robi z siebie głupca.

– Oto i wasz cały ojciec – westchnęła ciocia Alexandra. – A ja wciąż twierdzę, że Jean Louise nie zaprosi do tego domu Waltera Cunninghama. Nawet gdyby był dawno zaginionym podwójnym kuzynem pierwszego stopnia, nie przyjęłabym go w tym domu, chyba że przyszedłby do Atticusa w interesach. I koniec.

Postawiła na swoim, ale tym razem chciałam poznać powody.

– Ale dlaczego nie mogę bawić się z Walterem, ciociu? Dlaczego?

Zdjęła okulary i spojrzała na mnie badawczo.

– Powiem ci dlaczego – odparła. – Dlatego, że to śmieć. Właśnie dlatego nie możesz się bawić z Walterem. Nie pozwolę na to, żebyś przejmowała jego obyczaje i uczyła się Bóg wie czego. I bez tego jesteś dla ojca wystarczającym problemem.

Nie wiem, co bym jej zrobiła, gdyby mnie Jem nie powstrzymał. Złapał mnie za barki, otoczył ramieniem i płaczącą z wściekłości wyprowadził do swojego pokoju. Atticus usłyszał nas i wyjrzał na korytarz.

– Wszystko w porządku, ojcze – rzucił szorstko Jem. – Nic się nie dzieje.

Atticus wrócił do siebie.

– Masz, Skaucie, pożuj sobie. – Jem wygrzebał z kieszeni batonik Tootsie Roll, który po paru minutach zmagań zamieniłam w przyjemną w smaku masę wypełniającą usta.

Jem robił porządki na komodzie. Włosy sterczały mu i z tyłu, i z przodu głowy, a ja zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będzie nosił męską fryzurę. Może gdyby zgolił je całkiem i zapuścił od nowa, zaczęłyby się układać jak należy? Miał coraz gęstsze brwi, a jego ciało było ostatnio jakby smuklejsze. Po prostu rósł.

Gdy się obejrzał, chyba miałam minę, jakbym znowu chciała się rozpłakać, bo rzekł pospiesznie:

– Pokażę ci coś, jeśli nikomu nie powiesz.

Spytałam, co mi pokaże, a on tylko rozpiął koszulę, uśmiechając się nieśmiało.

– No i co?

– No nie widzisz?

– No nie.

– No, włosy.

– Gdzie?

– O tam. Właśnie tam.

Starał się mnie pocieszyć, więc powiedziałam, że są cudne, chociaż wcale ich nie widziałam.

– Naprawdę śliczne, Jem.

– Mam też pod pachami – pochwalił się. – W przyszłym roku zaczynam poważnie grać w futbol. A ty, Skaucie... nie pozwól, żeby ciocia tak cię drażniła.

Miałam wrażenie, że ledwie wczoraj doradzał mi, żebym nie drażniła cioci.

– Bo wiesz, ona nie jest przyzwyczajona do obcowania z dziewczynami – ciągnął Jem. – W każdym razie nie z takimi jak ty. Próbuje zrobić z ciebie damę. Nie mogłabyś zająć się czasem szyciem albo czymś podobnym?

– Za cholerę. Ona mnie nie lubi i w tym cały problem, ale ja mam to gdzieś. Miarka się przebrała, kiedy nazwała Waltera Cunninghama śmieciem, Jem, nie wtedy, kiedy mówiła, że jestem dla Atticusa problemem. To ostatnie już sobie z nim wyjaśniłam. Spytałam go kiedyś, czy jestem problemem, i odpowiedział, że malutkim i że zwykle umie sobie ze mną poradzić, więc nie powinnam się ani trochę martwić, że ma ze mną

utrapienie. Powtarzam: chodziło o Waltera, bo on nie jest żadnym śmieciem, Jem. Nie jest taki jak Ewellowie.

Jem zrzucił buty i zarzucił nogi na łóżko. Oparł się o poduszkę i włączył lampkę.

– Wiesz co, Skaucie? Ja już wszystko rozszyfrowałem. Ostatnio sporo nad tym myślałem i chyba w końcu wiem. Istnieją na świecie cztery rodzaje ludzi. Są zwykli ludzie, tacy jak my i nasi sąsiedzi. I tacy jak Cunninghamowie, co mieszkają w lasach. I jak Ewellowie ze śmietniska. No i są Murzyni.

– A co z Chińczykami i pociotkami Francuzów z hrabstwa Baldwin?

– Mówię tylko o hrabstwie Maycomb. Cały kłopot w tym, że nasi nie lubią Cunninghamów, Cunninghamowie nie lubią Ewellów, a Ewellowie nienawidzą kolorowych i gardzą nimi.

Odpowiedziałam Jemowi, że skoro tak jest, to dlaczego ława przysięgłych, złożona głównie z ludzi pokroju Cunninghamów, nie uniewinniła Toma, żeby zrobić na złość Ewellom?

Jem zbył moje pytanie machnięciem ręką; podobno było infantylne.

– Wiesz – powiedział – widziałem, jak Atticus przytupuje, gdy w radiu gra muzyka. No i bardziej niż ktokolwiek uwielbia bulion...

– Tak, to nas upodabnia do Cunninghamów – orzekłam. – Nie rozumiem więc, dlaczego ciocia...

– Nie, daj mi skończyć. Upodabnia nas, ale mimo wszystko jesteśmy inni. Atticus mówił mi kiedyś, że ciocia dlatego tak wariuje na punkcie rodziny, że nie mamy centa przy duszy, a jedyną rzeczą, która nam została, jest pochodzenie.

– No, nie wiem, Jem. Mnie z kolei opowiadał, że wszystkie te teorie o starych rodach to bzdury, bo wszystkie rodziny są jednakowo stare.

Spytałam wtedy, czy to samo dotyczy kolorowych i Anglików. Atticus powiedział, że tak.

– Pochodzenie i tradycja to nie to samo, co stary ród – odparł Jem. – Moim zdaniem chodzi o to, od jak dawna dana rodzina potrafi czytać i pisać. Skaucie, ja naprawdę dobrze to wszystko przemyślałem i to jest jedyny rozsądny powód, który przyszedł mi do głowy. Gdzieś tam w dawnych czasach, gdy Finchowie żyli jeszcze w Egipcie, któryś z nich musiał nauczyć się hieroglifu czy dwóch i przekazał tę wiedzę synowi. – Jem zaśmiał się lekko. – Wyobrażasz to sobie? Ciotunia jest dumna, że jej prapradziadek potrafił czytać i pisać. Doprawdy dziwne rzeczy napawają damy dumą.

– Ja tam się cieszę, że pradziadek umiał, bo kto by nauczył Atticusa i resztę? A gdyby Atticus nie umiał czytać, ty i ja mielibyśmy niezły gips. I jakoś mi się nie wydaje, Jem, żeby o to chodziło z tym całym pochodzeniem.

– No to jak mi wytłumaczysz, czym się różnimy od Cunninghamów? Pan Walter ledwie umie się podpisać, sam widziałem. Po prostu dłużej od nich umiemy czytać i pisać, to wszystko.

– Wcale nie, bo tego każdy musi się nauczyć. Nie rodzimy się ze znajomością liter. Mały Walter na przykład jest całkiem bystry, tylko czasem ma trudniej, bo musi zostawać w domu i pomagać tacie. Ale w niczym nie jest gorszy. Nie, Jem, mówię ci, że istnieje tylko jedna odmiana ludzi. Ludzie.

Jem odwrócił się i poprawił poduszkę. Kiedy ułożył się na nowo, był już nachmurzony. Czułam, że muszę być ostrożna, bo znowu stacza się do dołka. Poznałam po ściągniętych brwiach i ustach, które zmieniły się w cieniutką linię. Milczał przez chwilę.

– Ja też tak myślałem – przyznał w końcu – kiedy byłem w twoim wieku. Ale jeśli istnieje tylko jeden rodzaj ludzi, to dlaczego nie możemy żyć ze sobą w pokoju? Skoro wszyscy są tacy podobni, czemu schodzą czasem z dobrej drogi i zaczynają gardzić sobą nawzajem? Skaucie, mam wrażenie, że zaczynam coś rozumieć. Zaczynam rozumieć, dlaczego Boo Radley od tylu lat nie wychodzi z domu... To dlatego, że on chce tam zostać.

# Rozdział 24

Calpurnia, przewiązana swym najsztywniej wykrochmalonym fartuchem, niosła tacę z szarlotką. Zbliżyła się tyłem do wahadłowych drzwi i pchnęła je delikatnie. Podziwiałam łatwość i grację, z jaką nosiła ciężkie ładunki przysmaków. Podobnego zdania musiała być ciocia Alexandra, jak mi się zdawało, bo tego dnia pozwoliła Calpurnii podawać do stołu.

Sierpień był już bliski przemiany we wrzesień. Dill miał opuścić nas nazajutrz, by wrócić do Meridian. Tego dnia poszedł z Jemem nad Wir Barkera. Ku swemu zdumieniu i złości Jem dowiedział się właśnie, że nikt nigdy nie zadał sobie trudu nauczenia Dilla pływania, którą to umiejętność uważał za równie ważną jak chodzenie. Spędzili więc dwa popołudnia nad strumieniem, zapowiedziawszy mi wcześniej, że będą kąpać się nago i dlatego nie mogę iść z nimi. Moje samotne godziny zmuszona byłam podzielić między Calpurnię i pannę Maudie.

Tego dnia ciocia Alexandra i jej koleżanki z kółka misyjnego toczyły swą świętą krucjatę w całym naszym domu. Do kuchni dobiegał głos pani Grace Merriweather, która składała w salonie raport o skandalicznych warunkach życia plemienia Mrunów. Nieszczęśnicy ci zostawiali kobiety same w chatach, gdy nadchodził ich czas (cokolwiek to miało znaczyć) i nie mieli zupełnie instynktu rodzinnego (co musiało niezmiernie martwić ciotunię), a w dodatku poddawali dzieci okrutnym próbom, gdy osiągały trzynasty rok życia. Cierpieli też z powodu owrzodzeń i robactwa w uszach, a na dodatek żuli korę drzew, wypluwali ją do wspólnego gara i upijali się tak przyrządzonym specjałem.

Zaraz po wysłuchaniu tej relacji damy udały się na poczęstunek.

Nie wiedziałam, czy powinnam wejść do jadalni czy trzymać się z daleka. Ciocia Alexandra powiedziała, że też mogę się częstować; tylko przy pierwszej, oficjalnej części spotkania nie musiałam być obecna, bo jej zdaniem byłabym znudzona. Miałam na sobie moją niedzielną różową sukienkę, pantofelki i halkę – pomyślałam, że jeśli cokolwiek na siebie wyleję, Calpurnia będzie musiała prać moje ubranie, żebym nazajutrz mogła je znowu włożyć. I tak miała pracowity dzień. Postanowiłam zostać w ukryciu.

– Mogę ci pomóc, Cal? – spytałam, bo naprawdę chciałam się przydać.

Calpurnia przystanęła w drzwiach.

– Pomożesz mi, siedząc tu jak mysz pod miotłą – odparła. – A także ładując tace, kiedy tu wrócę.

Gdy uchylała drzwi, łagodny gwar kobiecych głosów stopniowo narastał.

– Ależ Alexandro, nigdy nie widziałam takiej szarlotki... jest wspaniała... mnie nigdy nie udaje się tak przypiec... i kto by pomyślał o tych ciasteczkach z jeżynami... Calpurnia?... Nie do wiary... a wiecie już, że żona pastora... no tak, jest, a to pierwsze jeszcze nie chodzi...

Ucichły nagle i wiedziałam, że to Calpurnia weszła do pokoju, żeby je obsłużyć. Wróciła po chwili i postawiła na tacy srebrny dzbanek mojej matki.

– Ten dzbanek to unikat – mruknęła. – Dziś już takich nie robią.

– Mogę go zanieść?

– Jeśli będziesz ostrożna i nie upuścisz... Postaw na końcu stołu, przy cioci Alexandrze, filiżankach i tak dalej. Ona będzie nalewać.

Spróbowałam nacisnąć pupą drzwi tak, jak robiła to Calpurnia, ale nie ustąpiły. Uśmiechając się szeroko, Cal otworzyła je przede mną.

– Tylko uważaj, bo ciężki jest. Nie patrz na niego, to nie rozlejesz.

Moja wyprawa zakończyła się sukcesem: ciocia Alexandra uśmiechnęła się promiennie.

– Zostań z nami, Jean Louise – powiedziała.

Był to element jej kampanii, która miała zrobić ze mnie damę.

Zwyczaj kółka misyjnego nakazywał, by gospodyni spotkania zapraszała na poczęstunek także sąsiadki, czy to baptystki czy prezbiterianki, a to oznaczało, że gościły u nas panna Rachel (zdumiewająco trzeźwa), panna Maudie oraz panna Stephanie Crawford. Lekko zdenerwowana zajęłam miejsce obok panny Maudie i zastanawiałam się, dlaczego to damy wkładają kapelusze, gdy muszą jedynie przejść na drugą stronę ulicy. Większe skupiska dam zawsze napełniały mnie nieokreślonym niepokojem i gorącym pragnieniem bycia gdzie indziej, ale ciocia Alexandra nazywała to doznanie „przykładem zepsucia”.

Pięknie wyglądały w sukniach o delikatnych, pastelowych barwach. Były mocno upudrowane, ale nie używały różu; ze szminek dozwolona była jedynie ta w naturalnym kolorze ust. Cutex lśniący na ich paznokciach również miał naturalny odcień; tylko niektóre z młodszych dam pozwalały sobie na wersję różową. Niebiańsko pachniały. Siedziałam cichutko, zaciskając dłonie na podłokietnikach, i czekałam, aż ktoś się do mnie odezwie.

Mostek panny Maudie błysnął w moją stronę.

– Pięknie się dziś ubrałaś, panno Jean Louise – powiedziała. – Gdzie twoje bryczesy?

– Pod sukienką.

Wcale nie chciałam być dowcipna, a jednak panie roześmiały się w głos. Poczułam gorąco na policzkach, gdy dotarło do mnie, że palnęłam gafę, ale panna Maudie wciąż spoglądała na mnie z powagą. Ona jedna nigdy się nie śmiała z moich słów, chyba że żartowałam.

W nagłej ciszy, która potem nastąpiła, z końca pokoju zawołała do mnie panna Stephanie Crawford:

– Jean Louise, kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz? Prawnikiem?

– Nie, proszę pani, jeszcze się nie zastanawiałam... – odpowiedziałam wdzięczna, że panna Stephanie była tak miła i zmieniła temat. W pośpiechu poszukiwałam dla siebie odpowiedniego fachu: pielęgniarka? Pilot? – Cóż...

– No proszę, a byłam pewna, że chcesz być prawnikiem, bo już zaczęłaś bywać w sądzie.

Panie znowu się roześmiały.

– Pocieszna ta nasza Stephanie – usłyszałam. Ktoś zachęcił pannę Stephanie do kontynuowania tego wątku.

– Naprawdę nie chcesz być prawnikiem?

Panna Maudie dotknęła mojej dłoni i chyba dzięki temu udało mi się odpowiedzieć w miarę łagodnie:

– Nie, tylko damą.

Panna Stephanie spojrzała na mnie podejrzliwie, ale doszła do wniosku, że nie była to ukryta bezczelność, i zadowoliła się stwierdzeniem:

– No cóż, nie zajdziesz w tym zbyt daleko, jeśli nie zaczniesz częściej nosić sukienek.

Dłoń panny Maudie zacisnęła się na mojej i nic już nie powiedziałam. Wystarczyło mi jej ciepło.

Pani Grace Merriweather siedziała po mojej lewej stronie i uznałam, że uprzejmie będzie zagadnąć ją o coś. Pan Merriweather, wierny metodysta z przymusu, najwyraźniej nie dostrzegał aluzyjności w słowach hymnu „O, Gratia, jak słodki to dźwięk, co ocalił mnie grzesznego...” W Maycomb jednak panowało dość powszechne przekonanie, iż to pani Merriweather pomogła mu otrzeźwieć i stać się w miarę przydatnym obywatelem. Z całą

pewnością była ona najbardziej bogobojną osobą w mieście. Długo się zastanawiałam, jaki temat mógłby ją zainteresować.

– O czym panie dyskutowały dziś po południu? – spytałam wreszcie.

– Och, moje dziecko, o tych nieszczęsnych Mrunach – odparła. To wystarczyło; nie potrzebowała już wielu pytań, by mówić dalej.

Wielkie, brązowe oczy pani Merriweather napełniły się łzami na samo wspomnienie o tych nieszczęśnikach.

– Żyją w dżungli i nie mają nikogo prócz J. Grimesa Everetta – ciągnęła. – Żaden biały człowiek nawet się do nich nie zbliży prócz tego świętego, J. Grimesa Everetta.

Pani Merriweather grała na swym głosie jak na organach; każde słowo, które wypowiedziała, musiało wybrzmieć do końca:

– Bieda... ciemnota... grzech... Jeden J. Grimes Everett wie, jak tam jest naprawdę. Ale widzisz, gdy Kościół wysłał mnie z misją do jego siedziby, J. Grimes Everett powiedział mi...

– To on tam był, proszę pani? Myślałam, że...

– Był w domu, na urlopie. Otóż J. Grimes Everett powiedział mi: „Pani Merriweather, nie ma pani pojęcia, powtarzam: pojęcia pani nie ma, o co my tam walczymy”. Tak mi powiedział!

– Rozumiem, proszę pani.

– A ja mu odrzekłam: „Panie Everett, damy z Południowego Kościoła Episkopalnego Metodystów w Maycomb w Alabamie popierają pana całkowicie”. Tak mu odrzekłam. I wiesz, zaraz potem ślubowałam sobie w sercu, że kiedy wrócę do domu, wygłoszę prelekcję o Mrunach i przyniosę przesłanie J. Grimesa Everetta do Maycomb. I to właśnie robię.

– Rozumiem, proszę pani.

Pani Merriweather potrząsnęła czarnymi lokami.

– Jean Louise – powiedziała – jesteś szczęśliwym dzieckiem. Mieszkasz w chrześcijańskim domu, wśród chrześcijańskiego ludu, w chrześcijańskim mieście. Tam, gdzie pracuje J. Grimes Everett, nie ma nic prócz grzechu i nędzy.

– Rozumiem, proszę pani.

– Grzechu i nędzy... Co takiego, Gertrude? – Pani Merriweather przeniosła uwagę na damę siedzącą obok. – Ach, tak. Ja zawsze powtarzam: wybaczaj i zapominaj, wybaczaj i zapominaj. A Kościół powinien teraz pomóc jej wieść chrześcijański żywot, choćby dla tych dzieci. Nasi panowie muszą pójść tam i porozmawiać z ich pastorem, żeby ją do tego zachęcił.

– Przepraszam, pani Merriweather – wtrąciłam – czy rozmawiają panie o Mayelli Ewell?

– May...? Nie, moje dziecko. O żonie tego czarnucha, Toma. Toma...

– Robinsona, proszę pani.

Pani Merriweather odwróciła się ku swej sąsiadce.

– W jedno wierzę niezłomnie, Gertrude – kontynuowała – chociaż nie wszyscy się ze mną zgadzają. Otóż jeśli damy im odczuć, że im wybaczamy, że zapomnieliśmy, to wszystko to się rozleci.

– Aaa... pani Merriweather – wtrąciłam się ponownie – co się rozleci?

Znowu na mnie spojrzała. Była jedną z tych bezdzietnych dojrzałych osób, które uważają, że do dzieci należy zwracać się zupełnie innym tonem niż do dorosłych.

– Nic takiego, Jean Louise – odparła dostojnym largo. – Kucharze i robotnicy rolni są niezadowoleni, ale już im to przechodzi... narzekali przez cały dzień po procesie. – Pani Merriweather patrzyła teraz na panią Farrow. – Gertrude, powiadam ci, nie ma nic bardziej denerwującego niż nadąsany czarnuch. Smętnie wykrzywione, wielkie wargi. Dzień mi się

zaraz kończy, kiedy widzę takiego w kuchni. Wiesz, co powiedziałam mojej Sophy, Gertrude? Powiedziałam: „Sophy, dziś nie zachowujesz się po chrześcijańsku. Pan Jezus nigdy nie narzekał i nie złorzeczył”. I wiesz co? Pomogło jej. Oderwała wreszcie wzrok od podłogi i mówi: „Nie, pani Merriweather, Jezus nigdy nie narzekał”. Powiadam ci, Gertrude, nigdy nie należy marnować okazji, by być świadkiem Pana.

Przypomniały mi się małe, zabytkowe organy w kaplicy na terenie Finch’s Landing. Gdy byłam malutka, jeśli tylko przez cały dzień byłam bardzo grzeczna, Atticus pozwalał mi pompować miechem, a sam wygrywał melodię jednym palcem. Ostatnia nuta trwała tak długo, aż wyczerpał się cały zapas powietrza. Osądziłam teraz, że w pani Merriweather skończyło się powietrze. Gdy napełniała się na nowo, pani Farrow przygotowywała się, żeby coś powiedzieć.

Była fantastycznie zbudowaną kobietą o jasnych oczach i wąskich stopach. Miała świeżo zrobioną trwałą; jej włosy były jedną masą ciasno zwiniętych, szarych pierścieni. Pod względem pobożności była w Maycomb numerem drugim. Miała intrygujący nawyk poprzedzania każdej wypowiedzi cichym syczeniem.

– Sss Grace – zaczęła – właśnie wczoraj mówiła o tym bratu Hutsonowi: „Sss bracie Hutson, wygląda na to, że toczymy przegraną bitwę, przegraną bitwę”. I jeszcze: „Sss to wszystko nic a nic dla nich nie znaczy. Możemy ich edukować aż do omdlenia, możemy choćby i do śmierci starać się zrobić z nich chrześcijan, ale i tak w tych dniach żadna biała kobieta nie będzie bezpieczna w swoim łóżku”. A on mi na to odpowiedział: „Pani Farrow, naprawdę nie wiem, jak się to wszystko skończy”. Sss odrzekłam mu, że to święta prawda.

Pani Merriweather pokiwała głową jak mędrzec. Jej głos przebił się przez brzęk filiżanek z kawą i ciche odgłosy konsumpcji podwieczorku,

które upodabniały szacowne grono dam do stadka przeżuwaczy.

– Gertrude – zaczęła – mówię ci, że są w tym mieście jeszcze dobrzy ludzie, którzy jedynie zboczyli z właściwej drogi. Dobrzy, ale zagubieni. Ludzie, którym się wydaje, że słusznie postępują. Oczywiście jestem jak najdalsza od wskazywania palcem, ale niektórzy z mieszkańców naszego miasta, którym się zdawało, że czynią dobro, wzbudzili jedynie niepokój wśród czarnych. Nic więcej. Być może w danej chwili sądzili, że są po właściwej stronie... Ja oczywiście się nie znam, to nie moja specjalność, ale nadąsani... niezadowoleni Murzyni... Mówię ci, gdyby moja Sophy zachowywała się tak jeszcze dzień dłużej, zwolniłabym ją. Jeszcze nie dotarło do tego jej wełnistego łba, że trzymam ją tylko dlatego, że trwa kryzys i nie przeżyłaby, gdybym jej nie zapłaciła tego dolara i dwudziestu pięciu centów za tydzień.

– Ale poczęstunek na jego koszt jakoś nie staje ci w gardle, co?

Były to słowa panny Maudie. U kącików jej ust pojawiły się dwie wąskie kreski. Siedziała w milczeniu obok mnie, trzymając filiżankę na kolanie. Ja już dawno przestałam śledzić rozmowę, zaraz po tym, jak panie przestały mówić o żonie Toma Robinsona, i z przyjemnością rozmyślałam o Finch’s Landing i o rzece. Wyglądało na to, że ciocia Alexandra wszystko opacznie zrozumiała: oficjalna część spotkania zapewne mroziła krew w żyłach, natomiast towarzyska nudziła mnie niemiłosiernie.

– Maudie, jestem absolutnie pewna, że nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiedziała pani Merriweather.

– Ja zaś absolutnie pewna, że masz – odparła zwięźle panna Maudie.

Więcej się nie odezwała. Gdy panna Maudie była rozdrażniona, zawsze mówiła tak zwięźle i lodowato. Coś ją strasznie rozzłościło, bo nawet oczy miała tak zimne jak głos. Pani Merriweather poczerwieniała, zerknęła na mnie przelotnie i odwróciła głowę. Pani Farrow nie widziałam.

Ciocia Alexandra wstała od stołu i sprawnie zaserwowała paniom jeszcze trochę smakołyków, przy okazji rozpoczynając ożywioną konwersację z panią Merriweather i panią Gates. Gdy do rozmowy włączyła się jeszcze pani Perkins, ciocia Alexandra wycofała się i posłała pannie Maudie spojrzenie tak pełne wdzięczności, że aż zadumałam się nad skomplikowanym światem kobiet. Panna Maudie i ciocia Alexandra nigdy nie były sobie specjalnie bliskie, a tu nagle ciocia bezgłośnie dziękowała za coś naszej sąsiadce. Nie miałam pojęcia za co. Byłam jednak zadowolona, że można ciotunię sprowokować nawet do okazania wdzięczności za wsparcie. Nie miałam wątpliwości, że wkrótce będę musiała wkroczyć w ten świat, w którym – przynajmniej na pozór – wonne panie kołysały się niespiesznie, wachlowały z umiarem i sączyły chłodną wodę.

Tylko że jedynie w świecie mojego ojca czułam się jak w domu. Ludzie tacy jak pan Heck Tate nie łapali mnie w pułapkę niewinnych pytań tylko po to, żeby się ze mnie śmiać. Nawet Jem nie krytykował mnie za bardzo, jeśli nie palnęłam czegoś wybitnie głupiego. Damy, które mnie otaczały, żyły najwyraźniej w lęku przed mężczyznami i jakoś nie wydawały mi się zdolne do tego, by otworzyć się na nich całym sercem. A ja lubiłam mężczyzn. Było w nich coś, bez względu na to, ile przeklinali i pili, i grali, i żuli; bez względu na to, jak byli nieapetyczni, było w nich coś, co instynktownie lubiłam... Może po prostu nie byli to...

– ...hipokryci, pani Perkins, urodzeni hipokryci – mówiła właśnie pani Merriweather. – Ale przynajmniej na naszych barkach nie spoczywa ten grzech. To tamci dali im wolność, ale jakoś nie widać, żeby zapraszali ich do swoich stołów. My przynajmniej nie musimy mijać się z prawdą i mówić jak tamci: „Jesteście równie dobrzy jak my, ale lepiej trzymajcie się od nas z daleka”. My mówimy: „Wy żyjcie po swojemu, a my będziemy żyć po naszemu”. Zdaje mi się, że ta kobieta, ta pani Roosevelt postradała zmysły,

po prostu postradała zmysły, skoro przyjechała do Birmingham i chciała siadać z nimi przy jednym stole. Gdybym była burmistrzem Birmingham, tobym...

Cóż, żadna z nas nie była burmistrzem Birmingham, ale marzyło mi się zostać choć na jeden dzień gubernatorem Alabamy. Zwolniłabym Toma Robinsona z więzienia tak szybko, że panie z kółka misyjnego nie zdążyłyby nawet westchnąć. Dzień wcześniej Calpurnia opowiadała kucharce panny Rachel, jak źle Tom znosi pobyt za kratkami, i wcale nie przestała mówić, kiedy weszłam do kuchni. Powiedziała, że Atticus w żaden sposób nie może mu teraz pomóc i że ostatnią rzeczą, którą Atticus usłyszał, zanim Toma zabrano, były słowa: „Do widzenia, panie Finch, nic już pan nie poradzi, więc nawet nie ma sensu próbować". Calpurnia dodała jeszcze, że według Atticusa, tego dnia, gdy go wieźli do więzienia, Tom stracił wszelką nadzieję. Mój ojciec próbował wyjaśniać mu sytuację i przekonywać, że nie należy tracić nadziei, ponieważ on, Atticus, zrobi wszystko, by wydostać go na wolność. Kucharka panny Rachel zapytała Calpurnię, dlaczego pan Finch nie powiedział po prostu: „Tak, Tom, wyjdziesz na wolność", i nie poprzestał na tym. Na pewno podniosłoby to skazańca na duchu. Calpurnia odpowiedziała jej:

– Widać, że nie masz pojęcia o prawie. Pierwsza zasada, którą poznajesz, gdy trafiasz do prawniczej rodziny, brzmi tak: nigdy na żadne pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Pan Finch nie mógł nic więcej powiedzieć, ponieważ nie wie, czy na pewno sprawa potoczy się tak, jak tego chce.

Drzwi frontowe huknęły nagle i usłyszałam kroki Atticusa w holu. Odruchowo pomyślałam, że przyszedł wcześnie, zdecydowanie wcześniej niż zwykle. Zwłaszcza że w dniach zebrań kółka misyjnego wolał zostawać w mieście aż do zmroku.

Stanął w drzwiach. Był blady, a kapelusz trzymał w dłoni.

– Drogie panie wybaczą – powiedział. – Proszę kontynuować zebranie, ja nie przeszkodzę. Alexandro, przyjdziesz na chwilę do kuchni? Chciałbym pożyczyć Calpurnię na jakiś czas.

Nie przeszedł przez jadalnię, tylko cofnął się do holu i stamtąd wszedł bocznymi drzwiami do kuchni. Tam wyszłyśmy mu na spotkanie z ciocią Alexandrą. Zaraz potem drzwi do jadalni otworzyły się ponownie i dołączyła do nas panna Maudie. Calpurnia właśnie podnosiła się z krzesła.

– Cal – odezwał się Atticus – chciałbym, żebyś pojechała ze mną do domu Helen Robinson...

– Co się stało? – spytała ciocia Alexandra, wystraszona wyrazem twarzy mojego ojca.

– Tom nie żyje.

Ciocia Alexandra zakryła dłonią usta.

– Zastrzelili go – wyjaśnił Atticus. – Próbował uciekać podczas gimnastyki. Podobno nagle rzucił się na oślep w stronę siatki i zaczął się wspinać. Na oczach strażników.

– Nie próbowali go zatrzymać? Nie ostrzegli go? – spytała drżącym głosem ciocia Alexandra.

– O, tak, wołali, żeby się zatrzymał. Strzelili też parę razy w powietrze, a potem... w niego. Trafili go, gdy był już prawie u szczytu ogrodzenia. Mówili, że gdyby miał dwa sprawne ramiona, zdołałby uciec, tak szybko się poruszał. Władowali w niego siedemnaście kul. Cal, proszę, pojedź ze mną i pomóż mi zawiadomić o tym Helen.

– Tak, proszę pana – szepnęła, siłując się z kokardą fartucha.

Panna Maudie podeszła do niej i pomogła jej odwiązać wstążki.

– Miara się przebrała, Atticusie – powiedziała ciocia Alexandra.

– Zależy, jak na to spojrzeć – odparł. – Co znaczy jeden Murzyn mniej czy więcej, kiedy jest ich za kratami dwustu? Dla tych strażników to nie był Tom, tylko uciekający więzień.

Mój ojciec oparł się o lodówkę, odsunął okulary na czoło i potarł oczy palcami.

– A mieliśmy taką szansę – powiedział. – Mówiłem mu dokładnie to, co myślałem: nie mogę rzec nic więcej ponad to, że ma spore szanse. Teraz sądzę, że Tom miał już dość białych ludzi i ich szans. Wolał spróbować na własną rękę. Gotowa, Cal?

– Tak jest, panie Finch.

– Zatem jedźmy.

Ciocia Alexandra usiadła na miejscu Calpurnii i ukryła twarz w dłoniach. Nie ruszała się wcale i była tak cicha, że zaczęłam się zastanawiać, czy zaraz nie zemdleje. Słyszałam, jak panna Maudie oddycha ciężko, jakby wspinała się po schodach. Z jadalni dobiegał radosny świergot dam.

Pomyślałam, że ciocia Alexandra płacze, ale gdy opuściła ręce, przekonałam się, że nie. Wyglądała tylko na zmęczoną. Przemówiła beznamiętnie:

– Nie mogę powiedzieć, żebym aprobowała każdy jego krok, Maudie, ale jest moim bratem i chciałabym wiedzieć, kiedy to się wreszcie skończy. To go niszczy, rozrywa na strzępy – dodała podniesionym głosem. – Widziałam go, gdy... Powiedz, Maudie, czego oni jeszcze od niego chcą? Czego jeszcze?

– Kto czegoś od niego chce, Alexandro? – spytała panna Maudie.

– Ludzie z tego miasta. Bardzo chętnie zobaczą, jak robi to, czego sami boją się dokonać, bo mogliby stracić parę centów. Bardzo chętnie zobaczą, jak niszczy sobie zdrowie, robiąc to, czego się boją, bo są...

– Ciszej, bo cię usłyszą – przerwała jej panna Maudie. – A czy kiedykolwiek myślałaś o tym inaczej, Alexandro? Na przykład tak: czy Maycomb o tym wie czy nie, oddajemy mu największy hołd, jaki można oddać... ufamy, że postąpi słusznie. To takie proste.

– Kto? – Ciocia Alexandra nie miała pojęcia, że zadając to pytanie, niczym się nie różni od swego dwunastoletniego bratanka.

– Garstka ludzi w tym mieście, którzy twierdzą, że elementarna przyzwoitość nie jest opatrzona znakiem „tylko dla białych”. Garstka ludzi, którzy twierdzą, że uczciwy proces należy się każdemu, nie tylko nam. Garstka ludzi, którzy mają w sobie dość skromności, by na widok Murzyna pomyśleć: tylko z łaski Boga nie jestem nim. – Panna Maudie znowu była sobą, mówiła zwięźle i zdecydowanie. – Garstka ludzi w tym mieście, którzy mają właściwe pochodzenie... oto, kim jesteśmy.

Gdybym bardziej uważała, mogłabym dorzucić kolejny skrawek wiedzy do definicji pochodzenia, nad którą biedził się Jem, ale w tym momencie drżałam już cała i nie mogłam się opanować. Widziałam kiedyś więzienie Enfield; Atticus pokazywał mi tam plac ćwiczeń, wielki jak boisko do futbolu.

– Przestań się trząść – rozkazała mi panna Maudie. Przestałam. – Wstawaj, Alexandro, już dość długo nas tam nie było.

Ciocia Alexandra wstała i wyrównała fiszbiny sięgające jej bioder. Wyjęła zza pasa chusteczkę i wytarła nos. Przygładziła włosy i spytała:

– Widać po mnie?

– Ani trochę – odrzekła panna Maudie. – Pozbierałaś się, Jean Louise?

– Tak, proszę pani.

– Zatem wracajmy do towarzystwa – zakończyła ponuro.

Ich głosy znów przybrały na sile, gdy panna Maudie otworzyła drzwi do jadalni. Ciocia Alexandra szła przede mną; widziałam, jak uniosła głowę,

mijając próg.

– Och, pani Perkins! – zawołała. – Widzę, że brakuje pani kawy. Już podaję.

– Calpurnia musiała wyjść na parę minut, Grace – wyjaśniła panna Maudie. – Pozwól, że ja ci podam te ciasteczka z jeżynami. Czy słyszałaś już, co wczoraj zrobił ten mój kuzyn, który tak uwielbia łowić ryby...?

Ruszyły wzdłuż rzędu roześmianych kobiet, wokół całej jadalni, dolewając kawy i roznosząc smakołyki, jakby jedynym ich problemem była chwilowa katastrofa domowa polegająca na tym, że Calpurnia musiała wyjść.

Znowu zaczął narastać wokół mnie łagodny szum głosów:

– Tak jest, pani Perkins, ten J. Grimes Everett to prawdziwy święty męczennik, on... musieli się pobrać, więc uciekli... do salonu piękności w każde sobotnie popołudnie... gdy tylko zajdzie słońce. Chodzi spać z... kurczaki, cała skrzynka chorych kurczaków. Fred twierdzi, że od tego się zaczęło. Mówił mi też, że...

Ciocia Alexandra spojrzała na mnie z przeciwległego krańca pokoju i uśmiechnęła się. Potem skierowała wzrok na tacę z ciastkami, która leżała na stole, i skinęła głową zachęcająco. Ostrożnie uniosłam tacę i podeszłam do pani Merriweather. Siląc się na najlepsze maniery, spytałam, czy chciałaby się poczęstować. W końcu jeśli ciotunia potrafiła być damą w takiej chwili, to ja też.

# Rozdział 25

Nie rób tego, Skaucie. Połóż go na schodkach.

– Jem, czyś ty zwariował...?

– Powiedziałem, połóż go na schodkach.

Westchnęłam, zgarnęłam do ręki maleńkie stworzenie, ułożyłam na najniższym stopniu i wróciłam do łóżka. Wrzesień już się zaczął, ale nie przyniósł chłodu i wciąż mogliśmy spać za moskitierą otaczającą werandę na tyłach domu. Świetliki jeszcze fruwały nad ogrodem, a pełzające i latające owady, które przez całe lato zderzały się z siateczkową zasłoną, ani myślały chować się tam, gdzie zwykle się chowają z nadejściem jesieni.

Tylko jeden owad zdołał się zakraść do domu – domyślałam się, że wdrapał się po schodach i przecisnął pod drzwiami. Właśnie odkładałam książkę na podłogę, kiedy go zauważyłam. Stworzenia tego gatunku mają nie więcej niż dwa i pół centymetra długości, a dotknięcie ich palcem sprawia, że zwijają się w zwartą, szarą kulkę.

Leżąc na brzuchu, wyciągnęłam rękę i stuknęłam intruza w grzbiet. Zwinął się. Po chwili poczuł się bezpieczny, jak sądzę, i wolno wrócił do normalnego kształtu. Przeszedł kilkanaście centymetrów, przebierając setką nóg, i znowu go musnęłam. Zwinął się. Byłam senna i postanowiłam zakończyć tę znajomość. Moja ręka już opadała, gdy odezwał się Jem.

Patrzył na mnie spode łba. Być może był to jeszcze jeden przejaw tej fazy, którą teraz przechodził; z całego serca życzyłam mu, żeby już ją przeszedł do końca. Z całą pewnością nigdy nie był okrutny dla zwierząt, ale też nie wiedziałam, że jego miłość do świata obejmowała nawet królestwo owadów.

– Dlaczego nie miałabym go rozpłaszczyć? – spytałam.

– Dlatego, że nic ci nie zrobił – odpowiedział mi z ciemności głos Jema, który właśnie wyłączył lampkę.

– Domyślam się, że właśnie wkroczyłeś w fazę niezabijania much i komarów? – odrzekłam. – Daj mi znać, kiedy znowu zmienisz zdanie. Ale jedno ci powiem, nie będę siedzieć bezczynnie, kiedy lądzień zacznie mi się wgryzać w nogę.

– Och, przymknij się już – mruknął sennie.

To Jem z każdym dniem bardziej upodabniał się do dziewczyny, nie ja. Ułożyłam się wygodnie na plecach i czekałam na sen, rozmyślając o Dillu. Opuścił nas pierwszego dnia miesiąca, z mocnym postanowieniem, że powróci, gdy tylko skończy się rok szkolny. Przypuszczał, że jego rodzice już mniej więcej pojęli, że lubi spędzać wakacje w Maycomb. Panna Rachel zabrała nas ze sobą taksówką do węzła Maycomb, a Dill machał nam z okna pociągu tak długo, aż zniknął nam z oczu. Nie zniknął jednak z pamięci; tęskniłam za nim. Przez ostatnie dwa dni pobytu Jem uczył Dilla pływać...

Uczył go pływać. Nagle odechciało mi się spać, bo przypomniałam sobie, co mi opowiedział Dill.

Wir Barkera znajduje się na samym końcu drogi gruntowej biegnącej w bok od szosy na Meridian, mniej więcej półtora kilometra za miastem. Łatwo podjechać tam na wozie z bawełną albo i samochodem osobowym, a potem dojść pieszo do strumienia, ale perspektywa powrotu na własnych nogach o zmroku, gdy ruch na szosie jest niewielki, jest raczej zniechęcająca i dlatego pływacy nigdy nie zostają przy Wirze zbyt długo.

Według Dilla, właśnie zdążyli z Jemem dotrzeć z powrotem do drogi Maycomb-Meridian, gdy zobaczyli, że w ich stronę jedzie z przeciwka

Atticus. Wydawało się, że ich nie widzi, więc obaj zaczęli wymachiwać rękami. Wreszcie zwolnił, a kiedy dobiegli do samochodu, usłyszeli:

– Lepiej dojedźcie do miasta okazją. Ja będę wracał dość późno.

Na tylnym siedzeniu siedziała Calpurnia.

Jem najpierw zaprotestował, a potem zaczął prosić.

– Zgoda – rzekł wreszcie Atticus. – Możecie pojechać z nami, ale pod warunkiem że posiedzicie w samochodzie.

W drodze do domu Toma Robinsona powiedział im, co się stało.

Zjechali z szosy, wolno przejechali obok wysypiska i posesji Ewellów, aż dotarli wąską alejką do kolonii murzyńskich domków. Dill mówił mi, że przed domem Toma gromadka czarnych dzieci grała w kulki. Atticus zatrzymał wóz i wysiadł, a Calpurnia podążyła za nim w stronę furtki.

Dill usłyszał, jak Atticus pyta jedno z dzieci:

– Sam, gdzie wasza mama?

– U siostry Stevens, panie Finch – padła odpowiedź. – Mam po nią pobiec?

Według Dilla, nasz ojciec się wahał. Wreszcie kiwnął potakująco głową i Sam pobiegł po matkę.

– Grajcie dalej, chłopcy – powiedział Atticus.

Do drzwi domku podeszła mała dziewczynka i przystanęła, spoglądając na Atticusa. Dill mówił, że miała gęstwinę małych, sztywnych warkoczyków, z których każdy zakończony był barwną kokardką. Uśmiechnęła się od ucha do ucha i ruszyła w stronę naszego ojca, ale była zbyt mała, żeby samodzielnie zejść po schodkach. Atticus podszedł do niej, zdjął kapelusz i podał jej palec. Chwyciła go i zeszła powoli, a ojciec przekazał ją Calpurnii.

Sam przybiegł truchtem za plecami matki. Dill mówił, że Helen powiedziała tylko:

– Dobry wieczór, panie Finch, może pan usiądzie?

I już nic więcej nie powiedzieli, ani ona, ani Atticus.

– Skaucie – relacjonował Dill – ona po prostu upadła na ziemię. Upadła tak bezwładnie, jakby olbrzymia stopa przyszła i wdepnęła ją w grunt. Po prostu łup... – tu Dill uderzył w ziemię pulchną stopą. – Tak, jakbyś rozgniotła mrówkę.

Calpurnia i Atticus podnieśli Helen i na wpół niosąc ją, na wpół prowadząc, weszli do domu. Zostali tam długo, aż wreszcie Atticus wyszedł sam i odjechali. Gdy mijali wysypisko, Ewellowie coś do nich wrzeszczeli, ale Dill nic nie zrozumiał.

Maycomb interesowało się wieścią o śmierci Toma nie dłużej niż dwa dni. Tyle wystarczyło, by informacja rozeszła się po całym hrabstwie.

– Słyszeliście już?... Nie? Podobno biegł jak błyskawica...

Dla Maycomb śmierć Toma była Typowym Zjawiskiem. Typowe było to, że czarnuch rzucił się do ucieczki. Typowa była jego murzyńska mentalność: bez żadnego planu, bez zastanowienia nad przyszłością, byle biec przed siebie przy pierwszej nadarzającej się okazji. Zabawne, bo Atticus Finch mógł wyciągnąć go z pudła, ale zaraz... Nie, do diabła. Przecież wiadomo, jacy oni są. Łatwo przyszło, łatwo poszło. To tylko jeszcze jeden dowód... Bo ten Robinson był przecież legalnie żonaty, podobno nawet czysty, do kościoła chodził i w ogóle, ale kiedy przyszło co do czego, okazało się, że warstewka ogłady jest na nim bardzo cienka. Bo z czarnucha zawsze wylezie czarnuch.

Jeszcze kilka szczegółów, by słuchający mógł przekazać dalej swoją wersję... a potem już nic aż do czwartku, gdy ukazał się nowy numer „The

Maycomb Tribune”. Był w nim jednak tylko krótki nekrolog w dziale wiadomości dla kolorowych; zabrakło artykułu redakcyjnego na ten temat.

Pan B. B. Underwood był niezmiernie rozgoryczony i wcale się nie przejmował tym, że ktoś może zrezygnować z reklamowania się w jego gazecie albo z prenumeraty. (W Maycomb zresztą sprawy wyglądały inaczej: pan Underwood mógł sobie pomstować, ile chciał, i pisać, co tylko miał ochotę, a i tak miałby reklamodawców i subskrybentów; gdyby chciał zrobić z siebie idiotę we własnej gazecie, również byłoby to jego osobistą sprawą). Pan Underwood nie pisał jednak o słabościach wymiaru sprawiedliwości; pisał takim językiem, by mogły go zrozumieć nawet dzieci. Stwierdził po prostu, że grzechem jest zabić kalekę, czy siedziałby on, czy stał, czy uciekał. Porównał śmierć Toma do bezrozumnej rzezi ptaków śpiewających, dokonanej przez myśliwych i dzieci. W Maycomb uznano, że próbował napisać artykuł redakcyjny tak poetycki, że powinien go przedrukować „The Montgomery Advertiser”.

Jak to możliwe, zastanawiałam się, czytając artykuł pana Underwooda. Bezrozumna rzeź – a przecież Tom miał za sobą całkiem legalny proces i prawo kierowało jego życiem aż do ostatniej chwili; mój ojciec do końca walczył o jego zwolnienie. Aż wreszcie zrozumiałam, co miał na myśli pan Underwood: Atticus wykorzystał wszystkie narzędzia dostępne wolnym ludziom, by ocalić Toma Robinsona, ale w sekretnych trybunałach ludzkich serc nie miał nic do powiedzenia. Tom był trupem już w chwili, gdy Mayella Ewell otworzyła usta do krzyku.

Na samo wspomnienie nazwiska Ewell zrobiło mi się niedobrze. Miasto Maycomb nie traciło czasu: szybko poznało poglądy pana Ewella na śmierć Toma i przekazało je dalej kanałem La Manche najświeższych plotek, czyli ustami panny Stephanie Crawford. Panna Stephanie powiedziała cioci Alexandrze w obecności Jema („Do licha, jest już wystarczająco duży, żeby

posłuchać”), że pan Ewell rzekł: „Jeden z głowy. Jeszcze dwóch”. Jem powiedział, żebym się nie bała, bo pan Ewell tylko tak mówi. Dodał jeszcze, że jeśli pisnę o tym choć słówko Atticusowi albo jeśli w jakikolwiek sposób dam mu do zrozumienia, że wiem, Jem już nigdy się do mnie nie odezwie.

# Rozdział 26

Zaczął się nowy rok szkolny i znowu codziennie przechodziliśmy obok domu Radleyów. Jem był już w siódmej klasie i zaczynał szkołę średnią; chodził na lekcje do sąsiedniego budynku. Ja byłam w trzeciej, a nasze plany zajęć tak bardzo różniły się od siebie, że tylko rano szliśmy razem do szkoły, a potem widywaliśmy się na posiłkach. Jem rzeczywiście zgłosił się do drużyny futbolowej, ale był zbyt młody i zbyt szczupły, by robić w niej coś bardziej interesującego niż noszenie pojemników z wodą dla zawodników. Czynił to jednak z entuzjazmem i rzadko wracał do domu przed zmierzchem.

Dom Radleyów już mnie nie przerażał, ale i nie przestał być ponury, przygnębiający, niegościnny. W pogodniejsze dni wciąż można było wypatrzyć pana Nathana Radleya, gdy wychodził do miasta i wracał. Z tego samego powodu co zawsze wiedziałam, że Boo też siedzi w domu jak dawniej – po prostu nikt nie widział jeszcze, żeby go wyniesiono. Czasem czułam przypływ żalu, gdy tamtędy przechodziłam. Jak mogłam uczestniczyć kiedyś w tym, co dla Arthura Radleya musiało być męką w czystej postaci? Czy ktoś, kto chce na co dzień siedzieć w domu, może być uradowany, gdy dzieci zaglądają mu przez okna, przekazują pozdrowienia za pomocą wędki albo włażą mu nocą w kapustę?

Ale pamiętałam coś jeszcze... Dwie monety z indiańskimi główkami, gumę do żucia, mydlane figurki, zardzewiały medal i zepsuty zegarek z łańcuszkiem. Jem musiał gdzieś to wszystko pochować. Zatrzymałam się pewnego popołudnia i spojrzałam na drzewo: pień wybrzuszył się wokół cementowej plomby, a jej powierzchnia zaczynała żółknąć.

Parę razy prawie go widzieliśmy – nie każdy mógł się pochwalić takim wynikiem.

Mimo to rozglądałam się za nim za każdym razem, gdy przechodziłam obok. I wciąż miałam nadzieję, że pewnego dnia go zobaczę. Wyobrażałam to sobie tak: tego dnia siedziałby sobie na huśtawce, a ja szłabym ulicą. „Dzieńdoberek, panie Arthurze”, powiedziałabym, jakbym czyniła to każdego popołudnia, przez całe moje życie. „Dobry wieczór, Jean Louise”, odpowiedziałby, jakby czynił to każdego popołudnia, przez całe moje życie. „Piękną mamy dziś pogodę, nieprawdaż?” „Owszem, proszę pana, niczego sobie”, odrzekłabym, odchodząc.

To jednak była tylko fantazja. Nie wierzyłam, że go zobaczymy. A on zapewne wychodził tylko nocami, gdy księżyc zachodził, żeby popatrzeć sobie na pannę Stephanie Crawford. Ja osobiście wybrałabym kogoś innego do oglądania, ale to była jego sprawa. Na nas chyba nie zamierzał patrzeć.

– Chyba nie zaczynasz od początku? – spytał mnie Atticus pewnego wieczoru, gdy ni stąd, ni zowąd wyraziłam pragnienie spojrzenia choć jeden, jedyny raz w twarz Boo Radleya, zanim umrę. – Bo jeśli tak, to mówię ci od razu: przestań. Jestem za stary, żeby przeganiać cię z posesji Radleyów. Poza tym to niebezpieczne. Możesz zostać postrzelona. Wiesz przecież, że pan Nathan strzela do każdego cienia, który zobaczy, nawet jeśli ten cień zostawia ślady bosych stóp w rozmiarze cztery. Mieliście wtedy szczęście, że was nie pozabijał.

Przezornie umilkłam, a zarazem podziwiałam w duchu Atticusa. Po raz pierwszy dał nam sygnał, że wie o pewnych sprawach znacznie więcej, niż nam się wydawało. A przecież od tych zdarzeń minęło parę lat... Nie, to było ostatniego lata. Nie, przedostatniego, kiedy... Czas igra ze mną. Muszę pamiętać, żeby spytać Jema.

Tyle się ostatnio wydarzyło, że Boo Radley stał się najmniej ważnym z naszych strachów. Atticus twierdził, że niemożliwe, aby coś jeszcze się stało, bo sprawy jakoś przycichły. Po jakimś czasie ludzie mieli zapomnieć o istnieniu Toma Robinsona.

Być może ojciec miał rację, lecz wydarzenia minionego lata wisiały nad nami jak dym w zamkniętym pokoju. Dorośli z Maycomb nigdy nie rozmawiali o tej sprawie ze mną i Jemem; wydawało się, że omówili ją natomiast ze swoimi dziećmi, bo te odnosiły się do nas z sympatią, jakby zostały przekonane, że to nie nasza wina, iż naszym ojcem jest właśnie Atticus. Nasi koledzy nie wpadliby sami na coś takiego; gdyby zaś rodzice nie poddali ich perswazji, rozwiązalibyśmy z Jemem ten problem definitywnie, za pomocą kilku szybkich i wielce satysfakcjonujących walk na pięści. Tymczasem jednak mogliśmy tylko trzymać głowy wysoko i grać dżentelmena oraz damę. Trochę przypominało mi to czasy wojny z panią Henry Lafayette Dubose, tylko bez jej wrzasków. Jedno tylko nie przestało mnie zadziwiać: choć wszyscy dostrzegali niedoskonałość Atticusa jako naszego rodzica, jak co roku znowu poparto jego kandydaturę do legislatury i to bez sprzeciwu, jak zwykle. Doszłam do wniosku, że ludzie są po prostu bardzo dziwni. Wycofałam się więc z ich świata i nie myślałam o nich, jeśli nie musiałam.

Pewnego dnia w szkole jednak musiałam. Raz w tygodniu mieliśmy zajęcia o Bieżących Wydarzeniach. Każde dziecko miało wyciąć artykuł z gazety, poznać jego treść i pokrótce przedstawić klasie. Ćwiczenie to służyło ponoć zwalczaniu wielu naszych niedoskonałości: występ przed dziećmi wymagał przyjęcia odpowiedniej postawy, uczył nas swobody, wygłaszania krótkich przemówień rozwijających świadomość językową, poprawiał nam pamięć, a w dodatku, przez kontrast z czasowym wyłuskaniem nas z grupy, wzmacniał naszą przynależność do niej.

Pomysł był głęboki i mądry, ale jak zawsze w Maycomb, nie rozwinął się należycie. Po pierwsze, niewiele z wiejskich dzieci miało dostęp do gazet, toteż cały ciężar głoszenia Bieżących Wydarzeń spoczywał na miastowych, co jeszcze bardziej upewniało przyjezdnych, że to nam poświęca się więcej uwagi. Te dzieci ze wsi, które mogły przynieść jakiś wycinek, zazwyczaj przynosiły artykuł z „The Grit Paper”, publikacji mało wiarygodnej w oczach panny Gates, naszej nauczycielki. Dlaczego marszczyła brwi, gdy jakieś dziecko recytowało mądrości akurat z tego periodyku, tego się nigdy nie dowiedziałam, ale musiało to mieć jakiś związek z kombinowaniem, jedzeniem biszkoptów w syropie na lunch, z wrzaskami i z nuceniem piosenki o ślicznie śpiewającym osiołku (a raczej „łosiołku”) – za zwalczanie tego wszystkiego właśnie nauczyciele dostawali pieniądze od władz stanowych.

Przede wszystkim jednak mało które dziecko w mojej klasie wiedziało, co to jest Bieżące Wydarzenie. Mały Chuck Little – stuletni starzec, jeśli chodzi o wiedzę o krowach i ich obyczajach – był już w połowie opowieści o wuju Natchellu, gdy panna Gates go powstrzymała.

– Charles, to nie jest Bieżące Wydarzenie. To jest reklama.

Cecil Jacobs natomiast wiedział, o co chodzi. Gdy nadeszła jego kolej, wyszedł na środek klasy i zaczął tak:

– Stary Hitler...

– Adolf Hitler, Cecilu – poprawiła go panna Gates. – Niczyje nazwisko nie zaczyna się od słowa „stary”.

– Oczywiście, proszę pani – zgodził się Cecil. – Stary Adolf Hitler naśladuje Ży...

– Prześladuje, Cecilu.

– Nie, panno Gates, tu jest napisane... A zresztą, stary Adolf Hitler gnębi Żydów, wsadza ich do więzień, zabiera im cały majątek i jeszcze nie

pozwala im wyjechać z kraju, a do tego pierze mózgi słabe...

– Pierze?

– Tak jest, panno Gates. Moim zdaniem ten, co ma taki słaby mózg, sam się nie wypierze, no bo jak taki idiota miałby samodzielnie zadbać o czystość? Hitler zaczął też dobierać się do wszystkich pół-Żydów i chce ich rejestrować na wypadek, gdyby chcieli mu bruździć, i ja uważam, że to jest złe, i to właśnie było moje Bieżące Wydarzenie.

– Bardzo dobrze, Cecilu – oceniła panna Gates.

Sapiąc z zadowolenia, Cecil powrócił na miejsce.

Ktoś z głębi sali podniósł rękę.

– Jak on może to robić?

– Kto i co? – spytała cierpliwie panna Gates.

– No ten Hitler... jak on może tak sobie wsadzać tylu ludzi do więzienia? Przecież władza powinna go powstrzymać – rozwinął swą wypowiedź uczeń, który wcześniej podniósł rękę.

– Hitler jest władzą – odparła zwięźle panna Gates, a potem, korzystając z okazji zrealizowania programu „Dynamicznej Edukacji”, podeszła do tablicy i wielkimi literami napisała: DEMOKRACJA.

– Demokracja – przeczytała. – Czy ktoś zna jej definicję?

– My – odpowiedział ktoś.

Podniosłam rękę, bo przypomniałam sobie stary slogan z kampanii wyborczej, o którym mówił mi kiedyś Atticus.

– Jak sądzisz, Jean Louise, co to znaczy?

– „Równe prawa dla wszystkich, szczególne przywileje – dla nikogo” – zacytowałam.

– Bardzo dobrze, Jean Louise, bardzo dobrze – powiedziała z uśmiechem panna Gates. Za słowem DEMOKRACJA dopisała TO MY. –

A teraz proszę, cała klasa czyta: Demokracja to my.

Powtórzyliśmy, a panna Gates dodała:

– To jest właśnie różnica między Ameryką a Niemcami. My jesteśmy demokracją, a Niemcy dyktaturą. Dyk-ta-tu-rą – powtórzyła. – Tutaj prześladowanie kogokolwiek jest niedopuszczalne. Prześladowania są dziełem ludzi uprzedzonych. U-prze-dzo-nych – przesylabizowała wyraźnie. – Nie ma na świecie porządniejszych ludzi niż Żydzi, a dlaczego Hitler jest innego zdania, to jest dla mnie zagadką.

Jakaś ciekawska dusza ze środka sali zapytała:

– Ale jak pani myśli, panno Gates, dlaczego Niemcy nie lubią Żydów?

– Naprawdę nie wiem, Henry. Żydzi pomagają budować każde społeczeństwo, w którym żyją. W większości są bardzo religijnymi ludźmi. Hitler próbuje skończyć z religią, więc może z tego powodu tak ich nie lubi.

– Ja tam nie jestem pewien – odezwał się Cecil – ale zdaje mi się, że oni powinni zajmować się wymianą pieniędzy, tylko że to raczej nie jest powód do prześladowań. Są biali, prawda?

– Kiedy pójdziesz do szkoły średniej, Cecilu – odparła panna Gates – dowiesz się, że Żydzi są prześladowani od zarania dziejów, zostali nawet wypędzeni z własnego kraju. To jedna z najokropniejszych kart historii. A teraz, dzieci, czas na arytmetykę.

Nigdy nie lubiłam arytmetyki; przez całą lekcję patrzyłam przez okno. Przypomniałam sobie, że tylko raz w życiu widziałam złowrogie spojrzenie Atticusa: kiedy Elmer Davis opowiadał o najnowszych pomysłach Hitlera. Ojciec wyłączył wtedy radio i fuknął ze złością, a ja zapytałam, dlaczego tak go poniosło, kiedy słuchał o Hitlerze.

– Bo to maniak.

Coś tu nie tak, rozmyślałam, gdy reszta klasy biedziła się nad dodawaniem. Jeden maniak i miliony Niemców. Wydawało mi się, że to oni

powinni zamknąć jego, a nie na odwrót. I coś jeszcze nie pasowało mi w tym wszystkim, ale o to musiałam już spytać ojca.

I tak zrobiłam. Usłyszałam jednak, że na to pytanie odpowiedzieć nie może, ponieważ odpowiedź nie jest mu znana.

– Ale dobrze jest nienawidzić Hitlera?

– Nie, niedobrze – odparł. – Nie jest dobrze nienawidzić kogokolwiek.

– Atticusie – powiedziałam – jeszcze jednej rzeczy nie rozumiem. Panna Gates mówiła, że Hitler robi okropne rzeczy, i nawet poczerwieniała przy tym na twarzy...

– Nie dziwi mnie to.

– Ale...

– Tak?

– Nic już, ojcze.

Oddaliłam się, bo nie byłam pewna, czy potrafię wyjaśnić Atticusowi, o co mi chodzi; czy umiem ubrać w słowa to, co jest tylko odczuciem. Zastanawiałam się, czy Jem nie będzie znał odpowiedzi. Na sprawach szkolnych znał się lepiej niż Atticus.

Jem był wykończony po całym dniu noszenia wody zawodnikom. Na podłodze przy jego łóżku leżało co najmniej dwanaście skórek od bananów, a pośrodku nich stała butelka po mleku.

– Po co się tak opychasz? – spytałam.

– Trener mówi, że jak w dwa sezony przytyję dwanaście kilo, będę mógł grać – odpowiedział. – To jest najszybszy sposób.

– Pod warunkiem że nie zwymiotujesz wszystkiego, Jem – zauważyłam. – Chciałam cię o coś zapytać.

– Pytaj. – Jem odłożył książkę i rozprostował nogi.

– Panna Gates jest całkiem miła, prawda?

– Pewnie – odparł Jem. – Lubiłem ją, kiedy nas uczyła.

– I bardzo nienawidzi Hitlera...

– A co w tym złego?

– Widzisz, wczoraj długo nam opowiadała o tym, jak on źle traktuje Żydów. Jem, to niedobrze, kiedy ktoś kogoś prześladuje, prawda? Albo nawet jeśli ktoś źle o kimś myśli, prawda?

– No pewnie, że niedobrze, Skaucie. Co cię gryzie?

– Bo... Kiedy tamtej nocy wychodziliśmy z sali rozpraw, panna Gates... szła po schodach przed nami i rozmawiała z panną Stephanie Crawford. Słyszałam, jak mówiła, że już najwyższy czas, żeby ktoś dał im lekcję, bo za dużo sobie pozwalają i może jeszcze przyjdzie im do głowy, że mogą się z nami żenić. Jem, jak można tak bardzo nienawidzić Hitlera, a jednocześnie być tak niedobrym dla ludzi we własnym kraju...

Jem nagle się wściekł. Zeskoczył z łóżka, złapał mnie za kołnierz i potrząsnął mocno.

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć o tej sali rozpraw! Nigdy, nigdy, słyszysz? Słyszysz?! Nie waż się więcej odezwać do mnie na ten temat choćby jednym słowem, zrozumiałaś? A teraz idź sobie!

Byłam zbyt zaskoczona, żeby się rozpłakać. Wymknęłam się z pokoju Jema i zamknęłam drzwi najciszej jak umiałam, żeby hałas znowu go nie rozjuszył. Poczułam się w jednej chwili bardzo zmęczona i brakowało mi Atticusa. Znalazłam go w salonie, podeszłam do niego i spróbowałam usiąść mu na kolanach.

Uśmiechnął się do mnie.

– Jesteś już taka duża, że mogę przytulać tylko kawałek ciebie – powiedział i przytulił mnie mocno. – Skaucie – dodał cicho – nie smuć się z powodu Jema. Ostatnio przeżywa trudne dni. Słyszałem was przed chwilą.

Powiedział mi jeszcze, że Jem strasznie się stara o czymś zapomnieć, ale tak naprawdę tylko magazynuje w głowie to wspomnienie, przynajmniej na jakiś czas. I że w końcu będzie umiał przemyśleć to sobie i poukładać fakty. A kiedy Jem to zrobi, znowu będzie sobą.

# Rozdział 27

Sprawy rzeczywiście jakoś się ułożyły, tak jak przewidział Atticus. Do połowy października tylko dwie nie całkiem zwyczajne rzeczy przytrafiły się dwóm obywatelom Maycomb. Nie, właściwie to trzy, ale nie dotyczyły one nas, Finchów, bezpośrednio.

Po pierwsze, pan Bob Ewell znalazł pracę i stracił ją w ciągu kilku dni. Przypuszczam, że w całych latach trzydziestych nie było drugiego takiego przypadku, żeby ktoś stracił zajęcie, do którego został skierowany przez WPA[6], z powodu lenistwa. Myślę, że to chwila sławy obudziła w nim przedsiębiorczość, ale jego zapał do pracy trwał równie krótko jak popularność i wkrótce pan Ewell został tak samo zapomniany jak Tom Robinson. Niedługo potem pojawił się w opiece społecznej, żeby jak zawsze odebrać tygodniowy zasiłek. Klnąc i złorzecząc, mamrotał coś o draniach rządzących tym miastem, którzy nie pozwolą nawet uczciwemu człowiekowi zarobić na życie. Ruth Jones, urzędniczka, słyszała też, jak pan Ewell otwarcie oskarżył Atticusa o odebranie mu pracy. Tak bardzo ją to wzburzyło, że poszła do biura Atticusa i o wszystkim mu opowiedziała. Nasz ojciec odrzekł pannie Ruth, że nie powinna tak się tym przejmować, bo jeśli Bob Ewell chce z nim porozmawiać o „odebraniu” pracy, to przecież zna drogę do jego kancelarii.

Druga osobliwa rzecz przytrafiła się sędziemu Taylorowi. Sędzia Taylor, w przeciwieństwie do pani Taylor, nie chodził w niedzielę do kościoła. Lubił spędzać samotnie niedzielne wieczorne godziny w swym wielkim domu, a gdy inni się modlili, on siedział w gabinecie i zgłębiał pisma Boba Taylora (nie był to jego krewny, ale sędzia z pewnością byłby

dumny, mogąc poszczycić się takim powinowactwem). I właśnie pewnego niedzielnego wieczoru, rozkoszując się soczystymi metaforami i kwiecistym językiem, sędzia Taylor usłyszał irytujące skrobanie, które oderwało go od lektury.

– Cicho! – powiedział do Ann Taylor, tłustej suczki rasy nieokreślonej.

Zaraz jednak dotarło do niego, że przemawia do pustego pokoju, a skrobanie dochodzi z tyłów domu. Sędzia Taylor poczłapał więc na werandę, żeby wpuścić Ann do domu, i zobaczył, że moskitiera łopocze na wietrze. Jego uwagę przykuł cień znikający za węgłem budynku. Kiedy pani Taylor wróciła z kościoła, zastała męża jak zawsze w fotelu, zaczytanego w twórczości Boba Taylora i ze strzelbą na kolanach.

Trzecia rzecz przydarzyła się Helen Robinson, wdowie po Tomie. Jeśli pan Ewell został zapomniany tak jak Tom Robinson, to Murzyn był tak zapomniany jak Boo Radley. Ale nie przez wszystkich: jego pracodawca, pan Link Deas, pamiętał o Tomie i dlatego postarał się zapewnić pracę Helen. Tak naprawdę wcale jej nie potrzebował, ale mówił, że źle się czuje z tym wszystkim, co się wydarzyło. Nie wiem, kto zajmował się dziećmi Robinsonów, gdy wdowa szła do pracy. Calpurnia mówiła, że Helen nie było łatwo, bo w drodze do pracy musiała nadrabiać przeszło półtora kilometra, aby uniknąć kontaktu z Ewellami, którzy – jak sama opowiadała – „rzucali w nią czymś” już za pierwszym razem, gdy próbowała przejść obok ich posesji bądź co bądź publiczną drogą. Pan Link Deas wreszcie się połapał, że Helen przychodzi do pracy nie z tej strony, z której powinna, i zdołał skłonić ją, żeby mu wyjaśniła sytuację.

– Proszę, panie Linku, niech już tak będzie – błagała potem.

– Za cholerę – odparł jej chlebodawca i polecił, żeby Helen przyszła do jego sklepu po południu, gdy skończy pracę.

Tak też uczyniła, a pan Link zamknął sklep, wcisnął kapelusz na głowę i odprowadził wdowę Robinson do domu. Poszli najkrótszą drogą, obok domu Ewellów. Wracając, pan Link zatrzymał się przy koślawej furtce.

– Ewell? – zawołał. – Ewell, mówię!

Okna, w których na co dzień widać było twarze dzieci, teraz były puste.

– Wiem, że tam jesteście i leżycie na podłodze! Posłuchaj no, Bobie Ewellu: jeśli usłyszę jeszcze raz od mojej Helen, że nie może spokojnie przejść tą drogą, postaram się, żebyś przed zachodem słońca był już za kratkami! – To powiedziawszy, pan Link splunął sążniście i poszedł do domu.

Następnego ranka Helen poszła do pracy krótszą drogą. Nikt w nią niczym nie rzucał, ale kiedy znalazła się parę metrów za terenem Ewellów, obejrzała się i zobaczyła, że pan Ewell idzie za nią. Ruszyła dalej, a on starał się trzymać wciąż taki sam dystans. Wreszcie doszli do domu pana Linka Deasa. Helen mówiła później, że przez całą drogę słyszała za plecami cichy głos nieustannie miotający przekleństwa. Przerażona zadzwoniła do sklepu, który znajdował się tuż obok, i po chwili pan Deas wyszedł na ulicę. Zobaczył pana Ewella, który stał oparty o płot.

– Nie patrz tak na mnie, Deas, jakbym był śmieciem – powiedział pan Ewell. – Nie rzuciłem się na tę twoją...

– Po pierwsze, Ewell, zabierz swoje śmierdzące ścierwo z mojej ziemi. Opierasz się o mój płot, a mnie szkoda pieniędzy, żeby go znowu malować. Po drugie, trzymaj się z daleka od mojej kucharki, albo oskarżę cię o napaść...

– Nie tknąłem jej, Deas, i nie mam zamiaru tknąć żadnej czarnej!

– Nie musisz jej tknąć, Ewell. Wystarczy, że będziesz ją straszył i już będą mogli cię przymknąć. Postaram się, żeby to zrobili za łamanie praw

kobiet. A teraz precz mi z oczu! Jeżeli ci się zdaje, że nie mówię poważnie, to tylko spróbuj jeszcze niepokoić tę dziewczynę!

Pan Ewell bez wątpienia uwierzył, bo Helen więcej się nie skarżyła.

– Nie podoba mi się to, Atticusie, nie podoba ani trochę. – Tak podsumowała te wypadki ciocia Alexandra. – Ten człowiek wciąż żywi urazę do wszystkich osób związanych z tamtą sprawą. Wiem, jak bardzo takim ludziom zależy na odegraniu się za krzywdy, ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego on tak się piekli... przecież wygrał w sądzie, nieprawdaż?

– Ja chyba rozumiem – odparł Atticus. – Przyczyną może być to, że on już wie, jak niewielu ludzi w Maycomb wzięło za dobrą monetę opowieści Mayelli i jego. Sądził, że będzie bohaterem, a tymczasem za swoją „krzywdę” usłyszał tylko: „Zgoda, skażemy tego Murzyna, ale ty wracaj na swoje śmietnisko”. Dlatego tak się na wszystkich wścieka, szuka zadośćuczynienia, ale przypuszczam, że mu przejdzie, kiedy pogoda się zmieni.

– Ale dlaczego próbował włamać się do domu Johna Taylora? Najpewniej nie wiedział, że go tam zastanie. Nie próbowałby nawet, gdyby było inaczej. W niedzielne wieczory John zapala tylko światło na werandzie od frontu i w swoim gabinecie na tyłach domu...

– Nie wiadomo, czy to Bob Ewell rozciął moskitierę. Nie wiadomo, kto to zrobił – odrzekł Atticus. – Możemy się jedynie domyślać. Ja udowodniłem Ewellowi, że jest kłamcą, natomiast John zrobił z niego głupca. Przez cały czas, gdy Ewell zeznawał, nie ośmieliłem się spojrzeć na Johna, bo chyba nie zachowałbym powagi. John patrzył na niego jak na kurczaka o trzech łapach albo kanciaste jajo. Niech mi nikt nie wmawia, że sędziowie nie próbują wpływać na przysięgłych. – Atticus zachichotał.

Pod koniec października nasze życie płynęło już znajomym rytmem szkoły, zabawy i nauki. Jem chyba wreszcie zdołał wyrzucić z głowy to, o czym tak bardzo chciał zapomnieć, a nasi szkolni koledzy litościwie puścili w niepamięć wybryki Atticusa. Tylko raz Cecil Jacobs zapytał mnie, czy aby mój ojciec nie jest radykałem. Gdy powiedziałam o tym Atticusowi, śmiał się tak, że poczułam się urażona, ale zaraz wyjaśnił mi, że nie śmiał się ze mnie.

– Powiedz Cecilowi, że jestem mniej więcej takim radykałem jak Cotton Tom Heflin[7].

Tymczasem ciocia Alexandra kwitła. Panna Maudie jednym posunięciem uciszyła chyba całe kółko misyjne i ciotunia mogła odtąd rządzić nim udzielnie. Podwieczorki były coraz pyszniejsze. Przy okazji dowiadywałam się coraz więcej o życiu społecznym nieszczęsnych Mrunów, o których wciąż opowiadała pani Merriweather: mieli oni tak mikre pojęcie o istocie rodziny, że całe plemię było jedną wielką rodziną. Każde dziecko miało tylu ojców, ilu było mężczyzn w wiosce, i tyle matek, ile było kobiet. J. Grimes Everett naturalnie robił co w jego mocy, by zmienić ten stan rzeczy, i rozpaczliwie potrzebował naszych modlitw.

Maycomb znowu było sobą, takim samym miastem jak rok czy dwa lata wcześniej... z dwoma drobnymi wyjątkami. Po pierwsze, obywatele usunęli z wystaw sklepowych i szyb samochodowych naklejki z hasłem NRA – ROBIMY SWOJE. Spytałam Atticusa, dlaczego to zrobili, i dowiedziałam się, że Ustawa o odnowie narodowej jest już martwym przepisem. Zapytałam, kto ją zabił; ojciec odpowiedział mi, że dziewięciu starych ludzi.

Druga zmiana, która zaszła w Maycomb, nie wiązała się ze sprawami ogólnokrajowymi. Otóż w poprzednich latach Halloween było u nas świętem zupełnie niezorganizowanym. Każde dziecko robiło to, na co

miało ochotę, niekiedy współpracując z innymi dziećmi, gdy psota polegała na przykład na umieszczeniu niedużego powozu na dachu stajni należącej do firmy przewozowej. Rodzice uznali jednak, że w ubiegłym roku sprawy zaszły za daleko, zabawy bowiem skończyły się poważnym zakłóceniem spokoju panien Tutti i Frutti.

Panny Tutti i Frutti Barber były niemłodymi już siostrami, zamieszkującymi wspólnie jedyny dom w Maycomb posiadający piwnicę. Plotka głosiła, że panny Barber były republikankami, już gdy przenosiły się do naszego miasta z Clanton w Alabamie, w roku 1911. Na nasz gust zachowywały się dość dziwnie – nikt na przykład nie wiedział, po co im była piwnica, ale bardzo chciały ją mieć, kazały ją wykopać i resztę życia spędziły na wyganianiu z niej dzieciaków z sąsiedztwa.

Panny Tutti i Frutti – naprawdę miały na imię Sarah i Frances – były to osoby nie tylko do cna jankeskie, ale także głuche. Panna Tutti wolała przeczyć faktom i dlatego żyła w świecie ciszy. Panna Frutti natomiast nie zamierzała tracić kontaktu z otoczeniem i dlatego posługiwała się na co dzień trąbką uszną takich rozmiarów, że zdaniem Jema była to tuba od gramofonu victrola, taka, w jaką zaglądał pies ze znanego rysunku.

Pamiętające o tym, a jednocześnie opętane halloweenowym szaleństwem, przewrotne dzieciaki z sąsiedztwa zaczekały, aż siostry Barber zapadną w głęboki sen. Wtedy wśliznęły się do ich salonu (nikt w całym mieście prócz Radleyów nie zamykał na noc drzwi) i po cichutku wyniosły wszystkie meble, by ukryć je w piwnicy. Zaprzeczam, jakobym uczestniczyła w tym występku.

– Słyszałam ich! – Taki okrzyk obudził sąsiadów panien Barber następnego dnia o świcie. – Słyszałam, jak podjeżdżali ciężarówką pod drzwi! Tupali jak dzikie konie! Teraz pewno są już w Nowym Orleanie!

Panna Tutti była pewna, że jej meble zrabowali wędrowni handlarze futrami, którzy dwa dni wcześniej przejeżdżali przez miasto.

– Ciemnawi byli – mówiła. – Syryjczycy.

Wezwano na miejsce pana Hecka Tate’a. Zbadał tropy i orzekł, że musi to być robota miejscowych. Panna Frutti twierdziła, że głosy mieszkańców Maycomb rozpoznałaby bez trudu, ale żaden z nich nie odezwał się tej nocy w jej salonie (te, które słyszała, niezmiernie przeciągały każde „r”). Panna Tutti z kolei upierała się, że należy użyć psów tropiących, by odnaleźć zaginione meble. Pan Tate zebrał więc najlepsze ogary w promieniu piętnastu kilometrów i ruszył tropem złodziei.

Wypuścił psy przy frontowych schodach domu panien Barber i nie musiał gonić za nimi zbyt długo, obiegły bowiem budynek i z wyciem stłoczyły się przy drzwiach do piwnicy. Gdy wypuścił je po raz trzeci i uczyniły to samo, nareszcie odgadł prawdę. Do południa tego dnia nie było w Maycomb ani jednego bosego dziecka; żadne nie ośmieliło się zdjąć butów aż do czasu, gdy psy powróciły do właścicieli.

I właśnie dlatego mieszkanki Maycomb zadecydowały, że w tym roku Halloween będzie wyglądało inaczej. Aula szkoły średniej miała być otwarta dla wszystkich chętnych: dla dorosłych przewidziano widowisko historyczne, a dla dzieci konkurs podgryzania jabłek, zabawę z ciągutkami oraz przyczepianie oślego ogona. Za najlepszy własnoręcznie wykonany kostium ufundowano nagrodę w wysokości dwudziestu pięciu centów.

Byliśmy z Jemem zniesmaczeni tym pomysłem. Nie chodziło o to, że wolelibyśmy psocić na własną rękę; chodziło o zasadę. Jem zresztą uważał, że jest już za stary na Halloween. Mówił, że nie da się zaciągnąć w pobliże szkoły przy okazji takiej imprezy. To nic, pomyślałam, Atticus mnie zaprowadzi.

Wkrótce dowiedziałam się, że tego wieczoru będę potrzebna na scenie. Pani Grace Merriweather stworzyła oryginalne widowisko historyczne pod tytułem „Hrabstwo Maycomb: *per aspera ad astra*”, w którym miałam zagrać rolę szynki. Pani Grace uważała bowiem, że będzie uroczo, jeśli niektóre dzieci przebiorą się za produkty rolnictwa naszego hrabstwa. Cecil Jacobs miał być krową, Agnes Boone fasolką i tak dalej – aż do wyczerpania pomysłów pani Merriweather albo zastępów dzieciarni.

Naszym zadaniem, jak się zorientowałam w toku dwóch prób, było wejście na scenę, gdy autorka i narratorka w jednej osobie, pani Merriweather, wzywała nas kolejno. Ja miałam wejść na hasło „Wieprzowina”. Potem cały zespół miał jeszcze zaśpiewać „Hrabstwo Maycomb, hrabstwo Maycomb, zawsze będziemy tobie wierni”, a po tym wielkim finale pani Merriweather miała wciągnąć nad scenę flagę naszego stanu.

Sporządzenie mojego kostiumu nie było wielkim problemem. Pani Crenshaw, szwaczka, miała równie bujną wyobraźnię jak pani Merriweather. Użyła drutu, by sporządzić konstrukcję przypominającą wielką, wędzoną szynkę, a następnie okryła ów stelaż brązowym płótnem i pomalowała tak, by przypominało to prawdziwe mięso. Gdy kostium był gotowy, musiałam tylko kucnąć i ktoś wkładał go na mnie od góry. Sztuczna szynka sięgała mi prawie do kolan, a dzięki dwóm otworom, przytomnie wyciętym przez panią Crenshaw, widziałam przynajmniej, co się dzieje przede mną. Naprawdę była to dobra robota; Jem orzekł, że wyglądam jak najprawdziwsza szynka z nogami. Nie był to jednak kostium najwygodniejszy. Było mi w nim gorąco i ciasno, gdy swędział mnie nos, nie mogłam się nawet podrapać, a przede wszystkim nie dałabym rady wydostać się z szynki samodzielnie.

Gdy nadszedł dzień Halloween, byłam jeszcze pewna, że cała rodzina będzie mnie oglądać, ale się zawiodłam. Atticus powiedział mi najbardziej taktownie jak umiał, że raczej nie będzie mógł obejrzeć widowiska. Chciał zostać w domu, bo dopiero późnym popołudniem wrócił po tygodniu spędzonym w Montgomery. Był jednak przekonany, że Jem odprowadzi mnie do szkoły, jeśli go o to poproszę.

Ciocia Alexandra wyjaśniła, że musi położyć się wcześniej do łóżka, bo przez całe popołudnie dekorowała scenę i pada z nóg... Nagle urwała w pół zdania, zamknęła usta i zaraz otworzyła je jeszcze, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

– Co się stało, ciociu? – spytałam.

– Ach, nic, nic – odpowiedziała. – Dreszcz mnie przeszedł.

Nie powiedziała nam, jaka myśl tak nagle ją zaniepokoiła. Zaproponowała natomiast, żebym urządziła w salonie pokaz dla rodziny. Jem wcisnął mnie zaraz w kostium, stanął w drzwiach salonu i zawołał: „Wieprzowiiiinaaa!”, zupełnie jak pani Merriweather. Weszłam. Atticus i ciocia Alexandra byli zachwyceni.

Powtórzyłam swój występ w kuchni, specjalnie dla Calpurnii, która orzekła, że doskonale zagrałam. Chciałam jeszcze pójść na drugą stronę ulicy, żeby pokazać się pannie Maudie, ale Jem stwierdził, że pewnie i tak się spotkamy w szkole.

Teraz już się nie przejmowałam, czy moi bliscy zobaczą widowisko. Jem obiecał, że mnie zaprowadzi. Tak zaczęła się nasza najdłuższa wspólna wyprawa.

# Rozdział 28

Było nadzwyczaj ciepło, jak na ostatni dzień października; nie musieliśmy nawet brać kurtek. Wiatr jakby się wzmagał i Jem mówił, że może się rozpadać, zanim wrócimy do domu. Księżyca nie było.

Narożna latarnia rzucała ostre cienie na dom Radleyów. Usłyszałam, że Jem śmieje się z cicha.

– Założę się, że tego wieczoru nikt ich nie niepokoi – powiedział.

Niósł mój szynkowy kostium, co wcale nie było takie łatwe. Pomyślałam, że jest bardzo dzielny.

– Przerażające miejsce, prawda? – spytałam. – Boo na pewno nie chce wyrządzić nikomu krzywdy, ale jednak cieszę się, że jesteś przy mnie.

– Przecież wiesz, że Atticus nie puściłby cię samej.

– Właśnie nie wiem dlaczego... to przecież tuż za rogiem i jeszcze kawałek przez boisko.

– Dla małych dziewczynek wędrujących samotnie po nocy jest to bardzo rozległe boisko – odparł kpiąco Jem. – Nie boisz się duchów?

Roześmialiśmy się jednocześnie. Podrośliśmy nieco i duchy, Gorące Opary, zaklęcia oraz tajemne znaki rozpłynęły się jak mgła o wschodzie słońca.

– Jak to szło? – spytał Jem. – „Jasny aniele, z drogi zejdź, zostaw oddech w piersi mej”.

– Przestań już – powiedziałam.

Mijaliśmy właśnie dom Radleyów.

– Boo pewnie gdzieś poszedł – stwierdził Jem. – Posłuchaj.

Wysoko nad nami, w ciemności, samotny drozd przedrzeźniacz rozpoczął swój występ w błogiej nieświadomości, na czyim drzewie usiadł. Powtórzył najpierw przenikliwe *ki, ki* trznadla, potem pełne oburzenia *kuak* sójki, a na koniec smętny lament lelka.

Skręciliśmy za rogiem i w tym momencie potknęłam się o korzeń wystający z chodnika. Jem próbował mi pomóc, ale skończyło się na tym, że upuścił kostium na ziemię, a ja sama złapałam równowagę. Po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wreszcie wkroczyliśmy na szkolne boisko. Panowały tam nieprzeniknione ciemności.

– Skąd wiesz, gdzie jesteśmy, Jem? – spytałam, gdy zanurzyliśmy się w ten mrok na kilka kroków.

– Domyślam się, że weszliśmy pod wielki dąb, bo ziemia jest tu chłodniejsza. Uważaj, nie potknij się znowu.

Zwolniliśmy nieco i wyciągnęliśmy ręce przed siebie, żeby się nie zderzyć z drzewem. Był to samotny, bardzo stary dąb; dwoje dzieci nie było w stanie objąć ramionami jego pnia. Stał z dala od nauczycieli i ich szpiegów oraz ciekawskich sąsiadów, za to blisko ziemi Radleyów, ale oni nie byli zbyt ciekawscy. Niewielka łata odkrytej ziemi pod jego konarami była dobrze ubita od licznych walk i ukradkowych rozgrywek w kości.

W oddali jarzyły się światła auli, ale w tej chwili bardziej nas oślepiały, niż nam pomagały.

– Nie patrz prosto przed siebie, Skaucie – poradził mi Jem. – Patrz na ziemię, to się nie przewrócisz.

– Trzeba było wziąć latarkę, Jem.

– Nie wiedziałem, że będzie aż tak ciemno. Wczesnym wieczorem nie zapowiadało się na taki mrok. Chmury się zebrały, ot co. Ale deszcz jeszcze z nich nie spadnie.

Ktoś na nas skoczył.

– Boże wszechmogący! – wykrzyknął Jem.

Prosto w nasze twarze wystrzelił krąg światła z ręki Cecila Jacobsa, który odskoczył o krok.

– Ha! Mam was! – kwiknął. – Spodziewałem się, że będziecie tędy szli.

– A co ty robisz sam w tej okolicy, chłopcze? Nie boisz się Boo Radleya?

Cecil zajechał do szkoły bezpiecznie, pod opieką rodziców; nie widział nas nigdzie i dlatego wyprawił się aż tu. Wiedział, że się tu zjawimy; spodziewał się jednak, że ojciec będzie nam towarzyszył.

– Do licha, przecież to blisko, skręcamy tylko za rogiem ulicy – zirytował się Jem. – Kto by się bał wyjść za róg?

Musieliśmy jednak przyznać Cecilowi, że dobrze się spisał. Naprawdę nas wystraszył i teraz mógł rozpowiadać o tym w całej szkole, takie było jego prawo.

– Zaraz – ocknęłam się. – Czy ty nie miałeś być krową? Gdzie twój kostium?

– Zostawiłem za sceną – odparł. – Pani Merriweather mówi, że do rozpoczęcia widowiska jest jeszcze sporo czasu. Ty też zostaw tam swój, Skaucie, będziemy mogli obejść całą szkołę.

Jem uznał, że to świetny pomysł, a jeszcze lepiej, jak pójdziemy z Cecilem we dwoje, bo on miałby wtedy czas, żeby się spotkać z rówieśnikami.

Gdy dotarliśmy do auli, było tam już chyba całe miasto z wyjątkiem Atticusa i kobiet zmęczonych dekorowaniem sali oraz tych, co nigdy się w niczym nie udzielali. Właściwie to do szkoły zawitało bodaj całe hrabstwo; przestronny hol był pełen wystrojonych wieśniaków. Goście przechadzali się między straganami, których rzędy ustawiono wzdłuż ścian.

– Och, Jem, zapomniałam pieniędzy! – jęknęłam na widok straganów.

– Ale Atticus nie zapomniał – odparł Jem. – Masz tu trzydzieści centów na sześć szaleństw. Zobaczymy się później.

– Dobra – odrzekłam, całkiem zadowolona z trzydziestu centów i towarzystwa Cecila.

Weszliśmy do auli bocznymi drzwiami i ruszyliśmy od razu w stronę kulis. Zostawiłam tam mój kostium i ulotniliśmy się czym prędzej na widok pani Merriweather, która stała przy mównicy przed pierwszym rzędem siedzeń. Zdaje się, że wprowadzała ostatnie poprawki do scenariusza.

– Ile masz pieniędzy? – spytałam Cecila.

Miał trzydzieści centów, zatem byliśmy równi. Pierwsze pięciocentówki zostawiliśmy w Komnacie Strachu, która wcale nas nie przestraszyła; weszliśmy do zaciemnionej sali należącej do siódmej klasy, prowadzeni przez miejscowego upiora, który kazał nam kolejno dotykać różnych przedmiotów, rzekomo należących do nieboszczyka.

– To jego oczy – powiedział upiór, gdy dotykaliśmy dwóch winnych gron obranych ze skórki i leżących na spodeczku. – To jego serce – usłyszeliśmy, dotykając czegoś, co mogło być surową wątróbką. – A to jego flaki – oznajmił upiór, wsuwając nasze dłonie w stertę zimnego spaghetti.

Odwiedziliśmy z Cecilem kilka straganów. Kupiliśmy sobie między innymi po woreczku cukierków orzechowych, przygotowanych własnoręcznie przez żonę sędziego Taylora. Chciałam też spróbować swoich sił w podgryzaniu jabłek, ale Cecil powiedział, że to niehigieniczne. Jego matka twierdziła, że można złapać niejedną chorobę od tych wszystkich głów, które pochylają się nad jedną miednicą.

– W tym mieście nie ma czego złapać – zaprotestowałam, ale Cecil odparł, że niehigieniczne jest też gryzienie po kimś tego samego jabłka.

Pytałam potem o tę kwestię ciocię Alexandrę i dowiedziałam się od niej, że ludzie, którzy wierzą w takie rzeczy, to zazwyczaj nuworysze.

Właśnie mieliśmy sobie kupić bryłę ciągutkowej masy, gdy pojawili się wysłannicy pani Merriweather z wiadomością, że mamy się udać za kulisy, bo już czas. Publiczność stopniowo wypełniała aulę; orkiestra szkoły średniej hrabstwa Maycomb zebrała się już pod sceną, reflektory się paliły, a czerwona, aksamitna kurtyna marszczyła się i wybrzuszała, zdradzając nerwowy ruch na scenie.

Za kulisami ujrzeliśmy z Cecilem wąski korytarz pełen ludzi: byli tam dorośli we własnej roboty czapkach trójrożnych, konfederackich, z czasów wojny hiszpańsko-amerykańskiej oraz w hełmach z pierwszej wojny światowej. Przy jedynym okienku tłoczyły się dzieci przebrane za płody rolne.

– Ktoś mi zgniótł kostium – zajęczałam rozpaczliwie.

Pani Merriweather przygalopowała do mnie czym prędzej, na nowo ukształtowała druciany stelaż i wepchnęła mnie do środka.

– Wygodnie ci tam, Skaucie? – spytał Cecil. – Twój głos słychać tak, jakbyś była gdzieś za górami.

– Twój też – odparłam.

Orkiestra zaczęła grać hymn narodowy i usłyszeliśmy, że publiczność wstaje. Potem rozległ się dźwięk bębna. Pani Merriweather, stojąca przy mównicy obok orkiestry, powiedziała:

– „Hrabstwo Maycomb: *per aspera ad astra*”.

Bęben zagrzmiał ponownie.

– To znaczy – wyjaśniła pani Merriweather na użytek żywiołu wiejskiego – „przez trudy do gwiazd” – i całkiem niepotrzebnie, moim zdaniem, dodała: – Widowisko historyczne.

– Pewnie nie wpadliby na to, gdyby im nie powiedziała – szepnął Cecil, ale zaraz ktoś go uciszył.

– Przecież całe miasto wie – odpowiedziałam cicho.

– Ludzie ze wsi też przyjechali.

– Ciszej tam z tyłu! – zarządził męski głos i umilkliśmy.

Bęben odzywał się po każdym zdaniu wypowiedzianym przez panią Merriweather. Ze smutkiem w głosie opowiadała o tym, że hrabstwo Maycomb jest starsze niż sam stan, że było częścią terytoriów Missisipi i Alabamy, że pierwszym białym człowiekiem, który postawił stopę w dziewiczych lasach tych okolic, był bliżej nam nie znany pra-pra-pra-pra-pradziadek sędziego z sądu dla nieletnich. Potem zaś pojawi się na horyzoncie nieustraszony pułkownik Maycomb, na którego cześć hrabstwo otrzymało nazwę.

Andrew Jackson wyznaczył go na zarządcę tych stron, ale nadmierne zadufanie oraz kiepskie poczucie kierunku słynnego pułkownika ściągnęły zagładę na większość z tych, którzy towarzyszyli mu w wojnie z Krikami. Pułkownik Maycomb nie ustawał w wysiłkach utrwalenia demokracji w tej okolicy, ale jego pierwsza kampania była zarazem ostatnią. Gdy zaufany indiański goniec przyniósł mu rozkaz wymarszu na południe, dzielny dowódca wbrew radom podkomendnych postanowił wykonać śmiały manewr okrążający i wyprowadził swych żołnierzy tak daleko na północny zachód, że z pierwotnego lasu wyprowadzili ich dopiero osadnicy wędrujący w głąb lądu.

Pani Merriweather opisywała wyczyny pułkownika Maycomba przez okrągłych trzydzieści minut. Ja tymczasem odkryłam, że jeśli ugnę kolana, mogę wcisnąć je pod kostium i w miarę wygodnie usiąść. Usiadłam więc, słuchając monotonnej opowieści pani Merriweather, i wkrótce zasnęłam kamiennym snem.

Mówiono mi później, że podczas wielkiego finału pani Merriweather zaszczebiotała najpierw „Wieprzowiiinaaa” z pewnością siebie podpartą niezawodnym stawieniem się na scenie sosen i fasolek, które wywołała wcześniej. Odczekała kilka sekund i zawołała „Wieprzowina?” Kiedy i po tym wezwaniu sztuczna szynka nie zmaterializowała się na scenie, pani Merriweather ryknęła: „Wieprzowina!”

I chyba usłyszałam ją we śnie – a może to „Dixie” w wykonaniu orkiestry mnie obudziło? – bo właśnie w chwili, gdy pani Merriweather triumfalnie unosiła nad sceną flagę naszego stanu, postanowiłam, że czas wkroczyć. Choć może „postanowiłam” to niewłaściwe słowo. Po prostu uznałam, że lepiej będzie dołączyć do reszty zespołu.

Słyszałam później, że sędzia Taylor musiał wyjść z auli i w holu walił dłońmi w kolana z taką siłą, że żona musiała przynieść mu jego tabletki i szklankę wody.

Wydawało się, że pani Merriweather odniosła pełny sukces, bo wszyscy bili brawo i wiwatowali wielce uradowani, ale ona dorwała mnie za kulisami i powiedziała, że zrujnowałam jej całe przedstawienie. Poczułam się doprawdy okropnie, ale przynajmniej Jem, który zaraz po mnie przyszedł, okazał mi trochę współczucia. Powiedział, że z miejsca, w którym siedział, nie bardzo mógł dostrzec mój kostium. Nie wiem, skąd wiedział, że czuję się fatalnie pod moim drucianym kokonem, ale dodał jeszcze, że grałam bardzo dobrze, tylko trochę za późno weszłam, to wszystko. Trzeba powiedzieć, że Jem był już prawie tak dobry jak Atticus w pocieszaniu mnie, gdy coś poszło nie tak. Ale tylko prawie – bo nawet Jem nie umiał zmusić mnie teraz do przejścia przez środek auli. Musieliśmy zaczekać za kulisami, aż publiczność opuści salę.

– Chcesz już to zdjąć, Skaucie? – spytał.

– Nie, lepiej nie – odrzekłam. W szynce mogłam przynajmniej ukryć moje zażenowanie.

– Podwieźć was do domu? – zapytał ktoś.

– Nie, dziękujemy panu – odpowiedział Jem. – To naprawdę blisko.

– Uważajcie na upiory – poradził nam głos. – A jeszcze lepiej, niech upiory uważają na Skauta.

– Niewielu ludzi zostało – poinformował mnie Jem. – Chodźmy.

Przeszliśmy przez całą aulę i znaleźliśmy się w holu. Zeszliśmy po stopniach prosto w ciemną noc. Samochody, które jeszcze nie odjechały, stały po drugiej stronie budynku, a ich reflektory nie przynosiły nam wielkiego pożytku.

– Jeśli któryś z nich rzeczywiście jechał w naszą stronę, trzeba nam było się zabrać – rzekł Jem. – Chodź no tu, złapię cię za... za golonkę, żebyś nie straciła równowagi.

– Widzę wszystko doskonale.

– Jasne, ale możesz stracić równowagę.

Poczułam lekki nacisk na głowie i domyśliłam się, że Jem złapał mnie za górny koniec szynki.

– Trzymasz mnie?

– Aha.

Ruszyliśmy na ukos przez boisko, ledwie widząc własne stopy.

– Jem – odezwałam się nagle. – Zapomniałam zabrać buty, zostały tuż za sceną.

– No to idziemy po nie. – Akurat gdy zawróciliśmy, w auli zgasły światła. – W takim razie przyjdziesz sobie jutro – orzekł Jem.

– Jutro jest niedziela – zaprotestowałam, gdy Jem ruszył w stronę domu.

– Poprosisz woźnego, żeby ci otworzył... Skaucie?

– Hmm?

– Nic.

Jem już od dawna nie zaczynał rozmowy w taki sposób. Zastanawiałam się, o czym myśli. Wiedziałam, że mi powie, kiedy uzna to za stosowne, zapewne po powrocie do domu. Miałam wrażenie, że jego palce dociskają mi kostium odrobinę za mocno.

– Jem, nie musisz tak...

– Bądź cicho przez minutę – rozkazał, szczypiąc mnie lekko.

Szliśmy w milczeniu.

– Minuta minęła – powiedziałam. – O czym myślałeś? – spytałam, próbując spojrzeć na niego, ale widziałam ledwie zarys postaci.

– Myślałem, że coś słyszałem – odpowiedział. – Zatrzymamy się na minutę.

Zatrzymaliśmy się.

– Słyszysz coś? – spytał.

– Nie.

Zrobiliśmy może pięć kroków, gdy znowu mnie zatrzymał.

– Jem, czy ty próbujesz mnie nastraszyć? Wiesz przecież, że jestem za duża...

– Bądź cicho – przerwał mi i już wiedziałam, że nie żartuje.

Noc była bardzo cicha. Słyszałam oddech Jema obok mnie. Od czasu do czasu czułam leciutki podmuch na gołych nogach, ale tylko tyle zostało z obietnicy wietrznej nocy. To była cisza przed burzą. Nasłuchiwaliśmy.

– Słyszałam starego psa – zameldowałam.

– To nie to – odparł Jem. – Słyszę coś, kiedy idziemy, a nie słyszę, kiedy się zatrzymujemy.

– Może słyszysz szelest mojego kostiumu? Daj spokój, atmosfera Halloween ci się udzieliła...

Powiedziałam tak głównie po to, żeby przekonać siebie, nie Jema. Gdy tylko zaczęliśmy iść, ja też usłyszałam ten dźwięk, o którym mówił. I nie był to mój kostium.

– To pewnie mądry Cecil – zauważył przytomnie Jem. – No, ale więcej nas nie nastraszy. Nie dajmy mu powodu do myślenia, że się spieszymy.

Zwolniliśmy. Spytałam Jema, jak Cecil miałby nas śledzić w tej ciemności. Na mój gust powinien był już na nas wpaść.

– Widzę cię, Skaucie – powiedział Jem.

– Jak? Ja ciebie nie.

– Widać ci tłuste żyłki. Pani Crewnshaw pomalowała twój kostium czymś błyszczącym, żeby lepiej się prezentował w świetle reflektorów. Widzę cię całkiem nieźle, więc przypuszczam, że Cecil też cię widzi, i to na tyle dobrze, żeby trzymać dystans.

Postanowiłam pokazać Cecilowi, że wiemy, że nas śledzi, i że jesteśmy gotowi na jego występ.

– Cecil Jacobs to wielki zmokły kurak! – wrzasnęłam znienacka, odwracając się.

Zatrzymaliśmy się. Odzewu nie było, jeśli nie liczyć echa odbitego od dalekiego muru szkoły.

– Ja go zawołam – powiedział Jem. – Heeej!

Echo powtórzyło jego okrzyk trzykrotnie.

Cecil nie zwlekałby tak długo. Gdy dowcip raz mu się udał, był gotów powtarzać go w nieskończoność. Już dawno powinien na nas skoczyć. Jem znowu dał mi znak, żebym się zatrzymała.

– Skaucie, mogłabyś to zdjąć? – spytał cicho.

– Chyba tak, ale niewiele mam na sobie pod spodem...

– Mam tu twoją sukienkę.

– Nie włożę jej przecież w ciemności.

– W porządku – mruknął. – Nieważne.

– Jem, czy ty się boisz?

– Nie. Zdaje się, że jesteśmy już prawie przy drzewie. Parę metrów dalej będziemy już na drodze. Wtedy zobaczymy latarnie. – Jem mówił niespiesznie, bez emocji.

Zastanawiałam się, jak długo będzie próbował podtrzymać mit o Cecilu.

– Sądzisz, że powinniśmy sobie pośpiewać, Jem?

– Nie. Bądź jeszcze chwilę cicho, Skaucie.

Nie przyspieszyliśmy kroku. Jem wiedział równie dobrze jak ja, że trudno iść szybko, nie stukając stopami o ziemię i nie potykając się o kamienie czy inne przeszkody, zwłaszcza że byłam boso. Może to wiatr szeleścił liśćmi w koronach drzew? Ale przecież wiatru nie było; nie było też drzew, jeśli nie liczyć wielkiego, samotnego dębu.

Szliśmy wolno, jakby ciągnęły nas ku ziemi ciężkie buty. Ktokolwiek szedł za nami, miał na sobie grube bawełniane spodnie; to, co brałam za szelest liści, było szelestem tkaniny, pocieraniem bawełny o bawełnę, słyszalnym przy każdym kroku.

Poczułam chłodniejszy piach pod stopami i wiedziałam już, że jesteśmy przy wielkim dębie. Jem nacisnął moją głowę. Zatrzymaliśmy się, nasłuchując.

Tym razem szuranie stóp nie ucichło. Nogawki ocierały się o siebie cicho, ale w równym rytmie. A potem nastąpiła cisza. Biegł, biegł w naszą stronę i nie były to kroki dziecka.

– Uciekaj, Skaut, uciekaj, uciekaj! – wrzasnął Jem.

Zdążyłam uczynić jeden wielki krok, zanim straciłam panowanie nad sobą – moje ramiona były w kostiumie bezużyteczne, w dodatku nic nie widziałam w ciemności i nie mogłam utrzymać równowagi.

– Jem, Jem, pomóż mi, Jem!

Coś zmiażdżyło otaczającą mnie klatkę z drutu. Metal szczęknął o metal i upadłam na ziemię. Potoczyłam się najdalej jak mogłam, wijąc się wciąż, by uciec z drucianego więzienia. Gdzieś z bliska dochodziły odgłosy szarpaniny, wierzgania, darcia ziemi i korzeni butami i palcami... Ktoś przyturlał się do mnie i poczułam, że to Jem. Poderwał się błyskawicznie i pociągnął mnie za sobą, lecz choć moja głowa i ramiona były już wolne, reszta ciała zaplątana w druty nie mogła zanieść mnie zbyt daleko.

Byliśmy już prawie na drodze, gdy poczułam, że dłoń Jema mnie puszcza, że coś szarpie go wstecz i ciągnie ku ziemi. Znowu odgłosy szamotaniny, a potem stłumiony trzask i przeraźliwy krzyk Jema.

Pobiegłam w stronę, z której dobiegł jego głos, i zderzyłam się z miękkim męskim brzuchem.

– Uff! – stęknął jego właściciel i spróbował złapać mnie za ramiona, które wciąż miałam uwięzione przy ciele. Brzuch miał miękki, ale ręce jak ze stali. Wolno wyciskał ze mnie powietrze. Nie mogłam się ruszyć. Nagle jakaś siła pociągnęła go wstecz i przydusiła do ziemi. Omal mu się udało pociągnąć mnie za sobą. Pomyślałam, że Jem wrócił.

Czasem tak jest, że umysł zaczyna pracować bardzo wolno. Stałam oszołomiona, nie wiedząc, co dalej począć. Odgłosy szamotaniny cichły już, ktoś zarzęził jeszcze i noc znowu stała się cicha.

Cicha, jeśli nie liczyć ciężkiego męskiego oddechu. Ktoś dyszał z wysiłku i zataczał się. Odniosłam wrażenie, że oddalił się w stronę drzewa i oparł o pień. Zakaszlał gwałtownie, przejmująco.

– Jem?

Odpowiedział mi tylko ten ciężki oddech.

– Jem?

Jem się nie odzywał.

Mężczyzna poruszył się, jakby czegoś szukał. Usłyszałam, jak pojękuje, ciągnąc po ziemi coś ciężkiego. Zbliżał się do mnie pomału i teraz... pod drzewem było czworo ludzi.

– Atticus?

Mężczyzna szedł chwiejnym krokiem w stronę ulicy.

Podeszłam do miejsca, w którym, jak mi się zdawało, stał jeszcze przed chwilą. Zaczęłam badać grunt bezładnymi ruchami nóg. Po chwili dotknęłam ciała.

– Jem?

Palce moich stóp wyczuły materiał spodni, klamrę pasa, guziki, coś, czego nie umiałam zidentyfikować, kołnierz i wreszcie twarz. Twarda szczecina, która ją porastała, podpowiedziała mi, że to nie Jem. Poczułam nieświeżą woń whiskey.

Ruszyłam w tę stronę, gdzie spodziewałam się znaleźć wylot ulicy. Nie byłam pewna, czy to dobry kierunek, bo zbyt wiele razy obróciłam się w ciemności. Wreszcie trafiłam i zaczęłam iść w stronę zapalonej latarni. Mężczyzna był już pod nią. Usłyszałam, że szedł nierównym krokiem, jak ktoś, kto dźwiga zbyt wielki ciężar. Znikał już za rogiem. Niósł Jema. Ramię Jema zwisało pod dziwacznym kątem.

Zanim dotarłam do zakrętu, on był już na naszym podwórku. Snop światła z otwartych drzwi frontowych na krótką chwilę wydobył z mroku postać Atticusa. Ojciec zbiegł po schodkach i pomógł mężczyźnie wnieść Jema do domu.

Byli jeszcze w holu, gdy stanęłam w drzwiach. Ciocia Alexandra wybiegła mi na spotkanie.

– Dzwoń po doktora Reynoldsa! – Krzyk Atticusa dochodził z pokoju Jema. – Gdzie Skaut?

– Jest tutaj! – odkrzyknęła ciocia Alexandra, ciągnąc mnie za sobą do telefonu. W biegu próbowała sprawdzić, czy jestem cała.

– Nic mi nie jest, ciociu – powiedziałam. – Dzwoń już.

Sięgnęła po słuchawkę i powiedziała do mikrofonu:

– Eula May? Szybko, z doktorem Reynoldsem!

– Agnes, ojciec w domu?... O Boże, gdzie jest?... Proszę, powiedz mu, żeby tu przyjeżdżał, gdy tylko się pokaże. Proszę, to bardzo pilne!

Ciocia Alexandra nie musiała się przedstawiać; mieszkańcy Maycomb znali swoje głosy.

Atticus wyszedł z pokoju Jema. Gdy tylko ciocia Alexandra przerwała połączenie, odebrał jej słuchawkę. Postukał widełkami i powiedział:

– Eulo May, połącz mnie z szeryfem, proszę... Heck? Tu Atticus Finch. Ktoś zaatakował moje dzieci. Jem jest ranny... Gdzieś między domem a szkołą... Nie mogę zostawić chłopaka. Proszę, przyjedź, może on jeszcze tam jest... Właściwie to wątpię, żebyś go znalazł, ale wolę, żebyś sprawdził... Muszę iść. Dzięki, Heck.

– Atticusie, czy Jem nie żyje?

– Żyje, Skaucie. Zajmij się nią, siostro – polecił, oddalając się korytarzem.

Palce cioci Alexandry drżały, gdy zdejmowała ze mnie malowane płótno i plątaninę drutów.

– Nic ci nie jest, kochanie? – pytała bez końca, uwalniając mnie stopniowo.

Poczułam ulgę, kiedy skończyła. Ramiona zaczynały mi drętwieć i całe były pokryte małymi, sześciokątnymi śladami. Roztarłam je; trochę

pomogło.

– Ciotuniu, czy Jem nie żyje?

– Żyje, kochanie, tylko jest nieprzytomny. Nie dowiemy się, jak poważnie jest ranny, póki nie zbada go doktor Reynolds. Jean Louise, co tam się wydarzyło?

– Nie wiem.

Nie pytała więcej. Przyniosła mi coś do ubrania i gdybym wtedy o tym pomyślała, pewnie nie dałabym jej zapomnieć: w roztargnieniu przyniosła mi moje ogrodniczki.

– Włóż je, kochanie – powiedziała, wręczając mi tę część mojej garderoby, którą najbardziej gardziła.

Pobiegła do pokoju Jema i zaraz wyszła z powrotem na korytarz. Zawołała mnie, obmacała pospiesznie i wróciła do rannego.

Przed domem zatrzymał się samochód. Znałam kroki doktora Reynoldsa równie dobrze jak kroki ojca. To on przyjmował Jema i mnie na świat. To on przeprowadził nas przez wszystkie znane ludzkości choroby dziecięce. To on kurował Jema po upadku z domku na drzewie. I nigdy nie stracił naszej przyjaźni. Twierdził, że gdybyśmy jeszcze byli podatni na czyraki, sprawy wyglądałyby całkiem inaczej, ale wcale mu nie wierzyliśmy.

– Dobry Boże! – zawołał, wbiegając do domu. Podszedł do mnie i dodał: – Jeszcze stoisz? – po czym natychmiast zmienił kurs.

Znał dobrze rozkład domu. I wiedział, że skoro ja jestem w marnym stanie, to i Jem.

Minęło dziesięć wieczności, zanim doktor Reynolds wrócił do mnie.

– Czy Jem nie żyje? – spytałam.

– Do tego mu bardzo daleko – odparł lekarz, kucając przede mną. – Ma guza na głowie, tak jak ty, i złamaną rękę. Skaucie, spójrz w tę stronę... nie,

nie obracaj głowy, tylko poruszaj oczami... Teraz w tę stronę... To złamanie Jema wygląda paskudnie. Zdaje się, że to staw łokciowy. Jakby ktoś próbował ukręcić mu rękę... A teraz spójrz prosto na mnie.

– Więc Jem nie umarł?

– Nie! – Doktor Reynolds wstał. – Tej nocy wiele nie zdziałamy – dodał. – Można tylko zadbać, żeby było Jemowi jak najwygodniej. A potem potrzebne będzie prześwietlenie ręki. Wygląda na to, że przez jakiś czas będzie ją nosił sztywno przy boku. Ale nie martw się, potem będzie jak nowy. Chłopcy w tym wieku są gibcy.

Rozmawiając ze mną, doktor Reynolds przyglądał mi się z uwagą, delikatnie obmacując guz na moim czole.

– Nie czujesz się specjalnie połamana?

Mały żarcik doktora Reynoldsa sprawił, że się uśmiechnęłam.

– Naprawdę uważa pan, że Jem żyje?

Lekarz włożył kapelusz.

– Mogę się mylić, rzecz jasna, ale moim zdaniem jest bardzo żywy. Wykazuje wszelkie symptomy. Idź, obejrzyj go sobie, a kiedy wrócę, omówimy i rozstrzygniemy ten dylemat.

Kroki doktora Reynoldsa były żwawe, wręcz młodzieńcze. Kroki pana Hecka Tate’a – nie. Jego ciężkie buciory katowały przez chwilę naszą werandę, zanim niezgrabnie otworzył drzwi. Powitał mnie za to tymi samymi słowami co doktor Reynolds.

– Cała jesteś, Skaucie? – dodał.

– Tak, proszę pana. Idę do Jema. Atticus jest przy nim.

– Pójdę z tobą – zaoferował się pan Tate.

Ciocia Alexandra przesłoniła lampkę Jema ręcznikiem i w pokoju panował półmrok. Jem leżał na plecach. Na policzku miał brzydkie

rozcięcie, a jego lewe ramię leżało odsunięte od tułowia, lekko ugięte, ale w niewłaściwą stronę. Marszczył brwi.

– Jem...?

– On cię nie słyszy, Skaucie – odpowiedział mi Atticus. – Jest wyłączony, jak światło. Budził się już, ale doktor Reynolds znowu ułożył go do snu.

– Rozumiem. – Cofnęłam się.

Pokój Jema był kwadratowy i przestronny. Ciocia Alexandra siedziała w fotelu bujanym przy kominku. Mężczyzna, który przyniósł Jema, stał w kącie oparty plecami o ścianę. Nie znałam go; musiał przyjechać ze wsi. Zapewne był na przedstawieniu i przypadkiem znalazł się w pobliżu, gdy nastąpił atak. Pewnie usłyszał nasze krzyki i pospieszył z pomocą.

Atticus stał przy łóżku Jema.

Pan Heck Tate został przy drzwiach. Kapelusz trzymał w dłoni, a latarka wypychała mu kieszeń spodni. Miał na sobie robocze ubranie.

– Wejdź do środka, Heck – powiedział Atticus. – Znalazłeś coś? W głowie mi się nie mieści, jaki padalec mógł zrobić coś takiego, ale mam nadzieję, że go złapiesz.

Pan Tate pociągnął nosem. Spojrzał surowo na mężczyznę stojącego w kącie, skinął mu głową i rozejrzał się po pokoju, patrząc kolejno na Jema, na ciocię Alexandrę i wreszcie na Atticusa.

– Niech pan usiądzie, panie Finch – powiedział łagodnie.

– Wszyscy usiądźmy – odrzekł Atticus. – Masz tu krzesło, Heck. Przyniosę jeszcze jedno z salonu.

Pan Tate usiadł na krześle Jema, stojącym przy biurku. Zaczekał, aż Atticus wróci i usadowi się wygodnie. Zastanawiałam się, dlaczego nie przyniósł krzesła dla mężczyzny stojącego w kącie, ale przecież znacznie lepiej niż ja znał się na obyczajach ludzi z prowincji. Niektórzy z jego

klientów przyjeżdżający z dalekich stron uwiązywali swe długouche wierzchowce wprost do drzew w naszym ogrodzie i siadywali na schodkach na tyłach domu, żeby rozmawiać o interesach. Temu widocznie najwygodniej było tam, gdzie stał.

– Panie Finch – odezwał się pan Tate – powiem panu, co znalazłem. Znalazłem sukienkę małej dziewczynki. Mam ją w samochodzie. To twoja, Skaucie?

– Tak, proszę pana, jeśli jest różowa i z marszczeniami – odpowiedziałam.

Pan Tate zachowywał się tak, jakby był świadkiem w procesie. Lubił opowiadać po swojemu, bez pytań oskarżyciela czy obrońcy, chociaż niekiedy potrzebował na to sporo czasu.

– Znalazłem też dziwne kawałki materiału w kolorze błota...

– To z mojego kostiumu, panie Tate.

Pan Tate przesunął dłońmi po udach, roztarł lewe ramię i przyjrzał się wnikliwie ozdobom wokół kominka, a potem samemu palenisku. Pogładził palcami długi nos.

– O co chodzi, Heck? – spytał Atticus.

Pan Tate znalazł wreszcie swój kark i podrapał się po nim.

– Bob Ewell leży na ziemi, pod tamtym drzewem, z nożem kuchennym między żebrami. Nie żyje, panie Finch.

# Rozdział 29

Ciocia Alexandra wstała i oparła się o kominek. Pan Tate również wstał, ale nie chciała, by ją podtrzymał. Raz w życiu instynktowna grzeczność Atticusa nie zadziałała: nie ruszył się z miejsca.

Nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o panu Bobie Ewellu mówiącym Atticusowi, że go dopadnie, choćby miał na to poświęcić resztę życia. I rzeczywiście omal go nie dopadł, ale była to ostatnia rzecz, jaką zrobił w życiu.

– Jesteś pewien? – spytał posępnie Atticus.

– Jest bardzo martwy – odparł pan Tate. – Zimny trup. Już nie skrzywdzi twoich dzieci.

– Nie o to mi chodziło.

Atticus wyglądał, jakby mówił przez sen. W tej chwili widać było jego prawdziwy wiek i jedyną oznakę wewnętrznej rozterki: mocno zarysowana linia szczęki jakby zmiękła i dały się zauważyć wiele mówiące linie pod uszami; nawet patrząc na jego włosy, widziało się teraz nie kruczoczarną gęstwę, ale srebrne pasma na skroniach.

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy przeszli do salonu? – zaproponowała w końcu ciocia Alexandra.

– Jeśli pani pozwoli – odparł pan Tate – wolałbym zostać tutaj, jeśli oczywiście nie zaszkodzimy w ten sposób Jemowi. Chciałbym obejrzeć jego obrażenia, a tymczasem Skaut... opowie nam wszystko, co wie.

– Czy w takim razie ja mogę wyjść? – spytała. – Chyba jest tu o jedną osobę za dużo. Atticusie, gdybyś mnie potrzebował, będę u siebie. – Ciocia Alexandra podeszła do drzwi, zatrzymała się i obróciła na pięcie. –

Atticusie, miałam przeczucie w sprawie tego wieczoru i... to moja wina... – zaczęła – ...powinnam była...

Pan Tate uniósł dłoń.

– Proszę iść, panno Alexandro. Wiem, że był to dla pani szok. I proszę się nie zadręczać. Gdybyśmy za każdym razem podążali za swymi przeczuciami, przypominalibyśmy koty goniące za własnymi ogonami. Skaucie, spróbuj opowiedzieć nam o wszystkim, póki jeszcze masz to świeżo w pamięci. Myślisz, że dasz radę? Widziałaś, jak ten człowiek szedł za wami?

Podeszłam do Atticusa i poczułam na sobie jego ramiona. Wtuliłam głowę w jego kolana.

– Zaczęliśmy iść w stronę domu. Powiedziałam Jemowi, że zapomniałam butów, ale gdy tylko się odwróciliśmy, zgasły światła. Jem powiedział, że mogę je odebrać jutro...

– Skaucie, wstań, tak żeby pan Tate cię słyszał – powiedział Atticus.

Wspięłam się na jego kolana.

– Po chwili Jem powiedział, żebym przez minutę była cicho. Myślałam, że się zastanawia, bo on zawsze chce, żebym była cicho, kiedy się zastanawia. Ale on powiedział, że chyba coś słyszy. Pomyśleliśmy, że to Cecil.

– Cecil?

– Cecil Jacobs. Przestraszył nas już wieczorem i sądziliśmy, że to znowu on, w tym swoim prześcieradle. Dawali ćwierć dolara za najlepszy kostium, nawet nie wiem, kto wygrał...

– W którym miejscu się znajdowaliście, kiedy pomyśleliście, że to Cecil?

– Całkiem blisko szkoły. Krzyknęłam coś do niego...

– Co mianowicie?

– Zdaje się, że „Cecil Jacobs to wielka, tłusta kura”. Nic jednak nie usłyszeliśmy w odpowiedzi. Wtedy Jem krzyknął chyba „Halo” czy coś takiego, tak głośno, że umarłego by obudził...

– Chwileczkę, Skaucie – przerwał mi pan Tate. – Panie Finch, słyszał pan te nawoływania?

Atticus zaprzeczył. Miał włączone radio. Ciocia Alexandra też słuchała, tyle że w swoim pokoju. Pamiętał o tym dobrze, gdyż prosiła go, żeby ściszył swoje, bo nie mogła słuchać własnego.

– Zawsze za głośno nastawiam radio. – Uśmiechnął się.

– Ciekawe, czy sąsiedzi coś słyszeli... – mruknął pan Tate.

– Wątpię, Heck. Większość z nich słucha radia, a pozostali chodzą spać z kurami. Może Maudie Atkinson coś słyszała, ale wątpię.

– Mów dalej, Skaucie – powiedział pan Tate.

– Kiedy już Jem krzyknął, poszliśmy dalej. Panie Tate, byłam zamknięta w moim kostiumie, ale wtedy to i ja już słyszałam. Mam na myśli te kroki. Ktoś szedł, kiedy my szliśmy, i zatrzymywał się, kiedy my stawaliśmy. Jem powiedział, że ten ktoś na pewno mnie widzi, bo pani Crenshaw pomalowała mój kostium specjalną, błyszczącą farbą. Byłam szynką.

– Jak to? – spytał zdumiony pan Tate.

Atticus opisał mu moją rolę oraz konstrukcję mojego przebrania.

– Szkoda, że jej nie widziałeś, kiedy tu weszła – zakończył. – Kostium był zgnieciony na miazgę.

Pan Tate w zamyśleniu potarł podbródek.

– Zastanawiałem się, skąd takie ślady na jego ciele. Miał malutkie dziurki w rękawach i jedno czy dwa draśnięcia skóry w odpowiadających im miejscach. Zechce pan pokazać mi ten kostium?

Atticus przyniósł resztki do pokoju Jema. Pan Tate obracał je w rękach i rozginał, próbując odtworzyć pierwotny kształt.

– Ta siatka prawdopodobnie uratowała jej życie – powiedział. – Spójrzcie – dodał, wskazując długim palcem na czystą, jasną linię wydrapaną na pociemniałej siatce drucianej. – Bob Ewell miał poważne zamiary – mruknął.

– On oszalał – stwierdził Atticus.

– Nie chciałbym się spierać, panie Finch... ale szalony nie był. Tylko podły jak wszyscy diabli. Parszywy skunks, miał tyle alkoholu w brzuchu, żeby stać go było na zabicie dzieci. Nigdy nie stanąłby z panem twarzą w twarz.

Atticus pokręcił głową.

– Nie mogę sobie wyobrazić człowieka, który...

– Panie Finch, jest taki rodzaj ludzi, do których należałoby strzelać, zanim powie się im dzień dobry. Choć z drugiej strony, nie są warci nawet kuli, która ich zabija. Ewell był jednym z takich.

– Myślałem, że już to z siebie wyrzucił tego dnia, kiedy mi groził – odparł Atticus. – A nawet jeśli nie, spodziewałem się raczej ataku na mnie.

– Wystarczyło mu ikry tylko na to, żeby nękać biedną Murzynkę i żeby włamać się do sędziego Taylora, którego miało nie być w domu, a pan sądzi, że w biały dzień stanąłby do walki z panem? – Pan Tate westchnął ciężko. – Lepiej kontynuujmy. Skaucie, usłyszeliście go za sobą i...

– Tak, proszę pana. Kiedy weszliśmy pod drzewo.

– A skąd wiedzieliście, że jesteście pod drzewem, skoro ciemno było choć oko wykol?

– Szłam boso, a Jem mówił, że pod drzewem ziemia zawsze jest chłodniejsza.

– Będę musiał mianować go moim zastępcą. Mów dalej.

– I wtedy nagle ktoś mnie złapał i zgniótł mi kostium... chyba rzuciłam się na ziemię... słyszałam, że się kotłują gdzieś pod drzewem... i że ktoś kimś wali o pień... A potem Jem mnie znalazł i zaczął ciągnąć w stronę drogi. Ktoś... pan Ewell jednak szarpnął go chyba do tyłu. Znowu się szarpali i usłyszałam ten dziwny dźwięk, a Jem krzyknął... – urwałam. To była ręka Jema. – Tak czy inaczej, Jem krzyknął i już go nie słyszałam, a pan Ewell złapał mnie i chyba próbował zadusić na śmierć... A potem ktoś szarpnął go i rzucił na ziemię. Jem musiał wtedy wstać... Tak mi się zdaje. To wszystko, co wiem.

– Co było dalej? – Pan Tate spoglądał na mnie przenikliwie.

– Ktoś szedł, zataczając się, i strasznie sapał i kaszlał, jakby miał umrzeć. Najpierw pomyślałam, że to Jem, ale to nie był jego głos. Zaczęłam więc szukać Jema na ziemi. Pomyślałam, że to Atticus przyszedł nam z pomocą i tak się zmęczył...

– A kto to był?

– Tamten pan, panie Tate. Może sam się przedstawi.

Gdy to mówiłam, wskazałam nieśmiało na mężczyznę stojącego w kącie i zaraz opuściłam rękę, żeby Atticus nie upomniał mnie za pokazywanie palcem. Bo niegrzecznie jest pokazywać palcem.

Nieznajomy wciąż tam stał, oparty o ścianę. Stał tak od samego początku, odkąd weszłam do tego pokoju, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Gdy na niego wskazałam, opuścił ręce i docisnął dłonie do ściany. Były całkiem białe, chorobliwie białe, jakby nigdy nie widziały słońca. Tak białe, że wyraźnie odznaczały się na tle kremowej ściany w nikłym świetle, które rozjaśniało pokój Jema.

Przeniosłam spojrzenie z jego dłoni na ubrudzone piaskiem spodnie koloru khaki i wyżej, na szczupły korpus i wystrzępioną, drelichową koszulę. Jego twarz była równie biała jak dłonie, jeśli nie liczyć cienia

rzucanego przez wydatną szczękę. Miał zapadnięte policzki i szerokie usta, a także płytkie, delikatne zagłębienia na skroniach. Jego szare oczy były tak bezbarwne, że przez chwilę myślałam, że jest ślepy. Miał cienkie włosy, na czubku głowy przypominające wręcz ptasi puch.

Przesunął dłonie po ścianie, zostawiając wilgotny ślad potu, i zaraz zatknął kciuki za pas. Wstrząsnął nim dziwny dreszcz, jakby usłyszał skrobanie nożem po talerzu, ale wpatrując się w jego twarz, widziałam, że napięcie z wolna go opuszcza. Wreszcie rozchylił usta w nieśmiałym uśmiechu. Nagły potok łez rozmazał mi obraz naszego sąsiada.

– Hej, Boo – powiedziałam.

# Rozdział 30

Panie Arthurze, skarbie – poprawił mnie łagodnie Atticus. – Jean Louise, poznaj pana Arthura Radleya. Mam wrażenie, że on już ciebie zna.

Jeżeli Atticus mógł tak po prostu przedstawić mi Boo Radleya w takim momencie, to... to był po prostu Atticusem.

Boo popatrzył, jak instynktownie biegnę do łóżka, na którym spał Jem. Znowu uśmiechnął się nieśmiało. Było mi gorąco ze wstydu i próbowałam zamaskować ten stan, przykrywając Jema.

– Nie, nie. Nie ruszaj go – powstrzymał mnie Atticus.

Pan Heck Tate wpatrywał się intensywnie w Boo przez szkła swych okularów w grubej, rogowej oprawie. Chciał właśnie coś powiedzieć, gdy w holu pojawił się doktor Reynolds.

– Niech wszyscy wyjdą – powiedział, zbliżając się do drzwi. – Dobry wieczór, Arthurze, nie zauważyłem cię, kiedy tu byłem poprzednio.

Głos doktora Reynoldsa był równie śmiały jak jego ruchy; jak gdyby nasz lekarz codziennie wieczorem wypowiadał te słowa. Zdumiało mnie to jeszcze bardziej niż fakt, że przebywam w jednym pokoju z Boo Radleyem. Zaraz jednak się zreflektowałam: oczywiście, przecież nawet Boo Radley czasem choruje. Chociaż z drugiej strony, nie byłam tego wcale taka pewna.

Doktor Reynolds przyniósł duży pakunek owinięty w gazetę. Położył go na biurku Jema i zdjął marynarkę.

– I co, wierzysz mi już, że twój brat żyje? Powiem ci, po czym poznałem. Kiedy próbowałem go zbadać, kopnął mnie. Musiałem go porządnie uśpić, żeby w ogóle dał się dotknąć. A teraz sio – zakończył doktor Reynolds.

– Eee.. – odezwał się Atticus, zerkając na Boo. – Heck, może wyjdziemy na werandę. Mamy tam sporo krzeseł i ciepło jest jeszcze.

Zastanawiałam się, dlaczego Atticus zaprasza nas właśnie tam, a nie do salonu, ale zaraz zrozumiałam: światła w salonie były bardzo mocne.

Wyszliśmy z pokoju. Atticus chciał poprowadzić, ale się rozmyślił i przepuścił przodem pana Tate’a.

Ludzie mają zwyczaj kultywowania całkiem normalnych nawyków nawet w najmniej normalnych okolicznościach. Ja nie byłam wyjątkiem.

– Chodźmy, panie Arthurze – usłyszałam mój własny głos. – Nie zna pan dobrze naszego domu, więc zaprowadzę pana na werandę.

Spojrzał na mnie i skinął głową.

Poprowadziłam go przez hol, obok salonu.

– Zechce pan spocząć, panie Arthurze? Ten bujany fotel jest naprawdę wygodny.

Znowu odżyła moja mała fantazja związana z panem Radleyem: miał siedzieć na werandzie... „Piękną mamy dziś pogodę, nieprawdaż, panie Arthurze?”

Tak, piękną... Czując, że dzieje się coś nierealnego, poprowadziłam go do najdalej stojącego krzesła. Stało w głębokim cieniu. Pomyślałam, że tam Boo będzie się czuł najswobodniej.

Atticus zajął miejsce na huśtawce, a pan Tate na krześle tuż obok niego. Światło z okien salonu padało prosto na nich. Ja usiadłam obok Boo.

– Wiesz, Heck – mówił właśnie mój ojciec – trzeba będzie zrobić tak... Dobry Boże, zaczynam tracić pamięć... – Odsunął okulary i przycisnął palce do kącików oczu. – Jem jeszcze nie ma trzynastu lat... nie, trzynaście już ma... Nie pamiętam. Tak czy inaczej, sprawa trafi przed sąd hrabstwa...

– Jaka sprawa, panie Finch? – Pan Tate wyprostował nogi i pochylił się.

– Naturalnie mamy oczywisty przypadek obrony koniecznej, ale będę musiał pójść do biura i poszukać...

– Panie Finch, czy pan poważnie sądzi, że Jem zabił Boba Ewella? Tak pan uważa?

– Słyszałeś, co mówiła Skaut, Heck. Ja nie mam wątpliwości. Powiedziała, że Jem wstał i szarpnął Ewella, odciągnął go. Prawdopodobnie w ciemności w jakiś sposób zdobył jego nóż... Jutro się dowiemy.

– Panie Finch, wolnego – odrzekł pan Tate. – Jem nie pchnął nożem Boba Ewella.

Atticus milczał przez chwilę, a potem spojrzał na pana Hecka Tate’a tak, jakby doceniał to, co zostało przed chwilą powiedziane. Ale zaraz potem potrząsnął głową.

– Heck, to bardzo miłe z twojej strony i wiem, że robisz to z dobroci serca, ale nawet o tym nie myśl.

Pan Tate wstał i podszedł do skraju werandy. Splunął w krzaki, wbił ręce w kieszenie spodni i spojrzał na Atticusa.

– Niby o czym? – spytał.

– Przepraszam, jeśli byłem zbyt szorstki, Heck – odparł szczerze Atticus – ale nie będzie żadnego wyciszania sprawy. Ja tak nie umiem.

– Nikt niczego nie będzie wyciszał, panie Finch.

Głos pana Tate’a był cichy i spokojny, ale jego buty stanęły na deskach werandy z taką mocą, jakby z niej wyrastały. Między moim ojcem a szeryfem toczyła się ciekawa rozgrywka, której sensu nie rozumiałam.

Teraz i Atticus wstał i podszedł do skraju werandy.

– Hmm – mruknął i splunął na podwórze. Włożył dłonie do kieszeni i stanął twarzą w twarz z panem Tate’em. – Heck, ty tego nie powiedziałeś na głos, ale ja wiem, o czym myślisz. I dziękuję ci za to. Jean Louise –

dodał, odwracając się ku mnie – czy powiedziałaś, że Jem szarpnął pana Ewella i oderwał go od ciebie?

– Tak, ojcze, tak mi się zdawało... Ja...

– Widzisz, Heck? Dziękuję ci z głębi serca, ale nie chcę, żeby mój chłopak zaczynał życie z takim bagażem. Najlepszym sposobem na oczyszczenie atmosfery jest ujawnienie wszystkiego. Niech zjedzie się całe hrabstwo z kanapkami na drugie śniadanie. Nie chcę, żeby szeptali za jego plecami, kiedy będzie dorastał. Nie chcę, żeby ktokolwiek powiedział: „Jem Finch... jego ojciec słono zapłacił, żeby go z tego wyciągnąć”. Im prędzej to załatwimy, tym lepiej.

– Panie Finch – odparł niespiesznie pan Tate – Bob Ewell upadł na własny nóż. Sam się zabił.

Atticus odszedł do narożnika werandy i spojrzał na bluszcz. Pomyślałam, że obaj są równie uparci, choć każdy na swój sposób. Byłam ciekawa, który pierwszy się podda. Upór Atticusa był cichy i rzadko rzucał się w oczy, ale w pewnym sensie mój ojciec potrafił być równie konsekwentny jak Cunninghamowie. Upór pana Tate’a z kolei był mniej finezyjny, toporniejszy, ale nie słabszy.

– Heck – Atticus odwrócił się plecami do niego – jeśli ta sprawa zostanie wyciszona, będzie to w oczach Jema jawne zaprzeczenie wszystkiego, co próbowałem mu wpoić. Czasem myślę, że jako rodzic poniosłem totalną klęskę, ale z drugiej strony – mają tylko mnie. Zanim Jem spojrzy na kogokolwiek innego, spogląda na mnie. Starałem się żyć tak, abym zawsze mógł spojrzeć mu w oczy... Jeżeli zgodzę się na coś takiego, na pewno nie będę mógł już tego zrobić, a w dniu, kiedy to nastąpi, jednego będę pewny: że straciłem syna. A nie chcę stracić ani Jema, ani Skauta, ponieważ są wszystkim, co mam.

– Panie Finch – pan Tate wciąż był przyrośnięty do desek. – Bob Ewell upadł na własny nóż i mogę to udowodnić.

Atticus obrócił się na pięcie i jeszcze głębiej wbił ręce w kieszenie.

– Heck, czy nie możesz nawet spróbować spojrzeć na tę sprawę moimi oczami? Masz własne dzieci, ale ja jestem od ciebie starszy. Gdy moje dorosną, będę starcem, jeśli w ogóle będę jeszcze wśród żywych. Na razie jednak żyję... jeśli przestaną mi ufać, nie będą ufać nikomu. Jem i Skaut wiedzą, co się wydarzyło. Jeżeli usłyszą, że opowiadam w mieście całkiem inną historię, stracę je, Heck. Nie mogę inaczej żyć w mieście i inaczej w domu.

Pan Tate zakołysał się na piętach i odparł cierpliwie:

– On powalił Jema, potknął się o korzeń drzewa i... Proszę, mogę to panu pokazać.

Pan Tate sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął długi nóż sprężynowy. W chwili, gdy to zrobił, w drzwiach stanął doktor Reynolds.

– Skur... znaczy: zmarły leży pod drzewem na boisku szkolnym, doktorze. Ma pan latarkę? Może lepiej weźmie pan tę.

– Mogę zajechać tam samochodem i poświecić reflektorami – odparł doktor Reynolds, ale i tak wziął od pana Tate’a latarkę. – Z Jemem wszystko w porządku. Dziś już się nie obudzi, mam nadzieję, więc się nie martwcie. To od tego noża zginął Ewell, Heck?

– Nie, panie doktorze, tamten tkwi jeszcze w ciele. Sądząc po rękojeści, to zwykły nóż kuchenny. Ken powinien już tam być z karawanem. Dobrej nocy, doktorze.

Pan Tate otworzył nóż.

– Było tak – powiedział. – Zaczął się zataczać i gdy pochylił się ku ziemi, jego lewa ręka znalazła się wprost pod nim. – Widzi pan? Sam się dźgnął. Trafił na miękką tkankę między żebrami. Upadł całym ciężarem

ciała. – Pan Tate zamknął nóż i włożył go do kieszeni. – Skaut ma osiem lat – powiedział. – Była zbyt przerażona, żeby dokładnie pamiętać, co zaszło.

– Zdziwiłbyś się – mruknął ponuro Atticus.

– Nie twierdzę, że coś zmyśliła. Mówię tylko, że była zbyt wystraszona, żeby dokładnie wiedzieć, co się stało. Było bardzo ciemno, jak w kałamarzu. Wiarygodnym świadkiem mógłby być tylko ktoś, kto przywykł do takiego mroku...

– Nie zgadzam się – powiedział cicho Atticus.

– Do jasnej cholery, ja wcale nie myślę o Jemie!

But pana Tate'a huknął w deski z taką mocą, że w sypialni u pani Maudie zapaliło się światło. Sekundę później zapaliło się też u panny Stephanie Crawford. Atticus i pan Tate spojrzeli najpierw na drugą stronę ulicy, a potem po sobie. Czekali.

Gdy pan Tate przemówił ponownie, jego głos był ledwie słyszalny.

– Panie Finch, naprawdę nie lubię się z panem sprzeczać, gdy jest pan w takim stanie. Przeżył pan poważny stres, jakiego nikomu bym nie życzył. Sam nie wiem, dlaczego to napięcie jeszcze nie posłało pana do łóżka. Wiem natomiast, że ten jeden raz w życiu nie umie pan dodać dwóch do dwóch, a my naprawdę musimy dogadać się w tej sprawie już dziś, bo jutro będzie za późno. Bob Ewell leży martwy z nożem w piersi.

Pan Tate dodał jeszcze, że Atticus chyba nie zamierza utrzymywać, iż jakiekolwiek dziecko postury Jema, ze złamaną ręką, mogło w kompletnej ciemności walczyć z dorosłym mężczyzną, powalić go na ziemię i zabić.

– Heck – odezwał się znienacka Atticus. – Wymachiwałeś mi tu sprężynowcem... Skąd go masz?

– Odebrałem pijakowi – odparł chłodno pan Tate.

Próbowałam sobie przypomnieć: pan Ewell na mnie... nagle odrzucony... Jem musiał wstać... tak przynajmniej sądziłam...

– Heck?

– Odebrałem go pijakowi, dziś wieczorem, w centrum miasta. A Ewell prawdopodobnie znalazł nóż kuchenny gdzieś na wysypisku. Naostrzył i zaczaił się... zaczaił się, to wszystko.

Atticus podszedł do huśtawki i usiadł. Jego dłonie zwisały swobodnie między kolanami. Wpatrywał się w podłogę. Poruszał się równie wolno jak wtedy przed bramą więzienia, gdy miałam wrażenie, że przez całe wieki składa gazetę i rzuca ją na krzesło.

Pan Tate przechadzał się spokojnie po werandzie.

– Decyzja nie należy do pana, panie Finch, ale do mnie. To moja decyzja i moja odpowiedzialność. Choć raz, mimo iż nie zgadzamy się w ocenie sytuacji, nie może pan nic na to poradzić. A jeśli pan spróbuje, nazwę pana kłamcą w żywe oczy. Pański syn nie zabił Boba Ewella – powtórzył wolno. – Nawet nie był tego bliski i doskonale pan o tym wie. Chciał tylko wrócić z siostrą bezpiecznie do domu. – Pan Tate zatrzymał się przed Atticusem, zwrócony do nas plecami. – Nie jestem bardzo dobrym człowiekiem, panie mecenasie, ale jestem szeryfem hrabstwa Maycomb. Spędziłem w tym mieście całe życie, a biegnie mi już czterdziesty trzeci rok. Wiem o wszystkim, co się tu wydarzyło od czasów, gdy przyszedłem na świat, a nawet wcześniej. Czarnoskóry chłopak ginie bez powodu, a potem śmierć dosięga człowieka, który był za to odpowiedzialny. Niech tym razem martwi pogrzebią martwych, panie Finch. Niech martwi pogrzebią martwych.

Pan Tate podszedł do huśtawki i podniósł swój kapelusz, który leżał obok Atticusa. Szeryf odgarnął włosy i włożył kapelusz.

– Pierwsze słyszę, że to wbrew prawu, żeby obywatel zrobił wszystko co w jego mocy, by zapobiec dokonaniu zbrodni. A właśnie to tutaj zaszło. Ale pan woli mówić, że moim obowiązkiem jest rozgłaszanie wszystkiego

na mieście, a nie wyciszanie sprawy. Wie pan, co by się wtedy stało? Wszystkie kobiety Maycomb, nie wyłączając mojej żony, stukałyby do jego drzwi i znosiły torty z kremem. Po mojemu, panie Finch, rzucanie kogoś tak nieśmiałego, kto wyświadczył panu i całemu miastu taką przysługę, wprost w światła reflektorów, byłoby grzechem. Byłoby grzechem, którym ja nie mam zamiaru obciążać swojego sumienia. Gdyby zabitym był inny człowiek, sprawa wyglądałaby inaczej. Ale nie ten człowiek, panie Finch.

Pan Tate próbował chyba wykopać dziurę w desce czubkiem swojego buta. Podrapał się po nosie i rozmasował lewe ramię.

– Może nie jestem ważną osobistością, ale na razie jeszcze jestem szeryfem Maycomb i moim zdaniem, Bob Ewell przewrócił się na własny nóż. Dobrej nocy, panie mecenasie.

Pan Tate zszedł z werandy i szybkim krokiem przemierzył podwórze przed naszym domem. Po chwili trzasnął drzwiami samochodu i odjechał.

Atticus jeszcze długo siedział wpatrzony w podłogę. Wreszcie uniósł głowę.

– Skaucie – powiedział. – Pan Ewell przewrócił się na własny nóż. Potrafisz to pojąć?

Ojciec wyglądał tak, jakby bardzo potrzebował pocieszenia. Podbiegłam do niego, przytuliłam i ucałowałam z całej siły.

– Tak, ojcze, doskonale to rozumiem – zapewniłam go. – Pan Tate miał rację.

Atticus odsunął mnie nieco i spojrzał mi w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że to by było tak, jakby zabić drozda, prawda?

Atticus zanurzył twarz w moich włosach i otarł mocno. Kiedy wstawał i odchodził w cień werandy, w jego ruchach znowu była dawna

młodzieńcza sprężystość. Zanim wszedł do domu, zatrzymał się jeszcze przed Boo Radleyem.

– Dziękuję ci za moje dzieci, Arthurze – powiedział.

# Rozdział 31

Kiedy Boo Radley podniósł się niespiesznie, blask bijący z okien salonu rozświetlił jego czoło. Każdy jego ruch był niepewny, jakby Boo nie był przekonany, czy jego dłonie i stopy potrafią nawiązać właściwy kontakt z obiektami, których dotykają. Zakaszlał znowu, gwałtownie i długo, a kosztowało go to tyle sił, że znowu musiał usiąść. Odszukał dłonią kieszeń na biodrze i wyjął z niej chusteczkę. Znowu zakaszlał, a potem otarł czoło.

Tak bardzo przywykłam do jego nieobecności, że wciąż nie mogłam uwierzyć, że tak po prostu siedzi obok mnie, zwyczajnie obecny. Nie wydał z siebie dotąd żadnego dźwięku.

Znowu wstał i tym razem odwrócił się do mnie. Skinął głową na drzwi frontowe.

– Chciałby pan powiedzieć Jemowi dobranoc, panie Arthurze? Chodźmy.

Poprowadziłam go korytarzem. Ciocia Alexandra czuwała przy łóżku Jema.

– Proszę, Arthurze – powiedziała. – Jem nadal śpi. Doktor Reynolds dał mu mocny środek znieczulający. Jean Louise, czy twój ojciec jest w salonie?

– Tak, ciociu, chyba tak.

– Pójdę do niego na chwilę. Doktor Reynolds zostawił trochę... – Jej głos rozpłynął się w korytarzu.

Boo zdryfował zaraz do kąta pokoju, zadarł wysoko podbródek i z daleka przyglądał się Jemowi. Wzięłam go za rękę, zdumiewająco

ciepłą, jak na tę bladość skóry. Pociągnęłam go lekko za sobą i pozwolił, bym zaprowadziła go do łóżka Jema.

Doktor Reynolds ustawił coś w rodzaju namiociku nad ramieniem Jema, chyba po to, by kołdra nie zadawała mu bólu. Boo pochylił się i zajrzał do środka. Na jego twarzy zobaczyłam wyraz nieśmiałej ciekawości, jakby nigdy w życiu nie widział chłopca. Miał półotwarte usta i oglądał Jema od stóp do głów. Wreszcie uniósł rękę, ale zaraz pozwolił, by opadła do boku.

– Może go pan pogłaskać, panie Arthurze, on śpi. Gdyby był przytomny, to inna sprawa, nie pozwoliłby panu... – Nie wiem, po co mu to tłumaczyłam. – Proszę, śmiało.

Dłoń Boo zawisła nad głową Jema.

– Proszę, on śpi.

Dłoń dotknęła włosów Jema.

Pomału zaczynałam uczyć się angielszczyzny jego ciała. Jego ręka zacisnęła się na mojej i ruchem głowy pokazał mi, że chce już wyjść.

Poprowadziłam go na werandę, gdzie jego niepewne kroki ustały. Wciąż mnie trzymał i chyba nie miał zamiaru puścić.

– Zabierzesz mnie do domu?

Był to nieomalże szept, głos dziecka lękającego się ciemności.

Postawiłam stopę na pierwszym stopniu i znieruchomiałam. Mogłam oprowadzić go po naszym domu, ale nigdy nie odprowadziłabym go tam, do niego.

– Panie Arthurze, proszę zgiąć ramię w łokciu, o, tak. Bardzo dobrze, proszę pana.

Wsunęłam dłoń pod jego ramię.

Musiał się nieco zgarbić, żeby było mi wygodnie, ale jeśli panna Stephanie Crawford obserwowała nas teraz z okna na piętrze, miała okazję zobaczyć, jak Arthur Radley prowadzi mnie chodnikiem tak, jak powinien to czynić dżentelmen.

Dotarliśmy do narożnej latarni ulicznej. Zastanawiałam się, ile razy Dill przytulał się do niej, obserwując, czekając, mając nadzieję. Zastanawiałam się, ile razy Jem i ja powtarzaliśmy tę wyprawę. A teraz weszłam przez furtkę do ogrodu Radleyów – po raz drugi w życiu. Weszliśmy z Boo po schodkach na werandę. Jego palce odnalazły gałkę drzwi. Delikatnie puścił moją dłoń, otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął je za sobą. Nigdy więcej go nie zobaczyłam.

Sąsiedzi przynoszą jedzenie, gdy w domu zagości śmierć; kwiaty, gdy zapanuje choroba; i niewiele innych rzeczy przy mniej ważnych okazjach. Boo był naszym sąsiadem. Podarował nam dwie mydlane figurki, zepsuty zegarek z łańcuszkiem, parę drobniaków oraz życie. Lecz sąsiedzi odwzajemniają dary. Nigdy nie odłożyliśmy do dziury w drzewie tego, co z niej zabraliśmy. Było mi smutno, bo nigdy niczego mu nie daliśmy.

Odwróciłam się, żeby wrócić do domu. Latarnie uliczne mrugały do mnie z oddali, wyznaczając drogę aż do miasta. Nigdy nie patrzyłam na naszą dzielnicę z tej perspektywy. Spojrzałam na dom panny Maudie, panny Stephanie i na nasz dom. Zobaczyłam nawet huśtawkę na naszej werandzie. Dom panny Rachel stał za naszym, ale i on był dobrze widoczny. Widziałam nawet dom pani Dubose.

Obejrzałam się przez ramię. Po lewej stronie od brązowych drzwi zobaczyłam długie okno z okiennicami. Podeszłam do niego, stanęłam na wprost i znowu się odwróciłam. Za dnia, pomyślałam, pewnie widać stąd nawet pocztę.

Za dnia... W mojej wyobraźni mrok nocy stopniał. Nastał dzień i w okolicy zapanował ruch. Panna Stephanie Crawford przeszła na drugą stronę ulicy, żeby przekazać najnowsze ploteczki pannie Rachel. Panna Maudie pochyliła się nad azaliami. Było lato i dzieci odważyły się podejść bliżej. Chłopiec szedł chodnikiem, ciągnąc za sobą wędkę. Mężczyzna czekał, stojąc z rękami na biodrach. Było lato, a jego dzieci bawiły się na podwórku przed domem ze swym przyjacielem, odtwarzając dziwaczny dramat własnego pomysłu.

I była jesień. Jego dzieci walczyły na chodniku przed domem pani Dubose. Chłopiec pomógł siostrze wstać i razem wrócili do domu. Jesień, więc jego dzieci biegały w tę i z powrotem za róg ulicy, wracając czasem ze smutkiem, a czasem z wyrazem triumfu na twarzach. Zatrzymały się przed dębem zachwycone, zdumione, zaniepokojone.

Zima. Jego dzieci drżą przed furtką; ciemne sylwetki na tle płonącego domu. Zima. Mężczyzna wychodzi na ulicę, upuszcza okulary i zabija psa.

Lato. Patrzył, jak jego dzieciom pękają serca. Znowu jesień. Dzieci Boo potrzebowały go.

Atticus miał rację. Powiedział kiedyś, że nie można poznać człowieka, póki nie włoży się jego butów i nie pochodzi się w nich trochę. Mnie wystarczyło to, że postałam na werandzie domu Radleyów.

Latarnie wydawały się rozmazane w drobnym deszczu, który zaczął padać. Wracając do domu, czułam się bardzo stara, a gdy spojrzałam na czubek własnego nosa, zobaczyłam drobniutkie koraliki mżawki. Nie mogłam patrzeć na nie zbyt długo, bo kręciło mi się w głowie. Zastanawiałam się, co powiem jutro Jemowi. Będzie taki wściekły, że przegapił to wszystko, że nie odezwie się do mnie przez wiele dni. Myślałam i o tym, że minie jeszcze trochę czasu, zanim dorośniemy, ale niewiele nam zostało do nauczenia się – no, może poza algebrą.

Wbiegłam po schodkach na werandę i dalej, do domu. Ciocia Alexandra poszła już spać, a w pokoju Atticusa było ciemno. Chciałam sprawdzić, czy Jem przypadkiem się nie obudził. W jego pokoju zastałam Atticusa; siedział przy łóżku i czytał książkę.

– Obudził się?

– Śpi spokojnie. Nie obudzi się aż do rana.

– Ach tak. Będziesz przy nim czuwał?

– Może przez godzinkę. Idź już do łóżka, Skaucie. Masz za sobą długi dzień.

– Chyba wolę trochę zostać z tobą.

– Jak chcesz – odparł Atticus.

Musiało być już po północy, więc bardzo mnie zdumiała ta jego zgoda. Był jednak mądrzejszy ode mnie: gdy tylko usiadłam, poczułam się senna.

– Co czytasz? – spytałam.

Atticus odwrócił książkę.

– To z kolekcji Jema... *Szary duch*.

Senność nagle mnie opuściła.

– Dlaczego właśnie to?

– Kochanie, naprawdę nie wiem. Po prostu wziąłem z półki... To jedna z niewielu, których nie czytałem – wyjaśnił rzeczowo.

– Proszę, poczytaj na głos, Atticusie. To bardzo straszna historia.

– Nie – odparł. – Masz już dość strachów na jakiś czas. To zbyt...

– Atticusie, ja się wcale nie bałam.

Spojrzał na mnie, unosząc brwi, a ja zaraz zaprotestowałam.

– Przynajmniej nie do czasu, aż zaczęłam opowiadać panu Tate’owi o wszystkim, co się stało. Jem też się nie bał. Pytałam go i mówił, że się nie boi. Poza tym nic nie jest naprawdę straszne, poza historiami w książkach.

Atticus otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Wysunął kciuk ze środka książki i otworzył ją na pierwszej stronie. Przysunęłam się bliżej i położyłam głowę na jego kolanie.

– Hhm – odchrząknął. – Seckatary Hawkins, *Szary duch*. Rozdział pierwszy...

Starałam się nie zasnąć, ale deszcz bębnił tak miękko, pokój był taki ciepły, jego głos taki głęboki, a kolano takie przytulne – że zasnęłam.

Wydawało mi się, że minęły sekundy, gdy jego but delikatnie trącił moje żebra. Postawił mnie na nogi i zaprowadził do mojego pokoju.

– Słyszałam każde słowo... – mruczałam – ...wcale nie spałam. Było o statku, o Trójpalcym Fredzie i Kamieniarczyku...

Odpiął szelki moich ogrodniczek, przytulił mnie i ściągnął mi portki. Przytrzymując mnie jedną ręką, drugą sięgnął po pidżamę.

– Tak, tak, i wszyscy myśleli, że to Kamieniarczyk narobił bałaganu w ich klubie i rozlewał atrament...

Atticus poprowadził mnie do łóżka i posadził na nim. Podniósł moje nogi, położył mnie i przykrył kołdrą.

– I ścigali go, ale nigdy nie mogli złapać, bo nie wiedzieli, jak wyglądał, i jeszcze, Atticusie, gdy wreszcie go zobaczyli, okazało się, że on wcale nie narozrabiał... Atticusie, on był naprawdę miły...

Jego dłonie wsunęły się pod mój podbródek. Podciągnęły wysoko kołdrę, dokładnie mnie okrywając.

– Jak większość ludzi, Skaucie, kiedy wreszcie ich dostrzeżemy.

Wyłączył światło i wyszedł do pokoju Jema. Miał spędzić tam całą noc i czuwać przy łóżku, gdy Jem zbudzi się z samego rana.

[1] *Commentaries on the Laws of England* Williama Blackstone’a, jedno z podstawowych dzieł literatury prawniczej (przypisy tłumacza).

[2] *Księga Koheleta*, 6,4, *Biblia Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań–Warszawa 1990.

[3] *Księga Przysłów*, 15,13. *Op. cit.*

[4] Znany zwłaszcza na Południu prawnik i polityk, wybitny mówca, trzykrotny kandydat na prezydenta; żył w latach 1860–1925.

[5] Chodzi o generała Konfederatów, Roberta E. Lee (1807–1870).

[6] Agencja utworzona w roku 1935, zatrudniająca do prac publicznych głównie robotników niewykwalifikowanych.

[7] James Thomas „Cotton Tom” Heflin (1869–1951), kontrowersyjny parlamentarzysta amerykański.

Tytuł oryginału: *To Kill a Mockingbird*

Copyright © 1960, renewed 1988 by Harper Lee
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2013

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Opracowanie graficzne serii, projekt okładki i fotografia na okładce:
Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
*Zabić drozda*, wyd. I w nowym tłumaczeniu, dodruk, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-244-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com